

Nan Ryan

Skandal w Nowym
Orleanie

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Liverpool, Anglia, sierpień 1856 roku

Od pierwszej chwili wiedziała, że to awanturnik.

Ujrzała go na pokładzie luksusowego statku linii White Star, S/S „Starlight”, podczas długiego rejsu do Ameryki. On nazywał się Armand de Chevalier, ona była hrabiną Ballarat, znaną także jako lady Madeleine Cavendish.

Wchodząc na trap, lekko uniosła dół sukni, przystanąła na chwilę i popatrzyła w górę. Zobaczyła go niemal od razu. Był wysoki, czarnowłosy i bardzo przystojny. Leniwie opierał się o reling. Obrzucił ją taksującym spojrzeniem.

Uśmiechnął się rozbrajająco, lecz ona szybko odwróciła wzrok. Nie zamierzała go zachęcać w żaden widomy sposób. Zbyt dobrze знаła mężczyznę jego pokroju. Zbyt dobrze. Poślubiła jednego z nich, gdy była jeszcze młodą, impulsywną dziewczyną. Małżeństwo okazało się fiaskiem.

Na to wspomnienie lady Madeleine lekko się skrzywiła. Zakochała się bez pamięci pierwszą młodzieńczą miłością. W ramionach męża zaznała najwyższej rozkoszy, ale trwało to bardzo krótko. Ledwie wrócili z podróży poślubnej do Włoch, a już młody żonkoś - uroczy, chociaż bez tytułu - zaczął się zachowywać, jakby w dalszym ciągu był w kawalerskim stanie. A matka ją ostrzegła przed pochopną decyzją. Jej ukochany pił i trwonił majątek przy karcianym stole. Jej majątek. Co gorsza, coraz częściej widywano go z innymi kobietami. Przeżyła koszmar i nie chciała, by się to powtórzyło.

Po trzech latach pełnych smutku i upokorzeń Madeleine Cavendish została młodą wdową. Jej mąż zginął w bójce z jakimś innym pijakiem. Pobili się o kochankę.

Zanim weszła na pokład statku, niecierpliwie potrząsnęła głową, jakby chciała odpędzić od siebie myśli o przeszłości. Nie lubiła wracać do wspomnień. Woląca żyć dniem dzisiejszym.

Ciekawe, czy ten młodzieniec wciąż stoi przy relingu? Postawiła stopę na lśniących deskach pokładu. Nie potrafiła się powstrzymać, żeby nie unieść głowy. Szybko zerknęła w bok.

Ze zdumieniem stwierdziła, że był tam nadal i - co gorsza - wciąż na nią patrzył. W dodatku uśmiechał się w zgoła bezczelny sposób! Lady Madeleine spłonęła rumieńcem, co było do niej wcale niepodobne, zmyliła krok i potknęła się. Niewiele brakowało, żeby

upadła. Wysoki czarnowłosy młodzieniec natychmiast znalazł się przy niej, żeby ją podtrzymać.

Zaskoczona Madeleine niespodziewanie poczuła lekki przyływ podniecenia, gdy silne, smagłe ramię ciasno objęło ją w pasie. Nieznajomy miał mięśnie twarde niczym skała. Poczwała się przy nim krucha i bezradna.

Uniosła wzrok, żeby mu podziękować - i wpadła w pułapkę. Zniewolona spojrzeniem jego błyszczących czarnych oczu, nie mogła wykrztusić słowa. Milczała przez dłuższą chwilę. Serce waliło jej jak młotem. Solennie obiecała sobie, że przez cały długi rejs do Ameryki będzie się trzymała od niego jak najdalej.

Minęło sporo czasu, zanim odzyskała rezon.

- Proszę mnie puścić! - zawołała stanowczym, niemal władczym tonem.

Usłuchał jej bez wahania. Może nawet zbyt nagle. Lady Madeleine z trudem usiłowała odzyskać równowagę i nadszarpniętą godność. Zdumiało ją, że ustąpił zupełnie bez oporu. Co więcej, cofnął się o krok, skrzyżował ręce na piersiach i błysnął zębami w uśmiechu.

Śmiał się z niej!

Już otwierała usta, by udzielić mu reprimendy, lecz po namyśle odstąpiła od tego zamiaru. Rozmowa z kimś tak pozbawionym manier i na dodatek obdarzonym wątpliwym poczuciem humoru, wydawała jej się zwykłą stratą czasu. Nie wart był jednego słowa.

Spiorunowała go wzrokiem, dumnie uniosła głowę i szybko odeszła.

Szczerze ubawiony Armand de Chevalier z uśmiechem patrzył, jak uosobienie kobiecej furii szturmowało zatłoczony pokład. Spodobało mu się to, co zobaczył. Nawet bardziej niż spodobało. Postanowił w duchu, że lepiej pozna tę damę, zanim statek dobieje do brzegów Ameryki. Nie miał pojęcia, kim była. Wiedział tylko, że pod pięknym ciałem skrywała ognisty temperament.

Idealnie trafiała w jego gusta.

Pierwsze spotkanie było bardzo krótkie, lecz wizerunek młodej kobiety mocno wrył mu się w pamięć. Na pewno miała nie więcej niż metr siedemdziesiąt wzrostu. On sam, bosy, mierzył równo sto osiemdziesiąt siedem centymetrów, ona zaś sięgała mu na wysokość ust czubkiem głowy. Jej włosy - na ile zdołał zauważyć - intrygująco

połyskiwały barwą czerwonego złota. Teraz były starannie upięte i częściowo ukryte pod kapelusikiem, ale Armand oczami wyobraźni widział je, jak swobodnie opadają na jej nagie ramiona.

Lekko zacisnął usta, zatopiony w świecie fantazji.

Jej uroda nie należała do przeciętnych. Najmniejsza plamka nie szpeciła alabastrowej skóry. Wielkie i głębokie oczy lśniły niczym szmaragdy. Usta, choć zaciśnięte w gniewie, były pełne i nieodparcie kuszące.

Smukła i tak pełna naturalnej gracji, pomyślał Armand. Choć zdarzało jej się tracić równowagę, dodał w myślach z humorem. Cudna kobieta, warta zachodu. Ciekawe, kim naprawdę była i dokąd się udawała? I jak długo przyjdzie mu poczekać, zanim weźmie ją w ramiona?

Rejs zaczął się pod dobrą gwiazdą. Co będzie dalej, zobaczymy.

Lady Madeleine znalazła się w wygodnej, elegancko urządzonej kabinie. Wreszcie poczuła się bezpiecznie. Odzyskała spokój ducha. Nie chciała, żeby wynajęta na rejs pokojówka zobaczyła ją zdenerwowaną. Mało się znały.

Lucinda Montgomery zgodziła się jej towarzyszyć w zamian za bilet do Ameryki.

- Mogłabyś mi przynieść trochę zimnej wody? - poprosiła Madeleine. Przez kilka minut wołała być sama. - Zaschło mi w gardle.

- Tak, milady - odparła Lucinda i szybko wyszła z kajuty.

Lady Madeleine westchnęła z ulgą. Zaraz jednak zadygotała mimo woli i ciasno skrzyżowała ramiona na piersiach, incydent na pokładzie wprowadził ją w stan wzburzenia. Była pełna obaw i tłumionego gniewu. Ostatnio bardzo rzadko doznawała aż tak silnych wzruszeń.

Nie stroniła od towarzystwa, a przy swojej pozycji społecznej wciąż obracała się w kręgach angielskiej socjety. Pochwały i komplementy odbierała jako zupełnie zasłużone. Zdawała sobie sprawę z tego, że jest piękna, i z łatwością nawiązywała kontakt z ludźmi. Niemal każdego potrafiła sobą oczarować. Od wczesnej młodości uwielbiała asystę silnych mężczyzn. Szybko też nauczyła się paru sztuczek, dzięki którym dosłownie wszyscy, starzy i młodzi, jedli jej z ręki. Lubiła być adorowana i nie stroniła od flirtu. Każdą przygodę traktowała z bezpretensjonalnym wdziękiem.

To dlaczego teraz była tak zdenerwowana?

Gwoli prawdy, musiała przyznać, że młody mężczyzna mógł się podobać. Wysoki, smukły i starannie ubrany, mógł uchodzić za wzór dżentelmena. A jednak jego gorejące oczy i nonszalanckie zachowanie mówiły coś całkiem innego. Poza tym, prawdziwy dżentelmen nie śmiałyby się z damy.

Był to więc niebezpieczny hultaj, zdolny swoim urokiem zawrócić w głowie niejednej dżierlatce. Mnie jednak nie zdoła podstępnie oszukać, pomyślała Madeleine. To zwykły obwieś. Prostack i brutal. Po prostu niewart, żeby o nim myśleć.

Zdecydowanie pokręciła głową, zdjęła kapelusik i rzuciła go na aksamitną kanapę. Przeszła przez kajutę i ostrożnie usiadła na skraju łóżka. Znów westchnęła. Powoli wyciągnęła się na wznak, na suto zdobionej złotą nicią kapie.

Podłożyła ręce pod głowę. Podziękowała w duchu opatrności, że jej obecny narzeczony był miłym, kulturalnym i wytwornym arystokratą.

Uśmiechnęła się na wspomnienie Desmonda Chiltona, czwartego earla Enfield. Mieli się pobrać na wiosnę. Earl był jej odległym kuzynem, którego wprawdzie znała od dzieciństwa, lecz widywała bardzo rzadko. Dziesięć lat temu na stałe opuścił rodzinną Anglię.

Osiadł w Nowym Orleanie, w którym przez ostatnie czterdzieści pięć lat mieszkał jej ukochany wuj, Colfaks Sumner, jedyny krewny zmarłej matki. Wuj Colfaks bardzo polubił Desmonda. Madeleine odwiedziła ich zeszłego lata. Za jej przyczyną młody earl coraz częściej bywał w domu Sumnera, znajdującym się we francuskiej dzielnicy. Na tydzień przed powrotem Madeleine do Anglii poprosił ją o rękę i uzyskał przychylną odpowiedź.

Była pewna, że będzie ją traktował tak jak należy. Kochał ją. Jej uczucie, niestety, nie należało do najgorętszych, lecz wcale się tym nie przejmowała. Nawet wolała być kochaną niż zakochaną. Desmond bez wątpienia był w niej zakochany. Wybrał ją. To najważniejsze. Niech zatem tak pozostanie.

Nie zamierzała więcej znosić upokorzeń - zwłaszcza od mężczyzny.

Armand de Chevalier jeszcze przez godzinę pozostał na pokładzie. Przechadzał się bez pośpiechu, od dziobu do rufy. Ogromny transatlantyk powoli wypłynął z portu w Liverpoolu i skierował się na otwarte morze.

Tłum eleganckich i wyraźnie podekscytowanych pasażerów zebrał się przy relingu. Jedni machali na pożegnanie krewnym i znajomym stojącym na nadbrzeżu, inni - wzorem Armanda - udali się na spacer, wymieniając zdawkowe uprzejmości ze współpasażerami, śmiejąc się i rozmawiając, w przeczuciu przygody.

Liczną grupę wśród pasażerów stanowiły damy. Niektóre udawały się w rejs wraz z mężem bądź też kimś z rodziny. Inne brały ze sobą dwie lub trzy przyjaciółki, ale zdarzały się też samotne, nie mające nikogo, poza pokojówką. Wokół Armanda aż się roiło od pięknych, źle strzeżonych kobiet.

Żadna jednak nie była w jego oczach tak godna uwielbienia jak rudowłosa piękność, spotkana przy trapie. Nie potrafił o niej zapomnieć. Chciał ją znów zobaczyć. Wbijał wzrok w tłum z nadzieją, że śliczna nieznajoma wychyli nosek z kabiny, kiedy wyjdą na morze.

Nie wychyliła.

Po dwóch denerwujących godzinach Armand dał za wygraną i przeniósł się do klubu wyłącznie dla dżentelmenów. Tutaj, w zacisznym wnętrzu, wykładanym ciemną boazerią, podszedł do błyszczącego baru, zamówił szklaneczkę burbona i wychylił ją jednym haustem.

Barman nalał mu drugą. Armand przypadkowo usłyszał cichą rozmowę dwóch innych pasażerów, którzy stali opodal, popijając porto.

- To brytyjska arystokratka - powiedział niższy, łysawy, ale o gęstych bokobrodach. - Jedyna córka piątego earla Ballarat i pewnej Amerykanki. Oboje zresztą już nie żyją.

- Naprawdę? - od niechcienia zapytał ten drugi, wysoki i chudy, w brązowym garniturze ozdobionym kwiatem tkwiącym w butonierce.

Armand domyślił się - ba, instynktownie wiedział! - że rozmawiają o rudej nieznajomej.

- Przepraszam panów - rzekł i dodał, kiedy spojrzeli w jego stronę: - Czy dama, o której panowie mówią, ma złotorude włosy?

Wyższy chudzielec skinął głową.

- Niezwykły odcień czerwonego złota, kontrastujący z jej jasną cerą - powiedział z zachwytem.

- Kim ona jest? - nieco obcesowo zapytał Armand.

- Ognistowłosa Madeleine, lady Madeleine Cavendish, we własnej osobie - odparł niższy. - Piękność uznana w całej Europie.

- Nie wątpię - mruknął Armand i wychylił drugą szklaneczkę burbona. - Panowie wybaczą.

Skłonił się lekko na pożegnanie, odwrócił się i wyszedł z klubu.

Tytuł hrabiny nie zrobił na nim najmniejszego wrażenia. Nie spieszył się, że ma do czynienia z prawdziwą arystokratką. Z doświadczenia bowiem już od dawna wiedział, że w takich przypadkach, pod warstwą drogich jedwabów i koronek, bije zazwyczaj żarliwe serce młodej i namiętnej kobiety.

Założyłby się o cały swój majątek, że to samo dotyczyło pięknej lady Madeleine Cavendish.

ROZDZIAŁ DRUGI

Po przyjemnej popołudniowej drzemce i długiej rozkosznej kąpieli Madeleine Cavendish poczuła się lepiej. Odpoczęła. Odzyskała wrodzoną pewność siebie i pogodę ducha. Z ciekawością oczekiwała pierwszego wieczoru na morzu.

Kiedy oślepiające letnie słońce zniknęło wreszcie za widnokrzem i zapadła ciemność, Madeleine, wesoło podśpiewując pod nosem, zasiadła przy toaletce. Lucinda starannie rozczesała jej długie włosy. Minęło dobre pół godziny, zanim fryzura była w pełni gotowa. Ciężkie loki, zręcznie splecione w warkocze, tworzyły teraz coś na kształt korony na szczycie głowy. Madeleine wyglądała uroczo. Uczesanie podkreślało kształt jej łabędziej szyi i gładką linię ramion.

Na pierwszą kolację na pokładzie wybrała balową suknię z błyszczącego zielonego jedwabiu, z głębokim dekoltem, mocno wciętą talią i obszerną spódnicą, drapowaną na krynolinie i kilku halkach.

Za dziesięć dziewiąta była już ubrana. Odczekała jednak jeszcze pół godziny, zanim wyszła z kajuty.

Takie spóźnienia mieściły się w kanonach panujących wśród brytyjskiej arystokracji. Madeleine stanęła w progu ogromnej jadalni i przesunęła wzrokiem po kryształowych żyrandolach, miękkim dywanie i ścianach pokrytych dębową boazerią. Steward w uniformie bez wahania wskazał jej miejsce przy kapitańskim stole. Siedziało tam już co najmniej dwunastu biesiadników.

Wszyscy panowie wstali na jej powitanie. Uśmiechnęła się i skinęła głową, kiedy ją przedstawiano. Zauważyła przy okazji, że jedno miejsce było wolne - i to w dodatku tuż obok jej krzesła. Pewnie biedak, który tu miał zasiąść, walczył teraz w kabinie z atakiem mal de mer, pomyślała. Szkoda mi go. Pamiętała swoją pierwszą podróż, tę sprzed roku, też ciężko okupioną ofiarą dla Neptuna.

Kelner w białym smokingu położył jej na kolanach dużą lnianą serwetkę. Madeleine uniosła wzrok i nagle, w drugim końcu sali, zobaczyła znajomą postać. Był to ten sam przystojny brunet, który stał przy trapie. Teraz, odziany w strój wieczorowy, przeciskał się przez tłum.

Dobry Boże, szedł prosto do stołu kapitana!

Lady Madeleine zamarła ze zgrozy. Z całej siły zacisnęła usta. Młodzieniec odsunął krzesło i usiadł po jej prawej stronie. Kapitan,

zgodnie z obowiązkiem, dokonał prezentacji. Madeleine dowiedziała się, że pan spóźnialski to Armand de Chevalier z Nowego Orleanu, powracający do ojczyzny po długich wakacjach w Paryżu. Siwowłosy dżentelmen siedzący z lewej strony, nawiasem mówiąc bankier z Nowego Jorku, pochylił się do hrabiny i szepnął, że Armand też jest arystokratą. Bogaty Kreol, często podróżujący do Europy. Krążyły plotki, że od urodzenia należał do chacalata - najwyższych kręgów kreolskiej elity. Madeleine pokiwała głową. Słyszała o Kreolach, potomkach pierwszych francuskich, hiszpańskich lub portugalskich osadników, urodzonych już w Ameryce. Wiedziała także, że byli uważani za arystokrację Nowego Orleanu.

Po chwili przy stole znów dał się słyszeć szmer rozmów. Kelnerzy zmienili nakrycia. Armand de Chevalier odwrócił głowę, żeby coś odpowiedzieć wyniosłej i strojnej damie, siedzącej po drugiej stronie.

Lady Madeleine zadrżała mimo woli, kiedy uświadomiła sobie, że ów impertynencki Kreol mieszka w tym samym mieście, które niedługo miało stać się jej drugim domem. Uznała to za niepokojącą perspektywę.

- Zimno pani, milady? - Armand od razu zwrócił uwagę na jej zachowanie. - Za pani pozwoleniem, jeśli tylko mogę... - zaczął z cicha.

- Dziękuję, nic mi nie jest - odpowiedziała chłodno i sięgnęła po kieliszek z winem.

Kątem oka dostrzegła ironicznego uśmiech, który zagościł na pełnych ustach Chevaliera. Znienawidziła go za to jeszcze bardziej.

Nie był to zbyt wesoły wieczór, przynajmniej dla niej. Straciła apetyt. Machinalnie wodziła widelcem po talerzu z chińskiej porcelany. Zmuszała się do uśmiechu i spokojnej rozmowy z innymi gośćmi przy stole. Ze wszystkimi, oprócz Chevaliera. Nie odezwała się do niego ani słowem.

Co więcej, swoim zachowaniem dała mu do zrozumienia, że nie chce o nim nic wiedzieć i że nie oczekuje pytań na swój temat.

Trzeba przyznać, że wcale na to nie nalegał.

Mimo to odetchnęła z ulgą, kiedy kolacja - a raczej uczta z siedmiu dań - nareszcie dobiegła końca.

Za namową kapitana z uśmiechem podążyła do sali balowej. Siwowłosy wilk morski z kurtuazją podał jej ramię. Armand de

Chevalier zniknął z pola widzenia, więc Madeleine odzyskała dobry humor.

Szykowne pary krążyły po błyszczącym parkiecie. Orkiestra grała walca. Lady Madeleine, rozgrzana winem i wolna od towarzystwa Kreola, roześmiała się dźwięcznie, gdy kapitan poprosił ją do tańca.

Nie był dobrym tancerzem, lecz wcale jej to nie przeszkadzało. W pewnej chwili nastąpił jej na palce. Skwitowała to perlistym śmiechem i zapewniła go, że nie sprawił jej żadnego bólu.

Kapitan wprawdzie zadyszał się i spocił, ale tańczył dalej. Madeleine uśmiechała się do niego promiennie.

Nagle uśmiech zamarł na jej wargach, bowiem tuż koło niej wyrosła wysoka sylwetka Armanda. Kreol uderzył lekko kapitana w ramię i prawie nie czekając na odpowiedź, odebrał mu partnerkę. Madeleine znalazła się w pułapce. Czowała na sobie spojrzenia pozostałych gości. Inni tancerze przystanęli z boku, żeby popatrzeć na hrabinę i Kreola. Nie mogła sobie teraz pozwolić na żaden skandal. Nie mogła go odepchnąć i uciec do kajuty. Musiała zrobić dobrą minę do złej gry i nadal tańczyć.

Twarz hrabiny zastygła w nieruchomą maskę, jak podczas gry w pokera.

Przynajmniej na początku. Potem to się zmieniło. Armand świetnie tańczył, lekko i z wrodzoną gracją. Madeleine zawsze uwielbiała bale, z przyjemnością więc dała mu się prowadzić. Było jej dobrze. Aż za dobrze.

Po pewnym czasie przestała zwracać uwagę na spojrzenia innych pasażerów. Zapomniała o bożym świecie. Istniał dla niej jedynie ten młodzieniec, z którym mogła się zatracić w tańcu. Niemal jej nie dotykał, a jednak mimo woli wyczuwała jego giętkie ruchy tak silnie, jakby przyciskał ją do swego ciała. Tak dobrze się rozumieli, że mogłoby się zdawać, że są jedną, na zawsze zespoloną istotą. Madeleine instynktownie wyczuwała zamiary partnera.

Czuła się dziwnie, a zarazem wspaniale.

Wyostrzyły jej się wszystkie zmysły. Kiedy rzuciła okiem na profil Armanda, miała wrażenie, że patrzy na portret hiszpańskiego konkwistadora, uwieczniony na sztychu w jakiejś starej księdze.

Słyszała też dużo więcej niż zazwyczaj. Oddech młodzieńca wydawał jej się dużo głośniejszy od muzyki i gwaru rozmów. Wciągnęła w nozdrza odurzający zapach czystego męskiego ciała.

Najbardziej wyostrzony miała zmysł dotyku. Wyraźnie czuła dłoń Armanda, lekko spoczywającą na jej plecach.

Drugą ręką de Chevalier delikatnie ścisnął koniuszki jej palców. Bił od niego żar. Madeleine dreszcz przebiegł po plecach.

Diabelsko przystojny Kreol oczarował ją niemal całkowicie - wyglądem, zapachem i dotykiem. Wart był grzechu. A jak by smakował? - pomyślała z poczuciem winy. Jaki byłby smak jego pocałunków? Ukradkiem zerknęła na jego pełne wargi i poczuła ukłucie w sercu.

Szybko spojrzała w bok.

Tam, na lustrzanych ścianach, nagle zobaczyła dziesiątki odbić roztańczonej pary. On był wysoki i barczysty, smukły i długonogi. Ona - zwinna i szczupła, o jasnej cerze, ognistych włosach i nagich ramionach. Stanowili doskonały duet, kołysząc się zmysłowo w takt upojonej muzyki.

Ten widok tak silnie podziałał na Madeleine, że omal zasłabła. Armand w lot wyczuł, co się z nią dzieje, i tanecznym krokiem wyprowadził ją z dusznej sali na pustą o tej porze pokład.

Zbliżyli się do relingu. Owionęła ich chłodna bryza, przesycona zapachem słonej morskiej wody. Armand przystanął. Madeleine głęboko zaczerpnęła tchu i odzyskała kolory na policzkach.

- Trochę lepiej? - zapytał.

Skinęła głową i wzięła parę głębszych oddechów. Potem zacisnęła dłonie na relingu, zamknęła oczy i wystawiła twarz na powiew wiatru. Armand podziwiał ją w milczeniu. Szlachetna twarz, uniesiona delikatna broda i długie, ciemne rzęsy. Nie po raz pierwszy tego wieczora zwrócił uwagę na kształt jej ramion i wyraźnie zarysowane piersi.

Dekolt szmaragdowej sukni był wystarczająco głęboki, żeby rozpalić męską wyobraźnię, lecz z drugiej strony na tyle skromny, aby biust pozostawał w ukryciu.

Madeleine otworzyła oczy. Odwróciła się w stronę Armanda i znów zrobiło się jej słabo. Widok jego wysokiej postaci i szerokich barków sprawił, że poczuła się mała i zagubiona. Światło księżyca kładło się srebrzystym blaskiem na jego kruczoczarnych włosach.

- Dobranoc, panie de Chevalier - odezwała się z wyraźnym trudem, - Muszę... muszę już wracać do kajuty - wybąkała, nie

spuszczając spojrzenia z jego ust - Nie znam pana, więc nie powinniśmy tu pozostawać sami.

Armand uśmiechnął się.

- Wolałaby pani zostać na sali balowej i zemdleć w obecności wszystkich pasażerów?

- Nigdy nie mdleję! - zaprotestowała stanowczym tonem.

- Och, nie wiedziałem. Więc to moja wina - powiedział półgłosem, z lekkim odcieniem drwiny. - Pomyślałem, że kręci się pani w głowie.

- Być może tak było, ale teraz czuję się zupełnie dobrze. Pan wybacz.

Odwróciła się, żeby odejść. Poszedł za nią.

- Odprowadzę panią do kajuty, lady Madeleine - powiedział.

- To niepotrzebne - zaprotestowała szybko. - Doskonale znam...

- Mam na ten temat swoje zdanie, hrabino - przerwał jej w pół słowa i władczym ruchem ujął ją pod ramię.

Kiedy stanęli pod drzwiami kabiny, Armand popatrzył na swą towarzyszkę. Wyciągnął rękę nad jej głowę i oparł dłoń o framugę. Pochylił się.

- Spotkamy się jutro na kolacji? Madeleine cofnęła się pod same drzwi.

- To... wykluczone, drogi panie. Widzi pan, ja... To znaczy...

Chciała mu powiedzieć, że jest zaręczona, ale po namyśle uznała, iż jej prywatne życie nie powinno go obchodzić. Nie musiała mu się tłumaczyć. Nic mu nie zawdzięczała.

- Nie mam zamiaru dzielić stołu z panem - powiedziała. - I nie tylko stołu - dodała znacząco.

Armand wcale się tym nie przejął. Opuścił rękę i koniuszkami palców musnął jej nagie ramię. Uśmiechnął się łagodnie.

- Zrozumiałem aluzję. Dobranoc, Madeleine.

- Dla pana „lady Madeleine”, panie de Chevalier! - sprostowała z naciskiem.

Armand wzruszył ramionami.

- Przecież przed chwilą sama powiedziałaś, że nie jesteś „dla mnie”, Maddie.

Z furią odwróciła się na pięcie, otworzyła drzwi i zniknęła w kajucie.

- Jeszcze nie - cicho dodał Armand.

ROZDZIAŁ TRZECI

Tej nocy lady Madeleine Cavendish długo nie mogła zasnąć. Winien temu był oczywiście Armand de Chevalier. A któż by inny? Madeleine przewracała się z boku na bok w łóżku. Nie mogła zaprzeczyć, że przystojny Kreol obudził w niej od dawna uśpione uczucia.

Wmawiała sobie, że to całkiem normalne, że nie musi się niczym martwić. Sprawa wydawała się zupełnie prosta: Armand był stuprocentowym mężczyzną, ona zaś - stuprocentową kobietą. Przy zetknięciu dwóch tak silnych osobowości zaciekawienie przeradzało się w rodzaj fascynacji. To wszystko. Nic więcej.

Dzięki Bogu, że była już na tyle mądra, aby dobrze rozpoznać ową fascynację. Ta wiedza pozwalała jej pozostać nieczułą na wątpliwy skądinąd urok Kreola.

Wcale nie musiała przejmować się de Chevalierem. Nawet gdyby w dalszym ciągu szukał jej towarzystwa - a podejrzewała, że tak właśnie będzie - nie stanowił dla niej żadnego zagrożenia. Od dawna już nie była naiwną osiemnastolatką, z rozmarzeniem patrzącą na mężczyzn. Wyrosła na inteligentną i dojrzałą kobietę. Teraz miała dwadzieścia siedem lat i widok przystojnego mężczyzny nie robił na niej większego wrażenia.

Udało jej się na moment zapomnieć o Kreolu i pomyślała o dwóch wspaniałych ludziach, którzy czekali na nią w Nowym Orleanie. Chociaż minął dopiero pierwszy dzień rejsu, z niecierpliwością wypatrywała końca podróży. Oczami wyobraźni widziała piękne miasto nad leniwie płynącą rzeką. Miasto, które miało stać się jej nowym domem.

Po śmierci rodziców w Anglii nie pozostał jej nikt z bliskiej rodziny. Do dnia ślubu z lordem Enfieldem, czyli aż do wiosny, będzie zatem mieszkała z ukochanym wujem Colfaksem. Wuj zapewnił ją, że młody earl jest prawdziwym dżentelmenem, o wykwinnych manierach i silnym charakterze. Poza tym, po dziesięciu latach pobytu w Ameryce dysponował całkiem pokaźnym majątkiem.

Madeleine uśmiechnęła się w ciemnościach. Cieszyło ją, że wuj i narzeczony pozostają w tak dobrej komitywie. Była zadowolona, że Colfaks zaakceptował jej wybór.

Wuj nie miał żony, a swoją młodą kuzynkę traktował niemal jak córkę. Nieraz zapewniał ją, że tylko ona odziedziczy jego niemałą

fortunę. Ona z kolei kochała go jak ojca i wierzyła, że upłyną jeszcze długie lata, zanim przejmie spadek.

Poza tym, wcale nie potrzebowała pieniędzy wuja. Lord Enfield i bez tego był wystarczająco bogaty.

Madeleine westchnęła z głębi piersi i ziewnęła. Wreszcie poczuła się śpiąca. Przewróciła się na brzuch, ciasno objęła poduszkę i zamknęła oczy. Po chwili już spała.

Pierwszego dnia na pełnym morzu obudziło ją sierpniowe słońce, wpadające przez bulaj do wnętrza luksusowo urządzonej kajuty. Madeleine uwielbiała wszystko, co niezwykle, więc ubrała się spieszenie i wybiegła na pokład, w oczekiwaniu nowej przygody.

Przespacerowała się, rozpiąwszy nad głową żółtą parasolkę, chroniącą przed promieniami słońca jej alabastrową cerę. Z uśmiechem pozdrawiała innych pasażerów.

Głęboko wciągała w nozdrza słone morskie powietrze i z przyjemnością spoglądała na bezkresny, gładki jak stół ocean. Było jej dobrze i wesoło.

Przechodzący obok dżentelmeni z kurtuazją unosili kapelusze lub witali ją skłonieniem głowy. Damy uśmiechały się. Kilka z nich prosiło, żeby po południu wpadła do salonu na ploteczki i herbatę.

Madeleine odpowiadała uprzejmie, nie przerywając spaceru.

Cieszyła się każdą chwilą. Całym sercem chłonęła urok ciepłego letniego dnia na ogromnym przestworzu oceanu. Nagle gwałtownie zamrugła. Przystanęła w pół kroku. Zamarła bez ruchu. Mrużąc oczy od blasku, popatrzyła prosto przed siebie.

Kilkanaście metrów od niej, tuż przy relingu, stała jakaś para. Słychać było ich śmiechy. Chociaż dochodziła dopiero dziesiąta rano, każde z nich trzymało w ręku wysoki kieliszek szampana. Dama wpatrywała się w swego towarzysza jak w obraz. Była kształtną brunetką, ubraną w kosztowny strój podróżny z białoniebieskiej bawełny. Stojący obok niej mężczyzna miał na sobie świetnie skrojony letni garnitur. Uśmiechał się, a jego uśmiech zdawał się kryć w sobie jakąś słodką tajemnicę.

Armand de Chevalier!

Lady Madeleine zmarszczyła brwi i mocno zacisnęła usta. Wyprostowała się, dumnie uniosła głowę i poszła dalej - prosto w kierunku roześmianej i popijającej szampana pary. W głębi ducha

spodziewała się, że gdy podejdzie bliżej, de Chevalier spojrzy w jej stronę, rozpozna ją i być może zaprosi do towarzystwa.

Nic takiego nie nastąpiło.

Zwolniła kroku. Wreszcie przystanęła niezbyt daleko od Armanda. Stała tak kilka sekund, czekając, że ją zauważy. Nawet nie rzucił okiem w jej stronę. Patrzył na krągłą brunetkę, a ona na niego.

Madeleine odeszła, zła jak osa i dotknięta do żywego zachowaniem Kreola. Jak mógł ją tak potraktować?! Przecież jeszcze wczoraj trzymał ją w ramionach! Tańczyła z nim, razem wyszli na pokład, pytał, czy nie zechciałyby zjeść z nim kolacji.

Tak szybko zapomniał? Nie wywarła na nim żadnego wrażenia? Wcale nie przejął się jej odmową? Chyba nie. Zachowywał się tak, jakby w ogóle dla niego nie istniała.

Ale dlaczego ją to zabolalo? Dlaczego się nim przejmowała? Przecież sama go odtrąciła. Powinna być mu raczej wdzięczna, że uszanował jej wolę. No dobrze, jestem wdzięczna, pomyślała. Cieszę się, że znalazł kogoś, z kim może pośmiać się i porozmawiać. Kogoś, kto na pewno nie odmówi mu wspólnej kolacji.

Zapadł wieczór. Madeleine zastanawiała się mimo woli, czy de Chevalier i krągła brunetka poprzestali wyłącznie na kolacji. Przy stole siedzieli ramię w ramię i bawili się wyśmienicie.

Po posiłku Madeleine wraz z kilkoma świeżo poznanymi pasażerami przeszła do sali balowej. De Chevalier już tam był, oczywiście w towarzystwie czarującej brunetki. Właśnie wirowali na parkiecie. Patrząc na nich, Madeleine przypomniała sobie wczorajszy wieczór. Wtedy to ona tańczyła w ramionach Armanda.

Wymówiła się nagłym bólem głowy, powiedziała „dobranoc” i wyszła z sali. Szybko zniknęła w zacisznym wnętrzu kajuty. Zamknęła za sobą drzwi i z gniewem zaczęła krążyć od ściany do ściany. Była zła i jednocześnie mocno przygnębiona.

Na spoczynek udała się dużo, dużo później, ale tej nocy znów nie mogła zasnąć. Przewracała się niespokojnie w wąskiej smudze księżycowego blasku, padającej na jej łóżko. W pewnej chwili usłyszała kilka słów wypowiedzianych głębokim męskim głosem. Rozpoznała ten głos bez trudu. Wiedziona ciekawością, odrzuciła jedwabną kołdrę, wstała z łóżka, przebiegła przez kajutę do otwartego bulaja i wyjrzała na zewnątrz.

Niemal tuż przed nią, przy relingu, stała samotna para, wyraźnie widoczna w jasnym świetle księżyca. Madeleine, szeroko rozwierając oczy, spoglądała na rozgrywającą się na pokładzie scenę. Armand tulił do siebie tę samą brunetkę, której nie odstępował od samego rana. Ona zaś zarzuciła mu ręce na szyję i złożyła usta do pocałunku.

Madeleine prędko odwróciła się z niesmakiem.

Zatem nie pomyliła się co do Chevaliera! Najzwyczajniej w świecie był fircykiem i bawidamkiem. Szkoda mi cię, dziewczyno, pomyślała pod adresem brunetki.

W ciągu następnych dni widywała Armanda w towarzystwie przeróżnych kobiet. Bez wątpienia przystojny Kreol nie mógł narzekać na brak damskiego towarzystwa. Niemal codziennie przechadzał się po pokładzie z jakąś piękną kobietą. Codziennie z inną spędzał wieczór. Wszystkie tuliły się do niego, patrzyły mu prosto w oczy i śmiały się rozkosznie przy jego każdym słowie.

Madeleine patrzyła na nie ze współczuciem. Przykro jej było, że są takie głupie. Czyżby nie widziały, że zmieniał je tak często, jak one zmieniały suknie? Z drugiej strony, to dobrze jednak, że do niego lgnęły, bo dzięki nim dość szybko zapomniała o pierwszym wieczorze i o przedziwnej fascynacji, jaka nią wtedy owładnęła.

Niech ktoś inny kłopotczy się Kreolem. To już nie jej sprawa.

Ale w życie hrabiny powoli wkraczała nuda.

Kilka długich dni i jeszcze dłuższych nocy minęło bez żadnej przygody. Madeleine z coraz większą niechęcią pojawiała się na pokładzie. Męczył ją widok wciąż tych samych twarzy i bezkresnego ogromu oceanu. Czuła się jak uwięziona. Tęskniła za stałym lądem, za Nowym Orleanem, a nade wszystko tęskniła za lordem Enfieldem i wujem Colfaksem. Marzyła o dobrym posiłku w restauracji, o wizycie w teatrze i operze.

Z ulgą przyjęła wieść, że długa podróż z wolna dobiega końca. Kiedy pewnego ranka, tuż po przebudzeniu, dowiedziała się od Lucindy, że statek mija właśnie najbardziej wysunięty na południe cypel Florida Keys, poczuła nagły przyptyw podniecenia. Wpływali do Zatoki Meksykańskiej ! Jeszcze mniej więcej czterdzieści osiem godzin i ukaże się zatłoczona przystań portu w Nowym Orleanie.

Madeleine, wesoło podśpiewując pod nosem, ubrała się i szybkim krokiem wyszła na górny pokład. Nie zwróciła najmniejszej uwagi na silne podmuchy wiatru. Wschód słońca zabarwił czerwienią horyzont.

Madeleine osłoniła oczy i uśmiechem spojrzała na starą latarnię morską, majestatycznie sterczącą na przylądku ostatniej z wysp Florida Keys. Roześmiała się głośno, gdy nagły poryw wichru wyrwał jej żółtą parasolkę z dłoni i potoczył ją po pokładzie.

Kilku dżentelmenów natychmiast rzuciło się z pomocą. Gonili parasolkę, ale żaden nie zdołał jej złapać. Co chwila któryś się pochylał, aby pochwycić niesforny przedmiot, lecz nowy powiew wiatru zmuszał go do dalszej pogoni.

Pościg wkrótce przerodził się w wielkie widowisko. Panowie starali się jeden przez drugiego dogonić upartą parasolkę, zwrócić ją i zasłużyć na promienny uśmiech ślicznej właścicielki.

Jak to zwykle bywa w podobnych przypadkach zbieg wpadł w ręce postronnego obserwatora, pozornie nie zainteresowanego radosną bieżącą. Parasolka, furkocząc, odbiła się od pokładu i uderzyła w nogę... Armanda de Chevaliera. Ten zaś natychmiast nadepnął na rączkę, schylił się od niechcienia, podniósł parasolkę i uniósł ją nad głowę. Z wesołym uśmiechem powiódł wzrokiem dokoła, jakby czekał, że jakaś dama zgłosi się po odbiór.

Dżentelmeni biorący udział w pościgu, jak przystało na dobrych sportowców, ze śmiechem powitali zwycięstwo de Chevaliera. Rozległy się oklaski. Armand skinął głową, dziękując za owację. Mały tłumek wkrótce rozszedł się po pokładzie. De Chevalier nie uczynił najmniejszego ruchu.

Madeleine, oddalona od niego o kilkadziesiąt kroków, też czekała. Była przekonana, że to Armand powinien podejść i zwrócić jej parasolkę.

Wreszcie zmarszczyła brwi i wezwała go ruchem ręki. Armand beztrąsko wzruszył ramionami i zrobił zdumioną minę, jakby zupełnie nie wiedział, o co jej chodzi.

Madeleine wojowniczo uniosła podbródek. Rozejrzała się, czy nikt nie patrzy w jej stronę. Nie chciała budzić niepotrzebnej sensacji. Potem popatrzyła prosto na Armanda i wyszeptała bezgłośnie: „Oddaj mi to!”.

- Ani mi się śni! - odparł de Chevalier donośnym i stanowczym głosem. Przesłał jej uśmiech i dodał: - Proszę podejść, hrabino.

Madeleine w pierwszej chwili aż oniemiała ze zdumienia. Zaraz jednak powiedziała głośno, tak żeby ją usłyszeli spacerujący obok:

- Żądam od pana, aby mi pan zwrócił moją własność.

Armand zignorował jej władczy ton i nadal stał bez ruchu, uśmiechając się wyzywająco.

- W każdej chwili może pani odzyskać parasolkę. Wystarczy zrobić kilka małych kroków.

Uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- Chyba że woli pani przyjść dzisiaj wieczorem do mojej kabiny. Moglibyśmy...

- Ciiicho! - syknęła Madeleine i od razu podbiegła do niego. Miała nadzieję, że nikt z pasażerów nie zwrócił uwagi na jego ostatnie słowa. Stała tuż przy nim.

- Jak pan śmie składać mi publicznie taką propozycję! - zawołała ze złością. - Pańskie zachowanie jest niewybaczalne! Ktoś mógłby pomyśleć, że istotnie mam zamiar bywać w pańskiej kajucie! Zaręczam panu, że nigdy do tego nie dojdzie!

Niczym nie speszony Armand niedbale obracał parasolkę w dłoni.

- Niech się pani uspokoi, hrabino. Jestem pewien, że wszyscy na tym statku już znają pani gusta i wiedzą, że zupełnie nie jestem w pani typie.

- Mam nadzieję - burknęła.

Armand uśmiechnął się, oddał jej parasolkę i odgarnął jej z czoła jedwabisty pukiel.

- Wiatr się wzmaga, lady Madeleine. Chyba powinna pani wrócić do kajuty.

- Nie będzie mi pan mówił, co mam robić, panie de Chevalier.

- Czasami dobrze jest posłuchać czyjejs rady, zwłaszcza takiej, która płynie ze szczerego serca.

- Niepotrzebne mi pańskie rady.

- Dobrze też czasem zachowywać się tak, jak przystało na damę, milady.

Madeleine poczerwieniała z gniewu. Już otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, gdy bardzo silny podmuch wiatru znów wyrwał jej parasolkę z dłoni. Ze złością spojrzała na Armanda i wskazała na uciekający przedmiot. De Chevalier spokojnie oparł się o reling.

Uśmiechnął się.

- Może sama ją pani złapie? - zaproponował. Madeleine spiorunowała go wzrokiem.

- A może pan skoczy za burtę i uwolni resztę pasażerów od swego towarzystwa?

Minęła go i dała parę kroków w stronę parasolki. Potem przystanęła nagle. Wcale nie miała zamiaru biegać po pokładzie. Parasolka? Niech sobie leci. De Chevalier też niech idzie do diabła.

Odwróciła się i dostojnym krokiem podeszła do relingu. Mruknęła coś gniewnie pod nosem. Po chwili ukradkiem spojrzała przez ramię, żeby sprawdzić, czy Armand wciąż tam stoi.

Szare spodnie de Chevaliera furkotały na silnym wietrze. Czarne kędziory falowały wokół smagłej twarzy. Armand szedł w stronę hrabiny. Z niepokojem spojrzała na niego. On tymczasem minął ją i bez słowa postawił nogę na niższym szczeblu relingu. Zaczął się wspinać.

- Czy pan oszalał? - zawołała Madeleine. - Co pan wyprawia?

- Postanowiłem pójść za pani radą; lady Madeleine. Po prostu wyskoczę za burtę.

Po chwili stał, balansując, na wąskiej, bogato zdobionej barierze, opasującej górny pokład.

Madeleine poczuła, że serce podchodzi jej do gardła. Szeroko rozwarła oczy z przerażenia i odruchowo chwyciła Armanda za nogi.

- Nie! - krzyknęła. - Proszę tego nie robić. To była zwykła złośliwość z mojej strony.

- Już nie chce pani, żebym skoczył? Pozwala mi pani żyć nadal?

- Nie! Tak. Błagam, niech pan zejdzie, zanim pan spadnie.

- Boi się pani o mnie?

- Oczywiście, że się boję. Proszę już mnie nie straszyć.

- Dobrze - odparł. Odwrócił się i zręcznie zeskoczył na pokład.

Popatrzył na hrabinę. - Skąd to przerażenie? Bała się pani, że mnie straci?

Teraz, gdy był już bezpieczny, mógł dostać za swoje. Madeleine znów zawrzała gniewem. Złościło ją, że tak łatwo dała się wyprowadzić z równowagi. Złościło ją, że widział strach w jej oczach.

- Panie de Chevalier. Chyba powinien pan dołączyć do dzieci w sali zabaw. Pańskie sztuczki wyraźnie zdradzają, że pozostaje pan na umyślowym poziomie dziesięciolatka.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Tego samego dnia, tylko nieco później, lady Madeleine samotnie stanęła przy relingu, z nadzieją wbijając wzrok ponad skłębione fale. Minęły już dwie godziny od czasu, gdy widziała starą latarnię morską dumnie sterczącą na brzegu najdalej wysuniętej na południe wysepki Florida Keys. Poczuła nagły przypływ podniecenia, kiedy ogromny transatlantyk opłynął ten skrawek lądu i skierował się na północ, w głąb Zatoki Meksykańskiej. Teraz Florida Keys zostały daleko z tyłu. Na horyzoncie, jak okiem sięgnąć, nie było widać żadnego lądu.

Madeleine spostrzegła nagle, że wiatr przybrał na sile. Nie był to już ten figlarny wietrzyk, który powitał ją dziś rano. Musiała mocno trzymać się bariery, żeby zachować równowagę. Fale piętrzyły się na morzu, zawzięcie kołysząc statkiem. Ciężki kadłub wspinał się mozolnie, by po chwili opaść w dolinę pomiędzy dwoma grzywaczami. W takich momentach Madeleine odruchowo wstrzymywała oddech.

Z zacięciem i lekkim niepokojem obserwowała marynarzy, krzątających się po pokładzie pod dowództwem pierwszego oficera. Wszyscy mieli skupione twarze.

Oficer z napięciem w głosie wykrzykiwał komendy. Polem niepokój ogarnął pasażerów. Jakiś dżentelmen zawołał do swej towarzyszki, że statek pędzi wprost w sam środek potężnego cyklonu, nadciągającego z Indii Zachodnich.

Madeleine, wystraszona już całkiem nie na żarty, pobiegła do kajuty. Ledwie jednak zdążyła zrobić parę kroków, gdy statek zadygotał. Parła naprzód, pomimo wiatru. Do jej uszu dobiegły słowa przyciszonej rozmowy dwóch członków załogi. Jeden z nich powiedział coś o tym, że kadłub nabiera wody.

Chwilę później sam kapitan pojawił się na pokładzie. Spokojnie przechadzał się wśród pasażerów i wydawał ciche, lecz stanowcze rozkazy.

- Wszyscy z państwa proszeni są o powrót do kabin - mówił. - Nie ma powodów do pośpiechu ani paniki.

Nie chciał okazać dręczącego go niepokojem, chociaż wiedział, że w razie katastrofy szalupy nie pomieszczą wszystkich pasażerów. Co gorsza, nie było dostatecznej liczby pasów ratunkowych, a i te, które leżały w składzie, nie najlepiej nadawały się do użytku.

- Proszę wrócić do kajut i starannie zaniknąć bulaje - powtarzał.

W pewnej chwili zobaczył hrabinę.

- To tylko zwykłe względy bezpieczeństwa, lady Madeleine - powiedział uspokajającym tonem.

Uśmiechnęła się i skinęła głową, ale nie dała się oszukać. Zbliżał się huragan.

Z trudem utorowała sobie drogę przez tłum pasażerów, szczelnie wypełniający korytarze statku. Wreszcie dotarła do drzwi kajuty. Zastukała. Wystraszona Lucinda wyjrzała przez szparę, a potem szybko wciągnęła swoją panią do wnętrza kabiny.

Skulone, usiadły razem na łóżku. S/S „Starlight” dzielnie walczył z wiatrem, lecz fale rzucały nim jak zabawką. Świst wichru i gniewny ryk rozszalałego morza wdzierały się aż pod pokład.

Kiedy sztorm przybrał na sile, załoga statku, wraz z kilkoma pasażerami - włączywszy w to Armanda de Chevaliera, który od razu zrzucił surdut i zakasał rękawy koszuli - dołączyła z wiadrami do mechaników, próbujących powstrzymać przeciek w pobliżu kotła.

Przemoczeni do suchej nitki, z trudnością trzymający się na nogach, usiłowali utrzymać statek na wzburzonych wodach Zatoki Meksykańskiej. Jednak bitwa była przegrana. Wkrótce stało się jasne, że „Starlight” nabierał coraz więcej wody. Potężny transatlantyk tonął.

Kadłub statku mocno przechylił się na burtę. Przerazona lady Madeleine wybiegła z Lucindą z kajuty. Od razu wpadły w tłum pasażerów, miotających się po mokrych schodkach i śliskich deskach pokładu.

- Co teraz?! - rozbrzmiewały okrzyki. - Co mamy robić?!

Rodziny tuliły się do siebie. Większość z nich pobiegła w tę stronę, gdzie czekały łodzie ratunkowe. Ogarnięci paniką ludzie przepychali się i walczyli, żeby zająć miejsce w pozornie bezpiecznym schronieniu.

- Szybko! - krzyknęła Lucinda do Madeleine. - Musimy się pospieszyć!

Chwyła hrabinę za rękę i próbowała utorować sobie drogę przez gęstniejącą ciżbę. Po chwili obie zobaczyły, że większość szalup, przepelnionych do granic możliwości, znalazła się już za burtą. Lucinda wpadła w panikę. Teraz już myślała wyłącznie o własnej skórze. Rzuciła się w stronę burty, żeby jak najszybciej umknąć z tonącego statku i uniknąć strasznej śmierci w odmętach szalejącego morza.

Po chwili wspięła się na reling i skoczyła za burtę, prosto do opuszczanej na linach szalupy.

Madeleine pozostała sama, walcząc z wichrem i napierającym zewsząd tłumem pasażerów. Z trudem brnęła przed siebie; przeszkadzała jej obszerna suknia. Nagle uderzona chyba przez jakąś większą falę przelewającą się przez pokład niemal przekoziółkowała przez niskie nadburcie. Przez moment w ogóle nie wiedziała, co się z nią dzieje.

W ostatniej chwili, zanim wpadła do wody, pochwyciły ją czyjeś silne ręce.

- Dobry Boże! - zawołał Armand de Chevalier. - Gdzie pani się podziewała? Trzeba jak najszybciej zająć miejsca w szalupie!

Madeleine podniosła głowę i popatrzyła na niego ze zdumieniem. Była przekonana, że nonszalancki Kreol już dawno uciekł z tonącego statku. Dlaczego ktoś taki jak on miałby się choć trochę martwić o los kobiet i dzieci? Przede wszystkim powinien ratować własną skórę.

- Co pan tu robi? - zawołała, usiłując przekrzyczeć ryk wichru.

Armand nie odpowiedział. Wziął ją pod ramię i spokojnie precisnął się przez rozhisteryzowaną ciżbę. Doszli do samej burty. Niestety, wszystkie szalupy znalazły się już na morzu.

- Musimy się przedostać na drugą stronę statku! - krzyknął tuż nad lewym uchem Madeleine. - Tam mogą być jeszcze jakieś łodzie!

Rozpoczęli mozolną wędrówkę przez śliski i pochyły pokład. W pewnej chwili upadli i zaczęli zsuwać się z powrotem. Armand z niemałym trudem dźwignął się na nogi i podniósł Madeleine. Chwytając się wystających rur i innych części wyposażenia, na nowo podjęli wspinaczkę.

Nie było to łatwe zadanie.

Złośliwy wiatr uparcie podwiewał szeroką spódnicę hrabiny. Parę razy nieszczęsna Madeleine omal nie poszybowała w powietrze. Armand w lot zrozumiał, co się dzieje, i energicznie posadził ją na najbliższej ławce, umocowanej do pokładu. Z pochwy przyczepionej do przegubu dłoni wyciągnął mały, wąski i bardzo ostry sztylet. Uniósł przemoczoną spódnicę Madeleine i kilkoma zręcznymi ruchami przeciął tasiemki wiążące krynolinę. Uwolniona w ten sposób Madeleine łatwiej mogła się poruszać.

Wydawało im się, że wspinaczka trwa całą wieczność. Wreszcie dotarli do burty i Armand zacisnął dłonie na mokrym relingu.

Przyciągnął do siebie Madeleine i pomógł jej się przytrzymać. Oczy łązały mu od wiatru i słonej wody, lecz mimo to przechylił się przez burtę i wyjrzał, szukając szalupy.

Nie było żadnej.

Wszystkie tańczyły już na falach i coraz bardziej oddalały się od tonącego statku.

- Boże Wszechmogący! - gniewnie zawołał Armand. - Nie ma już ani jednej łodzi!

- Wiem - z rezygnacją westchnęła Madeleine. Odgarnęła z czoła pukiel przemoczonych włosów i ze smutkiem popatrzyła na kołyszące się na falach szalupy.

Przez długą i niepewną chwilę stali zupełnie nieruchomo na pochyłym pokładzie tonącego transatlantyku. Wicher dął nieustannie, a grzmiące fale bezlitośnie waliły w bezbronny statek. Ci z pasażerów, którzy wypadli za burtę, rozpaczliwie czepiali się statku. Inni, podtrzymywani przez pasy ratunkowe, podskakiwali niczym korki na wzburzonym morzu. Ponad huk wiatru i ryk szalejącego morza wzbijały się okrzyki przerażenia.

Madeleine zadygotała. Mimo woli jęknęła cicho.

- Chodźmy stąd! - krzyknął Armand. - Nie ma sensu stać na tym wietrze!

Przytrzymał ją jedną ręką. Wspólnymi siłami przedostali się do kabiny kapitana, tuż za sterówką. Armand napał ramieniem na drzwi. Były zablokowane. Nacisnął mocniej. Coś trzasnęło i zamek wreszcie ustąpił.

Armand wepchnął hrabinę do środka, wszedł za nią i zamknął drzwi. Kajuta była zupełnie pusta. Kapitan zniknął. Zniknęli też marynarze. Albo zostali zmyci za burtę, albo tchórzliwie uciekli do szalup.

Madeleine przycisnęła rękę do siebie. Stała nieruchomo pośrodku niewielkiej i schludnej kajuty. Ze strachu i zmęczenia nie mogła wykrztusić słowa, więc tylko spojrzeniem podziękowała Armandowi, kiedy wręczył jej suchy ręcznik, wyjęty z jakiejś skrzyni.

Wytarła twarz i osuszyła włosy. Armand znalazł jeszcze jeden ręcznik. Zrzucił koszulę i też zaczął się wycierać.

- Przykro mi, ale nie widzę tu żadnej suchej sukni - zaczął.

Zaklął cicho, pochwycił czysty szary koc, leżący na koi, owinął go wokół ramion hrabiny i poprosił, żeby usiadła. Madeleine

rozejrzała się. Poza koją nie było tu żadnego innego miejsca do siedzenia. Pokręciła głową i powiedziała, że woli stać. Ledwie jednak skończyła mówić, potężna fala zakotłosała całym statkiem. Biedna Madeleine przewróciła się na kanciaste biurko.

Armand znalazł się przy niej dosłownie w jednej chwili. Pomógł jej wstać.

- Nic się pani nie stało? - zawołał, chwytając ją za ramiona.

- Nie! - odkrzyknęła. - Ale lepiej będzie, jeśli usiądę. Podprowadził ją do koi. Usiadła na samym brzeжку materaca. Armand na wszelki wypadek przypiął ją pasami.

- To powinno panią przytrzymać - powiedział. Potem westchnął ciężko i usiadł obok. Miał przeraźliwą świadomość, że nic więcej nie można już zrobić.

Statek trząsł się gwałtownie i kołysał w bezlitosnych podmuchach huraganu. Lady Madeleine Cavendish, zamknięta w kajucie z niemal zupełnie obcym sobie dżentelmenem, usiłowała być dzielna. Od dzieciństwa wychowywano ją w przekonaniu, że nawet w chwili nieszczęścia nie powinna nikomu zdradzać swojego strachu lub przygnębienia.

Nigdy jednak los nie wystawił jej na tak ciężką próbę. Nie mogła już ukryć faktu, że jest przerażona.

- Wkrótce zginiemy, prawda, panie de Chevalier? - zapytała lekko drżącym głosem.

Armand postanowił ją pocieszyć.

- Nie. Na pewno nie. Kadłub statku w przeważającej części wykonany jest z mocnego drewna, a to oznacza, że może dryfować całymi godzinami - powiedział i uspokajającym ruchem objął ją za ramiona. - Wciąż mamy szansę, że ktoś nas uratuje.

Ścisnął ją lekko, a potem cofnął rękę i wsparł się na materacu.

- Sam pan w to przecież nie wierzy - odparła Madeleine. Patrzyła mu prosto w oczy, jakby chcąc sprawdzić, czy kłamał. Twarz Armanda nie wyrażała jednak żadnych uczuć.

- Mam rację? - spytała. Mocniej naciągnęła koc na ramiona.

- Nie - odparł Armand zdecydowanym tonem. Za nic w świecie nie chciał jej odbierać choćby resztek nadziei. - Przy odrobinie szczęścia być może już za godzinę zjawi się w pobliżu jakiś przepływający statek i zabierze nas na pokład.

Madeleine skinęła głową, ale nie dała się oszukać.

Z rezygnacją nisko opuściła głowę. Choć bardzo się starała, nie potrafiła powstrzymać łez napływających jej do oczu. Zaszlochała cicho. Armand bez namysłu pochwycił ją w ramiona i przycisnął jej mokry policzek do swojej szerokiej piersi. Pogłaskał ją po wciąż wilgotnych włosach i delikatnie poklepał po plecach, szepcząc jednocześnie słowa pocieszenia.

Madeleine, w przypiływie nagłego przerażenia, mocno objęła go w pasie. Koc zsunął się z jej ramion i upadł na podłogę. Tuliła się do Armanda, jakby był jej jedyną szansą ocalenia. Łzy spływały jej po policzkach. Zamknęła oczy i czerpała siłę z jego słów, wypowiedzianych spokojnym, cichym głosem.

Wreszcie przestała płakać, lecz Armand wciąż nie wypuszczał jej z objęć. Wciągnęła głębszy oddech, uniosła głowę i spojrzała nań przepraszająco.

- Proszę mi wybaczyć - powiedziała.

- Niby co? - zapytał, a chwilę potem uśmiechnął się po swojemu, jakby w ogóle się nie przejmował burzą i wszystkimi huraganami świata. Madeleine instynktownie wiedziała, że zrobił to wyłącznie dla niej. Wzruszył ją tym postępowaniem. Odpowiedziała mu uśmiechem i nagle uświadomiła sobie, że w gruncie rzeczy po raz pierwszy do niego się uśmiechnęła. W ciemnych oczach Armanda zamigotały iskielki niekłamanej radości.

Madeleine patrzyła na niego przez kilka sekund. A może to ostatni człowiek, jakiego oglądam w tym życiu? - przemknęło jej przez głowę. Przecież umrzemy tutaj razem, zamknięci w tej ciasnej kajucie. Pozostała nam najwyżej godzina. Może mniej? Za kilkanaście minut statek pogrzeży się na zawsze w mrocznej, nieprzyjaznej głębi oceanu i taki będzie koniec Madeleine Cavendish i Armanda de Chevaliera.

Mieli zatem umrzeć razem. Dwoje niemal zupełnie obcych sobie ludzi. Żadne z nich nie zobaczy rodziny ani domu. Nigdy już nie zasiądą do sutej kolacji. Nie wypiją kieliszka chłodnego szampana. Nigdy nie rozgrzeją rąk przy kominku. Nie roześmieją się wśród kropel padającego dżdżu. Nie zatańczą pod rozgwieżdżonym niebem.

Nie posmakują miłości.

Madeleine poruszyła się niespokojnie. Fale z nieustanną furią biły o burty statku. Bryzgi wody chlustały na okna kabiny, a ona wciąż tuliła się do Armanda, złożywszy głowę na jego ramieniu.

To szaleństwo, myślała. Zupełny obłąd. A jednak... tak jak pierwszej nocy zastanawiała się, jak smakują jego pocałunki. Popatrzyła spod współprzymkniętych powiek na jego kuszące usta.

Armand wydawał się czytać w jej myślach, bo powiedział nagle:

- Pocałuj mnie, hrabino.

Bez pośpiechu przygarnął ją mocniej do siebie i zbliżył twarz do jej twarzy.

- Tylko ten jeden pocałunek.

Nie czekał na jej pozwolenie. W jego zachowaniu nie było nic nieśmiałego. Nie zachowywał się niczym kochanek, który ma przed sobą całą wieczność na kosztowanie miłości.

Pocałował ją zaborczo i namiętnie. Madeleine poczuła się bezpieczna w jego silnych, męskich ramionach. Na ułamek chwili zapomniała o bożym świecie. Wiedziała tylko jedno - że ze wszystkich sił pragnie kochać i być kochana. Cóż, spodobał jej się ten przystojny Kreol o ogorzalej twarzy awanturnika. Pomyślała sobie, że przed śmiercią chciałaby jeszcze raz doznać tych samych uniesień, które jak przez mgłę pamiętała ze swej poślubnej nocy. Od tamtej pory minęły chyba całe wieki.

Był tylko jeden człowiek, który mógłby przywrócić jej wspomnienia. Miała go tuż przed sobą. Wiedziała już, że wspaniale potrafił całować. Westchnęła z głębi piersi i przejechała paznokciami po jego nagich plecach. Im dłużej się zastanawiała, tym bardziej pragnęła miłości.

Pragnęła Armanda.

Powoli oderwał wargi od jej ust i odsunął głowę. Madeleine, oparta na jego silnym ramieniu, popatrzyła mu prosto w oczy. Dygotała z powstrzymywanej namiętności.

- Panie de Chevalier - powiedziała. Musiała niemal krzyczeć, żeby ją dosłyszał wśród wyjącego wiatru. - Czy... to znaczy. Czy moglibyśmy...?

- Co takiego? Nic nie rozumiem!

Pochylił głowę.

- Chcę, żeby pan mnie kochał, panie de Chevalier! - zawołała.

Armand zerknął na nią i uniósł brwi ze zdumienia.

- Utoniemy razem ze statkiem! - dodała szybko. - Wie pan doskonale, że nikt nam nie przyjdzie z pomocą! Ja też to wiem. Cóż więc za różnica, jeśli... jeśli...

Głos jej zamarł i spuściła wzrok, przerażona własną śmiałością. Jeszcze godzinę temu na pewno by nie uwierzyła, że będzie w stanie złożyć taką propozycję.

Armand ujął ją pod brodę i zmusił, by na niego spojrzała.

- Zgoda, lecz pod jednym, jedynym warunkiem. - Pocałował ją w czoło. Madeleine z niepokojem zmarszczyła brwi. Uśmiechnął się i dodał: - Proszę, żeby pani przestała mnie nazywać „panem de Chevalier”. „Kochaj się ze mną, Armandzie” - brzmi o wiele lepiej.

Roznamiętniona pocałunkiem i żarem bijącym od jego ciała, lady Madeleine powtórzyła szybko:

- Kochaj się ze mną, Armandzie.
- Z ogromną ochotą, hrabino.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Przez nieznośnie długą chwilę Armand de Chevalier nie wykonał najmniejszego ruchu. Po prostu trzymał hrabinę w objęciach i patrzył jej prosto w twarz. Nie potrafiła odwrócić wzroku. Oddychała głośno i zdawało jej się, że leci gdzieś w bezdenną otchłań jego czarnych oczu.

Wicher zawył. Kajuta opadła gwałtownie, a potem pojechała w górę, kiedy statek wspiął się na kolejną falę. Madeleine prawie nie widziała, co się wokół niej działo. Pozostawała pod urokiem smagłego Kreola. Ze wszystkich sił pragnęła poznać go jak najbliżej.

Oczekiwała na następny namiętny pocałunek, ale on tylko musnął swoimi ustami jej w półprzymknięte, rozpalone wargi. Przez parę słodkich sekund całował ją nadzwyczaj czule i delikatnie, jakby naprawdę była jego najcenniejszym skarbem.

Madeleine podniecało takie zachowanie. To, co robił Armand, wydawało jej się niezwykle ekscytujące. Każdy następny lekki pocałunek był słodszy od poprzednich. Znakomicie się rozumieli. Można by pomyśleć, że to właśnie na siebie czekali przez wszystkie lata.

Armand pocałował Madeleine po raz ostatni i zwolnił pas przytrzymujący ją do koi. Potem posadził ją sobie na kolanach. Przy następnym przechyle statku oboje omal nie spadli na podłogę. De Chevalier jedną ręką chwycił ramę koi, drugą zaś mocno objął Madeleine. Przywarła do niego całym ciałem. Drgnęła ze zdumienia, gdy ujął ją za rękę i przycisnął jej dłoń do swojego serca.

- Dotknij tutaj - powiedział cichym i chrapliwym głosem. - Poczuj mnie, najdroższa.

Usłuchała go bez wahania. Rozpostarła palce i przesunęła dłonią po jego nagim, smagłym torsie. Miał doskonałe proporcje ciała. Zadrżał lekko. Domyśliła się, że to jej dotyk wywołał tę reakcję, i sprawiło jej to niemałą radość.

W czarnych oczach Armanda błysnęło podniecenie. Pochylił się i obsypał pocałunkami jej całą twarz i szyję. Madeleine ciągle gładziła go po plecach. Nawet nie zauważyła, kiedy rozpiął górę bordowej sukni. Zaraz potem na krótką chwilę opanowało ją zwątpienie. Szybko jednak minęło, zgaszone pocałunkiem złożonym na jej piersiach. Poczowała znajomy ucisk w dole brzucha. Nie zaprotestowała ani słowem, gdy Armand nadal ją rozbierał.

- Jakaś ty piękna - szepnął, wsunąwszy palec pod koronkowe ramiączko stanika.

Głęboko zaczerpnęła tchu.

- Spójrz na mnie, cherie - usłyszała. Otworzyła oczy. Przyciągnął ją do siebie.

- Zaufaj mi. Na pewno cię nie skrzywdzę - obiecał. Nie spuszczać wzroku z jej twarzy, sięgnął niżej, podwinął jej mokrą spódnicę i przesunął dłonią po pończosze. Z rozbawieniem pociągnął za tasemki długich pantalonów i nakłonił ją, żeby lekko rozchyliła kolana.

Madeleine zachłysnęła się własnym oddechem, gdy gorące palce Armanda pomknęły wzwyż po wewnętrznej stronie jej uda.

- Pocałuj mnie - wymruczał. Natychmiast usłuchała. Objęła go za szyję, a on w tej samej chwili dotarł dłonią do najbardziej intymnych zakątków jej ciała.

Cienka warstwa tkaniny nie była przeszkodą dla jego zręcznych palców. Pieścił ją bez wytchnienia do czasu, aż zwilgotniała.

Madeleine mruknęła coś niewyraźnie, nawet na moment nie przerwawszy pocałunku. Jej podniecenie narastało z każdą chwilą.

- Dobrze ci, moja maleńka? - spytał Armand, odchylając głowę.

- Mmmm... - to była jej jedyna odpowiedź.

- Chcę, żebyś poczuła się jeszcze lepiej - powiedział i szybkim, niemal magicznym ruchem pozbawił ją pantalonów.

Madeleine wstrzymała oddech. Czekwała, aż poczuje je go dotyk na swoim nagim ciele. Kazał jej długo czekać. Dopóki jej nie zdjął stanika.

- Wiedziałem - powiedział, patrząc na jej piersi.

- O czym? - spytała drżącym głosem.

- Że nie nosisz głupiego gorsetu. Prawdę mówiąc w ogóle go nie potrzebujesz. Masz smukłą talię, a biust.. - tu przemknął spojrzeniem po dwóch krągłych wzniesieniach, zakończonych ciemniejszymi wierzchołkami - a biust jędrny. Nie musisz go sztucznie podtrzymywać.

Jakby dla podkreślenia swoich słów, pochylił się i pocałował ją w lewą pierś.

A potem obraz zatarł się i znikł, przesłonięty mgłą ekstazy. Sztorm rzucał statkiem na wszystkie strony, a w roztańczonej kajucie

kapitana Armand de Chevalier i lady Madeleine Cavendish kochali się namiętnie, jakby mieli dla siebie całą wieczność.

Madeleine wygięła się w łuk.

- Nie przestawaj, nie przestawaj, nie przestawaj... - wciąż powtarzała.

- Nie mam zamiaru, najśłodsza - zapewniał ją Armand.

Wreszcie, w szaleńczym uniesieniu, wykrzyczała jego imię i wbiła mu paznokcie w ciało.

Uspokajająco pogładził ją po włosach. Przytuliła się, cała drżąca i trwała tak, a on całował jej rozchylone usta, zamknięte oczy i mocno zaróżowione policzki.

Huragan ciągle miotał tonącym transatlantykiem. Koją trzęsła się i podskakiwała, lecz Armand i Madeleine nie zwracali na to najmniejszej uwagi, zamknięci we własnym, cudownym świetle. Chcieli, żeby niczym nie skażona radość przepełniała ostatnie chwile ich życia. Pozostawali głusi na ryk oceanu i przenikliwe zawrozczenie wiatru.

Gdy Madeleine ochłoneła nieco i odzyskała oddech, Armand rozebrał ją do końca. Podczas tej czynności z lubością pieścił każdy załomek jej ciała, ona zaś była podatna jak glina w rękach doświadczonego garncarza. Miękkła pod najlżejszym dotykiem jego gorących palców.

Kiedy już wreszcie była naga, z wyjątkiem skórzanych pantofelków i jedwabnych pończoch, Armand podłożył dłoń pod jej prawe kolano i lekko uniół jej nogę. Zdjął pantofelek i rzucił go na podłogę. Potem z uśmiechem zsunął z jej uda niebieską, satynową podwiązkę.

Madeleine patrzyła na niego, zdumiona i rozbawiona. Armand włożył sobie podwiązkę na ramię i umieścił ją na bicepsie.

- To na pamiątkę - wyjaśnił. Madeleine pokiwała głową.

Zdjął jej pończochę i odrzucił ją gdzieś za siebie. Madeleine poczuła się nagle nieswojo. Zupełnie naga siedziała mu na kolanach, z jedną nogą swobodnie zwieszoną, drugą zaś opierając mu o udo. Drgnęła, gdy niespodziewanie pocałował ją w sam środek stopy. Chwilę później zachichotała mimo woli, bo połechtął ją językiem w palce.

Armand roześmiał się, uniół głowę i puścił nogę Madeleine, a ona cierpliwie czekała, aż zdejmie jej drugą pończochę. Nie zrobił

tęgo. Milczała, choć pomyślała sobie, że na pewno wygląda głupio w jednej pończoszce i podwiązce.

Jej towarzysz był innego zdania.

- Boże, jesteś niezwykle piękna i pociągająca - rzekł. Przesunął dłonią po jej łydce. - Chcę, żebyś tę pończochę zostawiła na sobie dla mnie.

- Twoja wola jest moją wolą - odpowiedziała bez wahania. Nie musiała się martwić o plotki, o znajomych i o to, co przyniesie jutrzejszy poranek.

- Chcę ciebie - oznajmił Armand. - Chcę, żebyś mi ofiarowała całą miłość, jaką w sobie chowasz, abyś mi zdradziła swoje najskrytsze marzenia. Opowiedz mi o wszystkim, czego kiedyś pragnęłaś i czego nigdy w życiu nie dostałaś. Powierz mi swoje tajemnice, o których nigdy nie mówiłaś. Wyznaj, jakich skrytych rozkoszy nigdy nie doświadczyłaś. Chcę, żebyś oddała mi się cała, a ja w zamian będę cię kochać, jak nikt przedtem nie kochał. Pragnę cię dzisiaj i później, i teraz, i na zawsze.

Te śmiałe słowa ujęły ją do głębi. Nie potrzebowała dalszej zachęty. Już podniecona, nie zamierzała mu stawiać oporu. Pomyślała nawet, że lepiej się zatracić w tych ostatnich chwilach, niż z przerażeniem czekać na wyroki losu. Mogła sobie pozwolić na wszystko, nie dbając o konsekwencje.

Armand pocałował ją i sprawnie pokierował jej ręką. Zdjęła mu spodnie i nie ponaglana, wsunęła dłoń pod bieliznę. Jęknął z cicha. Bez najmniejszego trudu zrozumiała znaczenie tego dźwięku.

Pieściła go, gładziła.

Aż wreszcie zamknął jej drobny przegub w swojej silnej dłoni.

- Wybacz mi, lecz nie mogę już czekać dłużej, najśłodsza.

Chwilę później leżała na wznak na koi. Armand pochylał się nad nią. Widziała jego smagłą twarz, szeroką pierś i masywną linię ramion. Wypełniał całą przestrzeń. Nie było nic poza nim. Nic oprócz niego. Stał się jej całym światem, niósł rozkosz i nieznane jej dotąd przyjemności.

Pochylił się i pocałował jej białe i jędrne piersi. Madeleine odwróciła głowę. Z uśmiechem popatrzyła nieco zamglonym wzrokiem na niebieską podwiązkę na jego ramieniu.

Kiedy jednak lekko naprężył całe ciało, ona mimo woli zeszywniała także, nie mogąc opanować podświadomego strachu.

- Nie rób tego, cherie - napomniął ją łagodnie. - Odpręż się. Będę nadzwyczaj delikatny. Pozwól mi siebie kochać.

Pozwoliła.

A on ją kochał.

Westchnęła z cicha, kiedy się w niej znalazł. Ogarnęło ją poczucie szczęścia. Nie słyszała już szalejącego sztormu. Żywioł namiętności okazał się silniejszy nawet od huraganu.

Armand i Madeleine pozbyli się wszelkich zahamowań. Kochali się jak szaleni, wśród jęków i pomruków, odrzuciwszy cienką osłonę „cywilizacji”. Szaleńczy rejs w podmuchach wichru okazał się odpowiednią scenerią dla ich miłosnej przygody.

Madeleine doszła do wniosku, że przystojny Kreol jest bez wątplenia najlepszym kochankiem pod słońcem. Zawładnął nią całkowicie. Uwielbiała spojrzenie jego błyszczących, czarnych oczu, smak ust i ciężar szczupłego, lecz umięśnionego ciała.

Nie wierzyła, że ktoś oprócz niego byłby zdolny ją doprowadzić dwukrotnie do ekstazy. A on wcale na tym nie poprzestał! Kochał ją, aż zaczęła krzyczeć spazmatycznie.

I tak to trwało.

Huragan wył i groził przewróceniem na wprost zatopionego statku. Kochankowie, zamknięci w maleńkiej kajucie, cieszyli się każdą chwilą, jakby mieli nie doczekać jutra.

Bo też tak było. Lecz żadne z nich nie dbało o najbliższą przyszłość.

Madeleine czuła na swoim ciele dotyk rozgrzanego ciała Armanda. Westchnęła z nieskrywaną rozkoszą.

Był dla niej wszystkim. Był tym jedynym. Nie istniała przeszłość ani przyszłość. Liczyła się wyłącznie ta chwila, w której patrzył jej prosto w oczy i szeptał jej imię. W tajemniczy sposób jego ciche słowa zdawały się głośniejsze od ryku oceanu.

Tylko on.

Tylko tu i teraz.

A „teraz” w tym przypadku znaczyło całą wieczność.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Świat jednak się wtrącił.

Dobiegający z pokładu chór głośnych okrzyków przywołał ich do rzeczywistości. Armand uniósł głowę i zaczął nasłuchiwać. Madeleine poszła za jego przykładem. Chwilę potem oboje nagle zrozumieli, że do tonącego statku, od strony wybrzeża, podpłynął niewielki parowiec.

Ze zdumieniem spostrzegli także, że w ostatnich minutach wiatr zelżał i morze wyraźnie złagodniało. Czyżby mieli żyć nadal?

Armand szybko pocałował Madeleine, zerwał się i pomógł jej wstać z koi. Ubrali się w szaleńczym tempie i wybiegli na pokład.

Parowiec dobił już do burty statku. Niestety, miał niewielką wyporność i rozmiary. Pasażerowie „Starlighta” hurmem rzucili się przez reling. Tłok był taki, że parowiec też mógł zaraz zatonać.

- Dosyć! - krzyczał przerażony szyper. - Nie wezmę już nikogo! Wszyscy pójdziemy na dno! Woda sięga aż po nadburcie! Cofnąć się! Cofnąć!

Z tłumu rozległy się chóralne płacze i błagania. Armand, zdecydowany za wszelką cenę uratować hrabinę, pochwycił ją w ramiona i przepchnął się przez cizbę.

- Stać! - krzyknął do szypra i przerzucił oszołomioną Madeleine na pokład „City of Mobile”. - Musi ją pan zabrać! To ostatnia kobieta na tym statku! Miejże litość, człowieku!

- Zgoda! - Szyper skinął głową. - Ale na tym naprawdę koniec!

Wyrwał pistolet zza pasa.

- Zastrzelę każdego, kto jeszcze spróbuje tu się wdrzeć!

Groźby i przekleństwa posypały się za odpływającym parowcem. Popychana ze wszystkich stron Madeleine stała na niebezpiecznie zatłoczonym pokładzie i z rozpaczą patrzyła na tonący transatlantyk.

Przez łzy widziała Armanda de Chevaliera. Uśmiechnął się, pomachał dłonią i przesłał jej pocałunek. Poczowała nagły ucisk w gardle. Dmuchnęła na rozwartą dłoń, w odpowiedzi śląc swój pocałunek ponad falami morza. Armand pośpiesznie rozpiął brudną białą koszulę, obnażył ramię i pokazał jej niebieską podwiązkę. Madeleine jednocześnie śmiała się i płakała.

- Armandzie... - westchnęła. Była pewna, że jej kochanek zginie i nigdy więcej go już nie zobaczy.

Zapadał zmierzch.

Madeleine słaniała się ze zmęczenia. Stała przy bogato zdobionym relingu rzeczno parowca, zastanawiając się, czy wuj Colfaks i lord Enfield wyjdą na przystań ją powitać. Ciekawe, czy w ogóle słyszeli o huraganie i zatonięciu S/S „Starlight”? Czy już ją opłakiwali? Uznali, że zginęła? Skąd mieli wiedzieć, że szczęśliwym trafem zdołała się uratować?

Westchnęła ciężko i osłoniła oczy przed promieniami zachodzącego słońca. Nie mogła przecież spodziewać się, że czekają na każdy statek wpływający do rzeczno portu z nadzieją, że ją znajdą całą i zdrową na pokładzie. Dla niej to nie miało żadnego znaczenia. Zamierzała wynająć powóz i czym prędzej pojechać do rezydencji kochanego wuja Colfaksa, mieszczącej się we francuskiej dzielnicy Nowego Orleanu.

Z utęsknieniem wyczekiwała tego spotkania. Chciała spędzić z wujem trochę czasu przed wizytą u lorda Enfielda. Prawdę mówiąc, nieco się obawiała rozmowy z narzeczonym. Jak miała mu spojrzeć w oczy i udawać, że wciąż jest tą samą, dawną Madeleine, pełną ideałów i wzniosłych zasad moralnych? Oczywiście, jej plany nie uległy zmianie, lecz teraz, w konfrontacji z rzeczywistością, dręczyło ją poczucie winy. Nie była pewna, czy zdoła ukryć przygnębienie.

Drogi, miły i niczego nie podejrzewający Desmond, pomyślała. Gdyby dowiedział się, co naprawdę zaszło, miałby złamane serce. Po wiek wieków pałałby do mnie nienawiścią.

Słońce zniknęło już za horyzontem Luizjany. Parowiec wolno przybił do pomostu. W pomarańczowym świetle zmierzchu Madeleine zobaczyła dwie znajome postacie stojące ramię w ramię na zatłoczonym moście. Byli to wuj Colfaks Sumner i Desmond Chilton.

Pełna sprzecznych uczuć, uniosła rękę i pomachała do nich na powitanie.

- Moja mała słodka Madeleine! - zawołał uszczęśliwiony wuj, gdy kapitan parowca osobiście oddał hrabinę w ręce żwawego starszego pana. Colfaks miał już wprawdzie sześćdziesiąt siedem lat, ale wciąż zachowywał się jak młodzieniaszek.

- Słyszeliśmy o tym strasznym sztormie - powiedział do kapitana, nie wypuszczając siostrzenicy z objęć. - Co ze „Starlightem”? Ocalał?

- Chyba nie, proszę szanownego pana - odparł kapitan.

Madeleine ogarnęła rozpacz.

- Kiedy ostatnio go widziano, ledwie wystawał już nad czubek fali. Ci, którzy zostali na pokładzie, bez wątpienia spoczęli na dnie - dodał kapitan.

- Straszna tragedia - westchnął Colfaks. Tak mocno przytulił Madeleine, że omal jej nie połamał żeber. Chyba nie zdawał sobie sprawy, że nadal jest bardzo silny.

- Ani na chwilę nie traciłem nadziei - powiedział jej wprost do ucha. - Dzięki Najwyższemu, że jesteś bezpieczna!

Puścił ją. Madeleine zeszywniała lekko, bo chwilę potem znalazła się w objęciach lorda Enfielda. Wysoki i przystojny blondyn uściskał ją serdecznie, ale nie pocałował. Była mu za to wdzięczna. Jak przystało na arystokratę, lord Enfield nie zamierzał w obecności tłumu okazywać uczuć. Uważał to za wulgarne. Madeleine ze swojej strony także nie chciała go całować. Potrzebowała nieco więcej czasu, żeby zapomnieć o ostatnich przeżyciach.

Desmond jeszcze przez chwilę nie wypuszczał jej z objęć, chociaż był dużo delikatniejszy od wuja.

- Zamartwialiśmy się o ciebie - powiedział półgłosem i obrzucił ją uważnym spojrzeniem. - Jesteś cała?

- Zupełnie cała - zapewniła go. Z wymuszonym uśmiechem spojrzała na wuja i dodała: - Nareszcie jesteśmy we troje.

Wsiedli do czekającego otwartego powozu. Colfaks osobiście ujął lejce w dłonie i pojechali do jego miejskiej rezydencji przy Royal Street. Madeleine westchnęła w duchu z przeogromną ulgą, kiedy minęli ciężkie wrota z kutego żelaza i stanęli przed głównym wejściem. Wreszcie miała wrażenie, że jest w pełni bezpieczna.

Uwielbiała francuską dzielnicę Nowego Orleanu i ten dom, z jego ogrodem i przestronnym dziedzińcem. Zbudowany w kreolskim stylu, na parterze miał kuchnię i pomieszczenia dla służby. Zewnętrzne schody prowadziły na piętro, na galerię, z której się wchodziło do licznych pokoi. Po drugiej stronie posiadłości, za dziedzińcem, stały dodatkowo dwa piętrowe budynki zwane garconnieres, teraz pełniące rolę wozowni, lecz kiedyś przeznaczone dla dalszych kuzynów lub gości składających dłuższą wizytę.

Obecnie mieszkała tam tylko energiczna i czarna jak smoła Avalina, samotnie prowadząca gospodarstwo wuja.

Na pierwszym piętrze głównego domu mieścił się salon, jadalnia, mała sala balowa, biblioteka Colfaksa i przestronna sypialnia. Resztę

sypialni pomieszczono jeszcze piętro wyżej. Tam też był pokój przeznaczony wyłącznie dla Madeleine, choć do tej pory korzystała z niego dwa razy w życiu.

Madeleine żywo wyskoczyła z powozu i z rozkoszą odetchnęła świeżym powietrzem. Poczła słodką woń magnolii, azalii i róż. Uzmysłowała sobie, że nareszcie znalazła się z powrotem wśród przepięknej, uwodzicielskiej przyrody Nowego Orleanu.

Gorące i wilgotne powietrze niemal lepiło się do policzków, a na czoło wystąpiły jej kropelki potu.

Madeleine wbiegła po schodach na galerię, okoloną fantazyjną żelazną barierką. Minęła podwójne drzwi i weszła do salonu. Tu, niestety, od razu musiała zwolnić kroku, bo w polu widzenia pojawiła się Avalina, z białym tignon na kędzierzawej głowie. Uśmiechnęła się szeroko, błyskając białymi zębami.

- Wszyscy święci na niebiesiech, lady Madeleine! Ale panienka nam przysporzyła zmartwień! - zawołała. Już od trzydziestu jeden lat prowadziła dom Colfaksa, czyniąc to we wspaniałym stylu, z niezwykłą wprawą i niesłychaną lojalnością wobec pryncypała.

- Wiem - powiedziała Madeleine i serdecznie objęła tęgą Murzynkę. - Tak mi przykro z tego powodu.

Avalina nigdy nie mogła przywyknąć, że „młoda pani”, jak nazywała hrabinę, okazuje jej - zwykłej służącej - tak wiele czułości. Teraz też szybko odsunęła się od Madeleine, skinęła głową lordowi Enfieldowi i zawołała do Colfaksa Sumnera:

- Uroczystości powitalne i wszelkie pytania muszą zaczekać, aż młoda pani trochę odpocznie! Jest blada i wyczerpana. Najlepiej będzie, jak zaraz powędruje do łóżka!

Wuj Colfaks ani myślał sprzeciwiać się Avalinie. Od razu wyraził zgodę. Desmond Enfield też dał dowód troski i oddania. Wręcz nalegał, żeby Madeleine udała się na spoczynek i nie wstawiała z łóżka co najmniej przez tydzień. Był pewny, że przede wszystkim chciała zapomnieć o niedawnych przejściach.

Madeleine nie protestowała. Wręcz przeciwnie, w głębi serca pragnęła jak najszybciej zniknąć im wszystkim z oczu. Dręczona poczuciem winy, unikała wzroku Desmonda. Z trudem wytrzymywała jego towarzystwo i słowa otuchy, których jej nie szczędził, powodowany zrozumiałą troską.

- Idź już, najmilsza - powiedział. - Kiedy się ułożysz, przyjdę powiedzieć ci „dobranoc”.

Zerknął na Colfaksa Sumnera, po czym dodał:

- Oczywiście za pańskim przyzwoleniem.

- Zezwalam - z uśmiechem odparł Colfaks. Lord przeniósł wzrok na narzeczoną.

- Kochanie?

Madeleine ze ściśniętym sercem zmusiła się do bladego uśmiechu,

- Tak, tak - wybąkała. - Będzie mi bardzo miło.

Przelotnie uścisnęła wuja i poszła za Avaliną.

Westchnęła z głębi piersi, kiedy zostały same. Ochmistrzyni spytała, czy ma przygotować gorącą kąpiel. Madeleine z wdzięcznością pokiwała głową.

Parę minut później zanurzyła się w głębokiej balii, po brzegi wypełnionej pachnącą wodą. Avalina zabrała brudny strój podróżny i przyniosła czystą koszulę nocną. Madeleine oparta głowę o krawędź balii, zamknęła oczy i z lubością poczuła, jak się odpręża i ogarnia ją błogie rozleniwienie.

Niestety, nie umiała zapomnieć o Armandzie. Wciąż widziała jego urodziwą twarz i błysk pożądania, gorejący w czarnych oczach. Z rozpaczą myślała, że wraz ze statkiem spoczął na dnie oceanu. Wiedziała jednak, że nie było dlań szansy ratunku. Smutek po jego śmierci mieszał się w jej sercu ze zgryzotą. Żałowała tego, co zrobiła.

Otworzyła oczy, wzięła gąbkę i energicznie namydliła całe ciało, jakby chciała zmyć z siebie wszelkie ślady Armanda.

Wmawiała sobie, że to rodzaj tajemnej ablucji. Od jutra będzie mogła spokojnie powrócić do zwykłego, normalnego życia, pomyślała. Postanowiła, że oczyści umysł ze wszelkich wspomnień, łączących ją z przeszłością i de Chevalierem.

Gdy jednak, czysta i pachnąca, umościła się na ogromnym łożu, oczekując na lorda Enfielda, Armand znowu niepodzielnie zawładnął jej myślami. Czas leczy rany, westchnęła w duchu. Przyjdzie moment, że o nim zupełnie zapomnę.

Ktoś cicho zapukał do drzwi. Madeleine - spojrzała na Avalinę. Miała ochotę ją poprosić, by została w pokoju, jednak na głos powiedziała:

- Wpuść pana Desmonda.

Ochmistrzyni skinęła głową i poszła otworzyć. Wycofała się na korytarz, kiedy tylko lord Enfield wszedł do sypialni. Drzwi zamknęły się niemal bezgłośnie. Madeleine leżała sztywno, wyprostowana jak struna. Desmond z miłym uśmiechem przysiadł na skraju łóżka i wyciągnął ręce.

- Nareszcie sami - powiedział.

Pochwycił ją w ramiona. Madeleine z trudem się powstrzymała, żeby go nie odepchnąć. Wyjdź! - chciała krzyknąć. Zostaw mnie! Źle się czuję! Siedziała jednak bez ruchu, obejmując go za szyję. Poczowała się zupełnie bezradna i zagubiona.

Lord Enfield delikatnie musnął ustami jej włosy.

- Nie masz pojęcia, jak bardzo wyczekuję dnia naszego ślubu - szepnął. - Wypatruję chwili, kiedy wieczorem nie będę cię już musiał opuszczać.

Odchylił się, żeby ją lepiej widzieć.

- Gdy zostaniesz moją żoną, będę mógł się rozebrać, położyć do łóżka i przez całą noc spać, tuląc cię do siebie.

Madeleine odchrząknęła i powiedziała:

- Tak... to byłoby... cudowne.

Poczuł, że zadrżała, i zauważył niepokój w jej wyrazistych szmaragdowych oczach. Popatrzył na nią ze zdziwieniem.

- O co chodzi, kochanie? Jesteś jakaś nieswoja. Trzęsiesz się cała.

- To nic. Tylko jestem mocno zmęczona i...

- Ależ oczywiście! - Natychmiast się zreflektował. - Zachowałem się bardzo nietaktownie. Już sobie idę. Połóż się i odpocznij.

- Dziękuję ci, Desmondzie.

- Dobranoc, najukochańsza - powiedział cicho i pochylił się nad nią. Madeleine zamarła z przerażenia. Była przekonana, że chce ją pocałować. Na szczęście, tylko musnął ustami jej czoło.

- Bardzo cię kocham, moja Madeleine - szepnął. - Cieszę się, że bez najmniejszego szwanku wyszłaś z tych wszystkich niebezpiecznych przygód.

Wstał, uśmiechnął się i dodał na odchodnym:

- Śnij o mnie, najdroższa.

- Na pewno - obiecała.

Kiedy wyszedł, zgasiła lampę i zaciągnęła nad łóżkiem gazową bairę, czyli moskitierę. Przed oczami zamajaczyła jej twarz

ukochanego. Nie był to jednak Desmond, tylko uwodzicielski i zmysłowy Armand de Chevalier.

Madeleine niecierpliwie odrzuciła kołdrę i podciągnęła koszulę do bioder. W parnym klimacie okolic Nowego Orleanu najchętniej spałaby nago. Zamknęła oczy.

Wyczerpana, zasnęła niemal natychmiast. We śnie przyszedł do niej Armand. Tulił ją, pieścił i całował, prowadził do raju.

- Śpi jak kamień - oznajmiła Avalina, która zajrzała do sypialni Madeleine wkrótce po wyjściu lorda Enfielda. - Podejrzewam, że będzie spała co najmniej dobrą noc - dodała, zwracając się do Colfaksa Sumnera.

- Oby, oby. Moja mała kruszyna. Musi dobrze wypocząć - odparł starszy pan. - Dobrze, że jest już w domu. Kamień spadł mi z serca.

- Pewnie, że dobrze - zgodziła się ochmistrzyni. - A jeszcze lepiej, że zostanie u nas przez całe osiem miesięcy.

- Właśnie - przytaknął Colfaks. - Wesele zaplanowaliśmy w kwietniu. Mamy zatem dość czasu, żeby się nią nacieszyć, zanim opuści nas na dobre.

- W rzeczy samej.

- Ufff. Sam chyba też już się położę - mruknął Colfaks. - To był meczący dzień.

Odwrócił się, żeby odejść do swojej sypialni, ale zatrzymał się po kilku krokach.

- Przed spaniem sprawdź wszystkie drzwi, dobrze? Upewnij się, że są zamknięte.

- Zawsze to robię.

- Tak, wiem. - Skinął głową, uśmiechnął się i wyszedł. Rozebrał się, włożył szlafrok, przygotowany mu przez Avalinę i położył się z książką w rękę, żeby jeszcze trochę poczytać. Zaraz jednak ziewnął raz i drugi. Litery zatańczyły mu przed oczyma. Odłożył książkę, zdmuchnął świecę, wyciągnął się na wznak i podłożył ręce pod głowę. Westchnął w ciemnościach. Już od dawna nie był tak szczęśliwy. Znowu miał przy sobie ukochaną siostrzenicę, całą i zdrową, śpiącą bezpiecznie piętro wyżej.

Minutę później zapadł w głęboki sen.

W środku upalnej i ciemnej jak smoła nocy obudził go cichy stuk, jakby jakiś przedmiot upadł na balkon od strony ulicy. Colfaks z bijącym sercem wstał z łóżka i poszedł sprawdzić, co to takiego.

Tuż za szeroko otwartymi przeszklonymi drzwiami leżała mała skórzana sakiewka. Colfaks ostrożnie wziął ją do ręki, wszedł do sypialni, zapalił lampę i zerknął do środka.

Kilka kosmyków ludzkich włosów. Obcięte paznokcie. Skóra jakiegoś gada. Kości kurczaka, związane w formie prymitywnego krzyża.

Colfaks Sumner niejedno słyszał o voodoo od Avaliny. Wiedział, że taki „prezent”, przysłany czarną nocą, ma sprowadzić nieszczęście na któregoś z mieszkańców.

Był wykształconym i mądrym człowiekiem. Nie wierzył w czarną magię, doskonale zdawał sobie sprawę, że ktoś chce go przestraszyć. Może zresztą nie chodziło wyłącznie o niego, ale także o kogoś innego, kto znalazł się pod tym dachem?

Stanowczo potrząsnął głową. Nie miał żadnych wrogów. Przynajmniej o nich nie wiedział. Kto mógłby pragnąć jego krzywdy? Prawdopodobnie tajemniczy nadawca przesyłki w ciemnościach pomylił domy.

Wyrzucił gris - gris do śmieci, a mimo to dreszcz przebiegł mu po plecach.

Długo trwało, zanim ponownie zasnął.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Madeleine obudziła się następnego dnia dopiero przed dziesiątą. Spałaby pewnie dalej, gdyby ktoś głośno i z podnieceniem nie wykrzykiwał jej imienia. Po chwili uświadomiła sobie, że był to kobiecy głos, z charakterystycznym południowym akcentem. Madeleine z trudem otworzyła oczy i ujrzała młodą, ładną dziewczynę o czarnych włosach i bardzo jasnej cerze, spoglądającą na nią przez szparę w uniesionej lekko moskitierze.

- Lady Madeleine Cavendish! - zawołała radośnie dziewczyna i usiadła na łóżku,

- Melissa Ann Ledette! - odpowiedziała Madeleine. Uniosła się na łokciu i uśmiechnęła promiennie.

Padły sobie w ramiona i uściskały się serdecznie, niczym siostry po długiej rozłące. Madeleine szczerze ucieszyła się ze spotkania z czarnowłosą Kreolką. Zaprzyjaźniła się z nią podczas poprzedniej wizyty w Nowym Orleanie. Melissa była pełną życia, gadatliwą, skora do plotek i śmiechu jedynaczką - córką szanowanego powszechnie lekarza, doktora Jean - Paula Ledette'a.

- Och, Maddie! Nie wytrzymałabym ani chwili dłużej bez ciebie! - zawołała Melissa, wypuszczając przyjaciółkę z objęć.

- Czekałam na ciebie wczoraj.

Przez jasną, radosną twarzyczkę Melissy przemknął cień zadumy.

- Przecież nie wiedziałam, gdzie jesteś.

- Wiem, wiem. Tylko żartowałam.

- Och! - Melissa ponownie się uśmiechnęła. A po chwili posypał się grad pytań. Melissa pochwyciła rękę Madeleine w obie dłonie.

- Od razu wszystko mi opowiedz o tym potwornym sztormie. Bałaś się? Myślałaś, że utoniesz? Widziałaś, jak giną ludzie? Co robili inni pasażerowie? Widziałaś może kobiety i dzieci, które... które... - Tu Melissa urwała nagle i wyraźnie posmutniała. - Och, Maddie. Znasz już najgorszą wiadomość? Pewien mieszkaniec Nowego Orleanu też był na tym nieszczęsnym statku. Nie znaleziono go wśród rozbitków. Na pewno utonął.

- To... przykre - bąknęła Madeleine. Miała takie wrażenie, jakby żelazna obręcz zacisnęła się na jej piersiach.

- Wprost nie mogę uwierzyć, że naprawdę zginął. Był tak przystojny i czarujący. Połowa dziewcząt w Nowym Orleanie się w nim kochała. Ze mną włącznie. - Melissa pochyliła głowę i łzy

nabiegły do jej ogromnych, ciemnych oczu. - Nowy Orlean stał się inny po śmierci Armanda de Chevaliera.

Popatrzyła na przyjaciółkę.

- Może spotkałaś go na statku... - zaczęła.

- Nie sądzę - szybko odparła Madeleine. - Nie przypominam sobie takiego nazwiska.

Melissa pokiwała głową.

- Gdybyś choć raz go zobaczyła, na pewno byś nie zapomniała.

Madeleine zbyła milczeniem tę uwagę.

- Wybacz mi moją obcesowość - przeprosiła ją Melissa. - Od tej pory będziemy mówić wyłącznie o przyjemnych rzeczach. Chcesz wiedzieć, co się wydarzyło przez ten rok, który minął od twojego wyjazdu?

Madeleine odetchnęła z ulgą. Napięcie minęło.

- Oczywiście, że chcę.

- To cudownie. Poczekaj, niech pomyślę. O, już wiem. Pamiętasz Prudence Picard? Tę smarkulę o blond loczkach i piskliwym głósie? Wyobraź sobie, że poślubiła starego Louisa Jauberta. Moim zdaniem to najprawdziwszy skandal. Prudence ma dopiero osiemnaście lat, a Jaubert jest już po siedemdziesiątce. - Melissa nagle wybuchnęła śmiechem i dodała: - Staruszek niemal nic nie słyszy i nie widzi, ale chyba zachował dawną sprawność! Prudence jest w ciąży!

- Och, nie!

- Och, tak!

Dla podkreślenia swoich słów Kreolka energicznie pokiwała głową.

- Co poza tym? Najmłodszy Le Blanc zginął w pojedynku w dniu Święta Dziękczynienia. Nikogo to nie zdziwiło. Przez cały czas sam prosił się o kłopoty. Wdowa po Pierre Lemonnierze uciekła ze stolarzem z Mobile, zanim jej zmarły małżonek na dobre spoczął w grobie. Abigail Stuart w ostatniej chwili odwołała ceremonię ślubną.

Melissa paplała bez przerwy, mówiąc przyjaciółce o wszystkim, co zaszło w mieście od czasu ich ostatniego spotkania. Zamilkła tylko na moment, aby zaczerpnąć tchu.

- Rety, co się ze mną dzieje? Mama wciąż powiada, że usta mi się nie zamykają. Przepraszam, Maddie. Przecież tak naprawdę, to przyszedłam zapytać o ten tragiczny rejs i twoje przeżycia.

Madeleine w najogłędniejszy sposób, na jaki potrafiła się zdobyć, opowiedziała jej o katastrofie statku.

- Wreszcie nadpłynął mały parowiec - zakończyła. - Wziął mnie na pokład i tak właśnie się uratowałam. Podejrzewam, że transatlantyk zatonął godzinę później.

- Co za koszmar - westchnęła Melissa. Poklepała przyjaciółkę po dłoni. - Ale już po wszystkim. Masz to za sobą. Najlepiej będzie, jak zapomnisz.

- Wiem.

- Strasznie się cieszę, że znów jesteś z nami i... i... ach, prawda, chyba ci nie mówiłam! W tym roku, w grudniu, urządzamy wielką kwestę na rzecz Florence Nightingale i jej dzielnych pielęgniarek na Krymie! Pomożesz nam w tym, prawda?

- Oczywiście.

- To będzie świetna zabawa! A tuż po świętach zaczniemy przygotowania do twojego wesela. Weźmiesz mnie na druhenę? - spytała Melissa i nie czekając na odpowiedź, dodała: - Szczęściara z ciebie. Lord Enfield to wspaniały kandydat na męża. Przystojny, dobrze wychowany, szanowany i bogaty. Prawda? Wszyscy mówią, że jest bogaty!

Madeleine uśmiechnęła się.

- Desmond? Przez wiele lat harował w pocie czoła. Sporo zarobił na handlu bawełną i trzcina cukrową. Zyski lokował umiejętnie w innych przedsięwzięciach. Inwestował w nieruchomości. Owszem, można przyjąć, że jest bardzo bogaty.

Melissa westchnęła głośno.

- Aż mnie skręca z zazdrości. Kocha cię bez pamięci. Powiem ci w zaufaniu, że byłam na kilku balach, na których różne damy próbowały otwarcie flirtować z twoim przyszłym mężem. Bez powodzenia. Serce lorda Enfielda należy wyłącznie do ciebie.

Z rozmarzeniem spojrzała na przyjaciółkę. Madeleine poczuła, że musi coś odpowiedzieć.

- A moje do niego.

- Och, jakie to romantyczne - wyszeptała Melissa, splatając dłonie pod brodą.

Rozmawiały dalej do czasu, aż Avalina, zapukawszy cicho do sypialni, weszła i powiedziała:

- Panno Melisso, jest pani tu już dwie godziny. Myślę, że młoda pani Madeleine chciałaby trochę odpocząć.

- Avalina ma rację! - zawołała Melissa i zerwała się z łóżka. Pochyliła się, przycisnęła policzek do policzka Madeleine.

- Niedługo wrócę, żeby cię znów zobaczyć - obiecała.

Liczne zajęcia pochłaniały większość czasu lorda Enfielda. Prawdę mówiąc, to całe dnie spędzał gdzieś w interesach, ale wieczorami codziennie bywał przy Royal Street, aby złożyć wizytę narzeczonej. Wyczulony na jej stan zdrowia, pilnie uważał, by nie przeciągać swoich odwiedzin. Zawsze przynosił bukiet świeżych kwiatów, jakąś książkę lub bombonierkę. Siadał na krześle, brał Madeleine za rękę i z uśmiechem pytał, co słyhać. Przez jakiś czas gawędzili cicho.

Taka wizyta nigdy nie trwała dłużej niż godzinę lub dwie godziny. Przy pożegnaniu lord Enfield pochylał się nad narzeczoną i leciutko całował ją w czoło lub policzek.

- Kocham cię tak bardzo, że z trudem znoszę każdy moment rozstania - szeptał. - Chcę jednak, żebyś wypoczęła, więc idę. Do widzenia.

Madeleine była szczerze przejęta jego wyrozumiałością. Inni mężczyźni w podobnej sytuacji bez wątpienia domagaliby się czułych pocałunków lub bardziej intymnych pieszczot. Lord Enfield był wzorem dżentelmena. Rozumiał, że Madeleine nie jest jeszcze gotowa.

Z drugiej strony, jego nadzwyczaj rozsądne zachowanie pogłębiało jej poczucie winy. Cierpiała prawdziwe katusze. Znosiłaby to dużo łatwiej, gdyby domagał się miłości. Dla spokoju własnego sumienia mogłaby go oskarżać o egoizm i zbytnią popędliwość.

Tymczasem nie miała mu nic do zarzucenia. Był miły, pełen troski i współczucia. Wprost idealny narzeczony dbający tylko o jej dobro. Życie u boku takiego męża rzeczywiście zapowiadało się na spokojne i szczęśliwe.

Niestety, kiedy lord Enfield wychodził i Madeleine zostawała sama, jej myśli nieuchronnie krążyły wokół smagłego Kreola, który spoczął na dnie oceanu wraz z zatopionym statkiem. Wiedziała, że Armand de Chevalier nie żyje. Wiedziała też, nigdy o nim nie zapomni.

Na szczęście rzadko miała czas, żeby uważać się nad sobą. Wuj Colfaks, rad niezmiernie, że gości ją pod swoim dachem, niemal jej nie odstępował. Rozmawiali całymi godzinami. Wuj wróżył siostrzenicy beztruską i szczęśliwą przyszłość. Nieustannie wspominał o nadchodzącym ślubie.

Pewnego upalnego i słonecznego dnia w początkach września, po tygodniu spędzonym w łóżku Madeleine obudziła się rześka i gotowa na spotkanie świata. Szarpnęła za sznur dzwonka, by wezwać Avalinę.

Murzynka zjawiała się niemal natychmiast.

- Nie wytrzymam już dłużej w pościeli! - oznajmiła Madeleine. - Chcę wstać. Czuję się na tyle dobrze, żeby towarzyszyć wujowi przy śniadaniu.

Ochmistrzyńni uśmiechnęła się z radością.

- Pan na pewno bardzo się ucieszy. Z tej okazji przygotuję coś specjalnego.

Tuż przed dziewiątą Madeleine eskortowana przez troskliwą Avalinę zeszła do jadalni. Wuj czekał na nią u podnóża schodów. Przejął siostrzenicę spod opieki Murzynki i najpierw zaprowadził ją do biblioteki. Ochmistrzyńni zaś prędko podreptała do kuchni.

- Skąd ten pomysł, żeby dziś wstać z łóżka? - spytał Colfaks, widząc, że Madeleine wciąż jest bardzo blada.

- Nic mi już nie dolega, wuju - zapewniła go z całą stanowczością. - Czuję się wyśmienicie.

- Mamy więc kilka minut zupełnie dla siebie, zanim Avalina przyrządzi śniadanie. Chodź, chcę ci coś pokazać.

Przeszli na drugą stronę biblioteki, gdzie nad wielkim mahoniowym biurkiem wisiał ogromny portret LaFayette'a. Madeleine ze zdumieniem patrzyła na wuja. Odsunął obraz i odsłonił ukrytą za nim skrytkę. Był to okrągły sejf z grubymi drzwiami z brązu.

- Tu trzymam moje najcenniejsze dokumenty - powiedział Colfaks. Ruchem dłoni przywołał siostrzenicę do siebie. - Podam ci szyfr. Chcę, żebyś go zapamiętała i sama otworzyła drzwiczki.

Madeleine spełniła jego prośbę. Potem cofnęła się o dwa kroki. Colfaks sięgnął do sejfu i wyjął stamtąd jakiś urzędowy papier.

- To moja ostatnia wola. Mój testament - wyjaśnił, wręczając dokument Madeleine. Przebiegła pismo wzrokiem. - Po mojej śmierci odziedzicysz cały majątek. Jak wiesz, przez te wszystkie lata

zgrupowałem niemałą fortunę. - Uśmiechnął się. - Na szczęście, mieszkamy w Luizjanie. To jedyny amerykański stan, gdzie kobieta może mieć ziemię na własność. Większość moich dóbr to same nieruchomości.

Madeleine oddała mu dokument, nie doczytawszy go do końca.

- Wuju, nie mówmy teraz o spadkach i umieraniu - powiedziała z uśmiechem. - Mam nadzieję, że w dobrym zdrowiu jeszcze przez następne dwadzieścia, a może i trzydzieści lat będziesz razem z nami.

- Być może - odparł, nie w pełni przekonany. Zauważyła smutek w jego głosie.

- Co się stało? - spytała. - Chyba... chyba nie jesteś chory?

Popatrzyła na niego z niepokojem.

- Nie, nie, drogie dziecko - zapewnił ją pospiesznie. - Czuję się doskonale.

Schował testament do sejfu, lecz wyjął inny dokument. Z uśmiechem wytłumaczył jej, że to poprzednia wersja jego woli, prowizorycznie sporządzona jakieś osiem lub dziewięć lat temu.

- Byłaś wówczas - ciągnął - raczej impulsywną młodą panną. Chciałem więc, o ile dobrze sobie przypominam, jakoś cię zabezpieczyć na przyszłość.

Madeleine wbiła w niego pytające spojrzenie. Colfaks ciągnął:

- Jak wiesz, lord Enfield był mi zawsze wiernym i drogim przyjacielem od chwili, gdy przed laty przybył do Nowego Orleanu. Pomyślałem sobie wtedy - bo skąd miałem wiedzieć, że się pobierzecie - że mógłby być najlepszym moim powiernikiem. Ufałem mu, tak jak ufam zresztą do tej chwili.

Skinęła głową.

- Sporządziłem więc dokument wstępny, w którym Desmond, wraz z dwoma innymi moimi przyjaciółmi, był współwykonawcą testamentu spisanego na twoją korzyść. We trzech mieli zarządzać całym twoim majątkiem. - Colfaks zmarszczył brwi. - Niestety, dwaj pozostali zmarli.

Potrząsnął siwą czupryną.

- Ale zbaczam z tematu. Prowizoryczny testament pozostawał w mocy przez siedem lat. Ostateczną wersję sporządziłem na kilka miesięcy przedtem, zanim poznałaś lorda Enfielda i ogłoszono wasze zaręczyny. Teraz już tylko ty jesteś moją dziedziczką.

Madeleine uśmiechnęła się.

- Jak zwykle pomyślałeś o wszystkim - powiedziała. - Mój spadek pozostawał bezpieczny przez te lata.

- To prawda - odparł. - Zapamiętaj kombinację zamka.

- Już zapamiętałam - oznajmiła i wyrecytowała cały szyfr z pamięci.

Colfaks promieniał zadowoleniem.

- Od początku wierzyłem, że jesteś rozsądną młodą damą.

Objęła go za szyję.

- Oczywiście, że jestem. Mam to na pewno po tobie.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Kiedy tylko Madeleine odzyskała siły, Armand de Chevalier przestał ją nawiedzać w snach. Wspomnienie o nim zbladło, a i poczucie winy nie dokuczało jej już tak bardzo. Ochoczo rzuciła się w wir przyjemności, oferowanych przez życie w Nowym Orleanie.

Lord Enfield z zachwytem patrzył na rumieńce barwiące jej policzki.

- Moja kochana - powiedział przy obiedzie - może chciałabyś się gdzieś wybrać dziś wieczorem? Powiedz tylko słowo.

- A nie będziesz się śmiał, gdy ci zdradzę moje najskrytsze marzenie?

- Ależ skądże! Nigdy się z ciebie nie śmieję - odparł z kurtuazją.

W szmaragdowych oczach Madeleine zamigotały wesołe iskierki.

- Chciałabym się wybrać do Le Circus de Paris! Widziałam plakaty rozwieszone w całym mieście. Avalina powiedziała mi, że codziennie przychodzą tam tłumy. Desmondzie, powiedz, że się zgadzasz.

Lord Enfield nie dał się długo prosić.

- Zatem do cyrku - zdecydował i ciepło się uśmiechnął. Chwilę później uroczą parę wysiadła z powozu na rogu

St. Ann's. Przeszli przez ulicę w stronę Jackson Square, tam, gdzie już gromadziła się pokaźna grupa widzów spieszących na przedstawienie.

Połykacze mieczy. Zjadacze ognia. Żonglerzy. Tresowane bestie. Klowni. Słowem - wszystko, czego dusza zapagnie, ku uciechu licznie przybyłej publiczności. Madeleine śmiała się i klaskała, rozradowana jak nigdy przedtem.

Mniej więcej w połowie spektaklu na arenę wyszedł konferansjer w czerwonym uniformie. Uniósł ręce, żeby nakazać ciszę.

- Mesdames et Messieurs, panie i panowie! - zawołał głośno, by wszyscy go słyszeli. - Naszym następnym wykonawcą jest człowiek o przeogromnej sile!

Wśród tłumu zapanowało niemałe podniecenie. Rozległy się okrzyki:

- Wielki Montro! Wielki Montro! Wielki Montro! Konferansjer raz jeszcze nakazał zupełną ciszę i zapowiedział:

- Oto moment, na który wszyscy czekali! Z ogromną przyjemnością przedstawiam państwu jedyne w świecie, wspaniałego Wielkiego Montro!

Na środek areny wyszedł prawdziwy olbrzym, witany huraganem braw, gwizdów i głośnych krzyków. Nie miał na sobie nic oprócz pary szerokich lnianych spodni. Był nagi do pasa i bosy.

Madeleine, tak jak wszyscy otaczający ją widzowie, ze zdumieniem patrzyła na olbrzyma. Węzły mięśni pulsowały na jego ogromnych ramionach i mamuciej klatce piersiowej. Odwrócił się powoli, jakby chciał, żeby wszyscy dokładnie zobaczyli jego muskularną postać.

Jak na ironię losu, twarz miał okrągłą i gładką jak buzia dziecka. Zupełnie nie pasowała do reszty. Zmierzwione na czubku głowy włosy jeszcze bardziej upodobniały go do niesforemego chłopca. Uśmiechał się nieśmiało, jakby zakłopotany tą ogólną wrzawą.

Otoczony przez czterech roześmianych kłownów, bez zbędnych wstępów przystąpił do pokazu. Kłowni przez krótką chwilę usiłovali płatać mu psikusy. Chwycił jednego z nich za nogi i na wyprostowanej ręce uniósł wysoko nad ziemię. Muskuly grały mu pod skórą.

Tłum wył z radości.

W kilka sekund Wielki Montro wyłapał wszystkich kłownów i trzymając ich w taki sam sposób jak pierwszego, bez większego trudu okrążył arenę. Huragan braw powitał jego wyczyn.

Przez całe pół godziny olbrzym dawał popis siły. Madeleine oklaskiwała go zawzięcie. Ani na moment nie oderwała wzroku od areny. Nie zauważyła, że lord Enfield z dużą rezerwą i wyraźnym znudzeniem obserwował występ siłacza.

Następnego ranka przy śniadaniu Madeleine opowiedziała wujowi Colfaksowi i Avalinie o swojej wyprawie do cyrku.

Wypiła łyk orzeźwiającego soku ze świeżo wyciśniętych pomarańczy,

- A najlepszy z całego przedstawienia był występ siłacza, Wielkiego Montro. Nie uwierzycie, co on potrafi!

Zdała im dokładną relację z tego, co widziała.

Colfaks uśmiechał się i kiwał głową. Madeleine na swój sposób wciąż jeszcze była dzieckiem. Bawiło go to. Z drugiej strony, miała też inne cechy, które nie zawsze budziły jego aprobatę.

Przede wszystkim była uparta. Nie zwróciła najmniejszej uwagi na cień zakłopotania, który pojawił się na czole jej wuja, kiedy powiedziała;

- Dziś rano pójdę na francuski targ.

- Nie, moja droga, obawiam się, że targ poczeka - przerwał jej Colfaks. - Mam dzisiaj ważną sprawę do załatwienia i nie będę mógł ci towarzyszyć.

- Bo nie musisz, kochany wuju - odparła. - Szczerze mówiąc, nawet tego nie oczekiwałam.

Zerknęła na ochmistrzynię, która właśnie nalewała Colfaksowi drugą filiżankę kawy.

- Avalina ze mną pójdzie - oznajmiła nieznoszącym sprzeciwu tonem.

Colfaks zmarszczył brwi, ale nie zaprotestował.

Madeleine i Avalina przeszły trzy przecznice dzielące dom Colfaksa od francuskiego targu rozłożonego na bulwarach. W tej części miasta wrzało jak w ulu - kobiety z koszykami w rękach kupowały soczyste owoce, bochny chleba i świeżo złowione ryby.

Madeleine zatrzymywała się niemal przy każdym straganie. Ciekawiło ją dosłownie wszystko, co było do sprzedania. Chłoneła dźwięki, widoki i zapachy. Wprost uwielbiała ten zatłoczony rynek, na który się schodzili przedstawiciele wszystkich nacji żyjących w Nowym Orleanie. Byli tu smagli francuscy Kreole, Hiszpanie, Niemcy, Irlandczycy i Amerykanie. Ludzie, którzy na co dzień wcale ze sobą nie rozmawiali, tu przechadzali się ramię w ramię i targowali o niższą cenę.

Uwagę Madeleine przyciągnął kram, na którym sprzedawano świeże i gorące beignets. Kupiła jedną dla siebie i drugą dla Avaliny. Przymknęła oczy z rozkoszy, jedząc słodkie ciasto grubo posypane cukrem - pudrem.

Było jej tam tak dobrze, że z niechęcią myślała o powrocie. Ale już od godziny wędrowała w palącym słońcu. Pot występował jej na czoło i miała zawroty głowy. Ze współczuciem popatrzyła na ochmistrzynię, dźwigającą ciężki kosz z zakupami. Postanowiła wracać i obydwie ruszyły w stronę domu.

Przeszły zaledwie kilkadziesiąt metrów, kiedy trzech oberwańców zjawilo się w pobliżu. Rzucali sprośne uwagi pod adresem hrabiny.

Jeden z nich, szpetny brutal, podszedł nawet tak blisko, że Madeleine poczuła odór dawno nie mytego ciała.

Z przerażenia serce podeszło jej do gardła.

- Wynoś się! - zawołała najbardziej władczym tonem, na jaki potrafiła się zdobyć w takiej sytuacji. - Wynoś się, powiadam, albo...

- Albo co, moja śliczna? - roześmiał się rzezimieszek. - Zemdlejesz i osuniesz mi się w ramiona?

Avalina klęła w łamanej francuszczyźnie, usiłując odstraszyć oberwańców. Madeleine rozejrzała się, szukając pomocy.

Pomoc nadeszła w postaci olbrzymiego młodzieńca, który okazał się nikiem innym jak siłaczem z Le Circus de Paris. Wielki Montro wyłonił się z pobliskiego zaułka. Nie ruszył nawet palcem. Wystarczyło, że stanął obok Madeleine z rękoma założonymi na piersiach, a trzech obwiesi momentalnie uciekło.

Kiedy zniknęli za zakrętem, odwrócił się, uśmiechnął do wystraszonych niewiast i powiedział głębokim, zadziwiająco miękkim głosem:

- Jestem Montro. Odprowadzę panie do domu. Kiwnęły w milczeniu głowami, wciąż przerażone i bardziej wdzięczne mu za ratunek, niż mógł to sobie wyobrazić.

Następnego dnia, gdy lady Madeleine i Avalina wyszły na poranny spacer, Montro już czekał na nie na ulicy.

- Montro! - zawołała zdumiona Madeleine. - Byłam przekonana, że cyrk dziś wyjeżdża z Nowego Orleanu.

- To prawda - odparł obojętnie - ale ja zostaję.

- Rozumiem - powiedziała. - Teraz idę z Avaliną do krawca i...

- Dopilnuję, by pani była zupełnie bezpieczna - wtrącił i tak też zrobił.

Od tego ranka łagodny olbrzym towarzyszył im w każdej przechadzce. Wkrótce też, bez żadnych zbędnych formalności, zaczął pełnić rolę eskorty hrabiny.

Madeleine z lekkim zdumieniem wysłuchiwała wuja, który bez protestu zezwolił, by Montro dołączył do szczupłego grona jego domowników. Co więcej, to on zaproponował, żeby olbrzym wprowadził się na stałe do pustej garconniere po drugiej stronie dziedzińca na tyłach posiadłości. Zaoferował mu godziwą pensję, o wiele wyższą, niż Montro mógł zarobić w cyrku.

Prawdę mówiąc, był bardzo zadowolony, że siłacz zamieszka w pobliżu. Nigdy nie wspomniał o tym siostrzenicy ani Avalinie, ale dręczyły go złe przeczucia. Bywały dni, że nachodził go strach, który trudno mu było odpędzić.

Miał wrażenie, jakby gdzieś wśród cienistych ulic, pod bogato zdobioną galerią jego domu, kryła się niewidzialna i niepokojąca groźba.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Ciepłego wrześniowego dnia pewien wysoki i smagły młodzieniec stanął na drewnianym pirsie portu w Hawanie na Kubie.

Był to Armand de Chevalier. Cierpliwie czekał na zezwolenie, żeby mógł wejść na pokład małego transportowca, który miał zawieźć go do Nowego Orleanu. Uśmiechał się jak zwykle. Wyrwany śmierci przez niewielki frachtowiec płynący na Kubę, nie protestował, kiedy się dowiedział, że jego następny postój wypadnie w Hawanie.

- Wszystko mi jedno! - zawołał ze śmiechem, wyłowiony z morza po kilku godzinach spędzonych w pasie ratunkowym, w słonej wodzie, pod palącymi promieniami słońca.

Teraz, po trzech tygodniach lenistwa i nudy w Hawanie, był gotów powrócić do cywilizacji.

- Senor - powiedział jeden z marynarzy i dał mu znak dłonią.

Armand pokiwał głową i wszedł po trapie, pogwizdując wesoło.

Ostatnie dni lata płynęły leniwie. Przez cały wrzesień w Nowym Orleanie było wilgotno i gorąco. Rozgrzana mgła znad okolicznych bagien wszystkim kleiła się do skóry.

Razem z upałem w mieście pojawiły się chmury bzyczących i krwiożerczych moskitów. Mieszkańcy dzielnic położonych najbliżej rzeki nawet nie próbowali kłaść się na nocny spoczynek, póki nie zaciągnęli nad łóżkiem moskitiery.

Plaga komarów była o wiele dokuczliwsza niż zazwyczaj, lecz Colfaks Sumner zdradził siostrzenicy, że miało to też dobre strony. Dzięki owadom zanotowano tylko kilka przypadków żółtej febry. Wuj Colfaks był przekonany, że roje moskitów „oczyszczają” pełne wylęgów powietrze nad moczarami i tym samym zmniejszają ryzyko epidemii.

- Naprawdę w to wierzysz? - z powątpiewaniem spytała Madeleine, gdy pewnego popołudnia siedli na ławce na zacienionym dziedzińcu.

- Oczywiście. Gdyby gorączka szalała tak jak w pięćdziesiątym trzecim, nigdy bym nie dopuścił, żebyś przyjechała do Nowego Orleanu. Wysiałbym cię na pewno gdzieś na plantację w górze rzeki lub zamknął w dom i nie wypuszczał pod żadnym pozorem. Wątpię, czy by ci się to spodobało.

- Na Boga, nie! Tak lubię codzienne spacerować. Colfaks ciągnął, jakby jej nie usłyszał:

- W pięćdziesiątym trzecim moskitów było tak mało że mogliśmy spać bez baire nad łóżkiem. Ale bronze jole przetoczył się przez miasto i zebrał ogromne żniwo. Beczki smoły płonęły dosłownie na każdym rogu. Ciemna chmura zakryła miasto. Dym gryzł w oczy i drapał w gardle. Dzwon katedry bił z każdym nowym zgonem. Wszystkim się wydawało, że nigdy nie zamilknie. Głuchy jęk rozbrzmiewał ciągle, dniem i nocą.

- Tobie nic się nie stało, bo już dużo wcześniej chorowałeś na żółtą febrę, prawda?

- Tak. Jestem na nią odporny od lata... od lata... - Smutno pokręcił głową, umilkł i oczy zaszyły mu łzami.

Madeleine wiedziała, że przypomniał sobie straszne lato tysiąc osiemset szesnastego roku i zmiany, które wówczas zaszyły w jego życiu. Był młody i zakochany. Za żonę miał pojąć przepiękną Kreolkę. Kochał ją bez pamięci, lecz epidemia żółtej febry położyła kres ich szczęściu. Rozchorowali się oboje, ale tylko Colfaks przeżył. Dzień przed ślubem jego ukochana oddała ducha na jego rękach. Pochował ją w białej sukni ślubnej.

Colfaks podjął po chwili, jakby w ich rozmowie nie nastąpiła żadna przerwa:

- Tak, na szczęście zdołałem się uodpornić. Dlatego też w pięćdziesiątym trzecim nie uciekałem na plantację. Zachorowało wielu moich przyjaciół. Dobrze wiedziałem, że mnie potrzebują. Robiłem, co w mojej mocy, lecz, niestety, nie zawsze mi się to udawało.

- Wiem, że nie szczędziłeś sił i środków, by wszystkich uratować - odpowiedziała Madeleine i czule pogładziła go po dłoni. Potem szybko zmieniła temat.

- Desmond przychodzi do nas dzisiaj na kolację. Potem wybieramy się do teatru. Może pójdziesz z nami?

- Chyba innym razem - westchnął. - Muszę przeczytać kilka listów i napisać parę dokumentów.

- Nie mów później, że cię nie prosiłam - powiedziała z uśmiechem. Pocałowała go w policzek pobięła do siebie, żeby się przebrać.

W te wieczory, kiedy lord Enfield nie chadzał z Madeleine do restauracji albo do teatru, kolacje jadali wspólnie z wujem Colfaksem

w rezydencji przy Royal Street. Czasem zapraszał ich do siebie, do domu przy Dumaine Street.

Zawsze jednak, niezależnie od okoliczności i miejsca spotkania, earl, jak przystało na dżentelmena zatroskanego zdrowiem narzeczonej, żegnał się dosyć wcześnie. Wręcz nalegał, żeby Madeleine nadal sporo wypoczywała. Colfaks przyjmował to z zadowoleniem. Był rad, że siostrzenica poślubi tak troskliwego młodzieńca.

Madeleine ze swej strony z dużą dozą wdzięczności myślała o Desmondzie. Doskonale wychowany arystokrata. Wystarczał mu krótki całus na dobranoc i równie krótka pogawędka w różanym ogrodzie. Nie mogła pozbyć się poczucia winy. Co by pomyślał, gdyby wiedział o jej zachowaniu w towarzystwie niemal zupełnie obcego młodzieńca?

Pewnego razu po takim właśnie wieczorze Madeleine wróciła do siebie, pożegnawszy Desmonda pod porte cochere. Gdy weszła do pokoju, Avalina zerknęła na nią, a potem przeniosła spojrzenie na francuski zegar, stojący na gzymsie białego marmurowego kominka. Wpół do dziesiątej. Ochmistrzyni wydęta usta.

- Co? Co się stało? - ze zdziwieniem spytała Madeleine. Murzynka wzruszyła ramionami.

- Nic.

- Nie dam się oszukać - powiedziała Madeleine. - Coś ci się nie podoba. O co chodzi?

Avalina zrobiła nadąsaną minę.

- O to, że pan „zakochany” nadzwyczaj wcześnie żegna narzeczoną.

- Daj spokój. Desmond robi to ze względu na mnie! - Madeleine postanowiła bronić lorda. - Jestem mu za to bardzo wdzięczna.

Ochmistrzyni wzniosła oczy do nieba.

- Jeszcze potrzebna jestem panience na dzisiaj? - zapytała.

- Nie, dziękuję. Sama się rozbiore.

- W takim razie dobranoc, milady. - Odwróciła się i poszła do kuchni.

Madeleine przez chwilę spoglądała za nią. Odniosła wrażenie, że Avalina nie przepada za lordem Enfieldem. Ale dlaczego? Przecież Desmond był dla niej bardzo miły i od czasu do czasu dawał jej jakiś

prezent. Nie każdy w Nowym Orleanie tak traktował służących. Mimo to Avalina omijała go z daleka.

Madeleine westchnęła ciężko i poszła do siebie na górę. Było jeszcze za wcześnie, żeby się położyć. Wcale nie chciało się jej spać, wręcz przeciwnie, dręczył ją jakiś niepokój.

W dzień gorący klimat Luizjany działał na nią kojąco i sennie. Noce odwrotnie, wręcz prowokowały do ciągłego działania. Wilgotny zapach wieczoru, księżyc nad Missisipi, słodki zapach gardenii, dochodzące gdzieś z dala dźwięki banjo...

Madeleine podeszła do żelaznej bariery, otaczającej balkon wychodzący na ulicę i głęboko wciągnęła powietrze. Niemal z tęsknotą popatrzyła na tętniące życiem miasto.

Turkot kół wzbijał się w ciemne niebo. Po bulwarach przechadzały się całe grapy rozbawionych i roześmianych ludzi. O dziesiątej wieczór Miasto Półksiężycyca było pełne eleganckich par spieszących do teatru, do restauracji albo kasyna.

Wiele osób dopiero teraz wychodziło z domów. Avalina miała zupełną rację. Desmond pożegnał się za wcześnie. Powinien zostać dużo dłużej.

Madeleine zmarszczyła brwi i wróciła do sypialni.

Nie zapalając światła, zaczęła się rozbierać. I tak wiedziała, że nie zaśnie.

Ogarnęła ją nagła złość. Nerwowymi ruchami zdjęła suknię i sięgnęła po czystą koszulę nocną, położoną na łóżku przez Avalinę. Po chwili jednak pokręciła głową i rzuciła koszulę na krzesło. Upięła włosy w wysoki kok i zupełnie naga rzuciła się na łóżko. Starannie zaciągnęła baire, wytrzepała puchową poduszkę i położyła się na wznak.

Wbiła spojrzenie w satynowy baldachim jasną plamą mający nad nią w półmroku. Zrobiła głęboki wydech i rozprostowała długie, smukłe nogi. Poruszyła palcami u stóp. Przyrzekła sobie, że od tej pory będzie myślała tylko o Desmondzie i o latach, które spędzą razem.

Lord Enfield na pewno już dotarł do domu. Przecież mieszkał zaledwie parę przecznic dalej. Teraz, być może, przed spoczynkiem pił filiżankę herbaty.

Pogoda wreszcie uległa zmianie.

Minęło wilgotne i upalne lato. Nadeszła pogodna, lecz chłodniejsza jesień. Moskity uciekły przed zimnym powiewem wiatru od strony rzeki.

Pewnego chłodnego wieczora na początku października Madeleine dowiedziała się, że wraz z lordem Enfieldem weźmie udział w pierwszej maskaradzie, zaplanowanej na ten sezon. Przyjęła tę nowinę z wielką ekscytacją. Aż nie mogła usiedzieć na miejscu. W gruncie rzeczy pozbyła się wspomnień. Smagły kochanek przestał ją nawiedzać. Z trudem przypominała sobie jego rysy. Nawet imię Armanda de Chevaliera powoli stawało się dla niej jedynie pustym dźwiękiem.

Obiecała sobie, że będzie dobrą i kochającą żoną. Ze już nigdy w życiu nie spojrzy na żadnego mężczyznę poza lordem Enfieldem.

Właśnie skończyła się ubierać na bal. Stała przed lustrem i z uśmiechem popatrzyła na swoje odbicie. Nikt poza służącą jej pomocą Avaliną nie widział jeszcze tej sukni. Madeleine na czas maskarady miała stać się Julią - bohaterką tragedii Szekspira. Przygryzła usta, żeby stoły się czerwiejsze. Ciekawe, pomyślała z zadumą, czy earl przejrzał moje zamiary i pojawi się jako Romeo?

Tuż po ósmej wieczór rząd powozów stanął przed ogromnym St. Louis Hotel - jednym z najbardziej luksusowych hoteli we francuskiej dzielnicy. Fasadę budynku, pozbawioną wysuniętego portyku, zdobiło sześć smukłych kolumn. Zgodnie z tradycją nowoorleańską, każde piętro otaczała galeria z kunsztownie kutą żelazną balustradą. Hotel był imponujący, lecz o jego rzeczywistej klasie świadczyła ogromna, kryta kopułą rotunda, przez wielu uważana za ósmy cud świata.

Budynek stał pośrodku francuskiej dzielnicy. To tutaj zatrzymywali się ludzie interesu. Tu organizowano rozmaite spotkania i imprezy. To właśnie tutaj przedstawiciele miejscowej śmietanki towarzyskiej przybywali na liczne bals de societe, urządzone przez kreolską arystokrację.

Tego wieczora przed rotundą z błyszczących powozów wysiadały wspaniale wystrojone damy w towarzystwie dżentelmenów. Ciemnookie i jasnoskóre Kreolki tuliły się do najprzystojniejszych kawalerów w mieście.

Dzisiejszy bal należał do najważniejszych wydarzeń sezonu. Ściągała nań cała elita. W powietrzu wisiał ciężki zapach świeżo

ciętych kwiatów. Francuski szampan lał się strumieniami. Wyfraczona orkiestra przygrywała walca.

Lady Madeleine miała na sobie zwiewną suknię z dziewiczo białego szyfonu. Rude loki ukryła pod szpiczastym czepkiem zakończonym błyszczącą jedwabną szarfą.

Twarz przesłoniła zgrabną maseczką ozdobioną półszlachetnymi kamieniami. Podczas tańca połyskiwała niczym klejnot w ramionach lorda Enfielda, który przebrał się za Robin Hooda.

Wesoło pomachała ręką do Melissy Ann Ledette, która wybrała egzotyczny kostium Kleopatry, a jej partner - jeden z najprzystojniejszych młodzieńców w Nowym Orleanie - nosił burnus arabskiego szejka. Madeleine co chwila spotykała kogoś ze znajomych. Bawiła się znakomicie.

Prawdę mówiąc, pierwszy raz od dnia przybycia do domostwa wuja czuła się tak lekko i swobodnie.

Lecz nagle zimny dreszcz przebiegł jej po plecach. Po drugiej stronie zatłoczonej sali pojawił się wysoki, ciemnowłosy Romeo we wspaniałym kostiumie. Nie rozpoznała jego twarzy, ukrytej pod czarną maską, ale w jego postawie, ruchach i zachowaniu odnajdowała coś bardzo znajomego. Tańczył z niezwykłą gracją. Gibki i nonszalancki, miał w sobie coś z dzikiego zwierzęcia. W uszach Madeleine zabrzmiał dzwon na trwogę.

Głupia jesteś! - ofuknęła się w myślach.

Popatrzyła na Desmonda. Tańczyli przez kilka minut, kiedy - na znak dany przez wodzireja - nastąpiła zmiana partnerów. Madeleine wybuchnęła śmiechem, widząc zaskoczenie na twarzy lorda Enfielda, któremu przypadła w udziale niska i krągła Marion, o mocno kręconych loczkach i ramionach pulchniutkich jak dwa balerony. Roześmiana Madeleine zawirowała w tańcu i odwróciła się, by sprawdzić, kogo jej los przeznaczył.

Tuż przed nią stał wysoki, śniady i zamaskowany Romeo.

Czarne oczy błyszczały zuchwałe w otworach maski. Obcy uśmiechnął się zwycięsko, wyciągnął rękę do partnerki i czekał na jej przyzwolenie.

Madeleine oddychała z trudem, serce waliło jej jak oszałałe. Zaczęli tańczyć w takt muzyki.

- Kim jesteś? - zapytała.

- Nie wiesz, Julio? - odparł pytaniem. - Jam twój dzielny i przystojny Romeo.

Znała ten głęboki głos, ale nadal nie była pewna. Przecież to niemożliwe! - powtarzała w myślach. On nie żyje. Utonął. Jakim cudem mógłby pojawić się nagle w Nowym Orleanie, na balu w St. Louis Hotel?

W tej samej chwili Romeo pochylił głowę i szepnął jej do ucha te same słowa, które kiedyś, bez zastanowienia, wypowiedziała na tonącym statku:

- Kochaj się ze mną.

Madeleine zaniemówiła z przerażenia. Zaparło jej dech w piersiach. Nie wiedziała, co ma odpowiedzieć. Armand de Chevalier w lot wykorzystał nadarzącą się okazję. Równie zręcznie, jak na transatlantyku, tanecznym krokiem wyprowadził ją z zatłoczonej i przegrzanej sali na pusty kamienny taras.

Tu powtórzył to samo co wówczas w kajucie:

- Pocałuj mnie, hrabino. Tylko ten jeden pocałunek.

Pocałował ją, zanim zdążyła zaprotestować. Była oszołomiona. Nie potrafiła zebrać myśli. Armand uniósł głowę, rozejrzał się i szybko pociągnął Madeleine w ustronne miejsce ukryte w cieniu dwóch wysokich kamiennych filarów.

Zamknął ją w objęciach i znów pocałował.

Madeleine miała wrażenie, że jej ciało rozpływa się w ogniu jego pieszczot. Nikt inny nigdy nie całował jej w ten sposób. Nie wykrzesła w sobie tyle siły, żeby choć trochę się opierać. Żadne nie zdjęło maski. Ciemnowłosy Romeo i złocistoruda Julia stali samotnie na zimnym, omiatanym wiatrem balkonie, wtuleni w siebie niczym kochankowie, których przeznaczenie znowu zbliżyło ku sobie po długiej rozłące.

Trwali tak, złączeni namiętym pocałunkiem. Z trudem łapali oddech. Armand zrobił krótką przerwę i znowu zaczął ją całować. Namiętność powoli brała górę nad rozsądkiem.

Gdy jednak ciepła dłoń Armanda spoczęła na kształtnej piersi Madeleine, dziewczyna drgnęła, jakby obudzona z głębokiego snu i wróciła do rzeczywistości. Odepchnęła rękę kochanka i próbowała się uwolnić z jego objęć.

- To ty? - zawołała. - Co tu robisz? Myślałam...

- Że utonąłem? - odpowiedział. Ciaśniej objął ją w talii.

- Tak! - niemal krzyknęła. Energicznie oderwała jego ręce od swojego ciała.

- Kto jak kto, hrabino, ale pani chyba powinna najlepiej wiedzieć, że nie tak łatwo mnie zgładzić - odparł z beztroskim uśmiechem i zdjął maskę.

Popatrzyła na niego. Bezwiednie wstrzymała oddech i rozchyliła usta. Zapomniałam, jaki on jest przystojny, pomyślała. Ten wzrost, ta oliwkowa cera, te błyszczące ciemne oczy, prosty nos i zmysłowe usta.

Widok Armanda, jego bliskość i smak pocałunków sprawiły, że z nową mocą odżyły w mej wspomnienia z tonącego statku.

A wraz z nimi powrócił wstyd i głębokie poczucie winy.

Zmieszana i zapłonią Madeleine powiedziała szybko:

- Musi pan wiedzieć, panie de Chevalier, że jestem zaręczona i ustalono już datę ślubu.

- Tak szybko o mnie zapomniałaś - zawołał i pokręcił głową z niedowierzaniem. - Sprawiałaś mi tym prawdziwą przykrość. Zraniłaś mnie. - Z tymi słowami przyłożył rękę do lewej piersi, na wysokości serca.

Nie zwróciła na to najmniejszej uwagi.

- Jeśli ma pan choć odrobinę przyzwoitości, to na pewno. .. Musi mi pan obiecać... - wyjąkała. - Przecież żaden dżentelmen...

- Mogła się pani przekonać, że nie wcale jestem dżentelmenem - przerwał jej gładko.

Zaniemówiła. Przez chwilę zaciskała usta, a jej oczy miały błyskawice.

- Ach ty... ty zuchwalcze, niegodziwcze! - Nagle zaszlochała. Odwróciła się, żeby odejść. - Mów sobie, co zechcesz!

- Bez obaw, hrabino - zawołał za nią Armand. - Nie zdradzę pani tajemnicy.

Nie była tego taka pewna.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Tego samego październikowego wieczoru w rezydencji przy Royal Street Avalina czekała w holu, trzymając płaszcz Colfaksa Sumnera. Stojący zegar wydzwonił właśnie dziewiątą. Ochmistrzyni stała tak już od kwadransa. Zastanawiała się, co mogło zatrzymać jej pryncypała. Zaczęła się niepokoić.

Spóźnił się, wracając z biura. Teraz też się spóźnił na wieczorną galę. To było zupełnie do niego niepodobne.

Colfaks wybierał się na bal razem z Madeleine i lordem Enfieldem. Spóźnił się, więc powiedział, żeby nie czekali i że dojedzie potem, jak tylko będzie gotów. Zgodzili się i wsiedli do powozu, eskortowani przez Wielkiego Montro.

Od tamtej pory minęła już ponad godzina, a Colfaks wciąż przebywał w swoim gabinecie. Niepokój Avaliny wzrastał z każdym tyknięciem zegara. Wielki Montro wrócił czterdzieści pięć minut temu i teraz cierpliwie czekał przy drzwiach, żeby towarzyszyć Sumnerowi do hotelu.

Avalina fuknęła pod nosem i odwiesiła czarny płaszcz na wieszak. Wsparła ręce na biodrach i energicznym krokiem pomaszerowała do pokoju pana domu.

Zatrzymała się przed zamkniętymi drzwiami. Zastukała i zawołała głośno:

- Do tej pory to nawet największa strojnisia zdążyłaby przymierzyć wszystkie suknie z szafy! Późno już! Najwyższa pora.

Drzwi szczęknęły cicho i w progu stanął Colfaks. Co prawda, był w wieczorowym stroju, ale wyglądał nieszczególnie. Błady i jakby zamyślony. Ochmistrzyni natychmiast zapomniała o gniewie.

- Colfaksie? - powiedziała, zwracając się doń po imieniu, co robiła tylko wówczas, kiedy byli sami. - Co się stało?

- Nic - odparł. Popatrzył na czarną służącą, która od lat była mu najwierniejszą przyjaciółką i powiernicą. Uśmiechnął się z przymusem. - Chyba na starość robię się niezdarny.

- Źle wyglądasz, Colfaksie. Zostań lepiej w domu. Położysz się trochę wcześniej.

Pokręcił siwą głową.

- Obiecałem Madeleine, że przyjadę.

Zakasłał, a potem dodał pozornie niedbałym tonem:

- Montro już wrócił?

- Oczywiście. Od dawna czeka na dziedzicu.

- Och, to dobrze - ucieszył się Colfaks. Avalina zauważyła cień ulgi w jego głosie.

Najwyraźniej obawiał się czegoś - a to zdenerwowało ją jeszcze bardziej.

Razem przeszli do frontowych drzwi. Ochmistrzyni zdjęła płaszcz z wieszaka i zarzuciła go Colfaksowi na ramiona. Spostrzegła, że krzepki zazwyczaj starszy pan tym razem zadrżał mimo woli.

Stała przed nim i popatrzyła mu głęboko w oczy.

- Dzieje się tu coś złego, Colfaksie. Trzęsiesz się. Mówiła cicho, a w jej wielkich oczach widniała nieklamana troska.

- Zdarza się, że jesienią duchy wyłazą z ciemnych kątów - odparł Colfaks, siląc się na wesołość. - Dobranoc, Avalino. Muszę już jechać.

- Uważaj na siebie, dobrze?

- Bądź spokojna.

Kiedy wyszedł, ochmistrzyni pobiegła do swojej garconniere. Weszła do sypialni i klękła przed ciężkim dębowym kufrem. Podniosła wieko i wysunęła najniższą szufladę. Przez chwilę przetrząsała zimowe ubrania. Wreszcie znalazła małą aksamitną sakiewkę, zawiązaną tasiemką.

Zerwała się z kolan, wybiegła z pokoju i popędziła z powrotem przez dziedziniec. Od razu poszła do sypialni pana domu. Z sakiewki wyjęła amulet, który dostała przed wieloma laty od potężnej szamanki voodoo. Cicho wyszeptała kilka starych zaklęć z nadzieją, że czarna magia zażegna groźbę wiszącą nad domem i jego mieszkańcami. Ostrożnie umieściła amulet pod łóżkiem Colfaksa Sumnera.

Potem pchnęła podwójne drzwi i wyszła na balkon od strony ulicy. Tu rozsypała nieco magicznego proszku. Powtórzyła swoje egzorcyzmy na balkonie od strony dziedzińca. Na wszelki wypadek szczyptę proszku rzuciła na każdy parapet.

Wyszła z sypialni, zeszła na dół i całą ceremonię odprawiła przy drzwiach frontowych. Przez cały czas zawodziła cicho pradawne pieśni. Nie przestała, dopóki nie obeszła wszystkich pokoi. Wszędzie po jej pobycie na drzwiach i oknach zostawały nikłe ślady magicznego pyłu.

Colfaks z pewnością by ją wyśmiał. A niech mu tam! Nic jej to nie obchodziło. Wierzyła w siłę voodoo i wiedziała, że jej obowiązkiem jest bronić pryncypała od wszelkich niebezpieczeństw.

Zaciągnęła tasiemkę sakiewki, rozejrzała się i z aprobatą pokiwała głową. Była już dużo spokojniejsza.

Colfaks mógł czuć się bezpiecznie.

Przynajmniej we własnym domu.

Lady Madeleine wróciła na salę balową. Tu przystanęła, oparta się o ścianę i przez chwilę stała bez ruchu, próbując się uspokoić. Błada i roztrzęsiona, nerwowo wodziła wzrokiem wśród tłumu, lecz nigdzie nie dostrzegła lorda Enfielda. Zamiast niego ujrzała wuja, który, mocno spóźniony, wszedł właśnie na salę i tak serdecznie witał się z Armandem de Chevalierem, jakby nagle odnalazł utraconego syna.

Madeleine z szeroko rozwartymi oczami przypatrywała się tej scenie.

Drgnęła, kiedy wuj skinął na nią dłonią. Chciał, żeby podeszła? W gruncie rzeczy nie miała żadnego wyboru. Gdyby mu odmówiła, od razu wzbudziłaby podejrzenia. Dobry Boże, jak to się stało, że wciąż nie mogła wyplątać się z kłopotów?

Wzięła głęboki oddech i nieco sztywnym krokiem zbliżyła się do wuja.

- Moja droga - z szerokim uśmiechem odezwał się Colfaks - chcę ci przedstawić dobrego przyjaciela.

Ostrożnie zerknęła na Armanda i zobaczyła szelmowski błysk w jego oczach. Miała ochotę go udusić.

- Armandzie - z dumą zaczął Colfaks - poznaj moją uroczą siostrzenicę, lady Madeleine Cavendish. Madeleine - ciągnął wuj - to jest pan Armand de Chevalier, prawdziwy Kreol, którego przodkowie przed ponad stu laty przybyli z Francji do Nowego Orleanu.

- To dla mnie prawdziwy zaszczyt, lady Madeleine - powiedział Armand i lekko musnął ustami jej dłoń.

- Nie uwierzysz, kochanie, ale Armand płynął tym samym co ty nieszczęsnym statkiem! - dodał Colfaks.

Madeleine drgnęła ze zdumienia trochę bardziej, niż było trzeba głównie po to, żeby wyrwać rękę z dłoni de Chevaliera.

- Naprawdę? Co za przedziwny zbieg okoliczności!

- To cud, że oboje wyszliście z tego cało! - zawołał Colfaks. Zanim ktoś zdążył coś powiedzieć, spytał: - A może spotkaliście się gdzieś podczas rejsu?

Serce zamarło w piersi Madeleine. Przerazona, że Armand ją zdradzi, złożyła ręce i popatrzyła na niego błagalnym wzrokiem.

Nie musiała się jednak obawiać.

- Niestety, nie - odparł uprzejmie. - Nie miałem tej przyjemności.

- To niedobrze, bardzo niedobrze - mruknął Colfaks.

- Przyjacielu, jak tylko znajdziesz chwilkę czasu, wpadnij do nas na kolację.

- Choćby jutro - odparł. - Tak się składa, że nie mam nic do roboty.

- W takim razie bądź u nas o ósmej - zaproponował Colfaks i zerknął na siostrzenicę, wciąż wpatrzoną w Armanda. - Nie masz nic przeciwko temu, moja droga?

- Ależ skądże - odrzekła spokojnie i uśmiechnęła się chłodno, lecz Armand widział jej rumieniec i nie dał się oszukać.

Wuj Colfaks tymczasem zdążył już go powiadomić, że, niestety, piękna siostrzenica nie zabawi zbyt długo w jego rezydencji.

- Och, tak? - De Chevalier spojrzał na niego ze zdumieniem. - Krótka wizyta? - Przeniósł wzrok na Madeleine. - Wraca pani do Anglii, milady?

- Nie, nie. - Colfaks wyręczył ją w odpowiedzi. - Zostanie w Nowym Orleanie, ale nie ze mną. Po prostu jest zaręczona i na wiosnę wychodzi za mąż.

- Zatem życzę pani wszystkiego najlepszego - z galanterią powiedział Armand. Uśmiechnął się promiennie.

- A kimże jest szczęśliwy wybraniec?

- To Desmond Chilton, earl Enfield - burknęła niemal niegrzecznie.

Ze zdziwieniem ujrzała, że skrzywił się z niesmakiem. Trwało to jednak tak krótko, że nie była pewna, czy się nie pomyliła. Chyba coś jej się przywidziało. Przecież już na tarasie wspomniała mu o ślubie i wtedy nie bardzo się tym przejął.

Zesztywniała ze zgrozy, kiedy Armand - wcale nie speszony jej chłodnym zachowaniem - zwrócił się do Colfaksa:

- Czy pozwoli pan, żebym zatańczył z lady Madeleine?

Wuj dobrze znał swoją siostrzenicę. Parsknął śmiechem.

- Rzecz jasna, że pozwolę - powiedział - ale to nic nie znaczy. Ją spytaj, czy się zgodzi.

Armand nie zamierzał pójść za jego radą. Dobrze wiedział, że Madeleine nie zdoła mu odmówić. Po prostu delikatnie ujął ją za rękę, pociągnął na parkiet, skłonił się i wziął ją w ramiona.

Uśmiechnęła się promiennie wbrew temu, co czuła, i powiedziała cicho:

- Gdybyś miał choć trochę przyzwoitości i sumienia, to domyśliłbyś się, że wcale nie mam najmniejszej ochoty z tobą tańczyć.

- A dlaczego, hrabino? - De Chevalier błysnął zębami w diabolicznym uśmiechu. - Sądzisz, że mimo woli mogłabyś się zatracić?

Roześmiała mu się prosto w twarz.

- Mój ty Kreolu! Chyba się przeceniasz.

- Naprawdę? - odparł pytaniem i przyciągnął ją bliżej do siebie. Zbliżył usta do jej ucha i szepnął: - Chcesz powiedzieć, że serce ci nawet nie drgnęło na mój widok? Że nie lubisz, kiedy cię dotykam? Że nigdy nie wracasz wspomnieniami do tych cudnych chwil, które spędziliśmy razem na statku?

- Oszalałeś, de Chevalier - odpowiedziała, niemal nie panując nad złością. - Doznałeś pomieszania zmysłów. Obce ci są wszelkie zasady życia w naszym społeczeństwie ! Jesteś ohydny. Wulgarny, obrzydliwy, śmieszny, żałosny i... i...

- Niegrzeczny? - zapytał z aroganckim uśmiechem.

- To także! - wypaliła. - A teraz, jeśli łaska, pozwól mi odejść. Czeka na mnie mój narzeczony, lord Enfield.

- Boisz się mnie? - spytał z kpiącą miną. - A może boisz się samej siebie?

- Ja? - Spiorunowała go wzrokiem. - Niczego się nie boję, de Chevalier.

- W takim razie tańczmy do końca. Nie odezwę się już ani słowem.

Zgodziła się z ciężkim westchnieniem. Zaraz tego pożałowała. Kiedy z wolna sunęli po parkiecie w smugach światła padającego z olbrzymich żyrandoli, doświadczyła tych wszystkich uczuć, które wymienił Armand.

Serce z podniecenia biło jej jak oszalałe. Jego dotyk przyprawiał ją o dreszcz rozkoszy. Czuła, że krew uderza jej do głowy. Przypomniała sobie chwile uniesienia, które przeżyła w kapitańskiej kajucie na statku.

Muzyka przestała grać. Spłoniona Madeleine ledwie trzymała się na nogach. Miała wrażenie, że zemdleje. Armand wziął ją pod rękę i odprowadził do wuja, który stał po drugiej stronie sali, pogrążony w jakiejś rozmowie.

- Dziecko, ależ ty jesteś cała rozpalona! - z niepokojem zawołał Colfaks. - Dobrze się czujesz?

- Trochę się zgrzałam - odparta z bladym uśmiechem.

- Napij się czegoś - powiedział. - Zaraz ci przyniosę solidną porcję schłodzonego ponczu.

- Pójdę z tobą - zdecydowała, chwytając go za łokieć. Spojrzała na Armanda. - Pan wybaczy.

- Ależ oczywiście, lady Madeleine.

Colfaks Sumner uśmiechnął się do wysokiego młodzieńca.

- Nie zapomnij, że jutro masz być na kolacji.

- Na pewno nie zapomnę - solennie obiecał Armand.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Następnego wieczora, punktualnie o ósmej, Armand de Chevalier pojawił się w rezydencji przy Royal Street. W jednym ręku trzymał bukiet białych róż, w drugim - pudełko szwajcarskich czekoladek.

Wpuściła go Avalina. Madeleine, siedząc na kanapie, ze zdumieniem obserwowała, jak oschła zwykle służąca wesoło rozmawia z gościem. Armand ujął ją od pierwszego wejrzenia. Zachichotała jak pensjonarka, kiedy ją pocałował w czarną, spracowaną rękę.

- Róże dla lady Madeleine - oznajmił - ale czekoladki są wyłącznie dla ciebie.

Ochmistrzyni nie przestawała chichotać.

Madeleine zebrała się w sobie, żeby też powitać niechętnie widzianego gościa, Armand bowiem już zmierzał w jej stronę. Nonszalancki jak zwykle, zdawał się nie przejmować jej chłodną miną. Uśmiechał się. Był nienagannie ubrany, a jego gładko zaczesane, czarne włosy połyskiwały w świetle lampy niczym skrzydło kruka.

Serce Madeleine mimo wszystko zabiło przyspieszonym rytmem. Jaki wspaniały mężczyzna... Co za magnetyzm.

Z niechęcią musiała przyznać, że sam widok Armanda wystarczał, aby w pokoju, w którym się znajdował, zapanowała napięta atmosfera. Niewczesne myśli kołatały w niejednej kobiecej głowce.

- Cieszę się, chłopcze, że przyszedłeś. - Colfaks wstał z fotela, żeby przywitać się z Kreolem. - Chodź, chodź do nas. Wypijemy szklaneczkę tafii przed kolacją.

Armand wyraźnie podzielał jego upodobanie do mocnego rumu z trzciny cukrowej.

- Lord Enfield się odrobinę spóźnia. Powinien nadejść lada moment.

- Dobry wieczór, lady Madeleine. - Armand skłonił się szarmancko.

Niemal niedostrzegalnie pochyliła głowę. Ku jej zdumieniu, de Chevalier z miną niesfornego, lecz jednocześnie uroczonego chłopca, przeszedł przez pokój i zajął miejsce tuż obok niej na kanapie. Usadowił się wygodnie z ręką na oparciu i siedział tak, od niechcienia gawędząc z gospodarzem, do pojawienia się lorda Enfielda. Kiedy

Desmond przekroczył progi, Armand i Colfaks niespiesznie unieśli się na jego powitanie.

- Wydaje mi się, że się znacie - powiedział Sumner do Desmonda.

- Tak, to prawda. De Chevalier. - Lord z grzecznym uśmiechem wyciągnął rękę do gościa.

- Miło znów pana widzieć, lordzie Enfield - odparł Armand, ściskając mu prawicę.

- Moja kochana - Desmond natychmiast zajął się narzeczoną - wybacz mi spóźnienie.

- Oczywiście, że ci wybaczam - powiedziała i w jej oczach błysnęło zaskoczenie, gdy nagle wziął ją za rękę, uniósł z kanapy i uściskał na oczach wuja i gościa.

Colfaks aż poczerwieniał z radości.

- No, no... - mruknął z udawanym zmieszaniem. - Starczy tych karesów przed kolacją. Siadajmy do stołu.

Zerknął na Armanda.

- Trzeba im wybaczyć. Są tak zakochani, że czasem zapominają o całym bożym świecie.

Roześmiał się z całego serca.

Armand mu zawtórował.

Przeszli do oświetlonej świecami jadami. Madeleine usiadła naprzeciwko Armanda, obok Desmonda. Już po minucie uznała, że to nie był najlepszy wybór. Gdyby de Chevalier siedział koło niej, nie musiałaby na niego patrzeć. Tak zaś, ilekroć podniosła głowę, widziała jego urodziwą twarz, jeszcze ciekawszą w blasku świecy. Mimo woli patrzyła na czarne włosy i smukłe palce trzymające srebrny widelec lub kieliszek wina.

Nie uszło także jej uwagi, że i Armand na nią spoglądał. Nie raz, nie dwa, jego spojrzenie musnęło jej postać. Żałowała po cichu, że nie włożyła jakiejś skromniejszej sukni. Ta, którą nieopatrznie wybrała, z turkusowej wełny. miała głęboki dekolt w kształcie litery V i zbyt mocno odsłaniała piersi.

De Chevalier już to zauważył. Madeleine ze zdenerwowania zaczęła szybciej oddychać, a to tylko wzmogło jej zakłopotanie. Cierpiała prawdziwe katusze. Miała szczerą ochotę wziąć serwetkę ze stołu i zakryć sobie dekolt.

Oczywiście takie zachowanie nie wchodziło w rachubę w towarzystwie. Ponadto odezwała się w niej duma Cavendishów. Niech żaden źle wychowany Kreol nie myśli, że się choć trochę krępuję! - powiedziała sobie w duchu. Mam piękny biust i wcale nie muszę się tego wstydić.

Ukradkiem spojrzała na wuja, czy czegoś nie zauważył, lecz on był pochłonięty rozmową z Desmondem. Nawet nie patrzył w jej stronę. Potrząsając widelcem, tłumaczył coś zawzięcie, a lord Enfield w zadumie potakująco kiwał głową.

Madeleine przymknęła szmaragdowe oczy i zatrzepotała rzęsami, żeby jeszcze bardziej zwrócić na siebie uwagę Armanda. Udało jej się. Usiadła prosto i lekko ściągnęła ramiona, tak że łokciami prawie dotknęła pluszowego oparcia krzesła. Wonie swobodnie złożyła na kolanach, a potem wzięła długi i głęboki oddech. Przy tym pozornie naturalnym geście jej pełne piersi napięły cienki materiał stanika.

Przez twarz hrabiny przemknął triumfalny uśmiech, kiedy dostrzegła błysk pożądania migoczący w czarnych oczach Armanda. De Chevalier odruchowo sięgnął po kieliszek z winem.

Flirt? Jeszcze zobaczysz, mój smagły przyjacielu. Madeleine z ukosa spojrzała na gościa i zajęła się lordem Enfieldem.

Lecz jej zwycięstwo było krótkotrwałe. Za namową wuja Armand zaczął opowiadać o katastrofie i związanych z tym wydarzeniach. Madeleine z napięciem słuchała jego głębokiego i melodyjnego głosu. Siedziała jak na szpilkach. Wcale nie była pewna, czy Kreol dotrzyma tajemnicy. Wprawdzie na balu jej nie zdradził, ale... Może teraz opowie, co się wtedy stało? Obojętnym tonem napomknął od niechcienia, że nie tylko się znają, ale nawet... hmmm... spędzili wspólnie sporo czasu na tonącym statku.

Na całe szczęście opowieść Armanda przerwała Avalina, wkraczając do jadalni z wielką srebrną tacą. Madeleine odetchnęła z ulgą i po cichu podziękowała opatrności.

Jeśli zaś chodzi o kolację, to tym razem ochmistrzyńni przeszła samą siebie.

Przygotowała bowiem nie jedną, ale dwie przystawki i tyle smakowitych potraw, że po pewnym czasie Madeleine zupełnie straciła rachubę. Z szerokim uśmiechem Avalina nałożyła Armandowi na talerz kopiastrą porcję własnoręcznie przyrządzonego gumbo, czyli

bogatej mieszanki krewetek, krabów, kawałków szynki i ostrych przypraw podawanych na grubej warstwie ryżu.

Potem przyniosła tłustą pieczoną kaczkę, obficie polaną gęstym, brązowym sosem. Madeleine wiedziała, że to jedno z ulubionych dań Desmond. Armand z kolei nie umiał oderwać się od pikantnego gumbo. Skąd Avalina mogła tak dobrze znać jego upodobania?

Madeleine nigdy nie przepadała za pieczoną kaczką.

Wolała gumbo, zwłaszcza takie, które wyszło spod ręki Avaliny. Dzisiaj jednak, na przekór sobie, wybrała kaczkę. Przecząco pokręciła głową, kiedy ochmistrzyni podsunęła jej gumbo. W ten sposób chciała podkreślić, że nic a nic nie łączy jej z de Chevalierem.

Mężczyźni jedli, jakby od tygodnia nie mieli nic w ustach. Tylko Madeleine straciła apetyt. W duchu pragnęła, żeby kolacja jak najszybciej dobiegła końca. Żeby Kreol już sobie poszedł i uwolnił ją od swojego towarzystwa. W pewnej chwili zauważyła, że jej osoba stała się przedmiotem rozmowy. Armand ze swobodą włączył się do pogawędki.

A żebyś szczeł, hultaju! - pomyślała. Nie dość, że siedzisz sobie przy jednym stole z Desmondem, to jeszcze masz czelność w ogóle się odzywać? Wcale ci nie przeszkadza, że wkrótce wychodzę za lorda? Wstydu nie masz?

Chyba nie miał.

Konwersacja zesła na inne tematy. Desmond też bawił się doskonale. Wuj Colfaks, zawsze łasy na wszelkie rozrywki, był w siódmym niebie. Dowcipkowali, a Madeleine tymczasem przeżywała katusze. W dodatku nikt nie zwracał na nią najmniejszej uwagi. Żaden z mężczyzn nie wiedział, że najchętniej zerwałaby się z miejsca i zaczęła krzyczeć.

Wreszcie, mniej więcej po godzinie, kolacja dobiegła końca. Cała czwórka wstała od stołu i niespiesznym krokiem z powrotem przeszła do salonu. Desmond i Madeleine szli przodem, Colfaks i Armand za nimi. Madeleine uśmiechała się, przekonana, że to już kres koszmaru.

Niestety, myliła się.

- Jeszcze dość wcześnie - usłyszała głos wuja. - Wypijmy więc nieco brandy do kawy i jeszcze trochę pogawędźmy.

Madeleine wstrzymała oddech, modląc się w duchu, żeby Kreol odmówił i poszedł.

- Uwielbiam brandy - oznajmił Armand. Nie musiała na niego patrzeć, aby wiedzieć, że przy tych słowach znów w jego oczach zajaśniały przekorne ogniki.

Trzej dżentelmeni zasiedli w fotelach z kieliszkami koniaku w dłoniach. Madeleine zadowolona się likierem morelowym. Usłyszała, że zegar w holu wybił dziesiątą. Czy Kreol zamierzał tu nocować?

Jak dotąd, nic nie wskazywało na to, że chce się pożegnać.

Siedział wygodnie rozparty, roześmiany i coś opowiadał gospodarzowi i Desmondowi.

Było już dobrze po jedenastej, kiedy wstał i powiedział:

- Nie wiedziałem, że już tak późno. Serdecznie proszę o wybaczenie. Chyba się zasiedziałem.

- Ależ skądże! - zapewnił go Colfaks.

- To był cudowny wieczór - oznajmił Armand, potrząsając dłonią starszego pana. - Z całego serca dziękuję za zaproszenie.

- Wpadaj tu, kiedy tylko zechcesz, chłopcze - z uśmiechem odparł Colfaks i przyjacielsko klepnął go po plecach. - Obiecuj, że wkrótce zajrzysz.

Madeleine i Desmond także wstali, żeby się pożegnać. Armand powiedział im "dobranoc" i po chwili już go nie było.

Colfaks stłumił ziewnięcie.

- Dawno powinienem być w łóżku - rzekł. - Dobrej nocy, dzieci.

- Dobranoc - odpowiedzieli chórem.

- Odprowadzisz mnie do powozu? - Desmond popatrzył na Madeleine. Skinęła głową.

Nie przeszli jednak od razu przez dziedziniec. Desmond powiódł narzeczoną do żelaznej ławki stojącej w ogrodzie. Kiedy usiedli, wziął w ramiona i pocałował - o wiele mocniej, niż miał to dotychczas w zwyczaju.

Mimo to jego pocałunek wypadł bardzo blado w porównaniu z ognistymi pocałunkami Armanda de Chevaliera.

- Wspaniały wieczór, prawda?

- Owszem. Pan de Chevalier był bardzo zabawny - odpowiedziała. - Dobrze go znasz, Desmondzie?

Uśmiechnął się.

- A ty? - zapytał nieoczekiwanie. Madeleine wpadła w popłoch.

- Ja? Wcale go nie znam! Po raz pierwszy spotkałam go na maskaradzie.

Miała nadzieję, że nie spadnie na nią grom z jasnego nieba za to bezczelne kłamstwo.

- Bądź przy nim ostrożna, kochanie. To wilk w owczej skórze.

- Wilk? Co chcesz przez to powiedzieć? Desmond z uśmiechem pokręcił jasną głową.

- Lubię de Chevaliera. Jest towarzyski i potrafi się dobrze bawić. Lecz to typowy Kreol: leniwy i pozbawiony zasad, dbający wyłącznie o siebie. Czasami zachowuje się wręcz skandalicznie. Jego jedynym celem, jak mi się wydaje, jest spędzić życie na samych przyjemnościach. Poza własną osobą nic go nie obchodzi.

Madeleine czuła, że serce bije jej przyspieszonym rytmem.

- Skoro tak, to dlaczego wuj... - zaczęła cicho. Desmond roześmiał się.

- De Chevalier mógłby się wywinąć od najgorszej zbrodni. Taki już jest, i tyle. Colfaks, jak wszyscy inni, po prostu przymyka oko na jego liczne wady. Mnie też to nie przeszkadza, bo nie zamierzam wchodzić z nim w żadne układy. Pan de Chevalier to nie najlepszy partner w interesach. Wolę się trzymać z dala.

Madeleine z napięciem słuchała tych wywodów. Ze słów Desmonda wyraźnie wynikało, że Armand de Chevalier jest dokładnie taki, za jakiego od samego początku go uważała. Lekkoduch. Awanturnik. Prawnik, który zbił majątek, prowadząc „The Beaufort”, jedno z największych kasyn w Nowym Orleanie.

Desmond dodał na koniec, że pieniądze z hazardu pan de Chevalier inwestował z korzyścią w szczytniejsze przedsięwzięcia i że z tego czerpał też niemały profit.

Madeleine powstrzymała się od wszelkich uwag. Nie chciała, aby lord Enfield nabrał choćby najmniejszych podejrzeń, że w jakimś stopniu ciekawi ją osoba Armanda. Ale Desmonda wcale nie trzeba było zachęcać, żeby opowiedział coś więcej o Kreolu.

- Monsieur Armand jest tak bogaty, że utrzymuje kilka domów. Słyszałem, że ma luksusowy pałac nad kasynem. Do tego wynajmuje piękny apartament w nowo zbudowanym budynku Pontalba na Jackson Square. W Pontchartrain postawił willę nad jeziorem. - Lord Enfield pokręcił głową. - A w górze rzeki ma wielką plantację, całkiem blisko plantacji twego wuja.

- Spory majątek - zauważyła Madeleine.

- Bez wątpienia. Łatwiej jednak dojść do bogactwa, kiedy się nie dba o metody - westchnął Desmond.

- To prawda - odparła. Zauważyła ton niechęci, czający się w jego słowach.

- De Chevalier nie tylko lubi zarabiać pieniądze. Z równą ochotą je wydaje. Dlatego też bez przerwy otacza go wianuszek pięknych i namiętnych kobiet.

- Wiele ich było? Desmond skinął głową.

- Rzadko jest widywany bez jakiejś bladolicej kreolskiej ślicznotki u boku. Lecz żadnej z nich, jak do tej pory, nie zatrzymał przy sobie na dłużej. Nie mają dla niego znaczenia. Traktuje je jak zabawki, nie dbając o ich uczucia. Gdy jedna mu się znudzi, rozgląda się za następną.

- Bezduzny łajdak! - oburzyła się Madeleine. W duchu błagała Boga, aby nigdy nie wyszło na jaw, że i ona przez krótką - zbyt krótką - godzinę była zabawką uwodzicielskiego Kreola.

- Też tak myślę. Ale to nie nasz kłopot, prawda?

- Nie. Na pewno nie.

- Pocałuj mnie na dobranoc. Już późno. Musimy się pożegnać.

Madeleine stała w blasku księżyca i patrzyła, jak powóz earla mijał frontową bramę i zniknął za rogiem ulicy. Podziękowała w myślach łaskawej opatrności, że już niedługo lord Enfield miał stać się jej mężem. Był taki czuły i szlachetny, taktowny i kochający.

W niczym nie przypominał zepsutego do szpiku kości Armanda de Chevaliera.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Listopad ciężką, zimną i wilgotną chmurą zawisł nad Nowym Orleanem. Długie i ciepłe letnie popołudnia należały już do przeszłości. Słoneczne niegdyś niebo Luizjany straciło swą niebieską barwę, stając się szare i ponure. Na bulwarach najczęściej zalegały nieprzyjemne opary mgły ciągnącej znad rzeki.

Chłodny wiatr rozwiewał zwiędłe liście na dziedzińcach i chodnikach. Wesole ściany malowanych na żółto i zielono domów we francuskiej dzielnicy utraciły część swojego blasku. Wszystko dokoła wydawało się smętne i szare.

Odczuwalna zmiana pogody nie miała najmniejszego wpływu na usposobienie rodowitych mieszkańców Nowego Orleanu, takich jak Armand de Chevalier. Klimat starego kolonialnego miasta doskonale pasował do jego upodobań. Ciepłą, słoneczną wiosną wszystko wokół rozkwitało jak w raju. Długie, upalne dni lata niosły ze sobą leniwe ukojenie i pozwalały zebrać siły na spotkanie jesieni. Jesień zaś i zima wionęły chłodem, lekko usypiały i nastrojały optymizmem, że za chwilę znów będzie wiosna.

Pewnego listopadowego wieczoru Armand de Chevalier stał prawie nagi, tylko w ręczniku owiniętym wokół bioder, w łazience eleganckiego apartamentu na piętrze Pontalby przy St. Peter Street. Przed chwilą wyszedł z kąpeli, a teraz podśpiewywał po cichu przy goleniu. Przewidywał bardzo udany wieczór.

Ogolił się, a potem starannie wyszczotkował włosy, zwłaszcza na skroniach. Odłożył szczotkę na marmurową półkę i chciał odwrócić się od lustra.

Ale zatrzymał się w połowie ruchu.

I uśmiechnął.

Wyciągnął rękę w stronę spłowiałej i zniszczonej przez morską wodę niebieskiej satynowej podwiązki, która wisiała na złotym liście zdobiącym ramę zwierciadła. Zdjął ją ostrożnie, jakby przy najmniejszym ruchu miała się rozpaść na milion kawałeczków. W czarnych oczach Armanda zapłonęły przekorne ogniki. Wsunął podwiązkę na rękę i podciągnął ją aż do połowy muskularnego ramienia.

Nie rozstawał się z nią od czasów sierpniowego sztormu zakończonego katastrofą transatlantyku. Od chwili gdy zdjął ją ze zgrabnej nóżki Madeleine Cavendish. Miał ją na ręce, kiedy niemal

cudem wyratowano go z bezkresnego morza. Stała się dlań talizmanem, chroniącym go przed nieszczęściem.

Bez niej nigdy nie wychodził z domu.

Czasami, tak jak dzisiaj, nosił ją na ramieniu. Innym razem na łydce, tuż nad kostką. Gdy sytuacja wykluczali oba te rozwiązania, wkładał ją do wewnętrznej kieszeni płaszcza lub do kieszeni spodni. Podwiązka Madeleine towarzyszyła mu we wszystkich bliższych i dalszych wyprawach.

Armand ponownie zerknął w lustro. Zobaczył półnagiego, śniadego mężczyznę, z damską podwiązką na ramieniu. Zabawny widok. Omal nie wybuchnął śmiechem. Naiwniak z ciebie! - pomyślał i poszedł się ubierać.

Włożył świeżo wypraną bieliznę i białą koszulę z fantazyjnym żabotem. Do tego krawat z najprzedniejszego czarnego jedwabiu i spinki z onyksu oprawionego w złoto. Potem skarpetki i buty z lakierowanej skóry. Zaprasowane w kant czarne spodnie i peleryna, zarzucona na ramię pod odpowiednim kątem.

Armand de Chevalier był gotów, żeby spędzić wieczór w kasynie „The Beaufort”.

Lekko rozprostował ręce, żeby wysunąć śnieżnobiałe mankiety spod poły peleryny i przeszedł do salonu. Pomimo przenikliwego chłodu podwójne drzwi balkonowe były otwarte na oścież. Armand nalał sobie szklaneczkę burbona z Kentucky i wyszedł na galerię.

Zmrużył oczy, chcąc przebić wzrokiem gęstniejącą mgłę wieczoru. Zimny opar przyłgnał do jego świeżo wygolonych policzków, lecz wcale mu to nie przeszkadzało. W dali widział niewyraźne zarysy ogromnego konnego pomnika Andrew Jacksona, wzniesionego niedawno przez baronessę Micaelę de Pontalba na środku placu paradnego Vieux Carre”. Nazwę placu zmieniono na Jackson Square na cześć bohatera bitwy o Nowy Orlean w 1815 roku. Armand jednak wolał starą nazwę, Place D'Armes.

Zahuczał dzwon. Armand popatrzył na dwie wieże katedry Świętego Ludwika, dominujące nad północną częścią placu. Tam brali ślub jego rodzice, teraz pochowani na starym przykatedralnym cmentarzu. Zmarli tego samego dnia, w ciągu kilku godzin, podczas pamiętnej epidemii żółtej febry w czterdziestym trzecim. Armand pokręcił głową. Nie pamiętał, kiedy ostatnio był w kościele albo na cmentarzu.

Przeniósł spojrzenie na lewo od katedry, na stary gmach rządowy Cabildo. Obok Cabildo stało Presbytere, służące obecnie za siedzibę sądu. Kiedyś Armand spędzał tam wiele czasu jako praktykujący prawnik. Teraz zaglądał tam bardzo rzadko.

Popatrzył na wprost, na drugą stronę placu. Widział jedynie zarys bliźniaczego budynku Pontalby przy St. Ann. Wreszcie odwrócił się i skierował wzrok na rzekę, okalającą plac od południa.

Nieliczni przechodnie kręcili się po jasno oświetlonym bulwarze. Mgła była tak gęsta, że zupełnie przesłoniła statki i łodzie przycumowane do nadbrzeża. Do uszu Armanda dobiegał jedynie rechot żab i pojedyncze okrzyki marynarzy.

De Chevalier głęboko wciągnął w płuca chłodne, wilgotne powietrze i uśmiechnął się. Całym sercem kochał to wiekowe miasto. Wiele podróżował po Ameryce i kontynencie, lecz nigdzie nie czuł się tak dobrze jak w Nowym Orleanie.

Jeszcze minutę lub dwie stał na galerii, zanim zobaczył podjeżdżający powóz. Skinął ręką woźnicy, odwrócił się, wszedł do pokoju, przelotnie spojrzął w lustro, sprawdzając, czy wszystko w porządku, i zbiegł na dół.

Z Pontalby było bardzo blisko na Carondelet Street, gdzie mieściło się kasyno. Już po kilku minutach Armand wysiadł z powozu i po kamiennych schodach doszedł do ciężkich frontowych drzwi „The Beaufort”. Budynek kasyna z grubsza przypominał klasyczną dwupiętrową kamienicę.

Armand wkroczył do olbrzymiego marmurowego holu i oddał pelerynę czekającemu przy drzwiach szatniarzowi.

Ten powitał zwierzchnika uprzejmym uśmiechem.

- Dobry wieczór.

- Dobry wieczór, Sam. Dzieje się coś ciekawego?

- Jeszcze trochę za wcześnie - odparł Sam.

- To prawda. Ruch zacznie się dopiero około dziewiątej.

- Bez wątpienia.

Armand odwrócił się i odszedł.

Poprawił krawat i przyglądził włosy. Na krótką chwilę przystanął w foyer, tuż za bogato rzeźbionym portalem, prowadzącym do głównej sali. Szerokie marmurowe schody wiodły do ogromnego, wykładanego dywanami pomieszczenia. Zwieszające się z wysokiego sufitu kryształowe żyrandole rzucały blask na kunsztowne ozdoby z

marmuru, białe kominki, ciężkie kotary z adamaszku, wzorzyste chodniki i zielone stoły, przy których uwijał się rój krupierów, gotowych do nocnej zmiany.

„The Beaufort” było jedynym kasynem w mieście i być może w całej Ameryce, w którym cała obsługa chodziła wyłącznie we frakach. Armand uważał, że to przydaje szyku przedsięwzięciu - i miał rację. To samo twierdzili klienci. Elegancki wystrój przyciągał miejscową elitę. Sławni i bogaci chcieli popróbować szczęścia w grach hazardowych.

Do kasyna schodzili się synowie najlepszych rodzin Nowego Orleanu w towarzystwie kreolskich piękności, odzianych we wspaniałe wieczorowe suknie. Lecz nie wszystkie damy pojawiały się tu w męskiej eskorcie. Odważniejsze przychodziły same. Dla nikogo nie było tajemnicą, że w ten sposób chciały zwrócić na siebie uwagę niezwykle przystojnego właściciela „The Beaufort”.

Niektórym się to udawało.

Przez pięć lat rządów w kasynie Armand poznał wiele młodych - i nie tylko młodych - kobiet. Zdarzało się, że zapraszał je na górę, do siebie. Ostatnio jednak tego nie robił. Wmawiał sobie, że to dlatego, iż żadna z nich nie przypadła mu do gustu. Po części była to prawda, bowiem każdą z nich odruchowo porównywał do ognistej, rudowłosej lady Madeleine. Wystarczyło, że tylko o niej pomyślał, a już dreszcz rozkoszy przebiegał mu po plecach.

Kasyno Armanda słynęło nie tylko z wystroju i elegancji krupierów. Równie sławny był wystawny i darmowy bufet, w porze kolacji dostępny dla wszystkich gości. De Chevalier zatrudniał aż trzech kucharzy, zdolnych zaspokoić najwybredniejsze gusta. Prawdę mówiąc, część bywalców kasyna nigdy nie zasiadała do zielonego stołu. Przechadzali się chwilę po sali, jakby szukali odpowiedniego miejsca, lecz chyłkiem, niby od niechcienia, zmierzali do bufetu. Rozglądali się niespokojnie, sięgali po srebrne sztuce i nakładali sobie kopiastą porcję na talerz.

Armand wcale się tym nie przejmował. Niech sobie jedzą. Dań nigdy nie brakowało. Było ich tyle, że tuż przed świtem pozostałości wędrowały do klasztoru sióstr urszulanek. Zakonnice z wdzięcznością przyjmowały dary i za dnia, widząc Armanda na ulicy, dziękowały mu z zapewnieniem, że zawsze się za niego modlą.

O dziewiątej w kasynie panował już gwar. Przed dziesiątą przy stołach kłębił się tłum eleganckich, popijających szampana graczy. Słychać było nawoływania krupierów, szeleściły rozdawane karty, a w powietrzu wisiał gęsty niebieski dym cygar.

Armand przez bite dwie godziny niemal bez wytchnienia witał wchodzących gości. Ścisnął im dłonie, całował w policzki i wszystkim życzył wygranej. Chciał, żeby dobrze się bawili. Wreszcie przecisnął się przez pełną salę, lekkim krokiem wbiegł po marmurowych schodach, minął szerokie foyer i pchnął na oścież ciężkie podwójne drzwi.

Tutaj pod purpurową markizą oparł się o słup latarni i głęboko wciągnął w płuca łyk rześkiego powietrza. Z wewnętrznej kieszeni wyjął cienkie, czarne cygaro, wetknął je w usta i przypalił zapalką potartą o paznokcie. Rzucił zapalkę na ziemię i z rozkoszą się zaciągnął.

Stał tak przez dłuższą chwilę, ciesząc się odrobiną względnej samotności. Nagle zauważył szykowny powóz wyjeżdżający z Carondelet. Złoty herb widniał na czarnych, błyszczących drzwiczkach. Herb lorda Enfielda.

Armand pokręcił głową.

Było już po dziesiątej. Lord Enfield jak zwykle pożegnał się z narzeczoną. Jeśli jednak miał zamiar wrócić do siebie do domu i udać się na spoczynek, to jechał w złym kierunku.

Armand zmrużył czarne oczy.

Desmond Chilton wcale nie wracał do domu. Wybierał się na North Rampart Street. Armand doskonale wiedział, co tam było.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

W obszernym i pluszowym wnętrzu powozu łatwo było popaść w przyjemne rozmarzenie. Lord Enfield tak był zatopiony w myślach, że ani przez chwile nie patrzył przez okienko. Zjadł sutą kolację w towarzystwie Colfaksa i Madeleine, a teraz miał zamiar zaspokoić silniejsze apetyty.

Wciąż się uśmiechał, kiedy powóz zatrzymał się przed małą białą willą przy North Rampart Street. Dom niczym się nie różnił od dziesiątków innych, stojących przy tej samej ulicy. Desmond wiedział jednak, że za skromną fasadą kryje się prawdziwy skarb.

Rozejrzył się ostrożnie. W polu widzenia nie było nikogo. Desmond jak zwykle przestrzegł woźnicę, żeby w drodze powrotnej zachowywał czujność, i wysiadł. Powóz szybko odjechał.

Lord Enfield własnym kluczem otworzył drzwi willi, wszedł do środka, zdjął ciężką pelerynę i odrzucił ją na bok. Szybkim krokiem przeszedł przez sień i skierował się prosto do sypialni na tyłach domu.

Serce biło mu przyspieszonym rytmem na myśl o czekających go rozkoszach. Stał w progu spowitego w półmroku pokoju.

Uśmiechnął się jeszcze szerzej.

Zobaczył piękną młodą kobietę. Wielu dżentelmenów z Nowego Orleanu uważało, że dziewczęta z jedną czwartą domieszki krwi murzyńskiej są najlepszymi kochankami świata. Dziewiętnastolatka siedząca w pokoju ubrana była jak na bal, w błyszczącą wieczorową suknię z różowej satyny. Długie, ciemne włosy miała upięte w kok i przewiązane satynową szarfą, dopasowaną do koloru sukni. Nosła także długie, białe rękawiczki i kamelię na aksamitnej wstążce.

Wyglądała niezwykle młodo, świeżo i urodziwie. Była ucieleśnieniem słodkiej niewinności. Jej widok zawsze wywierał na Desmondzie największe wrażenie. Zachichotała jak mała dziewczynka, zalotnym ruchem uniosła rąbek spódnicy i podbiegła do swego gościa.

- Bonsoir, milordzie - powiedziała, stając na palcach i lekko całując go w usta.

- Moja najdroższa Dominique - zamruczał w odpowiedzi.

Uśmiechnęła się promiennie i pomogła mu się rozebrać.

A kiedy był już całkiem nagi, Dominique doprowadziła go do stojącego na środku pokoju krzesła z wysokim oparciem.

- Usiądź, milordzie - rozkazała cicho.

Desmond Chilton posłusznie usiadł. Piękna Dominique stanęła kilka kroków przed nim i zaczęła zdejmować suknię. Robiła to z niesłychaną powolnością. Długo trwało zanim ściągnęła jedną białą rękawiczkę. Potem drugą. Co chwila robiąc małą przerwę, niespiesznie rozpięła stanik. Dopiero dziesięć minut później połyskująca suknia z cichym szelestem opadła na podłogę.

Następnie przyszła kolej na haleczki i krynolinę. Nagi Desmond wpatrywał się w nią jak urzeczony.

- Tak. Och, tak... - powtarzał cicho, nie ruszając się z krzesła.

Dominique została już tylko w gorsecie i pantalonach. Uśmiechnęła się i zsunęła koronkowe ramiączko. Odwróciła się, żeby lord Enfield mógł bez przeszkód podziwiać jej kształtną figurę.

Znów spojrzała na niego, rozchyliła gorset i na ułamek sekundy błysnęła lewą piersią. Roześmiała się. Tę samą sztuczkę powtórzyła z prawą. Znowu się odwróciła, zdjęła gorset i niedbałym ruchem rzuciła go na dywan.

- Słodki aniele, błagam... - jęknął lord Enfield, chcąc, aby stanęła przodem do niego.

Powoli okręciła się na pięcie. Desmond poczuł, że ogarnia go silne pożądanie na widok ciężkich, pełnych piersi, zakończonych ciemnymi sutkami. Nie mógł się doczekać chwili, gdy zacznie je całować. Dziewczyna dobrze wiedziała, co się z nim teraz dzieje, więc zalotnie przechyliła głowę i wysunęła koniuszek różowego języka. Pomału, bardzo pomału zakreśliła palcem krąg wokół: prawego sutka.

Desmond Chilton nie mógł usiedzieć dłużej. Uniósł się z krzesła.

- Nie, nie, milordzie! - zawołała.

Z niechęcią wrócił na swoje miejsce. Zdawał sobie sprawę, że jeśli jej się nie podporządkuje, słodka tortura będzie trwała dużo, dużo dłużej.

Dominique prowokacyjnym ruchem rozluźniła tasiemki pantalonów. Odczekała chwilę, zanim odsłoniła najbardziej pożądaną przez Desmonda część jej ciała.

Ponieważ nie nosiła pończoch, ani butów, była teraz tak samo naga jak lord Enfield.

- Och, Boże! Podejź tu, Dom! - wysapał Desmond. Krew szumiała mu w uszach.

Piękna dziewczyna przecząco pokręciła głową. Znała go nie od dzisiaj. To jeszcze nie koniec. Ze stolika przy łóżku wzięła maleńką

fiolkę z pachnącym olejkiem i namaściła swoje złotobrazowe ciało. Udręczony kochanek, ciężko dysząc, wił się i jęczał na krześle. Patrzył zachłannie, jak wprawnymi ruchami rozcierała olejek na ramionach i szyi. Potem zajęła się brzuchem i piersiami. Desmond jęknął, kiedy pochyliła się, żeby przesunąć dłonią po smukłej nodze. Jej kształtne lewe biodro błysnęło w świetle lampy. Dominique wyprostowała się, rzuciła na kochanka przeciągłe spojrzenie i stanęła tyłem do niego.

Znowu się pochyliła, by natrzeć drugą nogę. Widok jej nagich pośladków sprawił, że Desmond wydał z siebie niecierpliwy okrzyk.

Dominique zaśmiała się złośliwie. Wyprostowała się i odwróciła ponownie w jego stronę.

Desmond oddychał z trudem. Dziewczyna wylała na dłoń resztkę olejku i odrzuciła fiolkę. Bez pośpiechu potarła ręką kępkę włosów pomiędzy udami.

Lord Enfield dyszał teraz jak zgoniony szczeniak.

Widok ciemnego trójkąta, połyskującego oleistym pachnidłem, doprowadzał go niemal do szału.

Dominique tymczasem rozpuściła włosy, które kaskadą spłynęły jej na ramiona i sięgnęły prawie do pasa. Satynowa szarfa spadła na podłogę.

Dziewczyna posuwistym krokiem podeszła do Desmonda.

- Odwróć się i usiądź bokiem na krześle - powiedziała cicho.

Posłuchał jej bez wahania.

Otarła się o niego swoim błyszczącym ciałem. Kołysała się w przód i w tył. Czuł na sobie dotyk jej rąk, piersi i brzucha. Po chwili już ocierała się plecami o jego plecy.

Potem stanęła przed nim. Usiadła mu na kolanach i kazała wyprostować nogi. Zjechała jak po zjeżdżalni, zostawiając za sobą długie, pachnące ślady. Powtórzyła to jeszcze raz i wstała, żeby sprawdzić, w którym miejscu jeszcze nie został namaszczoney.

Najlepsze zostawiła oczywiście na koniec. Powiedziała, żeby siadł prosto i rozchylił kolana. Chwyciła go za szyję i przez kilka minut ocierała się brzuchem o jego podbrzusze.

Desmond położył tłuste od olejku dłonie na jej śliskich pośladkach.

- Jesteś prawdziwą czarownicą, wiesz? Okrutną i złośliwą.

- Skarżysz się, milordzie?

- Ani mi to w głowie - powiedział i złożył usta do pocałunku.

Osunęli się na dywan. Dominique spoczęła na plecach. Desmond klęknął nad nią i przyglądał jej się przez chwilę. Naprawdę była czarownicą. Piękną i niebezpieczną czarownicą o kakaowej skórze, cudownych piersiach, kształtnych biodrach i silnych udach, zdolnych utrzymać nawet najbardziej szalonego jeźdźca.

Nie wyobrażał sobie życia bez niej.

Z podnieceniem przewrócił ją na brzuch i wtargnął w nią od tyłu. Ekspłodował niemal natychmiast, lecz wcale się nie skarżyła. Mieli przed sobą całą noc. Desmond dobrze wiedział, że jeszcze go będzie błagać, żeby dał jej spokój.

Znowu musiała go podniecić, więc nie traciła czasu. Kilka minut później był gotów do miłości.

Tej samej chłodnej listopadowej nocy, kiedy miasto już spało, a lord Enfield i jego śniada przyjaciółka zażywali nieziemskich rozkoszy w willi przy North Rampart Street, jakaś zamaskowana postać ukradkiem przemknęła się przez mgłę od nabrzeża w stronę dzielnicy francuskiej.

Blady księżyc zawisł nad bagnami za miastem. Srebrny blask wydobywał z mroku dachy domów i kładł się jasną smugą na pustych, milczących ulicach. Kot, czarny jak węgiel, przebiegi z jednego zaułka do drugiego.

Tajemniczy intruz bezszelestnie podszedł do rezydencji Colfaksa Sumnera przy Royal Street. Popatrzył w górę, na galerię i powoli skierował się w stronę jednego z filarów podtrzymujących dach werandy.

Ale nie dane było mu tam dotrzeć.

Wielki Montro bezgłośnie wysunął się z cienia.

Intruz odwrócił się i uciekł.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Ostatni dzień listopada był wyjątkowo słoneczny i pogodny. Było ciepło, zupełnie jak wiosną. Łagodna bryza znad zatoki leniwie pchała białe obłoczki po przejrzystym, lazurowym niebie. Od nadbrzeża dobiegał śpiew dokerów i tragarzy, zajętych przy załadunku.

Tuż po dziesiątej Madeleine, wesoło podśpiewując, zbiegła ze schodów na ulicę. Wybrała się do Melissy Ann Ledette, żeby pomóc jej w przygotowaniu loterii dobroczynnej. Ze względu na piękną pogodę postanowiła, że pójdzie piechotą. Melissa mieszkała przecież zaledwie parę przecznic dalej.

Wielki Montro zjawił się u jej boku, kiedy tylko znalazła się na dziedzińcu, i powitał ją chłopięcym uśmiechem. Razem minęli żelazną bramę i razem wyszli na gwarną ulicę.

Hrabinie wcale nie przeszkadzało jego towarzystwo. Lubiła tego spokojnego olbrzyma. Był zawsze przy niej, gdy go potrzebowała. Avalina wspomniała jej także w zaufaniu, że Montro nie tylko za dnia pilnował posiadłości Sumnera. Ponoć widziała go przez okno sypialni swojej garconiere w samym środku nocy, jak po cichu patrolował dziedziniec i wychodził za bramę, żeby rzucić okiem na ciemną ulicę.

W Madeleine olbrzym od początku budził wielką ciekawość. Podziwiała jego oddanie, choć jednocześnie prawie nic o nim nie wiedziała. Skąd pochodził? Czy miał rodzinę? Dlaczego postanowił zostać w Nowym Orleanie? Dlaczego wybrał właśnie ją i wuja Colfaksa?

Montro był małomówny i skryty, więc minęło kilka tygodni, zanim zdołała nakłonić go do zwierzeń. Zrobiła to delikatnie, aby go nie urazić.

Ze zdumieniem usłyszała, że wychował się w sierocińcu w Birmingham w stanie Alabama. Nie znał swoich rodziców i zupełnie nie wiedział, czy ma braci lub siostry.

Kiedy skończył trzynaście lat, uciekł z ochronki i na piechotę przewędrował szmat drogi do Mobile. Tam znalazł pracę jako tragarz portowy i przez pewien czas zajmował się załadunkiem i rozładunkiem statków. Oszczędzał niemal każdego zarobionego centa. Marzył o tym, że kiedyś kupi sobie kawałek ziemi i zacznie żyć jak każdy normalny człowiek. Że będzie miał swój dom.

Jako dwudziestolatek poznał młodą dziewczynę o jasnych włosach. Przyłączyła się do niego do Alabamy. Zakochał się w niej od

pierwszego wejrzenia. Pobrali się wbrew woli jej rodziców. Montro rzeczywiście kupił niewielki płachetek ziemi tuż nad zatoką, gęsto porośnięty drzewami i odległy od najbliższych sąsiadów. Dla nowożeńców był to istny raj. Montro zbudował chatę z bali i zamieszkali razem.

Wkrótce przyszło na świat dziecko - dziewczynka. Młodej parze życie wydawało się tak słodkie jak nigdy przedtem.

Minęły dwa lata i pewnego dnia córka Montro dostała dziwnej gorączki. Żona twierdziła, że to nic takiego, że dzieci często chorują, ale wkrótce potem sama zapadła na zdrowiu. Montro odchodził od zmysłów.

Nie miał wyboru. Musiał zostawić rodzinę i samotnie wyruszyć po pomoc. Biegł przez całą drogę do Spanish Fort. Kiedy powrócił z lekarzem do drewnianej chaty, żona i córka już nie żyły. Szkarlatyna, oznajmił lekarz, ze smutkiem kręcąc głową.

Montro obwiniał głównie siebie. Nie powinien ich tak zostawiać.

Nie dbał już o dom. Po pogrzebie spalił drewnianą chatę i powędrował do Luizjany. Tam miał się rozmaitych zajęć do czasu, aż pewnego dnia zobaczył plakat zapowiadający przyjazd Le Circus de Paris, w drodze do Nowego Orleanu.

Zatrudnił się do pomocy przy ustawianiu namiotu i przy taborach. Dyrektor, poznawszy jego nieprzeciętną siłę, zaproponował mu występy na arenie. Montro zgodził się i przez dziesięć lat objechał z cyrkiem całą Amerykę.

- Dlaczego zatem po tak długim czasie zdecydowałeś się po prostu odejść? - zapytała Madeleine, kiedy zmierzali równym krokiem w stronę domu Melissy.

- Miałem sen - odpowiedział olbrzym zupełnie poważnym tonem. - Zobaczyłem w nim, że powinienem zostać w Nowym Orleanie, aby strzec panią i starszego pana od złych przygód.

- Ależ, Montro. - Madeleine uśmiechnęła się do niego. - Przecież w tym czasie nawet nie wiedziałeś o naszym istnieniu.

Montro też się uśmiechnął, uniósł rękę i dłonią wielką niczym bochen chleba przygładził niesforny kosmyk na czubku głowy.

- Wiedziałem - odparł rzeczowo. - Zobaczyłem panią na widowni. Siedziała pani obok lorda Enfielda. Tej samej nocy przyśniło mi się to, co przed chwilą powiedziałem.

- A następnego ranka ocaliłeś mnie przed bandą uliczników.

- To prawda - powiedział z dumą. Potem zmarszczył brwi. - Nowy Orlean to bardzo niebezpieczne miejsce, milady - dodał. - Nie wolno pani o tyra zapominać. To miasto inne niż wszystkie. Nigdzie indziej tanie tawerny, domy publiczne i kasyna nie znajdują się tak blisko rezydencji notabli i arystokratów. Dotyczy to też posiadłości pana Colfaksa.

- Wiem - westchnęła Madeleine. - Ale z drugiej strony, w tym właśnie tkwi nieodparty i niezwykły urok Nowego Orleanu.

Roześmiała się.

- Patrz, Montro! - zawołała. - Już jesteśmy na miejscu.

Rzeczywiście, stali przed wspaniałym domem należącym do doktora Jean Paula Ledette'a. Madeleine lekko dotknęła ręki olbrzyma.

- Trochę się spóźniłam, więc muszę już pędzić. Do zobaczenia po południu.

- O której mam przyjść po panią?

- Mmmm... Powiedzmy o trzeciej. Na pewno już będę gotowa.

- Jak pani sobie życzy - odparł i nieruchomo czekał na ulicy, aż Madeleine bezpiecznie zniknie za drzwiami.

- Spóźniłaś się, Madeleine! - z przyjacielską wymówką zawołała ciemnowłosa Melissa Ann Ledette.

- Wiem, wiem. Bardzo przepraszam - odpowiedziała Madeleine. Uścisnęły się serdecznie na powitanie i przeszły do ogromnego salonu.

Było tam już kilka elegancko ubranych dam. Niektóre młode - dwudziesto - lub trzydziestoletnie - inne o wiele starsze, stateczne matrony o szerokich biodrach i siwiejących włosach. Madeleine знаła kilka z nich, inne widziała pierwszy raz w życiu. Wszystkie były niezwykle uprzejme i wytworne. Wszystkie znały wuja Colfaksa i słyszały, że jego siostrzenica jest zaręczona z lordem Enfieldem.

Gratulowały jej wyboru, bowiem ich zdaniem młody arystokrata był najlepszą partią w Nowym Orleanie.

Madeleine podziękowała im za miłe słowa i zajęła miejsce w fotelu. Resztę ranka spędziły, układając plany imprezy.

- Całość powinna chyba odbyć się na dworze - odezwała się młoda dziewczyna, siedząca tuż obok Madeleine. - W ten sposób mogłybyśmy w ciągu dnia korzystać ze straganów na francuskim targu, a wieczorem odgrodzić część ulicy i urządzić tańce.

- Nie, nie - szybko zaprotestowała jedna z dostojnych matron. - Nie wiemy, jakiej pogody spodziewać się w połowie grudnia. Może być bardzo zimno lub deszczowo. Chyba lepiej wynająć Orleańską Salę Taneczną.

- Ależ tam właśnie odbywają się te skandaliczne bale, Harriet! - z dezaprobatą w głosie zawołała Letisha Bradford.

- I co z tego? Słyszałam, że to wielka i wspaniała sala, z najlepszym parkietem tanecznym w całej Ameryce. Znakomicie pasuje do naszych planów.

- Całkowicie się z tobą zgadzam, Harriet - poparła ją wiekowa Grandmere Douglas, kiwając siwą głową. - Jeśli pogoda dopisze, to napitki podamy na zewnątrz. Wino, kordiał i tak dalej.

Rozmowa zeszła na sprawy związane z dekoracjami i loterią fantową. Przez dłuższą chwilę panie dyskutowały o tym, jak podzielić się obowiązkami, a potem najzwyczajniej w świecie rozpoczęły się babskie ploteczki. Madeleine z udawaną obojętnością przyjęła wieść - podobno z najpewniejszych źródeł - że bogata i niedawno owdowiała Raphelle Delion zagięła parol na jednego z najprzystojniejszych kawalerów Nowego Orleanu, Armanda de Chevaliera.

Od tej chwili postać Armanda zdominowała resztę rozmowy. Madeleine doszła do wniosku, że szacowne damy przejawiają wręcz niezdrowe zainteresowanie wyczynami de Chevaliera. Wszystkie wybuchnęły śmiechem, kiedy w pewnej chwili Grandmere Douglas oświadczyła:

- Każde dziewczę, które się kręci koło niego, wyjdzie z takiej przygody ze złamanym sercem. A jednak, gdybym była z pięćdziesiąt lat młodsza...

Przerwało jej wejście lokaja oznajmającego, że właśnie podano do stołu. Damy przeszły do wielkiej jadalni na lekki posiłek. Ku zrozumiałej uldze Madeleine, zachwyciły się potrawami i zapomniały o Armandzie.

O pierwszej zaczęły się żegnać. O drugiej już ich nie było.

- Montro czeka na ciebie? - zapytała Melissa.

- Jeszcze nie. Powiedziałam mu, żeby przyszedł o trzeciej.

- To świetnie! - zawołała z radością Melissa. - Mamy całą godzinę. Chodźmy do nowej kawiarni, którą otwarto tuż za rogiem.

- Same? Tylko we dwie? Melissa wzięła się pod boki.

- Owszem, we dwie. Na litość boską, jest biały dzień! Mówiono mi, że to dobry lokal i nie wstyd się tam pokazywać. Idziemy.

„Sans Souci” w niczym nie zawiodło ich oczekiwań. Była to przytulna i elegancko urządzona kawiarnia, przyciągająca najlepszych gości. Do jej klientów, jak się okazało, należała śmietanka towarzyska Nowego Orleanu. Kilka samotnych dam siedziało przy okrągłych marmurowych stolikach.

Melissa wybrała miejsce tuż przy ścianie i zamówiła dwie cafe brulet. Niemal w tej samej chwili do lokalu wszedł Armand de Chevalier. Wyglądał wręcz zabójczo w jasnych, dobrze skrojonych spodniach i białej koszuli. Był bez surduta.

Wszystkie głowy zwróciły się w jego stronę. Wszystkie spojrzenia spoczęły na barczystej sylwetce Kreola. Wśród żeńskiej części kawiarnianych gości zapanowało wyraźne poruszenie. Stało się jasne, że każda z dam oczekiwała, iż Armand przysiadzie się do jej stolika.

Podeksytowana Melissa uniosła rękę i pomachała do de Chevaliera. Przerazona jej zachowaniem Madeleine uszczypnęła ją w ramię.

- Au! - pisnęła Melissa i zmarszczyła czoło. - A to za co?

Przyjaciółka nie zdążyła jej odpowiedzieć, bo Armand zręcznie prześliznął się między stolikami, z uśmiechem skinął głową kilku przyjaciołom i stanął tuż koło niej. Dominował nad nią swą postacią, budził nerwowość i palpitację serca.

- Moje panie - odezwał się cichym i spokojnym tonem. - Mogę się przysiąść?

- Ależ oczywiście! - bez namysłu odparła Melissa i wskazała puste krzesło po swojej prawej stronie.

Armand jednak usiadł obok Madeleine. Uśmiechnął się i pod stolikiem lekko dotknął jej palców. Oczywiście, nikt tego nie widział. Madeleine z trudem zapanowała nad nagłym podnieceniem, wywołanym jego zachowaniem. Nie zaprotestowała, kiedy ujął jej dłoń. Wiedziała, że to głupie i bardzo niebezpieczne, ale siedziała nieruchomo i nie cofnęła ręki.

Armand tymczasem spokojnie wdał się w pogawędkę, jednocześnie leciutko wodząc małym palcem po grzbiecie jej dłoni. Madeleine uświadomiła sobie z nagłym przerażeniem, że nawet tak

niewinny gest może zawierać w sobie wiele erotyzmu. De Chevalier zdawał się czytać w jej myślach, bo wzmocnił uścisk.

Madeleine przypomniała sobie ze wstydem, jak ta sama dłoń pieściła niegdyś jej nagie ciało. Więcej - każdy centymetr jej nagiego ciała.

Przeklęła w duchu swoją głupotę i dyskretnie usiłowała uwolnić się z pułapki. Lecz Armand wcale nie zamierzał jej puścić. Siedziała więc napięta, udając, że nic się nie stało. A on w dalszym ciągu pieścił jej rękę, czym doprowadzał ją niemal do szału.

Spiorunowała go wzrokiem. W odpowiedzi de Chevalier tylko błysnął oczami. Najwyraźniej bawiło go jej rozdrażnienie.

- ...i to będzie najlepsza impreza w tym roku - mówiła Melissa. - Przyjdzie pan, Armandzie?

Znów ścisnął dłoń Madeleine.

- Za nic w świecie nie chciałbym przegapić tak wspaniałej okazji.

- To świetnie! - uradowała się Melissa. - Urządzamy przyjęcie, loterię, tańce i...

Madeleine prawie jej nie słuchała. Popatrzyła spod oka na Armanda i zauważyła niewielkie zgrubienie, rysujące się pod białą koszulą na jego prawym ramieniu. Zmarszczyła brwi w zamyśleniu. Co to takiego? Jakiś bandaż lub opatrunek?

Uniosła wzrok i napotkała kpiące spojrzenie jego czarnych oczu. Uśmiechał się przekornie. Niemal niedostrzegalnie skinął głową. Madeleine nagle zrozumiała. Serce zaczęło jej bić jak oszalałe. Już wiedziała. Przez cały czas nosił jej podwiązkę! Niebieską, koronkową podwiązkę, którą jej zabrał na tonącym statku. Poczuła, że ogarnia ją gniew zmieszany z jakąś przewrotną dumą. Była zła i zaskoczona. Wściekła i wystraszona.

Wciąż nosił jej podwiązkę.

Hrabinie zaszumiło w głowie. Nie wiedziała, co się z nią dzieje, i nie słyszała nic z dalszej rozmowy, dopóki Armand nie powiedział:

- Melisso, tamta dama w lawendowej sukni macha w twoją stronę.

Melissa odwróciła głowę.

- Ach, tak - powiedziała z uśmiechem. - To dobra przyjaciółka mojej matki, pani Foster. Pójdę się z nią przywitać.

Wstała. Armand puścił dłoń Madeleine i szarmancko uniósł się z krzesła.

- Wybaczcie mi na chwilę - bąknęła Melissa i już jej nie było.

Armand usiadł z powrotem i popatrzył na zdenerwowaną Madeleine. Jej szmaragdowe oczy miały błyskawice.

- Czyś ty zupełnie oszalał? - syknęła przez zaciśnięte zęby.

- Skąd to podejrzenie? - zapytał z beztroskim uśmiechem.

- Wiem, co nosisz na ramieniu! - rzuciła oskarżycielskim tonem.

Armand dalej uśmiechał się, lecz milczał.

- Masz czelność na oczach wszystkich paradować z moją podwiązką?!

- Maddie. Przecież tylko my dwoje wiemy, że to twoja własność.

Nie ułagodził tym jej gniewu.

- Uparłeś się, by mnie zniszczyć, bo kiedyś...

- Bo kiedyś, podczas letniego sztormu, spędziliśmy niezapomniane chwile - dokończył półgłosem.

- Ciicho! - szepnęła. - Oddaj mi tę podwiązkę!

- Nie mogę - odparł, wzruszając ramionami. - To mój talizman szczęścia i... jedyna pamiątka po tobie.

- Może być pan zupełnie pewny, panie de Chevalier, że więcej pamiątek nie będzie!

- Mylisz się, Maddie - powiedział z denerwującą pewnością siebie. - I dobrze wiesz, że się mylisz.

Nagle jego twarz pojaśniała.

- Pewnego dnia znowu będziemy razem.

Madeleine zmrużyła oczy i oświadczyła zimnym, zjadliwym tonem:

- To ty się mylisz, Kreolu. Taki dzień nigdy nie nastąpi!

- Nastąpi, chérie.

Uśmiechnął się uwodzicielsko i dodał:

- Szybciej, niż sobie wyobrażasz.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

- Zobaczą nas - powiedziała z niepokojem.

- A niech zobaczą - odparł niewzruszonym tonem. Popatrzyła na niego, ze zdumienia otwierając usta.

Przysunął się jeszcze bliżej, zupełnie nie speszony gęstniejącym wokół nich, zaciekawionym tłumem.

Był nagi i wcale się tego nie wstydził. Z zachwytem spoglądała na jego smukłe, smagłe ciało, doskonałe w każdym calu. Nie widziała dotąd nic piękniejszego. Tłum gapiów głośnymi okrzykami wyrażał szczerzy zachwyt. Niektórzy z widzów nosili kolorowe karnawałowe maski.

On zaś roztaczał wokół siebie jakąś złowieszczą aurę. Kobiety mdlały na ten widok, zachwycone jego doskonałością.

Madeleine nie odrywała od niego spojrzenia. Był coraz bliżej. Był w jej oczach ucieleśnieniem zła, a jednocześnie miał w sobie nieodparty urok. Marzyła, żeby gawiedź zniknęła w czarodziejski sposób. Żeby bezpiecznie mogła sama podejść do niego i położyć ręce na jego boskim ciele. Żeby mogła przesunąć dłońmi po jego twardych mięśniach, po silnych rękach i długich, kształtnych nogach.

Już prawie czuła dotyk jego gładkiej skóry, pleców i jędrnych pośladków. Chciała wpleść palce w jego połyskliwe, czarne włosy.

Ale nikt nie odchodził.

Co gorsza, ciągle przybywali nowi. Tłum gęstniał.

Coraz więcej ludzi zbierało się dookoła, aby choć trochę popatrzeć na zupełnie nagiego Adonisa, który zakradł się do jej sypialni. Nie wiedziała, jak się tu dostał. Nie wiedziała także, dlaczego przyciągnął za sobą tych wszystkich ludzi. Pojawił się dosłownie znikąd, w otoczeniu ciżby gapiów. Zastanawiała się, czy to istotnie Armand de Chevalier, czy też może wcielenie Lucyfera? Przecież Lucyfer był podobno tak samo urodziwy, kuszący i pełen pychy.

O, właśnie. Tylko Lucyfer mógł wiedzieć, że kobieta, którą wybierze, nigdy nie znajdzie dość siły, żeby oprzeć się jego urodzie, witalności i niemal zwierzęcej żądzy.

Wyciągnął rękę w stronę łóżka. Na ramieniu nosił spłowiełą, niebieską podwiązkę. Zatem to chyba jednak nie Lucyfer. Armand? Nie. Kiedy władczym głosem rozkazał jej zdjąć koszulę, zrozumiała, że ma do czynienia z diabłem.

- Nie! - krzyknęła. W głębi serca chciała się rozebrać i przylgnąć do niego rozedrganym ciałem, ale czuła na sobie pożądliwe spojrzenia gapiów. - Nie przy ludziach!

- Nie zwracaj na nich uwagi - powiedział spokojnym, stanowczym tonem. - Jeśli chcą patrzeć, niech patrzą.

Był wcielonym złem.

Był diabłem.

Lecz z drugiej strony, pociągał ją pomysł, żeby uprawiać miłość na oczach zgromadzonego tłumu. Powiodła wzrokiem po otaczających ją twarzach i nagle zobaczyła surowe oblicze lorda Enfielda. Złękła się i zawstydzila zarazem.

Chwilę później nagi potwór przesłonił jej pole widzenia. Natychmiast zapomniała o nieszczęsnym Desmondzie. Nikt już się nie uczył poza tym uśmiechniętym, smagłym diabłem.

Był cudowny. Wysoki, szczupły i gibki. Miał szeroką pierś, płaski brzuch i...

Zadrzała z pożądania i obawy. Stał tuż przed nią, wspaniały w swojej nagiej glorii. Strzelił z palców i na ten sygnał posłusznie uklękła na skraju łóżka. Szybko zdjęła nocną koszulę i rzuciła ją w jego stronę.

Chwycił ją, na chwilę przycisnął do piersi i uniósł wzrok. Pod jego spojrzeniem Madeleine poczuła nagły ucisk w podbrzuszu. Wciąż klęczała, czekając na dalsze rozkazy.

Zadygotała, kiedy uniósł nocną koszulę do twarzy, zamknął oczy i głęboko wciągnął powietrze w płuca. Przez kilka sekund wchłaniał zakłątą w tkaninie delikatną woń kobiecego ciała.

Potem otworzył powieki. W jego oczach błyszczało pożądanie. Serce zabiło jej jak młotem z niecierpliwości i niepokoju. Rzucił koszulę na podłogę, podszedł bliżej, chwycił kochankę za ramiona, pochylił się i na jej ustach wycisnął długi pocałunek.

Jak przez grubą zasłonę mgły słyszała pohukiwania i okrzyki wiwatującego tłumu.

Armand odchylił głowę. Delikatnym ruchem ujął kochankę za kolana i rozsunął jej nogi.

Rozległy się jeszcze głośniejsze brawa. Armand jedną rękę wsparł na materacu i powoli zbliżył biodra do bioder dziewczyny.

- Nie! Nie! - Ponad wiwaty wzbił się czyjś przerażony okrzyk. Poznała głos lorda Enfielda. - Ona jest moja! Puść ją! Zostaw!

Armand - Lucyfer ani przez chwilę nie myślał o tym, żeby przerwać miłosne zbliżenie. Uśmiechnął się zachęcająco.

- Powiedz mu, że się myli - powiedział do Madeleine. - Powiedz mu, że należysz do mnie.

Zawahała się, więc wszedł w nią głębiej. Rozchyliła usta i szeroko otworzyła oczy. Nad sobą widziała ciemną twarz demona... demona - kochanka. Czuła go wewnątrz siebie, nad sobą i przy sobie.

- Należę wyłącznie do ciebie - powiedziała posłusznie. Potem krzyknęła głośnie: - Należę tylko do Kreola! Może ze mną uczynić, co zechce!

- Nie! Lady Madeleine, nie! - łkał lord Enfield. - Gdzie się podziało twoje poczucie przyzwoitości?

Widzowie posykiwali na niego, żeby się uciszył. Jego słabe protesty trafiały w zupełną pustkę.

Madeleine ścisnęła Armanda za ramiona tak mocno, że poczuła krew pod paznokciami. Przez cały czas powtarzała jego ukochane imię. Oddała mu się całkowicie, ku uciesze patrzącego tłumu. Nie odczuwała ani odrobiny wstydu. W pewnej chwili przebiegło jej przez głowę, że to raczej ona jest wcieleniem diabła. Że to ona - jak w dawnych ludowych legendach - nawiedziła go we śnie, a on o tym nie wiedział.

- Armandzie? - zapytała. - Poznajesz mnie? Wiesz, kim jestem?

- Tak - odparł bez wahania. - Jesteś moja, Madeleine. Należysz do mnie na wieki.

Westchnęła. Nadal nie była pewna, które z nich wypełzło z czeluści Hadesu, ale przestało ją to obchodzić. Teraz już wystarczała jej sama świadomość, że połączyła ich wieczna i niewzruszona miłość. Kochali się na oczach zamaskowanego tłumu i to ją też podniecało.

W pewnej chwili zerwała się z łóżka i stanęła, wspierając dłonie na drewnianym, bogato zdobionym filarze podtrzymującym baldachim. Roześmiała się triumfalnie na widok kochanka, który posłusznie podążył za nią. Wiedziała, że tak będzie.

Poczuła jego dłonie na swoich nagich plecach, na pośladkach, na udach. Pochylił się nad nią.

- Stań na palcach - powiedział cicho.

Szybko spełniła jego prośbę. Przysunął się, ugiął kolana i wszedł w nią od tyłu. Kochali się na stojąco, z nie mniejszą namiętnością niż przedtem.

Tłum był z radości. Panowała nieopisana wrzawa. Madeleine zerknęła przez ramię. Wydawało jej się, że niektórzy z widzów sami przeżywają miłosną ekstazę.

Potrzebowała spełnienia.

Nie mogła już dłużej czekać. Gdyby zwlekała choć chwilę dłużej, na pewno wpałaby w histerię. Jęknęła głucho. Armand na chwilę przestał się poruszać. Przemknęła mu pod ramieniem i wróciła na łóżko. Rzuciła się na wznak, kładąc głowę na poduszce. Westchnęła uszczęśliwiona, kiedy znalazł się przy niej.

Popatrzyła mu prosto w oczy.

- Daj mi to - powiedziała.

- Niedługo - obiecał.

- Nie. Teraz. Daj mi wszystko. Nie pozwól dłużej czekać, bo cierpię przez ciebie. Błagam cię, Armandzie. Błagam.

- Dobrze - odpowiedział i nagle zaczął się rozwiewać. Z przerażeniem wyciągnęła ręce do niego, lecz on był coraz dalej, dalej i dalej. Wreszcie zniknął jak siwy obłok dymu.

- Błagam cię, Armandzie. Błagam... - mruzczała Madeleine, nieoczekiwanie przebudzona ze snu. Serce biło jej jak oszalone. Rzuciła się w pościeli. - Błagam cię, Armandzie. Błagam. Błagam. Błagam...

Otworzyła oczy i niespokojnie rozejrzała się po sypialni, jakby z nadzieją, że naprawdę go gdzieś zobaczy.

Koszulę miała mokrą od potu. Oddychała z trudem i odczuwała silny ból w podbrzuszu. Odrzuciła kołdrę i usiadła, mocno ściskając ramiona.

Rumieniec wstydu żywym ogniem palił jej policzki, bo nawet teraz, już na jawie, tęskniła za smagłym kochankiem z podwiązką na ramieniu.

- Nie! - powiedziała na głos. - Nie chcę cię, Armandzie! Nie chcę! Nie chcę!

Jak pchnięta sprężyną zerwała się z łóżka i podbiegła do podwójnych drzwi balkonowych. Otworzyła je na oścież, wyszła na galerię i głęboko wciągnęła w płuca rześki powiew zimowej nocy.

Stała tak, roztrzęsiona, przez dobre kilka minut. Wreszcie poczuła, że się uspokaja. Krew zaczęła wolniej płynąć w jej żyłach. Przecież nie musiała się niczego obawiać. To był jedynie sen. Nie, raczej koszmar. Straszny koszmar, ale na szczęście rano nie będzie go pamiętać. Tak zawsze bywa ze złymi snami. Wyraźne po przebudzeniu, potem szybko blakną.

Ulatują z pamięci.

Niestety wspomnienie koszmaru nie chciało zblaknąć nawet w jasnym świetle poranka. Madeleine pamiętała wszystkie straszne szczegóły. Kiedy myślała o nich, mimo woli czerwieniła się po korzonki włosów.

Czekał ją ciężki dzień. Dręczyło ją poczucie wstydu, zmieszane z gniewem i... ciągłym podnieceniem.

Kiedy wieczorem przyszedł lord Enfield, zawołała do Avaliny:

- Ja otworzę!

Pobiegła do frontowych drzwi i zarzuciła narzeczonemu ręce na szyję.

- Pocałuj mnie, Desmondzie! Oniemiał.

- Coś się stało, kochanie?

- Nie, nie. Wszystko w porządku. Pocałuj mnie jak najszybciej.

Widząc, że wciąż się waha, dodała:

- Wuj Colfaks gdzieś wyszedł. Avalina jest w kuchni. Montro jak zwykle krąży po dziedzińcu. Nikt nas tu nie zobaczy. Pocałuj mnie.

Desmond uśmiechnął się, ujął jej twarz w obie dłonie i pocałował ją prosto w usta.

- Proszę bardzo - powiedział, wyraźnie zadowolony z siebie, chociaż pocałunek trwał krótko i nie był zbyt namiętny. - Zadowolona?

- Tak - skłamała. W głębi serca była jednak przekonana, że to jej wina, a nie jego.

On, jak zwykle, zachował się jak dżentelmen. Ona zaś nie miała w sobie nic z prawdziwej damy. Nie zasługiwała na niego.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Grudzień przybył do Miasta Półksiężycy, a wraz z grudniem zaczął się sezon świąt i zabaw. Latarnie przy wąskich uliczkach francuskiej dzielnicy ozdobiono zielonymi gałązkami i czerwonymi wstążkami. Wieńce z pachnącego cedru zawisły na drzwiach domów. Wysokie świerki, udekorowane setkami świecidełek, dumnie stanęły w salonach miejscowych notabli.

W całym mieście wesoły ogień strzelał w marmurowych kominkach. Niebiańskie zapachy unosiły się z każdej kuchni i przez otwarte okna płynęły na ulicę. W domach trwała wyteżona praca. Pieczono ciasta, pierniki i inne smakowitości.

Rozradowany tłum klientów przewijał się przez sklepy w poszukiwaniu gwiazdkowych prezentów. Niektórzy przynosili całe listy zakupów. Kiedy natykali się na znajomych, pierwsze pytanie brzmiało:

- Będiesz na loterii, prawda?

Kreole uwielbiali wszelkie spotkania towarzyskie - bale, potańcówki, pikniki, kolacje, rauty, wyścigi, winobrania i tak dalej. Każdy pretekst był dobry, żeby się spotkać, zabawić, pojeść i popić.

Świąteczne dni w Nowym Orleanie zmieniały się w maraton tańca i rozrywki. Zwieńczeniem imprez były doroczne ostatki.

Madeleine nie mogła i nie chciała oprzeć się nastrojom niepodzielnie panującym w mieście. Pewnego chłodnego grudniowego dnia wybrała się na świąteczne zakupy. Słońce, chociaż nie grzało, pięknie świeciło nad całą Luizjaną. Madeleine chciała zabrać ze sobą Avalinę, ale ochmistrzyni grzecznie jej odmówiła. Nie cierpiała zimy. Woląca zostać w domu i piec ciastka na niedzielną loterię dobroczynną.

Czujny Montro bez namysłu zgodził się na spacer. Madeleine opuściła rezydencję wuja z mocnym postanowieniem, że w ciągu paru godzin kupi gwiazdkowe prezenty. Montro, chcąc nie chcąc, musiał z nią wchodzić do wszystkich sklepów. Ze zdumieniem słuchała jego celnych uwag. Miał niezwykły dar obserwacji. Kiedy wybrała rękawiczki dla wuja, olbrzym ze spokojem, ale stanowczo pokręcił głową. Lepiej od niej znał gust Colfaksa Sumnera. O wiele lepiej znał także upodobania Avaliny.

Madeleine była zadowolona z jego towarzystwa. Śmiała się i dowcipkowała, kiedy krążyli wśród sklepów i straganów. Po dwóch

godzinach nieustannej włóczęgi głowa Montro ledwie wystawała z za pakunków i paczek.

Hrabina obrzuciła go zaniepokojonym spojrzeniem.

- Nie ciężko ci? - spytała, szczerze strapiona. - Przyrzekłam Avalinie, że pójdę jeszcze na francuski targ i kupię jej trochę cynamonu.

Montro uśmiechnął się.

- Zapomina pani, że w cyrku występowałem jako siłacz. Mógłbym wziąć w ręce zakupy, panią i na dodatek Avalinę i wszystko razem zanieść na brzeg jeziora Ponchartrain. Nawet bym się nie zmęczył.

- Rzeczywiście, zapomniałam o tym - powiedziała ze śmiechem.

Bez pośpiechu przeszli spacerem na bulwar. Słońce świeciło dość mocno. Przy nadbrzeżu stały łódki, barki i statki wszelkich kształtów, rozmiarów i kolorów. Parowce, statki, przybrzeżne krypy, jachty i małe rzeczne tratwy tłoczyły się przy przystani. Dokerzy pokrzykiwali do siebie nawzajem. Tragarze znosili beły egzotycznych jedwabi, tytoń, przyprawy, półcie solonego mięsa, topioną wieprzowinę, beczki kiszonych ogórków, rum w baryłkach i kawę.

Był to zwykły, normalny dzień w najpracowitszym porcie świata.

Madeleine i Montro doszli do gwarne go francuskiego targu. Madeleine wskazała na małą kawiarnię i zaproponowała, żeby Montro przysiadł tam na chwilę.

- Napij się filiżankę gorącej cafe au lait, a ja dokończę zakupy.

- A nie zniknie mi pani z oczu? - spytał z niepokojem. Westchnęła z lekką irytacją.

- Będę na targu, przy straganach. Gdybym ci nawet zniknęła z oczu, to nie na dłużej niż minutę. Zgoda?

- Chyba zgoda - odrzekł sceptycznie, ale posłusznie usiadł na żelaznym krzeselku przy małym kawiarnianym stoliku. Ledwie się tam zmieścił. Chyba doskonale zdawał sobie sprawę, że wygląda zabawnie, bo porozumiewawczo mrugnął okiem do Madeleine i odstąpił w uśmiechu rząd równych białych zębów. Madeleine roześmiała się, poklepała go po ramieniu i odeszła.

Wtopiła się w tłum oblegający stragany. Zmarszczyła nos, czując ostry zapach świeżych krabów, krewetek i srebrnołuskich ryb. Dobrze wiedziała, że przyprawy są na drugim końcu alejki, więc tam też skierowała kroki.

Ledwo jednak dotarła do stoisk z owocami, a już zwolniła. Jej wzrok przyciągnęła ogromna piramida aromatycznych granatów. Przystanęła, uśmiechnęła się i podeszła bliżej. Przez dłuższy czas przyglądała się owocom, a potem wyciągnęła rękę.

- Ten jest niedojrzały - usłyszała niemal tuż nad uchem. Madeleine drgnęła na dźwięk znajomego głosu i jak oparzona upuściła owoc na ziemię.

Odwróciła się. Armand de Chevalier stał niebezpiecznie blisko. Widziała go po raz pierwszy od tamtej niespokojnej nocy. Spłonęła rumieńcem.

Szybko spojrzała w bok, żeby ukryć zmieszanie.

- Gdybym chciała usłyszeć pańską opinię, panie de Chevalier, na pewno nie omieszkałabym o nią poprosić - powiedziała wyniosłym tonem.

- Tylko próbowałem pomóc.

Wskazał na naprawdę dojrzały granat, lecz Madeleine zrezygnowała z kupowania owoców. Teraz chciała już tylko jak najszybciej uwolnić się od obecności Kreola. Nie było to takie łatwe.

Uśmiechnęła się z wyraźnym przymusem i powiedziała tonem pożegnania:

- Miło się z panem gawędziło, panie de Chevalier. Idę po przyprawę.

- Z ochotą będę pani towarzyszył - odparł z uśmiechem. - Jest już pani w pełni gotowa na niedzielę? - spytał beztrąsko.

- Niezupełnie. - Rzuciła mu karcące spojrzenie. - Słyszałam jednak, że każdy Kreol dba przede wszystkim o własne przyjemności.

- To prawda. Przyznaję - powiedział, zupełnie nie zmieszany jej zachowaniem. - Powiada się, że Kreol lubi trunki, dobre jedzenie, wyścigi i kobiety. - Zrobił kpiącą minę i lekko przechylił głowę. - Niekoniecznie w tej kolejności, przynajmniej jeśli chodzi o mnie.

- Nie bardzo mnie interesują pańskie preferencje, de Chevalier - oznajmiła chłodno Madeleine.

- Nie sądzisz, Maddie, że powinnaś mi raczej mówić „Armand”? - zapytał. - Zwłaszcza po tym, co między nami zaszło.

- Nic nie zaszło! - zawołała z nagłą furią. Kilka osób spojrzało w ich stronę.

- Mów ciszej, bo inaczej wszyscy się o nas dowiedzą - ostrzegł Armand. Wziął ją pod rękę i pociągnął na drugą stronę targu.

- Nie ma mowy o „nas” - wycedziła Madeleine przez zaciśnięte zęby.

Armand nie zwrócił na to najmniejszej uwagi. Przesunął rękę i zacisnął dłoń na jej nadgarstku.

- Co za wspaniały dzień! - westchnął. - Chodźmy do St. Louis Hotel na kieliszek absyntu.

Wyrwała się jego uścisku.

- Nigdzie z tobą nie pójde! Ani teraz, ani nigdy więcej!

- Dlaczego? - spytał z niekłamanym zdumieniem. - Boisz się, że coś ci zrobię w biały dzień, w obecności świadków? Boisz się, że spróbuję może...

- Już ci mówiłam przedtem, że niczego się nie boję. A teraz, jeśli pozwolisz.

Przyspieszyła kroku. Armand dogonił ją bez najmniejszego trudu.

Z politowaniem pokręciła głową.

- Powiedz mi szczerze, de Chevalier - odezwała się drwiąco. - Musisz się wciąż za mną uganiać? Naprawdę nie masz innych zmartwień?

- Oui, c'est ca - odparł poważnie. - Tak, moja droga Maddie. Muszę, bo nieustannie o tobie marzę. - Skierował na nią spojrzenie czarnych oczu. - Na pewno cię dostanę - powiedział bardzo powoli, tym razem bez uśmiechu.

- Przestań! - syknęła. Z niepokojem spojrzała wokół siebie, czy ktoś go nie usłyszał. Z drugiej strony, słowa Armanda sprawiały jej dziwną przyjemność. Odbierała to wręcz jak komplement.

- Jak sobie życzysz, kochanie - odparł i zabrzmiało to nad wyraz szczerze.

- Życzę sobie, abyś jak najszybciej zniknął mi z oczu, Kreolu. Skończyłam już zakupy i wychodzę z targu. Nie pozwalam ci, żebyś szedł za mną. Ani kroku dalej!

- Niestety, to niemożliwe.

- Niby dlaczego?! - Dala się ponieść nerwom. Armand wzruszył ramionami.

- Obiecałem Montro, że wypijemy razem małą cafe au lait.

- Wdziałeś się z Montro? - zapytała. Skinął głową.

- Powiedział ci, że poszłam na targ po zakupy? Armand ponownie przytaknął. Madeleine dumnie uniosła głowę.

- Nie miałam pojęcia, że się znacie.

- Znamy - odparł krótko.

- Usłyszysz ode mnie parę cierpkich słów za to, że rozpowiada o moich...

- Nie gniewaj się na niego. Podszedłem go chytrze i zrobił to mimo woli. Przecież w gruncie rzeczy nic złego się nie stało. Nie napadłem cię, nie obrabowałem, nie przestraszyłem i nie nastawałem na twoje cenne życie. Prawda?

- Prawda - przyznała opryskliwie.

- Sama widzisz - ucieszył się. - Na twoim miejscu...

- Nie jesteś na moim miejscu. Coś ci powiem, de Chevalier - rzuciła oschłym tonem. - Od dzisiaj nie chcę z tobą mieć do czynienia. Ani teraz, ani w przyszłości. Wyrażam się zupełnie jasno? Możesz to zrozumieć i dobrze zapamiętać?

- A możesz zapomnieć o chwilach spędzonych ze mną na statku?

- odpowiedział pytaniem.

- To, co wówczas się wydarzyło, było ogromnym błędem, który, niestety, popełniłam, bo... bo.. bo byłam pod wpływem szoku. Będę tego żałować do końca życia. Nie mam jednak ochoty wciąż cierpieć za dawne grzechy. Mówiłam ci to już przedtem, ale powtórzę raz jeszcze: nie ma dla ciebie miejsca w moim sercu. Jestem zaręczona z człowiekiem, który mnie kocha.

- A ty go kochasz? - wtrącił nagle Armand.

- Co takiego?! - Zupełnie zbił ją z tropu tym pytaniem. Zaczerwieniła się jak pensjonarka.

- Oczywiście, że go kocham! Ja... ja... - Urwała i obrzuciła go złym spojrzeniem. - Z czego się śmiejesz?

- Śliczna jesteś, kiedy się gniewasz i próbujesz się kłócić.

- Wcale się nie kłóć. Mówię najszczerzą prawdę!

- Nie przeczę - odparł. Uniósł rękę i lekko musnął palcami kosmyk włosów, który w zaciętrzewieniu opadł jej na policzek. Madeleine odtrąciła jego dłoń nerwowym ruchem.

- Nie mam zamiaru tracić więcej czasu na głupie pogawędki, Kreolu! - zawołała.

Odwróciła się na pięcie i odeszła energicznym krokiem, turkocząc spódnicami. Armand z uśmiechem patrzył na jej rozkołysane biodra. Pozwolił jej oddalić się na kilka metrów i zawołał:

- Lady Madeleine!

Nie zatrzymała się. Nie zamierzała nawet zerknąć przez ramię. Armand rozejrzał się szybko, żeby sprawdzić, czy w zasięgu głosu nie ma nikogo znajomego, i powiedział czystym, donośnym barytonem:

- Śniesz o mnie nocami, Maddie?

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Z zewnątrz Orleańska Sala Taneczna nie wyglądała zbyt okazale. Był to całkiem przeciętny, przysadzisty budynek z nieciekawą fasadą, wzniesioną w nieokreślonym stylu.

Za to wewnątrz...

Parter podzielony na szatnie, poczekalnie i gabinety przypominał biuro, ale sama sala balowa, położona na pierwszym piętrze, była istnym dziełem sztuki.

Z wysokiego sufitu zwieszały się kryształowe żyrandole. Między oknami wisały cenne obrazy, a w niszach stały rzeźby. Ściany były pokryte kosztowną boazerią. Parkiet, złożony z trzech grubych warstw cyprysowego drewna, pokrywała dębowa klepka. Nie bez kozery powiadano, że to najlepsze miejsce do tańca w całych Stanach Zjednoczonych.

Z balkonów widać było ogrody na tyłach katedry Świętego Ludwika. Po drugiej stronie sali szerokie schody wiodły na dziedziniec, na którym przy pięknej pogodzie podawano wino i koktajle.

Pewnej szarej, smutnej i zimnej grudniowej niedzieli tę właśnie salę udekorowano na doroczną loterię dobroczynną. Wzdłuż parkietu stały czerwono - zielone kramy. Na kryształowych żyrandolach zawieszono pęki jemioly. Marmurowe kolumny umajono szerokimi szarfami z błyszczącej satyny.

Wczesnym popołudniem ściągnął tłum gości. Damy, które stały przy kramikach, miały pełne ręce roboty, sprzedając fanty lub zachęcając przechodzące pary do wzięcia udziału w losowaniu albo grach zręcznościowych. Stoisko Madeleine ulokowano w odległym końcu sali, a mimo to biedna hrabina już od kilku godzin nie miała ani jednej spokojniejszej chwili.

Nagrody ustawione rzędem za jej plecami, pod ścianą, zachęcały licznych dżentelmenów do wypróbowania celności oka i ręki. Za kilka miedziaków każdy z nich mógł trzykrotnie rzucić lotkami do korkowej tarczy.

Podczas ostatnich ustaleń przed loterią Madeleine próbowała się wykręcić od tej roli, bo wiedziała, że lotki są raczej zabawą dla panów. Wolą zająć się sprzedażą koronek lub słodyczy.

Wszystko, tylko nie lotki.

Ustąpiła jednak, gdy szacowne damy z komitetu organizacyjnego spytały rzeczowo, co właściwie ma przeciwko lotkom. Nie potrafiła znaleźć sensownej odpowiedzi. Przecież nie mogła im powiedzieć prawdy! Nie mogła zdradzić, że obawia się spotkania z panem de Chevalierem. W głębi duszy była przekonana, że Armand nie pominie tak świetnej okazji, aby znowu jej podokuczać.

Przez całe popołudnie nerwowo obserwowała gości. Spodziewała się, że lada chwila w tłumie otaczających ją twarzy pojawi się złośliwie uśmiechnięte oblicze Kreola. Ta myśl odbierała jej całą przyjemność z zabawy. Armand ostrzegał ją, że się zjawi. Nie miała powodu sądzić, że nie dotrzyma słowa. Przyszedłby choćby po to, żeby się z nią podrażnić.

- Znakomicie! - zawołała do przystojnego młodzieńca, który bez większego trudu ulokował trzy lotki w samym środku tarczy. Wskazała na nagrody. - Wybierz, co chcesz z niższych półek - powiedziała.

- Och. To niech będzie... ten porcelanowy dzbanuszek z drugiej półki od dołu. - Zaczerwienił się. - To dla mojej mamy - dodał szybko.

Madeleine podała mu dzbanuszek, pogratulowała wygranej i zaprosiła do ponownej próby. Uśmiechnął się i powiedział, że wróci trochę później. Otoczony gronem kolegów poszedł do innych stoisk.

Madeleine wzięła głęboki oddech. Pierwszy raz od początku zabawy nikt nie czekał na swoją kolejkę do rzutów. Mogła chwilę odpocząć. Popatrzyła nad głowami gości na ogromny zegar, wiszący nad drzwiami prowadzącymi na balkony.

Wprost nie mogła uwierzyć, że tak szybko minęło całe popołudnie. Było już po szóstej.

Mrok zapadł godzinę temu, a de Chevalier jeszcze się nie pokazał. Może wcale nie przyjdzie? Może mówił tak tylko dlatego, żeby o nim myślała? A może już dość nerwów i czas na zabawę? Mogłaby przecież z Desmondem. z Desmondem...

Nagle uprzytomniła sobie, że na loterii brakuje nie tylko Armanda.

Lord Enfield także nie przyszedł.

Powiedział jej, że ma niezwykle ważne spotkanie w interesach, ale obiecał jednocześnie, że zjawi się przed piątą. Madeleine rozejrzała się ponownie. Nigdzie go nie było. Zresztą, gdyby już był,

przyszedłby przede wszystkim do niej. Lekko zmarszczyła brwi. Spóźniał się ponad godzinę? Ciekawe, co go zatrzymało?

- Zostaniesz ze mną.

- Nie mogę. Muszę już iść.

- Nie! - Rozzłoszczona Dominique pchnęła Desmonda na łóżko i położyła się na nim, nie bacząc, że był już całkiem ubrany.

- Jeszcze wcześniej. Zostań. Kochaj mnie. Lord Enfield westchnął ciężko.

- Uspokój się, kochanie. Minęła szósta, a obiecałem, że będę przed piątą.

Gniew zamigotał w ciemnych oczach Dominique. Wyprostowała się powoli i usiadła, nie schodząc z kochanka. Rozwiązała pasek czarnego jedwabnego negligżu. Rozebrała się. Zupełnie naga, lekko wydęta pełne usta. Zalotnie, chociaż z nadąsaniem, uśmiechnęła się do Desmonda. Długie, czarne włosy spływały jej na ramiona, a ciężkie piersi unosiły się przy każdym oddechu.

- Zostań ze mną, milordzie - szepnęła. Pochyliła się, żeby go pocałować. - Udowodnij, że to mnie naprawdę kochasz - dodała.

Polizła go prosto w usta, ugryzła go w podbródek i kilkoma zręcznymi ruchami obudziła w nim uśpioną żądzę.

- Najmilsza, wiesz przecież, że cię kocham. - Lord Enfield próbował się podnieść, ale mu nie pozwoliła.

Znał ją zbyt dobrze. Zdawał sobie sprawę, że jeśli nie zostanie, może już więcej do niej nie przychodzić. Była zazdrosna i zaborcza do granic szaleństwa. Spędzili w łóżku całe popołudnie, ale to jej nie wystarczyło. Potrzebowała go, lecz równie mocno chciała tego, żeby po prostu spóźnił się na loterię.

Lord Enfield z rezygnacją rozpiął koszulę. Dominique uśmiechnęła się z zadowoleniem i kocim ruchem zeskoczyła z łóżka. Wyszła z sypialni. Desmond wstał i skończył się rozbierać. Po chwili już był tak samo nagi jak ona. Zawołał ją po imieniu. Nie przyszła. Wyszedł na korytarz, lecz jej nie zobaczył. Wreszcie dotarł do jadalni, oświetlonej jedynie blaskiem dwóch świec, stojących w srebrnych świecznikach po obu stronach długiego stołu.

A na stole siedziała naga Dominique z zadowoloną miną. Opierała się na rękach i machała długimi nogami.

Lord Enfield nie tracił czasu na dłuższe przygotowania. Stanął tuż przed nią i powiedział:

- Jest twój. Jeśli chcesz, możesz się nim pobawić.

Kochali się na stole, oświetleni mdłym płomieniem świec. Dominique głęboko spojrzała w oczy Desmonda.

- Skoro jest mój, to nigdy nie powinien znaleźć drogi do niej.

Lord Enfield oburącz obejmował ją w pasie.

- Bądźże rozsądna, moja mała! - wysapał. - Przecież mam ją poślubić. Już pierwszej nocy na pewno nie wykręcę się od małżeńskich obowiązków.

Dominique posiadała pewną umiejętność znaną zaledwie kilku najlepiej opłacanym kurtyzanom na świecie. Rytmicznie kurcząc i rozkurczając mięśnie, sprawiła, że Desmond Chilton zupełnie się w niej zatracił.

- Nie żęń się z nią - powiedziała śniadoskóra czarodziejka. - Nie chcę, by była twoją żoną!

- Dobrze, już dobrze! - krzyknął, bo w tej chwili był gotów dosłownie na wszystko. - Zrobię tak, jak zechcesz!

Gdy jednak skończył, przypomniał swojej kochance o pewnych planach. Dyskutowali o tym już tysiące razy i do tej pory zgadzała się mu pomóc.

- Kochanie, powiedz, proszę, że mnie rozumiesz - błagał, aby ją trochę ułagodzić. - Przecież wiesz, że wcale nie chcę mieć jej za żonę, ale muszę! Jak ci mówiłem, w zeszłym roku Colfaks Sumner zmienił testament i cały majątek zapisał na rzecz Madeleine. Zostałem z niczym. Poprzedni dokument, na mocy którego obejmowałem zarząd nad spadkiem, stracił ważność po sporządzeniu następnego. Nie mam wyboru! Muszę poślubić Madeleine, jeśli chcę dostać pieniądze Sumnera!

Dominique zmarszczyła czoło.

- A nie wspominałeś czasem, że Sumner nigdy nie zniszczył starego testamentu? - fuknęła.

- To prawda. Z tego, co mi wiadomo, wciąż go przechowuje w sejfie. Teraz to tylko bezwartościowy świstek papieru.

- Na nowo nabrałby wartości, gdyby późniejszy testament zniknął.

- Owszem, ale to się nigdy nie stanie. Teraz proszę cię, daj mi spokój i pozwól mi iść na loterię.

Było już tak późno, że lord Enfield nawet nie miał czasu porządnie się wykapać. Umył się pośpiesznie. Dominique

obserwowała go spod oka. Wiedziała, że bez kąpieli długo będzie od niego czuć zapach jej perfum.

Bardzo dobrze. Niech się z tego tłumaczy.

Dochodziła siódma, kiedy lord Enfield wpadł do Orleańskiej Sali Tanecznej. Madeleine zobaczyła go, gdy przeciskał się przez tłum gości. Po chwili stanął już przy jej stoisku, ale musiał odczekać dobrą chwilę, zanim mogli spokojnie porozmawiać. Czterech roześmianych młodych dżentelmenów, pokrzykując na siebie wesoło, próbowało trafić do tarczy.

Minął cały kwadrans, nim ostatni z nich wypuścił z rąk lotkę.

Desmond niecierpliwie podszedł do stoiska i przepaszająco uśmiechnął się do Madeleine.

- Wybacz mi, kochanie. Wiem, że się spóźniłem.

- Co cię zatrzymało, Desmondzie? Była zła i wyraźnie dawała mu to odczuć. Zrobił strapioną minę.

Zamknął jej rękę w obu dłoniach.

- Próbowałem być wcześniej, najmiłsza. Przysięgam! - zawołał, zresztą zgodnie z prawdą. Przecież już dawno usiłował wyjść od Dominique, ale mu na to nie pozwoliła. - To nudne spotkanie ciągnęło się bez końca, ale było niezwykle ważne dla nas obojga. Dla mnie i dla ciebie.

Uśmiechnął się najpiękniej, jak tylko potrafił.

- Kochanie, musisz wiedzieć, że wszystko, co robię, robię wyłącznie dla ciebie. Przez cały rok harowałem jak wół, aby po naszym ślubie na niczym ci nie zbywało.

Skinęła głową, ale tylko na poły przekonana.

- Kto był prócz ciebie na tym spotkaniu? - spytała podejrzliwie.

- Handlarz bawełną z Londynu. Straszny nudziarz. Wyklócał się dosłownie o każdy punkt kontraktu. - Lord Enfield z udawaną niechęcią potrząsnął jasną czupryną. - Powtarzałem mu, że jestem umówiony, lecz na nim nie robiło to żadnego wrażenia. Wreszcie oznajmiłem mu wprost, że wychodzę. Musiał przyjąć moje warunki albo odstąpić od umowy.

- Przyjął?

- Przyjął, ale sporo mnie to kosztowało - odparł Desmond.

Madeleine wreszcie pozwoliła sobie na lekki uśmiech.

- Musisz być wykończony - powiedziała z niekłamanym współczuciem i lekko ścisnęła go za rękę. - Na dole, obok dziedzińca,

jest niewielki barek. Bez wątpienia znajdziesz tam wuja Colfaksa. Idź, napij się z nim i odpocznij trochę.

- Czym ja sobie w życiu zasłużyłem, żeby mieć taką żonę? - zawołał lord Enfield, spoglądając na nią z uwielbieniem. - Moja droga, nawet nie masz pojęcia, jak bardzo cię kocham.

Uśmiechnęła się szerzej, mile połączona jego pochlebstwem.

- Idź. Baw się dobrze, najdroższy - powiedziała. - Pamiętaj tylko, żebyś chociaż jeden taniec zarezerwował dla mnie.

- Wszystkie tańce! - zapewnił ją i odszedł. Madeleine westchnęła z ulgą. Poczowała się dużo lepiej.

Jej narzeczony przyszedł odrobinę później tylko dlatego, że chciał zadbać o ich wspólną przyszłość. Co najważniejsze, Armand dotąd się nie pokazał. Madeleine coraz bardziej była przekonana, że pan de Chevalier ogóle nie zjawi się na balu.

Znowu podeszło do niej kilku dżentelmenów, żeby pobawić się lotkami. Po ich odejściu Madeleine powiodła wzrokiem po tłumie. Bała się, że gdzieś zobaczy czarną czuprynę de Chevaliera. Modliła się, żeby nie przyszedł.

Nigdzie go nie dostrzegła.

Było po ósmej. A zatem nie ma się czego obawiać. Gdyby miał przyjść, to na pewno już by się pojawił. A gdyby się pojawił, to by go zobaczyła. Ze spokojem podeszła do półek, żeby poustawiać pozostałe nagrody. Na najwyższej półce pozostała tylko jedna - miniaturowa pozytywka z macicy perłowej, inkrustowana złotem.

Aby ją wygrać, należało nie trzy, ale sześć razy trafić lotką w sam środek tarczy. Niejeden próbował tej sztuczki, lecz żadnemu się nie udało. Madeleine powątpiewała, czy pozytywka w ogóle dostanie się w czyjeś ręce. Byłaby szkoda, gdyby została, bo był to wymarzony prezent dla damy.

- Mogę spróbować? - rozległ się znajomy głos za jej plecami.

Odwróciła się gwałtownie. Przed nią stał Armand de Chevalier i uśmiechał się tak jak zwykle. Nie odpowiedziała mu uśmiechem.

- Owszem, ale za niewielki datek - rzuciła oschłym tonem.

Sięgnął do kieszeni spodni i wyjął monetę.

- Co trzeba zrobić, żeby wygrać tę małą pozytywkę stojącą na najwyższej półce?

- Nic szczególnego - odparła ze zjadliwym uśmiechem. - Wystarczy dorzucić jeszcze parę centów, a potem sześć razy z rzędu trafić lotką w środek tarczy.

Skrzyżowała ręce na piersiach i popatrzyła nań wyzywająco.

- Tylko tyle? - zdziwił się Armand. Wręczył jej pieniądze i zgarnął w dłoń sześć lotek.

Madeleine usunęła się szybko na bok, bo nie pokładała wielkiego zaufania w jego umiejętnościach. Z irytacją czekała na to, co będzie dalej. Armand zaś z niesłychanie denerwującą powolnością zdjął pelerynę i starannie złożył ją na kontuarze. Potem równo ułożył sześć lotek. Przesunął palcem tę, która trochę wystawała.

- Na litość boską! - nie wytrzymała Madeleine. - Cały dzień chcesz poświęcić na to?!

Armand uśmiechnął się, lecz ani na jotę nie zmienił swoich przygotowań. Niespiesznie poluźnił krawat i rozpiął kołnierzyk śnieżnobiałej koszuli. Madeleine westchnęła, kiedy wyjął złote spinki z mankietów. Schował je do kieszeni i podwinął rękawy. Robił to bardzo starannie, z niezwykłą pieczołowitością wygładzając każdą zmarszczkę.

Madeleine obawiała się, że jego zachowanie ściągnie powszechną uwagę i zgromadzi tłum gapiów. Podeszła bliżej i powiedziała cicho:

- Dostyc tego, Kreolu. Rzucaj albo idź sobie i daj się innym bawić.

- Jestem gotów - oznajmił, po raz ostatni zerknąwszy na równo podwinięte rękawy. Uśmiechnął się bezczelnie.

Madeleine z powrotem cofnęła się w bezpieczne miejsce. Armand wziął pierwszą lotkę, przymknął jedno oko i rzucił. Szpic utkwiał w kółku wyznaczającym środek tarczy. Chwilę później w powietrzu poszybowały pozostałe lotki. Każda trafiła w środek. Armand nie krył radości, a Madeleine z przygnębieniem patrzyła na jego triumf.

- Imponujące, prawda? - zapytał drwiąco.

- Wybierz nagrodę. Wskazał palcem.

- Poproszę o tę małą złoto - perłową pozytywkę, stojącą na najwyższej półce.

Madeleine przygryzła wargi. Wolałaby, żeby zdecydował się na coś innego. Miała nadzieję, że piękny bibelocik stanie się własnością jakiegoś romantycznego dżentelmena, który z kolei podaruje go swojej ukochanej.

Ale przepisy były przepisami. De Chevalier zwyciężył w uczciwy sposób, więc nie miała najmniejszego powodu, żeby odmówić mu wygranej. Wspięła się na palce, zdjęła pozytywkę z półki i podeszła do kontuaru. Niechętnie postawiła fant przed Armandem.

- Jest twoja - burknęła.

Z niechęcią patrzyła, jak smukłą dłonią pogładził lśniącą pokrywkę. Kciukiem otworzył wieczko i rozległy się ciche dźwięki łagodnej melodyjki. Zabrzmiała słodka pieśń miłości.

Oboje podnieśli głowy. Przez krótką chwilę spoglądali sobie prosto w oczy.

- Chcę, żebyś ją wzięła - powiedział Armand.

- Nie, dziękuję - odparła Madeleine.

- Weź.

- Nie.

- Zabierz ją do domu, Maddie - rzekł władcym tonem, który budził w niej największą niechęć.

Delikatnie pchnął pozytywkę w jej stronę.

- Dziś wieczorem, kiedy już będziesz w łóżku, otwórz wieczko, wsłuchaj się w melodię.

Pochylił się nad kontuarem i dokończył półgłosem:

- ...i śnij o mnie, chérie.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Na dole w jednym z osobnych pokoi przygotowano bufet pełen wykwintnych gorących dań, zimnych przekąsek, napoi, trunków i innych smakołyków. Biało odziani kelnerzy stali za długim stołem, podając sałatki, pieczone ryby, gotowaną szynkę i soczyste befsztyki. Głównym daniom towarzyszyły jarzyny, owoce i desery. Na samym środku suto zastawionego stołu ustawiono ogromną kryształową wazę z gęstym eggnog, obficie zaprawionym najczystszym jamajskim rumem i grubo posypanym cynamonem.

Nadeszła pora, kiedy Madeleine mogła wreszcie zejść z posterunku. Dołączyła więc przy bufecie do wuja Colfaksa i Desmond. Jedli w pośpiechu, żeby zdążyć, zanim na górze zaczną się pierwsze tańce.

Inni goście już byli dawno po posiłku, zatem Desmond bez trudu znalazł wolny stolik pod oknem w pustawej sali. Próbowali kolejno rozmaitych potraw, nie szczędząc słów zachwyty.

Madeleine przełknęła ostatni kęs cała z błogą miną. Smakowało jej ciasto ryżowe ulubione chyba przez wszystkich mieszkańców Nowego Orleanu.

- Jeszcze deseru, Madeleine? - zapytał Colfaks.

Uśmiechnęła się i dotknęła talii, obciśniętej stanikiem wiśniowej aksamitnej sukni.

- Nic już się tu nie zmieści.

- Sama nie wiesz, co tracisz - zauważył wuj. - Nie spróbowałaś melby z brzoskwiniami.

Madeleine wybuchnęła śmiechem.

- Jeśli jeszcze coś zjem, to chyba wtoczę się na parkiet - zawołała wesoło. Spojrzała na lorda Enfielda. - Masz ochotę potańczyć, Desmondzie?

Skinął głową, odstawił filiżankę z kawą na porcelanowy spodek i powiedział'.

- Chodźmy, jeżeli chcemy zdążyć na pierwszy taniec. Słyszę, że orkiestra już stroi instrumenty.

- Idźcie przodem - rzekł wuj Colfaks i wskazał na napoczętą melbę. - Kiedy będziecie w moim wieku, to zrozumiecie, że przyjemności podniebienia są ważniejsze od najwspanialszego tańca.

Madeleine i Desmond skwitowali to głośnym śmiechem. Wstali od stołu. Madeleine pochyliła się i pocałowała wuja w policzek.

- Za parę minut spotkamy się na górze.

Trzymana przez Desmonda za rękę pobiegła po schodach i po chwili znalazła się w sali. Orkiestra właśnie zaczynała grać i na parkiet weszły pierwsze pary.

Madeleine spojrzała na narzeczonego.

- A więc pierwszy taniec?

- Od pierwszego do ostatniego - odparł bez wahania i wyciągnął rękę.

Zawirowali w rytm muzyki. Madeleine przypomniała sobie coś, co o tej sali mówiły jej kiedyś damy z komitetu organizacyjnego. Zerknęła na lorda Enfielda.

- Kochanie, wiesz, że właśnie tutaj regularnie się odbywają bale kwarteronów? - Patrzyła mu prosto w oczy i wydawało jej się, że pobladł. Zamrugał nerwowo. Madeleine przechyliła głowę i stwierdziła: - Wiedziałeś.

- Na litość boską, Madeleine, wszyscy w Nowym Orleanie wiedzą o balach kwarteronów!

- Rozumiem - powiedziała, choć nie rozumiała, dlaczego tak się zdenerwował. Wzięła głębszy oddech i spytała: - Czy ty kiedyś...?

- Oczywiście, że nie! - odparł ostrym tonem, wyraźnie urażony. - Wydaje mi się, że dama z twoją pozycją społeczną nie powinna dawać posłuchu takim plotkom.

- Ależ, Desmondzie, nie bądź taki zasadniczy. Milczał.

- Melissa Ann Ledette zaręczała mi, że dżentelmeni z najlepszych nowoorleańskich domów - kawalerowie i żonaci - nie wstydzą się z tej okazji pojawiać wśród kwarteronów.

- Być może. Nie wiem.

- Przychodzą na bal, wybierają sobie jakąś piękną kochankę i umieszczają ją w jednej z malutkich białych willi przy...

- Madeleine - przerwał jej lord Enfield - czy mogłabyś na chwilę porzucić ten temat i cieszyć się tańcem?

- Oczywiście. Przepraszam.

W czasie całego tańca lord trzymał ją od siebie na odległość ramienia. Kołysali się lekko w takt muzyki, nie zamieniwszy więcej ani słowa. W pewnej chwili Madeleine zauważyła Armanda de Chevaliera. Jego krucza czupryna połyskiwała czernią w świetle żyrandoli.

Tańczył z Melissą Ann Ledette, wpatrzoną w niego jak w obraz. Obejmowała go za szyję i niemal tuliła się do niego. Młoda, bezwstydna i naiwna, ze smutkiem pomyślała Madeleine.

Widok zajętej sobą pary obudził w niej zazdrość. Widać zbyt dobrze pamiętała, czym jest taniec z przystojnym Kreolem. Zastanawiała się, czy podczas balu na transatlantyku miała równie głupią, wniebowziętą minę jak Meli ssą.

Armand odwrócił głowę i przechwycił spojrzenie hrabiny. Mrugnął do niej wesoło. Madeleine wstrzymała oddech. Co on sobie w ogóle wyobrażał? Próbował flirtu w obecności świadków, pod samym nosem jej narzeczonego? Skarciła go wzrokiem i mocniej zacisnęła palce na ramieniu Desmonda.

Zamknęła oczy. Usiłowała bawić się równie dobrze, jak na statku. Z cichym westchnieniem próbowała odtworzyć minione chwile w ramionach innego partnera.

Nie udało się.

Lord Enfield był niezłym tancerzem i prowadził ją z dużą wprawą, lecz jego ruchy nie miały w sobie nic magicznego. Madeleine nie doświadczyła zatem żadnego dreszczu emocji. Nie zatraciła się bez pamięci. Serce ani razu nie zabiło jej żywiej. Nie zabrakło jej oddechu. Nie mrowiły jej stopy i żołądek nie wyczyniał dziwnych harców.

Po prostu było jej przyjemnie - i nic więcej. Nie otwierając oczu, mocno przygryzła wargi i zwymyślała się w duchu. Okazała się o wiele głupsza od Melissy Ann Ledette, choć z racji wieku powinna mieć więcej doświadczenia.

Przypomniała sobie o nieszczęściach, których zaznała z rąk pierwszego męża przez trzy lata zupełnie nieudanego związku. Ludzie tacy jak Armand de Chevalier bez trudu i bez wyrzutów sumienia łamali kobiece serca. A może to właśnie było w nich takie pociągające? Nie, zdecydowała Madeleine. Nie pozwolę, by ktoś mi złamał serce, choćby był nie wiem jak czarujący i przystojny.

Tuż obok siebie miała kogoś o wiele lepszego. Człowieka o wzniosłych zasadach moralnych, szczerego i uczciwego do tego stopnia, że wuj na pewien czas powierzył mu jej olbrzymi majątek. Człowieka, który będzie idealnym mężem. Należała do niego, a on należał do niej. Oboje mogli się pochwalić podobnym pochodzeniem. Oboje należeli do brytyjskiej arystokracji. Mieli wspólne zamiłowania

i wspólne pragnienia. Lubili te same książki i dzieła sztuki. Chadzali na te same opery. Łączyły ich poglądy na najważniejsze sprawy ludzkiej egzystencji. I nie był to książkowy romans, rozwiewający się po kilku latach. Ich związek opierał się na wzajemnym poszanowaniu, stanowiącym solidny fundament pod wspólną przyszłość.

Przygody zostawmy innym.

Madeleine o wiele bardziej ceniła bezpieczeństwo i życiową stabilizację.

Otworzyła oczy i popatrzyła na lorda Enfielda. Uśmiechnął się do niej. Odpowiedziała mu tym samym, przytuliła policzek do jego szyi i znów zamknęła powieki. Głęboko wciągnęła oddech - i poczuła jakiś nieznany zapach. Powąchała kołnierz, szyję i podbródek Desmonda.

Czuła... czuła... Co czuła? Perfumy? Zapach perfum. Ledwie uchwytny, lecz wyraźny. Jeszcze raz pociągnęła nosem. Mdły i słodki aromat. Uniosła głowę i spojrzała na Desmonda. Zmarszczyła brwi.

- Co się stało? - spytał.

- Desmondzie, czy... czy zacząłeś używać nowej wody kolońskiej?

Zbladł, drugi raz w ciągu tego samego wieczora, ale szybko odzyskał panowanie nad sobą.

- Rano na chwilę wpadłem do fryzjera, żeby się przystrzyc.

Roześmiał się i pokręcił głową.

- William spryskał mnie jakąś miksturą, zanim zdążyłem go powstrzymać. Cuchnęła jak diabli. Potworna słodycz. Czujesz?

- Tak - odparła.

- Wybacz mi, najdroższa.

Przytulił twarz do policzka Madeleine, żeby dłużej nie patrzeć jej w oczy. Serce waliło mu jak młotem, a na czoło wystąpiły grube żyły. Niewiele brakowało. Nie powinien tu przychodzić prosto od Dominique. Byłby skończonym głupcem, gdyby teraz naraził na szwank swoje stosunki z hrabiną, gdyby zaczęła coś podejrzewać. Wzdrygnął się na samą myśl o tym i mocniej objął Madeleine.

Wykorzystała tę okazję, aby lepiej się przyjrzeć jego starannie zaczesanej blond czuprynie.

Włosy nie były ani odrobinę krótsze niż wczoraj.

Bał trwał.

Dzieci, które spędziły na zabawach całe popołudnie, odprowadzono już do domów. Zostali jedynie dorośli.

Na górę do sali balowej wniesiono kryształową wazę, na nowo napełnioną alkoholem. Pod ścianą przygotowano bufet. W srebrnych wiadrach wypełnionych lodem chłodziły się butelki szampana. Spragnieni tancerze spełniali toast za toastem. Było też wiele wina, absyntu, tafii, burbona i brandy.

Pili nie tylko panowie. Także damy ochoczo pociągały mocny i korzenny eggnog lub sięgały po wysoki kieliszek szampana.

Rozmowy rozbrzmiewały coraz głośniejsze. Coraz częściej dobiegały śmiechy. Muzyka nabrała dziarskich tonów. Wszyscy się świetnie bawili.

Madeleine postanowiła sobie w głębi serca, że nikt i nic nie popsuje jej tego wieczoru. Zręcznym ruchem chwyciła kieliszek szampana ze srebrnej tacy trzymanej przez przechodzącego kelnera.

- Moja kochana - zdumiał się lord Enfield - to już trzecia porcja bąbelków, którą masz zamiar wypić. Uważasz, że to rozsądne?

Szampan wywarł już pewien wpływ na zachowanie Madeleine. Upiła łyk, oblizała wargi i zapytała z kokieteryjnym uśmiechem:

- Czy ty zawsze musisz być taki rozsądny, Desmondzie?

- Ależ...

- Przepraszam cię, Madeleine - przerwała mu Melissa Ann Ledette, podchodząc do nich bliżej. - Mam do ciebie wielką, wielką prośbę. Zrobisz coś dla mnie?

- Spróbuję.

- To świetnie! - ucieszyła się Melissa. Wzięła przyjaciółkę pod rękę. - Potrzebny nam ktoś na chwilę w stoisku numer jedenaście.

Wskazała na drugą stronę sali.

- Najwyżej na pół godziny. Zgadzasz się?

- Oczywiście. - Madeleine była jej naprawdę wdzięczna. Odwróciła się do Desmonda i uniosła kieliszek w geście toastu. - Zaczekasz na mnie?

- Będę liczył każdą minutę do twojego powrotu - odpowiedział i afektowanym ruchem pogładził ją po gładkim policzku.

Wstał i przez chwilę patrzył za nią. Zastanawiał się, co by zrobiła, gdyby przypadkowo odkryła jego romans z Dominique. Uznałaby to za nieodłączną część miejscowych zwyczajów? Pozwoliłaby mu zatrzymać piękną kwarteronkę? Nie. Na pewno nie. Zerwałaby zaręczyny. Straciłby wszystko, na co tak ciężko pracował przez minione lata.

Nie mógł na to pozwolić. Po prostu nie mógł. Aż do dzisiaj był bardzo ostrożny. Udało mu się nie wzbudzać niczyich podejrzeń. W odróżnieniu od innych, odważniejszych obywateli Nowego Orleanu, nie brał udziału w osławionych balach kwarteronów. Pierwszy raz widziano go na tej sali.

Nie był głupi. Młodziutką Dominique wypatrzył pewnego ranka przed domem modystki i wszystko co potrzeba załatwił przez posłańca.

Od razu przyszła do jego powozu, zaparkowanego na wszelki wypadek w bocznym zaułku, dwie przecznice dalej. Wsiadła, uśmiechnęła się zalotnie do Desmonda i usadowiła się mu na kolanach. Już po chwili kręciło mu się w głowie i był twardy jak kamień. Obiecał jej, że jeśli nie powie nikomu o ich związku, to wynajmie jej śliczną białą willę przy Ramparts i będzie jej kupował suknie i prezenty. I że będzie przychodził do niej w każdej wolnej chwili.

To było dwa i pół roku temu.

Jak dotąd, romans nie wyszedł na jaw. Nie powstały nawet najmniejsze plotki. Dominique wyraźnie bała się Desmonda, grożącego jej straszną zemstą na wypadek zdrady. On zaś ani na moment nie zapominał o czujności. Nigdy nie jeździł do kochanki dwa razy tą samą drogą i nigdy nie wysiada! z powozu, kiedy w pobliżu ktoś się kręcił.

Nie. Nikt nie znał prawdy.

Na razie wszystko układało się znakomicie. Dominique w zupełności zaspokajała seksualne apetyty Desmonda, co z kolei chroniło przed jego zakusami niczego nie podejrzewającą hrabinę. Wystraszyłaby się na śmierć, gdyby zaczął domagać się śmiałych pieszczot. W gruncie rzeczy powinna być wdzięczna pięknej kwarteronce. Lord Enfield nie wyobrażał sobie, aby dumna Madeleine chciała brać udział w ulubionych przez niego „zabawach”. Wpadłaby w popłoch, gdyby odkryła jego prawdziwe upodobania. Uciekłaby od niego. Odwołałaby ślub. To byłoby najstraszniejsze. Musiał mieć jej majątek.

Wzdrygnął się na wspomnienie feralnego dnia, w którym zobaczył w biurze swojego plenipotenty, Burtona Abbota. Nadeszły złe wieści z rynku trzciny cukrowej. Nadwyżka dostaw z Kuby i Jamajki spowodowała znaczny spadek akcji. W ciągu kilku dni

Desmond znalazł się na krawędzi ruiny. Desperacko potrzebował zastrzyku świeżej gotówki. Miał nadzieję, że uda mu się jakoś przetrwać najgorszy okres i wytrzymać do kwietnia, do ślubu.

Madeleine nie mogła o niczym wiedzieć. Nie mogła wiedzieć o Dominique i o prawdziwych powodach, które skłoniły go do małżeństwa. Jeśli chciał położyć rękę na jej majątku, to jeszcze przez pewien czas musiał odgrywać rolę troskliwego narzeczonego. I musiał ją poślubić, bez względu na protesty zazdrosnej kwarteronki.

Miałby czego żałować? - zapytał sam siebie, patrząc na rozkołysane biodra oddalającej się hrabiny. Ani trochę.

Madeleine pociągnęła z kieliszka kolejny łyk szampana i przepchnęła się przez tłum tancerzy okupujących parkiet. Przeszła na drugą stronę sali. Stała przed rzędem kramów i rozejrzała się. Nad każdym stoiskiem wisiała ogromna liczba, fantazyjnie wypisana na kawałku brystolu i ozdobiona różnymi dekoracjami.

- Sześć - powiedziała na głos Madeleine. Poszła dalej, trącąc lekko podpitych gości. Po chwili stała już przed stoiskiem numer jedenastie.

- Och, dziękuję ci z całego serca, że przyszedł mi na pomoc! - zawołała Betsy Barringer, ładna młoda żona bogatego bankiera, znanego w całym Nowym Orleanie. Wybiegła zza kontuaru. - Nóg już nie czuję. Muszę na chwilę usiąść.

Madeleine popatrzyła na puste stoisko i ze zdziwieniem zerknęła na Betsy.

- A gdzie twoje fanty? Nic nie widzę.

- Ty będziesz fantem, Madeleine - parsknęła śmiechem młoda kobieta.

- Obawiam się, że nie rozumiem.

- Melissa ci nie powiedziała? A powinna. Tutaj sprzedajemy tańce.

Betsy wskazała na mały, ręcznie wykaligrafowany napis, przyczepiony do ściany kramiku. „Dolara za taniec”.

- Tańce?

- Waśnie. Każdy dżentelmen, który wpłaci srebrnego dolara, ma prawo do jednego tańca - zaśmiała się Betsy.

- Jak rzuci złotą pięciodolarówką, może tańczyć pięć razy.

- Ale ja...

- Niedługo wrócę. Jeszcze raz dziękuję, że się zgodziłaś.

- Nie, zaczekaj. Proszę!

Betsy już zniknęła. Lady Madeleine westchnęła z głębi piersi, odstawiła szampana i przeszła na drugą stronę kontuaru. Nie podobała jej się perspektywa tańca z podstarzałymi i podpitymi przedstawicielami miejscowej śmietanki towarzyskiej. A może jednak będę miała trochę szczęścia? - pomyślała. Może już wszyscy są zajęci? A może lepiej się trochę ukryć, to pomyślą, że tu nikogo nie ma?

Wzięła kieliszek do ręki i cofnęła się w głąb stoiska. Pod napisem „Dolara za taniec” ustawiła składane krzeselko. Usiadła i starannie wygładziła aksamitną suknię. Nikt jej teraz nie powinien widzieć, chyba żeby specjalnie szukał. Mogła sobie spokojnie siedzieć i popijać szampana.

Odetchnęła, odstawiła kieliszek na bok, odczepiła od ręki wiśniową torebkę i położyła ją sobie na kolanach. Rozejrzała się szybko, sprawdzając, czy nikt nie nadchodzi, rozplątała tasiemki wiążące torebkę i zerknęła do środka.

Przez chwilę patrzyła w milczeniu na maleńką pozytywkę. W pierwszym odruchu zamierzała zostawić ją na kontuarze własnego stoiska, żeby ktoś sobie ją zabrał.

Sama nie bardzo wiedziała, dlaczego tak nie postąpiła. Jak dziecko, po prostu chciała mieć tę pozytywkę. Armand de Chevalier prosił, żeby ją wzięła. Co więcej - wręcz nalegał, chociaż mu powiedziała, że wcale jej nie potrzebuje.

- I tak ją zabierzesz - mruknął na koniec, jak zwykle z arogancką miną.

Kiedy odszedł, przez kilka minut biła się z myślami. Wreszcie, tak jak to przepowiedział, ukradkiem wsunęła pozytywkę do torebki. Teraz przyglądała jej się z uśmiechem. Przesunęła palcem po gładkim wieczku. Miała ogromną ochotę posłuchać melodyjki, ale dobrze wiedziała, że to nie czas i miejsce na takie zachcianki.

Z cichym westchnieniem wcisnęła pozytywkę głębiej do torebki i zawiązała tasiemki. Torebkę położyła na ziemi, obok krzesła.

Sięgnęła po kieliszek, wypiła duży łyk szampana i z ulgą pomyślała o chwili odpoczynku.

Ale ta chwila w mgnieniu oka dobiegła końca.

Przy stoisku zamajaczyła wysoka i barczysta postać w śnieżnobiałej koszuli i doskonale skrojonym surducie, tak czarnym jak

skrzydło nocy. Madeleine wprost nie potrafiła oderwać wzroku od urodziwej twarzy stojącego przed nią dżentelmena.

Uśmiechał się.

W jego uśmiechu było coś dziwnego - jakby radość zmieszana z poczuciem triumfu. W czarnych oczach tańczyły niebezpieczne błyski.

Madeleine poczuła, że robi jej się gorąco, chociaż na pozór zachowała kamienny spokój.

Wysoki dżentelmen położył na kontuarze błyszczącą złotą dwudziestodolarówkę.

Był to Armand de Chevalier.

- Jak rozumiem - powiedział - za tę kwotę mam u pani dwadzieścia tańców, hrabino.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Przez pewien czas Madeleine siedziała nieruchomo. Chciała się uspokoić i zebrać myśli. Widok Armanda zawsze wprawiał ją w stan wzburzenia. Nie lubiła go za to. Działał jej na nerwy, tym bardziej że sam zachowywał niewzruszony spokój.

Teraz też stał przed nią bezczelnie uśmiechnięty i pewny siebie. Widziała błysk olśniewająco białych zębów i drwiące iskierki migoczące w czarnych oczach.

Byłaby bardzo zdziwiona, gdyby wiedziała, co w tej chwili naprawdę działo się w jego duszy.

Armand jedynie zachowywał pozory nonszalancji. Serce waliło mu jak oszalałe za każdym razem, gdy spoglądał na rudowłosą hrabinę. W głęboko wydekoltowanej, aksamitnej sukni wydawała mu się jeszcze piękniejsza niż zazwyczaj. Patrzyła mu prosto w oczy, jakby usiłowała go przekonać, że wcale się go nie obawia. Spróbuj tylko, mówiło jej spojrzenie, spróbuj tylko być źle wychowany, a obróci się to przeciw tobie.

De Chevalier przysiągł sobie, że nigdy nie przyzna się przed nią do tego, że w jej obecności miękną mu kolana, drżą nogi i dreszcz przebiega mu po plecach. Miała nad nim władzę, choć ona sama o tym nie wiedziała.

I nie chodziło tutaj wyłącznie o urodę. Armand widział już w życiu wiele pięknych kobiet. Niektóre z nich były może nawet ładniejsze od Madeleine. Żadna jednak nie wywierała na nim takiego wrażenia. Wszystko mu się w niej podobało. Jej duma i nieugiętość, sposób zachowania, siła ducha, zielone, przepastne oczy i zadziorność, z jaką unosiła głowę, kiedy była zła lub zdenerwowana.

A teraz była zła.

Pochyliła się i podniosła z podłogi aksamitną torebkę, leżącą przy nodze krzesła. Zaczepiła ją na przegubie i wstała dostojnym ruchem.

Podeszła do uśmiechniętego Armanda. Jeszcze wyżej zadarła nosek i powiedziała zimno:

- Wolalabym spłonąć na stosie, niż oddać ci dwadzieścia tańców, de Chevalier.

- W takim razie zapłacę dwadzieścia dolarów za jeden - odparł. Wziął ją za rękę i wcisnął jej w dłoń złotą monetę.

Potem z uśmiechem, lecz bezceremonialnie odebrał jej torebkę.

- Możesz to tu zostawić. Nikt ci nie ukradnie bezcennej pozytywki.

Madeleine szerzej otworzyła szmaragdowe oczy.

- Nie mam pozytywki... - zaczęła nadąsanym tonem.

- Oj, Maddie, Maddie... - westchnął Armand, łagodnie potrząsając głową. - Nie chciałbym być niegrzeczny, ale wydaje mi się, że czasami kłamiesz.

- Nie kłamię!

- Nie? To otwórz torebkę i pokaż mi, co jest w środku.

- Nic z tego, mój panie! - zaperzyła się nie na żarty.

- Chcesz prawdy? Zatem posłuchaj: nie zatańczę z tobą ani razu!

Armand wzruszył ramionami.

- Wierzę, że uda mi się skłonić cię do zmiany zdania - powiedział z uśmiechem. - Albo przynajmniej sprawię, że trochę mnie polubisz.

- Nawet za milion lat ci się to nie uda! - odparła i skrzyżowała ręce na piersiach.

Nie przestawał się uśmiechać.

- Zapłaciłem dwadzieścia dolarów, więc wyjdź z tego kontuaru i zatańcz ze mną. Daj mi szansę.

Popatrzyła na niego ze znudzeniem, jak na natrętnego psiaka. Wreszcie westchnęła z irytacją i wyszła ze stoiska.

- Dowiedz się, de Chevalier - powiedziała chłodno - że na darmo straciłeś swoje pieniądze.

- Być może - odparł beztrąsko. - Chociaż moim zdaniem, jeszcze grubo za wcześnie, by o tym wyrokować.

Wziął ją pod ramię i zaprowadził na parkiet.

- Nigdy nie przestaniesz mnie dręczyć?

Armand zatrzymał się, delikatnie wziął ją za ramiona i zmusił, żeby spojrzała na niego.

- Daj mi znać, jeśli uznasz ten taniec za udrękę, hrabino.

Ruszył powoli w takt muzyki. Trzymał ją na odległość wyciągniętej ręki, ani nie bliżej. Tak samo tańczył z nią Desmond. Mimo to Madeleine miała nieodparte wrażenie, że całym ciałem przywiera do Armanda. Istniała między nimi jakaś dziwna więź, trudna do przewyciężenia i działająca niczym potężny magnes. Madeleine miała ochotę rzucić się w ramiona partnera.

Ciekawe, czy on też czuł w ten sposób?

Nagle spostrzegła, że mimo woli się przysunęła. Była tak blisko, że czuła bicie jego serca i dotyk nóg ocierających się o jej spódnicę. Nerwowo przełknęła ślinę i uniosła głowę, żeby na niego popatrzeć.

Armand niemal w tej samej chwili zerknął w dół. Spojrzenia ich się spotkały. Madeleine odruchowo wstrzymała oddech.

Oczy Armanda płonęły pożądaniem, a usta - pełne i zmysłowe - zawisły zaledwie o kilka centymetrów od jej twarzy. Przez jedną straszną chwilę Madeleine miała wrażenie, że de Chevalier naprawdę zamierza ją pocałować.

Z drugiej strony obawiała się, że jednak jej nie pocałuje.

Armand z trudem przełknął ślinę. Madeleine domyśliła się, że miotany sprzecznymi uczuciami, toczył ze sobą wewnętrzną walkę. Przemknęło jej przez głowę, że powinna porzucić wszelkie konwenanse i zapomnieć o spokojnej, bezpiecznej przyszłości. Cóż bowiem mogło być wspanialszego niż miłość ofiarowana jej teraz przez Kreola? Niech mnie całuje, pomyślała.

I do diabła z całym światem!

Uratował ją sam de Chevalier. Najwyraźniej otrząsnął się z wrażenia, bo uśmiechnął się ironicznie, ani na chwilę nie przerywając tańca.

- Powiedz prawdę, chérie, bardzo cierpisz?

- Och, bardzo! - zawołała zupełnie szczerze. Rzeczywiście tak było.

Nie miała siły, żeby się opierać. Była zdana na jego łaskę i niełaskę. Smagły Kreol obudził w niej dawno uszpiętą żądzę. W czasie wspólnie spędzonym na tonącym statku ukazał jej nieznaną przedtem rozkosz. Od tamtej pory pragnęła przeżyć to ponownie. Tak, cierpiała. Cierpiała choćby dlatego, że był tak blisko, a jednak tak daleko. Nieosiągalny. Niedostępny dla jej pocałunków, pieszczot i pasji. Niedostępny dla żywiołowej, niczym nieskrępowanej miłości.

Armand uśmiechnął się ze zrozumieniem, jakby bez trudu przejrzał jej myśli.

- Lecz to okropnie przyjemne cierpienie, oui, chérie? Próbowала się opanować.

- Nie bądź śmieszny! - rzuciła z fałszywym wyrzutem.

- Śmieszny? - powtórzył. - Ależ, hrabino, ani mi to w głowie. Nie udawaj, że nic nie zaszło podczas naszego tańca.

- Niczego nie udaję! Naprawdę nic nie zaszło. Co mogłoby się zdarzyć w sali tak pełnej ludzi?

- A przyjemne mrowienie słodkiego pożądania?

- Nic z tego! - Skrzywiła się. Obdarzył ją miłym uśmiechem.

- I nie chciałaś, żebym mocniej pochwycił cię w objęcia?

- Ani trochę!

- I nie chciałaś przez chwilę mnie pocałować? Ostatnie słowa Armanda odebrały jej mowę. Popatrzyła na niego w milczeniu i zmyliła krok. Podtrzymał ją zręcznie, żeby się nie potknęła. Nie powiedział: „Chciałem cię pocałować”. Przerzucił odpowiedzialność na nią - i co najgorsze, miał zupełną rację. Dosłownie kilka sekund temu była gotowa zapomnieć o małżeństwie i spokojnej przyszłości. Zamierzała postawić wszystko na jedną kartę i zmarnować sobie całe życie.

Na szczęście muzyka przestała grać. Madeleine niecierpliwie uwolniła się z objęć Armanda.

- Opłacało się wydać dwadzieścia dolarów - powiedział.

- Mam nadzieję - odparła z furią. - Tym bardziej że nie powinieneś liczyć na nic więcej.

- Mylisz się, hrabino - mruknął, a w jego ciemnych oczach obietnica mieszała się z przestrogą. - Dobrze wiesz, że się mylisz.

Tego było już za wiele.

- Dobry Boże! Jak ja cię nienawidzę, przeklęty Kreolu! Szmaragdowe oczy ciskały błyskawice, a na blade policzki wystąpił rumieniec.

Jeszcze nigdy nie wyglądała piękniej. Armand był oczarowany.

- Znasz stare powiedzenie, hrabino - szepnął, nachyliwszy się lekko w jej stronę. - Jedyne cienka linia oddziela nienawiść od miłości. Może dlatego wydaje ci się, że mnie nienawidzisz, bo w głębi serca mnie naprawdę kochasz?

Wysoko uniosła podbródek.

- Choćbyś był jedynym mężczyzną na ziemi, to wolałabym raczej skoczyć do Missisipi, niż pozwolić, abyś mnie dotknął! Czy to pasuje do twojej teorii miłości, Kreolu?!

- Co się dzieje, Madeleine?

- Dzieje?

- Tak - odparł lord Enfield. - Widziałem, że tańczyłaś z de Chevalierem i...

- Ach, o to chodzi.

- Tak, o to.

- Absolutnie nie miałam wyboru, Desmondzie - zapewniła go szybko Madeleine. - Pamiętasz przecież, że Melissa prosiła mnie o pomoc?

- Owszem, pamiętam.

- Okazało się, że w stoisku numer jedenaście są sprzedawane tańce. - Z przesadną niechęcią pokręciła głową. - De Chevalier kupił jeden i...

- Rozumiem - przerwał jej Desmond. - Przez chwilę wyglądało, jakbyście... hmm... A może mam zacząć się obawiać?

- Na Boga, skądże! - z emfazą zawołała Madeleine, jakby usłyszała najbardziej nieprawdopodobną rzecz w życiu.

Przemknęło jej przez głowę, że znowu skłamała. Najpierw wobec Armanda, a teraz... Miała ochotę zawołać: „Tak, powinieneś zacząć się obawiać! Bój się, bo przed kilkoma miesiącami leżałam w ramionach Armanda de Chevaliera! Przez godzinę dał mi tyle szczęścia, ile od ciebie nie zaznam przez lata! Co gorsza, nie zamierza na tym poprzestać i znów usiłuje zaciągnąć mnie do łóżka. Nie mam siły się bronić! Nie wiem, jak długo jeszcze będę się opierać! Tak, powinieneś zacząć się obawiać! Powinieneś poza tym być zazdrosny!\".

Zamiast tego uśmiechnęła się słodko do earla.

- Mój kochany - powiedziała. - Spełniłam tylko swój obowiązek, żeby zebrać więcej funduszy dla naszej dzielnej angielskiej Florence Nightingale.

- Cieszy mnie, że to słyszę - odparł Desmond. Podał jej ramię i wyszli na parkiet. Kiedy zaczęli tańczyć, szepnął jej do ucha:

- De Chevalier cię pożąda. Widzę to po jego spojrzeniu. Jak urzeczony ciągle wodzi za tobą wzrokiem.

- Och, Desmondzie, to przecież...

- Cicho - uspokoił ją. - Nic złego się nie stało. On się zupełnie nie liczy. Powiem ci w zaufaniu, że do pewnego stopnia sprawia mi to niemałą satysfakcję. Wiem bowiem, że należysz do mnie. Już ci mówiłem kiedyś, że za niego nie dałbym nawet złamanego centa, ale tobie ufam bezgranicznie.

Przez resztę wieczoru Madeleine pozostawała u boku narzeczonego. Tu czuła się najbezpieczniej. W duchu przyrzekła

sobie, że zrobi dosłownie wszystko, aby zasłużyć na jego zaufanie. Tańczyli razem, wesoło gawędzili z licznymi przyjaciółmi i odbierali gratulacje z okazji zaręczyn.

Jedynym zgrzytem było to, że nigdzie nie spotkali Colfaksa. Desmond powiedział, że wuj poczuł się zmęczony i wyszedł wcześniej.

- To zupełnie do niego niepodobne - oznajmiła szczerze zmartwiona Madeleine.

- Ależ nie przejmuj się, kochanie - pocieszał ją lord Enfield. - Kazał mi cię zapewnić, że nic mu nie dolega. Zmęczył się hałasem i ruchem wokoło.

- Montro odwiózł go do domu?

- Oczywiście - zapewnił ją Desmond. - A teraz przestali się martwić i wracajmy na parkiet.

Madeleine uśmiechnęła się w końcu i podała mu rękę. Niestety podczas tańca odruchowo rozglądała się za Armandem. Wreszcie go zobaczyła. Stał samotnie z kieliszkiem w dłoni w pobliżu orkiestry. Z jego oczu wycierał bezgraniczny smutek.

Poweselał dopiero wtedy, kiedy napotkał jej spojrzenie. Nie, „poweselał” to źle powiedziane. Znow przybrał tę cyniczną minę, której się po nim spodziewała. Potem odwrócił wzrok, bo w tej samej chwili podeszła jakaś elegancka dama i delikatnie wzięła go za rękę. Madeleine rozpoznała ją bez trudu. Była to ciemnowłosa piękna wdówka, Raphelle Delion.

Przypomniała sobie uporczywe plotki, że bogata pani Delion już od dawna próbuje zdobyć względy Armanda de Chevaliera. Być może była w tym odrobina prawdy.

Raphelle uśmiechnęła się uwodzicielsko, ujęła Armanda pod ramię i powiedziała coś po cichu. De Chevalier natychmiast odstawił kieliszek, przeszedł z nią na parkiet i wziął ją w ramiona.

Raphelle Delion uśmiechnęła się do Armanda i przesunęła koniuszkiem języka po wargach.

- Już późno, Armandzie - powiedziała. - Jestem nieco zmęczona.

- Naprawdę? - spytał zdawkowo.

- Naprawdę - odparła, przysuwając się nieco bliżej. Ukradkowo przywarła brzuchem do jego łądźwi.

- Nie potrafię myśleć o niczym innym, jak tylko o moim obszernym małżeńskim łożu i o ciepłym bijącym od kominka w

sypialni. Wiem skądinąd, że pokojówka przygotowała mi na noc frywolną czarną koszulę z koronkami.

Armand uważniej popatrzył na piękną wdowę. Rzeczywiście nie brakowało jej urody. Miała pełne, kuszące kształty rodowitej mieszkanki Południa, cerę białą jak mleko, ciemne, błyszczące włosy i ogromne oczy. Nie po raz pierwszy próbowała go sobą oczarować. Nie wątpił, że już za godzinę mógłby spocząć w jej łóżu i pozostawać tam tak długo, jak by tylko zechciał.

Raphelle czekała, aby coś powiedział. Widząc, że uparcie milczy, dodała:

- Odprowadź mnie do domu, Armandzie. Naciesz się moim łóżem, ogniem na kominku i moim czarnym negliżem. Naciesz się mną. Przez całą noc będziemy popijać zimnego szampana i zażywać gorącej miłości.

Kusiła nieodparcie.

Armand poczuł, że krew szybciej krąży mu w żyłach. Był podenerwowany, niespokojny i spięty. Tak spięty, jak ciasno zwinięta sprężyna zegarka. Potrzebował odrobiny rozkoszy. Gdyby Raphelle zaoferowała mu chwilę wytchnienia, na pewno przyjąłby tę propozycję. Niestety, wiedział, że za tym kryje się o wiele więcej. Że piękna wdowa ma plany na dalszą przyszłość. Nie chodziło jej tylko o jedną noc rozkoszy.

Popęłniłby gruby błąd, dając jej jakąś nadzieję. Należała do tych płaczkliwych i zaborczych niewiast, które potrafią zmienić życie mężczyzny w piekło. Już się zwierzała przyjaciółkom, że chce go na męża.

I bez tego miał dość kłopotów.

Nie zamierzał narobić sobie nowych.

- Armandzie? - Raphelle z wyczekiwaniem patrzyła na niego, jakby spodziewała się, że zaraz usłyszy „tak”.

- Pochlebiasz mi, ale... - Wzruszył ramionami. Posmutniała i wykrzywiła usta, jakby miała zamiar się rozplakać.

- Dobranoc, Raphelle - powiedział szybko i odszedł.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Blady zimowy księżyc pojaśniał na niebie. Noc była wilgotna i przeraźliwie zimna. Madeleine i Desmond tuż po północy wyszli z zabawy. Madeleine dygotała z chłodu, wsiadając do czekającego na nich powozu.

- Zmarzniesz, moje biedactwo - powiedział Desmond. Objął ją i mocno przytulił do siebie.

Prawa ręka hrabiny, wraz z torebką, uwięzła pomiędzy nimi. Madeleine poczuła twardego dotyk pozytywki i odruchowo wstrzymała oddech. Miała nadzieję, że Desmond niczego nie zauważy.

Niestety.

Lord Enfield zmarszczył czoło i pomacał się w bok, żeby sprawdzić, co go uwiera. Dotknął torebki.

- Co masz tutaj, kochanie? - spytał z lekkim zdziwieniem. - Coś twardego.

Madeleine niespokojnym ruchem zabrała mu torebkę. Roześmiała się nerwowo.

- Wybacz, Desmondzie. - Chrząknęła głośno i zupełnie niepotrzebnie. - Szefowa komitetu dała mi mały prezent. To taki dowód wdzięczności za pomoc w przygotowaniach do loterii.

- Rozumiem. Co to takiego?

- To... ach, maleńkie cynowe pudełko czekoladek. - Następne kłamstwo. - Chcesz jedną?

- Nie, dziękuję - odparł.

Madeleine odetchnęła z ulgą.

Szybko przełożyła torebkę do drugiej ręki. Desmond znowu przytulił ją do siebie. Koła powozu hałaśliwie turkotały po zamarzniętym bruku.

Madeleine złożyła głowę na piersi Desmonda i przymknęła oczy. Było jej przykro, że skłamała. Znowu. A przecież wprost brzydziła się oszustwem i kłamstwem. Zawsze z dumą myślała, że jest całkiem szczerą, i od innych też oczekiwała szczerości.

Zadziwiająco, jak jedno kłamstwo wiedzie do drugiego.

I do następnych.

- Jesteśmy na miejscu, kochanie - cichy głos Desmonda wyrwał ją z niewesołych rozmyślań.

Uniosła głowę. Powóz minął żelazną bramę i wjeżdżał właśnie na dziedziniec. Wielki Montro niemal natychmiast wyłonił się z cienia i otworzył drzwiczki.

- Daj nam jeszcze chwilę, dobrze? - ostrym tonem powiedział lord Enfield,

- Tak jest, proszę pana - odparł olbrzym i posłusznie zamknął drzwiczki.

- Desmondzie - odezwała się z wyrzutem Madeleine - dlaczego tak go traktujesz? Bez wątpienia sprawiłeś mu przykrość.

- Dobry Boże, kochanie, przecież to tylko służący! - zdumiał się lord Enfield. - Co mnie mogą obchodzić jego uczucia?

- Jest człowiekiem, w dodatku bardzo miłym.

- I do tego trochę męczącym, przynajmniej jeśli chodzi o mnie. Zawsze się płacze pod nogami. Ile razy uniosę głowę, widzę go koło siebie. Zaczyna mnie to nudzić.

- Nie przyszło mi na myśl, że możesz odczuwać to w ten sposób, Desmondzie - powiedziała, przyglądając mu się z uwagą.

Od razu złagodniał. Leciutko dotknął jej policzka.

- Przepraszam, kochanie. Chodzi o to, że chciałem bez świadków pocałować cię czule na dobranoc. Tutaj, w ciepłym powozie.

- Nie wstąpisz?

- Nie dzisiaj, najdroższa. To był ogromnie długi i męczący dzień. Jestem zupełnie wyczerpany.

Madeleine ucieszyła się w duchu, że chciał już odjechać.

- W takim razie do jutra - wyszeptała.

- Oczywiście - odparł. Ujął ją pod brodę i pocałował.

- Dobranoc, kochanie.

- Dobranoc, Desmondzie.

Zastukał w drzwiczki. Wielki Montro niemal w tej samej chwili nacisnął klamkę i pomógł hrabinie wyjść z powozu. Lord Enfield wysunął głowę.

- Słuchaj, Montro! - zawołał. - Wybacz, że byłem trochę oschły. Jestem zmęczony, ale to żadne usprawiedliwienie. Przepraszam.

- Nic nie szkodzi - odpowiedział siłacz i starannie zamknął drzwi powozu.

Odprowadził Madeleine do samych schodów,

- Podobało się pani na balu, milady? - zapytał.

- Bardzo! - zawołała. - Zebrałyśmy okazałą sumę dla Krymu i bawiłam się doskonale.

Znów to samo. A przecież miała nie kłamać. Wcale nie była zadowolona z dzisiejszego wieczoru. Armand de Chevalier popsuł jej całą zabawę.

Montro otworzył drzwi, wprowadził ją do holu, uśmiechnął się i powiedział:

- Przyjemnych i ciepłych snów.

- Nawzajem - odparła. - I... dziękuję ci, że zawsze jesteś pod ręką.

Sprawiła mu tym dużą przyjemność. Olbrzym wyraźnie poweselał.

- To dla mnie prawdziwa radość, milady. Madeleine zamknęła zasuwę i rozejrzała się po holu.

Spod drzwi sypialni wuja Colfaksa nie padało nawet najmniejsze światło. Weszła na górę, do siebie, i zastała tam czuwającą ochmistrzynię.

- Och, Avalino! Nie musiałaś na mnie czekać. Moja kochana. Musisz być okropnie śpiąca.

Ochmistrzyni pokręciła głową przystrojoną bielutkim czepkiem.

- Tylko trochę - uśmiechnęła się. - Za to panienka na pewno pada z nóg. Przyda się moja pomoc.

Madeleine przytaknęła jej z wdzięcznością. Zdjęła długą, obszywaną gronostajami pelerynę i spytała:

- Wdziałaś wuja tuż po powrocie?

- Owszem.

- Co z nim? Wyszedł dość wcześnie.

- Wszystko w porządku. Przynajmniej tak mnie zapewniał - stwierdziła Avalina. Z namysłem przechyliła głowę w bok i dodała: - Obawiam się, że jego wiek daje pomału znać o sobie. Zauważyłam, że ostatnio dużo szybciej się męczy.

- Cóż, dzisiaj niemal cały dzień spędził na nogach - powiedziała Madeleine. - Ja jestem znacznie młodsza, a też już ledwo żyję.

- W to nie wątpię - mruknęła Avalina. - Pomogę pani zdjąć tę suknię.

Madeleine z westchnieniem skinęła głową.

- Co byśmy zrobili bez ciebie i Wielkiego Montro?

- Tego się nigdy pani nie dowie - stanowczym tonem oświadczyła ochmistrzyni. Była dumna z tego, że cały dom pozostaje pod jej opieką.

Tymczasem Madeleine odkryła z zadowoleniem, że już czeka na nią gorąca kąpiel. Kilka minut później siedziała w parującej balii i opowiadała Avalinie o balu. O tym, kto przyszedł, kto z kim tańczył i kto za dużo wypił. Która z dam miała najładniejszą suknię i której gust pozostawiał wiele do życzenia. Plotkowały we dwie i chichotały jak psotne pensjonarki.

Ale śmiech nagle zamarł na ustach Madeleine, gdy Avalina w całej swojej naiwności, spytała niespodziewanie:

- Był tam ten przystojny jak diabli Armand de Chevalier?

Wreszcie ochmistrzyni, ziewając, poszła do siebie. Madeleine wsunęła się do łóżka i ułożyła na boku, w smudze księżycowego światła. Na prześcieradle, koło niej, leżała pozytywka. Madeleine wodziła palcem po wieczku, ale nie śmiała go otworzyć.

Nieświadomie przygryzła usta. Ostatni raz widziała Armanda, kiedy tańczył z Raphelle Delion. Z bogatą wdową, o której wszyscy powiadali, że próbuje usidlić Kreola.

Co mnie w ogóle to obchodzi? - zastanawiała się Madeleine, lecz mimo to nie pozbyła się uporczywych myśli. Gdzie teraz jest Raphelle? Z Armandem?

A on pewnie w jej łóżku?

Ogarnęła ją dzika, bezrozumna złość, zmieszana z rozżaleniem. Jak nieposłuszne dziecko, gwałtownym ruchem strąciła pozytywkę z łóżka. Zabawka stuknęła o dywan, puściła sprężyna wieczka i w sypialni rozległy się ciche dźwięki muzyki.

- Niech cię diabli, Kreolu! - krzyknęła Madeleine. Łzy płynęły jej po policzkach. - Nie chcę tej głupiej pozytywki! I ciebie też nie chcę!

Armand szybko włożył czarną pelerynę i zamszowe rękawiczki. Z dużym pośpiechem opuścił salę balową. Na dole czekał już powóz.

- Do domu, proszę pana? - spytał stangret, otwierając drzwiczki.

- Tak, Philipie. Do domu - odparł Armand i wsiadł do powozu. Nagle odwrócił głowę i powiedział: - Nie, rozmyśliłem się. Najpierw mnie zawieź do Lulu St. Clair.

- Tak jest, proszę pana - z niewzruszoną miną zgodził się Philip.

Armand zapadł się w fotel w ciemnym wnętrzu powozu i skrzyżował ręce na piersiach. Zmarszczył brwi. Był zdenerwowany,

napięty i rozdrażniony. Najgorsze, że za to wszystko mógł winić tylko siebie. Nikogo więcej. Dlatego też gardził sobą. Pozwolił, żeby jakaś rudowłosa arystokratka - na dodatek już dawno zaręczona z kimś innym - załaziła mu za skórę. W imię czego? W imię wspomnienia sztormowego dnia na oceanie i chwil szaleńczej miłości? Z drugiej strony, były to niezapomniane chwile.

De Chevalier z całej siły zacisnął zęby. Postanowił, że zerwie z tamtą przeszłością. Że zapomni. Właśnie miał zamiar to zrobić. Wiedział już, w jaki sposób. W zimną grudniową noc spędzi parę godzin w ciepłych objęciach jakiejś egzotycznej dziewczyny z „gromadki” madame Lulu.

Słyszał z dobrego źródła, od pewnego dżentelmena, który często bywał w tym przybytku, że Lulu zatrudniała najpiękniejsze - i najdroższe - dziewczęta na Południu. Były cudowne, wykształcone, kulturalne, śmiałe i zarazem nader dyskretne. Dostępne jedynie dla panów z miejscowej śmietanki towarzyskiej z grubymi portfelami i o nienagannych manierach.

Powóz stanął przed masywnym, dwupiętrowym budynkiem przy Bourbon Street. Woźnica Armanda zeskoczył z kozła i prędko otworzył drzwiczki. De Chevalier głęboko wciągnął w płuca chłód nocy.

- Mam zamiar tu zostać do jutra, Philipie - powiedział. - Jedź do domu.

- Tak jest, proszę pana. Jak pan sobie życzy - odparł stangret. - Mam przyjechać z samego rana?

- Nie wcześniej niż przed południem - mruknął Armand. Miał zamiar kochać się bez pamięci, a potem to dobrze odespać.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Armand przeszedł podcieniem, wspiął się na pierwsze piętro po żelaznych schodach i zastukał ciężką kołatką. Otworzył mu lokaj w liberii. Uśmiechem powitał gościa i uprzejmym gestem zaprosił go do środka.

Armand zdjął pelerynę i rękawiczki. Oddał je czekającemu służącemu. W tej samej chwili w foyer pojawiła się sama Lulu St. Clair w zaskakująco gustownej sukni. Ciepło pozdrowiła przybysza.

- Ach, pan de Chevalier - powiedziała rozpromieniona. - Witam, witam. Zastanawialiśmy się już nieraz, czy wreszcie znajdzie pan drogę do naszej skromnej przystani.

- Jak widać, jestem - odparł pogodnym tonem. Roześmiała się i lekko uderzyła go w pierś złożonym wachlarzem.

- Widać. Dołożymy starań, aby bawił się pan jak najlepiej. W końcu leży to w naszym interesie, żeby zaglądał pan tutaj jak najczęściej.

Wyciągnęła pulchną, upierścienioną rękę, ujęła go pod ramię i poprowadziła do przestronnego, elegancko umeblowanego salonu. Tutaj kominek był z białego marmuru, a meble - obite wiśniowym adamaszkiem - z wypolerowanego na wysoki połysk mahoniu. Na mahoniowej posadzce leżały cenne kobierce i dywany.

Salon wydawał się prawie pusty. Jakaś szykowna para siedziała na kanapie, szepcząc do siebie i od niechcienia popijając szampana. W kącie pianista w czarnym fraku grał na bogato rzeźbionym fortepianie.

- Już trochę późno - szybko wyjaśniła madame Lulu.

- Jeśli za późno, to może...

- Nie, nie, panie de Chevalier. Na pewne rzeczy nigdy nie jest za późno. Mam dla pana odpowiednią dziewczynę. - Uśmiechnęła się tajemniczo, jakby chciała mu powierzyć jakiś nieziemski sekret. Pociągnęła za sznur dzwonka. Po sekundzie do salonu powoli weszła oszałamiająco piękna młoda kobieta. Wysoka, elegancko ubrana i rudowłosa.

- Na imię ma Gytha - odezwała się madame Lulu. - To w staroangielskim znaczy „podarunek”. Może być pańskim podarunkiem, jeśli pan tylko zechce.

- Nie! - stanowczo odpowiedział Armand. Madame Lulu popatrzyła na niego ze zdumieniem.

- Nie podoba się panu? - Uniosła rękę, wstrzymując dziewczynę.
- Nie jest piękna?

- Niewiarygodnie piękna - oznajmił Armand. - Lecz wolałbym raczej brunetkę. Albo blondynkę. Albo...

- Ach, już rozumiem! Nie lubi pan rudych, panie de Chevalier?

- Nie lubię.

Madame Lulu uśmiechnęła się z wyraźną ulgą. Strzeliła z palców i odesłała Gythę. Chwilę później kolejna piękność zeszała po szerokich schodach do salonu. Też była wysoka i nieziemskiej urody. Ciemnowłosa jak Armand, skórę miała o lekko oliwkowym odcieniu. Ubrana była w wieczorową suknię z czarnego aksamitu, z dekoltem sięgającym niemal czubków piersi. Co prawda, krynolina skrywała jej sylwetkę, lecz można było iść o zakład, że jej biodra są jędrne i krągłe. Uśmiechała się uwodzicielsko, a w jej oczach błyszczała zapowiedź długotrwałych zmysłowych rozkoszy.

- Podoba się panu, monsieur? - zapytała niespokojnie Madame Lulu.

- Bardzo - odpowiedział Armand.

- Ah, bon, bon - ucieszyła się Lulu. - Jej imię brzmi Jade. Miała hiszpańskich przodków i wie, jak zaspokoić oczekiwania najbardziej wybrednego kochanka.

- To znakomicie - westchnął Armand. - Wezmę ją na całą noc.

- Mądra decyzja - oznajmiła Madame Lulu. Armand podszedł do kruczowłosej Hiszpanki. Wyciągnął rękę i powiedział:

- Jade. Jestem Armand de Chevalier. Podobasz mi się i chciałbym z tobą spędzić kilka najbliższych godzin.

Uśmiechnęła się, ukazując dwa rzędy olśniewająco białych zębów.

- Sprawię, że nigdy nie zapomnisz dzisiejszej nocy, Armandzie.

Ujęła jego dłoń i poprowadziła go w stronę schodów.

Weszli na górę. Jade wskazała mu trzecie drzwi w korytarzu, wiodące do jej pokoju. Gdy znaleźli się wewnątrz, przekręciła klucz w zamku i oparła się plecami o futrynę. Popatrzyła na mężczyznę, który miał spędzić noc w jej łóżku. Nie wierzyła własnemu szczęściu. Pierwszy raz w całym swoim zawodowym życiu miała ochotę na miłość. Dżentelmeni odwiedzający dom Lulu St. Claire mieli na ogół już po pięćdziesiątce, a niektórzy byli dużo starsi. Kulturalni, to prawda, bogaci i rozmowni, czasem dowcipni lub wręcz czarujący -

lecz niestety, już w nie najlepszej formie. Jade cierpiała w duchu, widząc ich chude nogi i pomarszczoną skórę. Wielu z nich musiała pieścić godzinami, zanim skrzesała w nich choć odrobinę ognia.

Teraz stał przed nią młody i wysoki Kreol, pełen życia, energii i wigoru. Wiedziała, że jej nie zawiedzie. Cieszyła się, że zostanie na noc. Spotkania z innymi klientami nie dawały jej satysfakcji. A przecież z drugiej strony... też potrzebowała odrobiny miłości z doświadczonym partnerem.

Przystojny Kreol był obietnicą niezapomnianych wrażeń.

Patrzyła w niego jak w obraz. Armand tymczasem z zaciekawieniem rozglądał się po jej luksusowym gniazdku. Podziwiał bezcenne posążki i malowidła znanych mistrzów. Pod ścianą stała duża przeszklona szafa, pełna fantazyjnych strojów i pościeli.

Nad gzymsem kominka wisiało kosztowne francuskie lustro w połączanej ramie. Przed kominkiem stały dwa fotele i kanapa, kryte adamaszkiem.

W lustrze widać było odbicie ogromnego łóża, tak pomyślanego, żeby mogło posłużyć najwyższym klientom. Bielutkie prześcieradła, koronkowe zasłony i kosz świeżych, pachnących kwiatów, zwieszający się u wezglowia, dopełniały obrazu całości.

Bogaty wystrój sypialni i uroda jej właścicielki mogły zaspokoić najwykwintniejsze gusta. Wszystko tu było zapowiedzią zmysłowych rozkoszy. Armand zaś miał ochotę na taką właśnie rozkosz.

Jade, podekscytowana perspektywą wspólnej nocy, podeszła do niego i położyła mu ręce na piersiach.

- Chcę, żebyś był ze mnie zadowolony. Z ochotą spełnię każde twoje życzenie.

- Na początek przydałaby mi się przyjemna gorąca kąpiel - odparł Armand i zdjął frak.

- Proszę bardzo - powiedziała. Podeszła do łóżka i pociągnęła za sznur dzwonka.

Parę minut później de Chevalier siedział w żeliwnej wannie, pełnej piany i gorącej wody. Piękna Jade - ubrana teraz jedynie w krótką czarną koszulkę i jedwabne pończochy - szorowała mu plecy szczotką na długim kiju.

Kiedy już się wykąpał, wstał i pozwolił się wytrzeć suchym ręcznikiem. Przy tej okazji Jade odegrała mały, lecz przyjemny

spektakl. Nacierwała go w czułych miejscach, pieściła i w pewnej chwili uklękła, żeby osuszyć mu nogi.

Wreszcie odłożyła ręcznik, wstała, uśmiechnęła się do Armanda i rzekła:

- Zaczekam na ciebie.

Odwróciła się i wyszła z łazienki. Armand został sam. Wziął z toaletki niewielką, bez wątpienia kobiecą szczotkę i starannie uczesał jeszcze wilgotne włosy. Odłożył szczotkę i przesunął dłonią po skroniach. Zdjął z półki nowy ręcznik. Wytarł nim te miejsca, które pominęła Jade, a potem owinął go wokół bioder i zawiązał na prawym boku.

Wrócił do sypialni.

Koszulka i pończochy Jade leżały beztrąsko rzucone na dywan. Naga dziewczyna spoczywała w łóżku, przykryta miękką białą pościelą. Jej czarne włosy były rozrzucone na koronkowej poduszce. Znad rąbka kołdry wystawały ramiona i piersi.

Ciemne oczy płonęły pożądaniem.

Armand nie spuszczał z niej wzroku. Odrzucił ręcznik i nagi zbliżył się do łóżka. Pochylił się i powoli ściągnął na bok kołdrę. Niedbale rzucił ją na podłogę i położył się obok Jade.

Czułym ruchem pogładził jej piękne ciało. Wsparł dłoń na kształtnym biodrze.

- Będiesz mnie kochała przez całą noc i jutrzejszy ranek? - zapytał.

- Na pewno - odparła, dygocząc z oczekiwania. Ale niecałe pół godziny później Armand się ubierał, a Jade z nadąsaną miną siedziała po turecku na skotłowanym łóżku.

- Zapłaciłeś za całą noc - przypomniała mu.

- Wiem - odpowiedział. Wsunął koszulę w spodnie.

Nie chciał robić przykrości dziewczynie, więc dodał: - Warto było. Naprawdę jesteś znakomita, Jade.

- To dlaczego wychodzisz? - zawołała. - Zostań, a będzie nam jeszcze lepiej!

- Już było dobrze - mruknął. Nie dała się ułagodzić.

- Co z tobą? - zawołała urażonym tonem. - Nie możesz więcej? O to chodzi?

- O, właśnie - przyznał Armand, wzdychając nad swoim losem. - Podejrzewam, że nie jestem w pełni mężczyzną.

- Na pewno nie! - krzyknęła i rzuciła w niego poduszką, gdy wychodził.

Armand zszedł na dół, prędko zabrał pelerynę, rękawiczki i wybiegł w ciemność. Rozejrzał się po pustej ulicy. Dopiero teraz sobie przypomniał, że kazał Philipowi nie przyjeżdżać wcześniej niż jutro w południe.

Nie szkodzi. Spacer w księżycową noc po świeżym powietrzu na pewno dobrze mu zrobi. Coś przecież w końcu musiało mu pomóc. Coś musiało wreszcie ukoić jego skołatane nerwy.

Myślał, że zazna krótkiego odpoczynku w ramionach pięknej kobiety. Jade okazała się warta swojej ceny. Było im ze sobą dobrze. Bardzo dobrze.

Skoro tak, to dlaczego wciąż się niepokoił? Dlaczego nie potrafił usiedzieć na miejscu? Dlaczego gorączkowo ciągle szukał spełnienia?

Szedł bez żadnego planu, wyjątkowo okrężną drogą.

Zamiast minąć St. Peter i dojść do Pontalby, skręcił na zachód, w kierunku Bourbon. Doszedł do Conti, skręcił na południe i przecnicę dalej był już na Royal.

Zatrzymał się przed rezydencją Colfaksa Sumnera i mimochodem spojrzął na okna na piętrze. Zadrzał z zimna. Wsunął ręce głęboko w kieszenie i stał tak przez chwilę, wyobrażając sobie piękną rudowłosą Madeleine pogrążoną we śnie.

- Wszystko w porządku, panie de Chevalier? Armand drgnął na dźwięk głębokiego głosu. Odwrócił się i zobaczył, że w jego kierunku nadchodzi Montro.

- Tak... tak... - bąknął. - Właśnie szedłem do domu i...

- Z kasyna?

- Tak, z „The Beaufort”. Montro uśmiechnął się pod wąsem.

- Trochę pan zboczył z drogi, co?

- Przyłapałeś mnie - przyznał Armand i także się uśmiechnął. - Tylko nikomu o tym nie mów! Zwłaszcza jej.

- Na pewno nie powiem - obiecał olbrzym. Od razu wiedział, że Armand ma na myśli hrabinę.

De Chevalier westchnął z głębi piersi.

- Nie mam złych zamiarów. Chciałem...

- Wszystko rozumiem - przerwał mu Montro. - Obawia się pan o nią, tak samo jak ja.

Armand zmarszczył brwi.

- Obawiasz się?

Wielki Montro poważnie skinął głową.

- Coś nie tak jest z lordem Enfieldem. Nie wiem co.

- Domyślam się, o co ci chodzi - wtrącił Armand. Podniósł kołnierz peleryny. - Lepiej już sobie pójdę - mruknął. - Sam marznij. Dobranoc, Montro.

- Dobranoc panu.

Armand odszedł, kuląc ramiona. Kilka minut później był już w domu, w ciepłym, przytulnym pokoju. Zawiesił pelerynę na oparciu krzesła i udał się do sypialni. Ziewnął i szybko rozebrał się. Ubranie zostawił tam, gdzie upadło.

Lecz zanim położył się do łóżka, sięgnął jeszcze do kieszeni porzuconych spodni. Ostrożnie wyjął spłowiałą i lekko naddartą podwiązkę. Jego amulet. Podwiązkę Madeleine. To wszystko, co mu po niej pozostało. Tylko tę pamiątkę zachowa na zawsze.

Zdmuchnął lampę, rzucił się na łóżko, przewrócił na bok i położył podwiązkę przed sobą.

Oczami wyobraźni znów widział śpiącą Madeleine. Biała kołdra ciepło okrywała jej lśniące, gibkie ciało. Widział też siebie u jej boku. Widział tak wyraźnie, że aż serce krwawiło mu z tęsknoty. Jakże bardzo chciał ją wziąć w ramiona i kochać bez opamiętania.

Aż spał się cały i przygryzł usta. Zaklął w duchu, bo nie panował nad coraz silniejszym podnieceniem. Ze złością zrzucił podwiązkę na podłogę i położył się na wznak.

Z rozpaczą, żeby uchronić się od dalszych cierpień, przywołał obraz swojej ukochanej w objęciach lorda Enfielda.

Patrzył na nią, jak zupełnie naga rzucała się w ramionach przystojnego blondyna. Zdegustowany tym widokiem, ochłonął nieco. Potarł ręką czoło.

Podniecenie minęło.

Przeraźliwa tęsknota pozostała.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Miał to być miesiąc zabaw i radości.

Dla hrabiny okazał się smutny.

A wszystko z powodu Kreola.

Madeleine nie znajdowała żadnej przyjemności w świątecznych balach, zabawach i przyjęciach. Gdziekolwiek szła, towarzyszyło jej uczucie strachu, że za chwilę spotka Armanda de Chevaliera.

Ów strach nie był bezpodstawny. Reputacja Kreola, choć daleka od doskonałości, nie miała żadnego wpływu na liczbę zaproszeń. Wszystkie szacowne damy w Nowym Orleanie uważały wręcz za punkt honoru, aby pan Armand de Chevalier zaszczyił ich skromne progi. Umieszczały go zazwyczaj na początku listy gości.

Z radością był podejmowany w eleganckich salonach finansowej elity Luizjany. Niektórzy niemal wręcz bili się o niego, upatrując w nim szansę powodzenia. Ku przerażeniu Madeleine, lubiano go nawet w kręgach „starej gwardii”. Dżentelmeni czuli się dobrze w jego towarzystwie, a damy lgnęły doń niczym ćmy do światła.

Madeleine szybko zrozumiała, że jeśli zamierza resztę życia spędzić w Nowym Orleanie, jej kontakty z Armandem będą nieuchronne. Oboje należeli przecież do tej samej warstwy społecznej. Zamiast więc się cieszyć świętami, niecierpliwie liczyła dni do końca karnawału.

Zanim nadszedł sylwester, stała się już kłębkim nerwów. Wraz z Desmondem w ciągu trzech tygodni musiała uczestniczyć w co najmniej dwóch tuzinach różnych świątecznych spotkań. Armand był na większości z nich. Madeleine niemal kurczowo trzymała się boku narzeczonego i nie pozwalała mu się oddalić nawet na chwilę.

Lecz takie życie w ciągłym napięciu musiało przynieść opłakane skutki. Od pamiętnego dnia loterii Madeleine, poza zdawkowymi powitaniami, nie zamieniła z Armandem ani słowa. Z drugiej strony, przez cały czas czuła jego obecność. Ciągle wodziła za nim wzrokiem. W jej rozpalonej wyobraźni stawał się coraz przystojniejszy. Nie wiedziała, czy jeszcze długo zdoła go ignorować.

Och, jak zniecierpliwiona święta Bożego Narodzenia!

Dopiero dzisiaj, w trakcie przygotowań do głównej uroczystości, odetchnęła z wyraźną ulgą. Po Nowym Roku już nie będzie czasu na całonocne zabawy. A to znaczy, że nie będzie więcej okazji do

spotkań z diabelskim Kreolem. Jak dobrze pójdzie, to przez cały miesiąc nie będą się widywać.

Tego jej było trzeba. Co z oczu, to z serca. Zapomni o nim wkrótce po tym, jak zniknie z jej życia. Przyjdzie pora, aby zająć się naprawdę ważnymi sprawami. Choćby takimi jak ślub z Desmondem. Właśnie. Przecież to już na wiosnę!

Madeleine była przekonana, że niedługo skończą się jej kłopoty i że wszystko wróci do normy. Z lżejszym niż zazwyczaj sercem szykowałą się do sylwestra. Otrzymała mnóstwo zaproszeń na różne zabawy. Desmond także, lecz z wrodzoną sobie szlachetnością wybór pozostawił w rękach narzeczonej. To ona miała zdecydować, gdzie wspólnie spędzą ostatnie godziny starego roku.

Szybko wybrała bal w St. Charles Hotel, w amerykańskiej części miasta. A gdzież mogłaby poczuć się bezpieczniej? Utartym zwyczajem, Kreole z góry spoglądali na Amerykanów i woleli trzymać się od nich z dala. I odwrotnie. St. Charles Hotel był ostatnim miejscem na ziemi, do którego zajrzałby ktoś taki jak Armand de Chevalier.

Kiedy jednak powóz lorda Enfielda zatrzymał się przy St. Charles Avenue, Madeleine odruchowo rozejrzała się za Armandem. Nie zobaczyła go wśród tłumu gości spieszących na zabawę.

Bal odbywał się w ogromnej sali, która mogła śmiało konkurować z pałacem cara w Sankt Petersburgu. Madeleine raz po raz niespokojnie zerknęła wokół siebie. Czas mijał, a Armanda nigdzie nie było widać. Poczowała ulgę i pogratulowała sobie dobrego wyboru. Ani trochę nie żałowała, że przyszła do St. Charles.

Armand tu nie miał prawa się pokazać.

Wybiła północ. Rozpoczął się nowy rok.

Na wieży katedry Świętego Ludwika zadudniły dzwony. W sali balowej St. Charles Hotel wybuchła nieopisana wrzawa. Goście obejmowali się nawzajem, całowali i krzyczeli na całe gardło:

- Szczęśliwego Nowego Roku!

Echo dudniło pod wysokim sklepieniem sali. Roześmiany Desmond pochylił się do Madeleine i serdecznie przycisnął ją do piersi, ale zaraz podskoczył i odwrócił się na pięcie, bo jakiś pijany dżentelmen z całej siły klepnął go w ramię i wrzasnął tak jak wszyscy:

- Szczęśliwego Nowego Roku!

Desmond, rzecz jasna, potrafił się zachować i grzecznie cmoknął w policzek pulchną i też lekko wstawioną żonę rozbawionego mężczyzny.

Orkiestra odegrała „Pożegnany walca”. Ludzie śpiewali chórem, kołysząc się do taktu. Gwizdali, bili brawo i głośno tupali w parkiet. Madeleine nagle straciła z oczu Desmonda, oddzielona od niego rozbawionym tłumem. Wciśnięta w ciżbę, przestraszyła się, że ją stratuja. Stanęła na palcach i powiodła wzrokiem po sali, szukając narzeczonego.

Nigdzie go nie było.

W pewnej chwili poczuła, że czyjaś silna dłoń chwyta ją za rękę. Desmond - westchnęła w duchu. Przybył mi na ratunek. Z uśmiechem odwróciła się do niego. Ale to nie był Desmond.

Przed nią stał Armand de Chevalier. Wysoki, przystojny i jak zwykle zwycięski.

- Szczęśliwego Nowego Roku, Maddie - wyszeptał. W ogólnym harmiderze widziała tylko ruch jego ust. Potem pochylił się i pocałował ją z taką pasją, że ugięły się pod nią kolana.

I zniknął.

Przepadł w tłumie, zostawiwszy ją na pastwę losu, niepewną, czy nie była to tylko halucynacja. Madeleine dotknęła drżących ust. Nie, to nie była złuda. To był ten przeklęty Kreol.

- Moja najdroższa! - usłyszała wołanie lorda Enfielda.

- Jak to się stało, że nas rozdzielono? Wybacz mi. Szukałem cię, ale nigdzie nie mogłem znaleźć. Już się zacząłem niepokoić.

- Wiem. Też cię szukałam - odparła. Nie była pewna, w którym momencie ją zobaczył. A może w trakcie pocałunku? Przyznałby się do tego? Przygotowała się na najgorsze.

- Coś mi się zdaje, że tutejsi goście zupełnie poszaleli - mruknął Desmond i pokręcił głową. - Lepiej już chodźmy.

Podał jej ramię.

- Masz całkowitą rację - powiedziała, uspokojona jego zachowaniem.

Na pewno nie widział Kreola. Odetchnęła z ulgą, kiedy bezpiecznie znaleźli się w powozie i ruszyli na następne przyjęcie, tym razem do Hamiltonów. Po pewnym czasie wyjrzała przez okienko. Powóz zmierzał w stronę Royal Street. Do domu?

- Desmondzie, nie jedziemy na noworoczne śniadanie u Hamiltonów?

- Raczej nie, kochanie - powiedział suchym tonem. - Przepraszę ich przy najbliższym spotkaniu.

- Ale myślałam...

- Naprawdę nie masz już dość zabawy? Bo jeśli chodzi o mnie, to jestem potwornie zmęczony. Wprost marzę o tym, żeby iść do łóżka. Ledwie patrzę na oczy.

Ziewnął teatralnie.

Powóz stanął przed domem wuja Colfaksa. Madeleine powiedziała grzecznie „dobranoc”, nadstawiła policzek do pocałowania i bez słowa weszła po schodach. Z ulgą stwierdziła, że tym razem Avalina na nią nie czeka.

Przed wyjściem zapewniła ochmistrzynię, że będą się bawić z Desmondem aż do białego rana. Po balu w St. Charles Hotel wybierali się na wczesne, noworoczne śniadanie do Lawforda Hamiltona. Potem, gdyby im jeszcze starczyło sił, mieli jechać do domu Desmonda i powitać pierwszy świt w nowym roku przy płonącym kominku, z kieliszkiem brandy w dłoni.

Madeleine westchnęła ciężko.

Chyba powinna być rozczarowana, że lord Enfield tak wcześnie zakończył ten wieczór. Powinna, ale nie była. Od chwili spotkania z Armandem pragnęła jak najszybciej bezpiecznie dotrzeć do domu. Bała się. Po prostu bała.

Lecz z drugiej strony, kiedy myślała o Desmondzie, ogarniały ją silne wątpliwości. Albo - w co wołała wierzyć - był to najporządniejszy człowiek na świecie albo do niej nic nie czuł. Nie budziła w nim pożądania. Może... w ogóle nie lubił kobiet?

- Och, tak! Tak, kochanie. - jęczał lord Enfield w niecały kwadrans po pożegnaniu z Madeleine. - Błagam, błagam, błagam.

Zbyt podniecony, żeby się w pełni rozebrać, Desmond siedział w pelerynie na pół zsuniętej z ramion, w fotelu w białej willi pięknej Dominique. Wciąż miał na sobie czarny frak, białą koszulę i czarny satynowy krawat z perłową szpilką.

Ale od pasa w dół był nagi.

Dominique ubrana w wieczorową suknię z lazuruwej tafty, klęczała mu między kolanami. Torturowała go zawzięcie. Na jej szyi połyskiwał naszyjnik z szafirów i brylantów. Prezent od Desmonda.

Doskonale wiedziała, czego kochanek w zamian oczekiwał. Właśnie dlatego zwlekała.

Najpierw chciała upiec własną pieczeń.

Coś za coś. Jeżeli Desmond jej ustąpi, natychmiast dostanie nagrodę.

- Boże, łaski! - zawył lord Enfield. - Błagam cię, Dom. Zrób to wreszcie!

- Zrobię, najmilszy - powiedziała. Przysiadła na piętach i złożyła ręce na podołku. - Jak tylko się zgodzisz.

- Niby na co? Na co? - Twarz miał nabiegłą krwią. - W ogóle nie wiem, o czym mówisz!

- Obiecuj mi, że pójdziemy razem odwiedzić Mamę Cecile.

- Litości, nie zaczynaj.

Dominique uśmiechnęła się złośliwie i wstała.

- Nie! Wracaj! Nie zostawiaj mnie teraz! Ja... Popatrzyła na niego z góry.

- Zgodzisz się pójść ze mną do Mamy Cecile?

- Tak, tak. Pójdę. Pójdę, dokądkolwiek zechcesz. Zrobię, co tylko mi rozkażesz, ale proszę...

- W przyszłym tygodniu, późnym wieczorem, odwiedzimy kapłankę voodoo - powiedziała stanowczym tonem.

Lord Enfield w tym momencie zgodziłby się na wszystko.

- Tak, w przyszłym tygodniu. Pójdziemy, obiecuję. - Rzucił jej błagalne spojrzenie. - Dom, proszę.

Dominique uśmiechnęła się triumfalnie i powoli opadła na kolana. Lord Enfield dygotał na całym ciele. Oddychał ciężko.

O, tak, pomyślała Dominique. Mój pan to wspaniały człowiek i jeszcze lepszy kochanek. Nie znałam dotąd mężczyzny z taką pasją. Wystarczy go tylko dotknąć, a już jest gotowy. To bardzo dobrze. Dobrze dla mnie, bo we mnie drzemą równie głębokie żądze.

Od pierwszego spotkania w powozie, w wąskim zaułku, wiedziała, że posiadzie nad nim niepodzielną władzę. Już wówczas mdlał, gdy go całowała. Za pomocą miłosnych sztuczek mogła osiągnąć wszystko. Wystarczyło go tylko wprowadzić w stan podniecenia.

A samej, choć przez chwilę, zachować spokój.

Kiedy był dobrym chłopcem, choćby takim jak teraz, zasługiwał na wielką nagrodę.

Nagrodę, która jej także sprawiała przyjemność.

Tak jak w tej chwili.

Dominique była święcie przekonana, że Mama Cecile znajdzie najlepsze remedium na ich wszystkie kłopoty. Lord Enfield już się z nią zgodził. Na pewno nie pożałuje, że go przekonała.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Pierwsze dni nowego roku były zimne, mokre i nieprzyjemne. Na pociemniałym niebie ciągle wisiały groźące deszczem, ciężkie chmury, przez które w żaden sposób nie mogło się przebić słabe zimowe słońce.

Pogoda wręcz idealnie pasowała do melancholijnego nastroju Madeleine. Nie tylko miała dość własnych kłopotów, ale jeszcze na dodatek martwiła się o ukochanego wuja.

Colfaks Sumner był zawsze niesłychanie żywotnym i energicznym człowiekiem. Starzy przyjaciele szczerze mu zazdrościli tej radości życia, szerokich horyzontów, licznych zainteresowań, wręcz dziecięcej ciekawości świata i niesłychanej krzepy.

On zaś gustował w dobrym towarzystwie i niemal jak rodowity Kreol uwielbiał bale i zabawy. Nie opuszczał żadnych ważniejszych wydarzeń towarzyskich. Przynajmniej do pewnego czasu.

Teraz to wszystko się zmieniło.

W ciągu minionych kilku tygodni wuj Colfaks odrzucił zdecydowaną większość zaproszeń otrzymywanych od przyjaciół. Kiedy wieczorem zapadała ciemność, najlepiej czuł się przy kominku, w zaciszu własnego domu.

Madeleine rozmawiała o swoich obawach z Wielkim Montro i Avaliną. Oni także zauważyli zmianę w zachowaniu wuja. Byli tym mocno zatroskani. Ochmistrzyni starała się mu dogadzać, a Wielki Montro uparcie węszył po całej okolicy, czujny na najmniejszą oznakę zagrożenia.

Wreszcie Madeleine doszła do wniosku, że pora na rozmowę z wujem. Pewnego ponurego popołudnia zastała go w gabinecie.

- Musimy szczerze porozmawiać - rzekła bez ogródek.

Cień niepokoju przebiegł przez twarz Colfaksa.

- Co się stało, moje drogie dziecko? - zapytał. - Powiedz mi, to zaraz temu zaradzimy.

Madeleine uśmiechnęła się, słysząc znane słowa. To był cały wuj. Dziesiątki razy odzywał się do niej w ten sposób. Kochał ją bezgranicznie i przez całe życie troszczył się niemal wyłącznie o jej dobro i szczęście. Dobry Boże, cóż ona poczęłaby bez niego?

- Nie musisz niczemu radzić, wuju - powiedziała wesoło. - Tym razem to raczej moja rola.

Usiadła na fotelu stojącym przy biurku.

- Twoja rola? - zdziwił się całkiem szczerze. - Obawiam się, że nie rozumiem.

Madeleine wzięła głębszy oddech.

- Drogi wuju, ostatnio zupełnie nie jesteś sobą,

- A kim? - spytał przekornie.

- Nie czas teraz na żarty. Dobrze wiesz, o czym mówię. Zbyt łatwo się męczysz. Rzadko wychodzisz gdzieś wieczorem. Przez większość czasu jesteś czymś zajęty, a w wolnych chwilach popadasz w jakąś dziwną zadumę. A może coś ci dolega, wuju? Jesteś poważnie chory i nie chcesz mi o tym powiedzieć?

- Moja maleńka. Zawsze miałaś zbyt bujną wyobraźnię - powiedział tonem łagodnej nagany i stanowczo pokręcił głową. - Nie. Wcale nie jestem chory. Bóg na szczęście obdarzył mnie żelaznym zdrowiem. Zresztą wiesz o tym.

Madeleine przechyliła głowę.

- Więc o co chodzi?

- O starość.

- Przecież nie jesteś aż tak stary! - zawołała. - Źle się czujesz i nie chcesz mnie martwić.

Colfaks Sumner z wrodzoną przemyślnością gładko skierował rozmowę na całkiem innej tory.

- A co z tobą, kochanie? - przeszedł do ataku. - Wszystko w porządku? Ostatnio parę razy widziałem, że się czymś martwisz. Kiedy myślisz, że jesteś sama, patrzysz gdzieś w dal, bez uśmiechu. Co cię tak trapi?

Madeleine wyciągnęła rękę i pogłaskała go po pomarszczonej dłoni.

- Jedynie ty, kochany wuju.

- W takim razie możesz się pozbyć wszelkich obaw - odparł i zapewnił ją jeszcze raz, że nic a nic mu nie dolega.

Madeleine nie dała się przekonać. Postanowiła wziąć sprawę w swoje ręce. Skontaktowała się z doktorem Ledette, opowiedziała mu o swoich obawach i spytała, czy kiedyś nie mógłby zajrzeć do nich po kolacji z domową wizytą. Doktor Ledette zgodził się bez najmniejszych oporów. Oznajmił, że przyjdzie piątego stycznia, punktualnie o ósmej.

Po rozmowie z nim Madeleine doszła do wniosku, że powinna w tym czasie być przy wuju. Chciała dopilnować, żeby badanie było jak

najdokładniejsze. Lord Enfield rozumiał jej uczucia i zrezygnował na ten dzień z wszelkich wspólnych planów. Na koniec uśmiechnął się i powiedział:

- Wprost nie możecie żyć bez siebie. Widujecie się co wieczór.
- Nie przeszkadza ci to?
- Ależ skądże, kochanie. Ziąb jak diabli, więc w czwartek pewnie też zostanę w domu. Przynajmniej będę mógł odrobić zaległości w korespondencji i papierach.
- Dziękuję ci, Desmondzie.
- Proszę bardzo, moja ukochana.
- Wcale mi się to nie podoba. Nie powinniśmy tego robić.
- Przestań narzekać z łaski swojej. Pamiętaj, że obiecałeś.
- I to był gruby błąd z mojej strony - orzekł z niechęcią lord Enfield.

Zmarszczył brwi i mocniej otulił się ciepłym wełnianym płaszczem. Czółno bezszelestnie ślizgało się po ciemnych i błotnistych wodach rozlewiska.

Desmond wciąż klął pod nosem, że dał się namówić na tę nedorzeczną eskapadę. Czystym szaleństwem było zapuszczać się nocą na bagna w chybotliwej łódeczce, w każdej chwili grożącej przewróceniem lub zatonięciem. Po co się zgodził? Narzązał się na niebezpieczeństwo tylko dlatego, że Dominique wierzyła w magię jakiejś starej murzyńskiej czarownicy. Desmond parsknął urywanym śmiechem na to wspomnienie.

Tuż za nim, mocno wsparty nogami o dno czółna, stał muskularny Barton Smallwood. Z kocią zręcznością przeprowadzał łódkę pod obwisłym gałęziami pokrytymi kłębowiskiem pnączy. Starszy brat Bartona, Burton, siedział na dziobie i odruchowo pocierał długą bliznę na zapadłym policzku. Wypatrywał zwałonych drzew i aligatorów.

Bracia Smallwood służyli u lorda Enfielda. Może inaczej - byli kimś w rodzaju najemników, gotowych na każde skinienie. Przed laty Desmond wyciągnął ich z więzienia, dając łapówkę strażnikowi. Od tamtej pory dosyć często korzystał z ich usług. Ostrzegał tylko, że w razie zdrady szybko dosięgnie ich karząca ręka sprawiedliwości.

Smallwoodowie nigdy nie zawiedli jego zaufania, chociaż nie kierowało nimi poczucie lojalności. Po prostu obawiali się swojego pana. Poznali go jak zły szeląg. Poza nimi nikt go od tej strony nie

znał. Woleli z nim nie zadzierać i bez pytania posłusznie spełniali wszystkie polecenia.

Dominique przysunęła się bliżej do Desmonda. Nie przeszkadzało jej, że wpadł w ponury nastrój. Z dziecinną niecierpliwością wyczekiwała chwili spotkania ze starą kapłanką voodoo. Wiele słyszała o czarach i rytuałach odprawianych w tym ustronnym miejscu i była święcie przekonana, że Mama Cecile wskaże im drogę wyjścia z dotychczasowych kłopotów. Chciała ją prosić, żeby skorzystała ze swych magicznych mocy i rzuciła klątwę na Colfaksa Sumnera.

W głębi serca pragnęła śmierci Sumnera. Była już zmęczona czekaniem na majątek, który miał przypaść Desmondowi. Kilka razy próbowała na własną rękę otruć Colfaksa albo przynajmniej wpędzić go w chorobę, ale jak dotąd bez powodzenia. Jej plan nie działał. Potrzebowała o wiele silniejszych czarów. Potrzebowała czarnej magii znanej tylko niekwestionowanej królowej voodoo, kochanej i znienawidzonej Mamie Cecile. Bez zastrzeżeń wierzyła w opowieści powszechnie powtarzane w całym Nowym Orleanie.

Czółno wtopiło się głębiej w smętny i przerażający krajobraz olbrzymiego bagna. Ciężka mgła zawisła nad wodami, ograniczając pole widzenia. Desmond obawiał się, że łódka zaraz wpadnie na jakiś pień drzewa, wywróci się i zatoni. Mech, spadający ze śliskich konarów, potęgował jego rozdrażnienie.

Inne niebezpieczeństwo groziło im ze strony węży. Błotniste wody były siedliskiem jadowitych węży. Ale nie wszystkie z nich przepadały za grząskim bagnem. Długie i czarne żmije lubiły zwiśać na gałęziach i spadać na niczego nieświadome ofiary.

- Niech to szlag! - zamruczał Barton Smallwood, gdy kij, którym popychał łódkę, zahaczył o twardy grzbiet aligatora. Rozległ się głośny plusk.

Dominique krzyknęła z przerażenia. Za ledwie kilka metrów od niej z wody uniósł się potworny łeb. Długie szczęki kłapnęły złowieszczo, aż echo potoczyło się po uśpionych wodach.

- Na litość boską! - jęknął lord Enfield. - Pożre nas żywcem!

- Spokojnie, szefie - odezwał się Burton Smallwood, zwracając w jego stronę poraną bliznami twarz. - Już prawie jesteśmy na miejscu. Za tamtym zakrętem powinniśmy zobaczyć światła.

Młodszy z braci ostrożnie skierował czółno w wąski przesmyk wypełniony mętną wodą. Mokre strzępy mchu zwisającego z gałęzi

nieprzyjemnie muskały ich po twarzach. Desmond skrzywił się z obrzydzenia. Dominique zamknęła oczy i przywarła mocno do kochanka.

Czółno pokonało ostatnie zakole rozlewiska.

- Dotarliśmy - oznajmił Burton Smallwood. Kwarteronka otworzyła oczy, a Desmond uniósł głowę. Zobaczyli błyszczące we mgle światło, padające z okien zrujnowanej starej kaplicy, przycupniętej na odległym od nich o jakieś pięćdziesiąt metrów płaskim i grząskim brzegu.

Czółno stuknęło dziobem w ziemię. Burton Smallwood wyskoczył pierwszy i wciągnął łódź głębiej między trzciny. Potem podał dłoń Dominique.

- Nawet nie próbuj, Burton! - gniewnie warknął Desmond. Wszyscy wiedzieli, co to znaczy

Od początku ostrzegał Smallwoodów, że nie wolno im nigdy dotknąć Dominique. Nawet jej ręki. Gdyby nie usłuchali, czekała ich straszliwa kara. Pożałowałiby, że w ogóle się narodzili.

- Przepraszam, milordzie. Zupełnie zapomniałem.

Odsunął się. Desmond wysiadł z czółna, wziął dziewczynę w silne ramiona, przeniósł na stały ląd i postawił na ziemi. Ciągle trzymając ją za rękę, powiedział do braci:

- Zostaniecie tutaj do naszego powrotu. - Ton jego głosu wykluczał jakąkolwiek możliwość sprzeciwu. - Ani na krok nie wolno wam opuścić tego miejsca. Zrozumiano?

- Zrozumiano - odparł Burton za obu. Desmondowi to nie wystarczyło. Popatrzył na Bartona.

- Macie się nie zbliżać do kaplicy. Jasne?

- Tak, milordzie - ponownie odpowiedział Burton.

- To dobrze. - Głos Desmonda złagodniał nieco. Anglik popatrzył na kaplicę. - Nie będziecie zbyt długo czekać - dodał.

Naprawdę sądził, że tak będzie. Nie miał najmniejszego zamiaru siedzieć tu cały wieczór, w omszałej, źle oświetlonej ruinie, słuchając mamrotania starej czarnej wariatki. Już chyba nic nie mogło być gorszego. Wiedział, że długo tego nie wytrzyma.

Obiecał swojej kochance, że przyjedzie, więc przyjechał. Nikomu nie przyrzekał, że będzie brał udział w jakichś murzyńskich gustach.

- Wrócimy najpóźniej za pół godziny - obiecał braciom Smallwood.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Dominique wiedziała, że upłynie co najmniej kilka godzin, zanim wrócą do czółna. Wiedziała też, że lord Enfield wcale nie będzie się nudził.

Wokoło nich panowała upiorna cisza. Z trudem przebijali się przez gęsto rosnące krzewy i kłęby gęstniejącej mgły. Od strony ruin nie dobiegały nawet najmniejsze dźwięki. Jedynie rechot żab czasem przerywał ciszę wiszącą nad bagnami.

Dominique skorzystała z okazji, aby wtajemniczyć Desmonda w zasady etykiety obowiązujące podczas spotkania z królową voodoo.

- Kochanie, masz być tylko biernym uczestnikiem odbywającej się tam ceremonii. Nie bierz w niej udziału - powiedziała.

- Nawet nie zamierzam - odparł z wyraźną niechęcią.

- Nic nie mów i bez względu na to, co się będzie działo, nie opuszczaj swojego miejsca.

- Moja najdroższa, będę siedział cicho jak mysz pod miotłą - obiecał. - Nie mogę ci jednak przyrzec, że nie zasnę.

Obdarzyła go przebiegłym uśmiechem.

- Nie zaśniesz.

Doszli do ruin i wspięli się po pokruszonych schodach. Dominique głęboko zaczerpnęła tchu i zapukała w dziurawe drzwi. Sekundy wlokły się w nieskończoność. Dominique denerwowała się coraz bardziej, ale nie zapukała ponownie. Cierpliwie czekała.

Lord Enfield miał mniej cierpliwości.

- Wracajmy, Dom. Rozmyśliłem się. Nie chcę brać w tym udziału.

- Cicho! - syknęła.

Dziurawe drzwi rozwarły się powoli i w progu stanął wysoki, muskularny Murzyn, trzymający wysoko nad głową kopczą pochodnię. Bez słowa odsunął się, wpuszczając ich do mrocznego wnętrza. W milczeniu wskazał na zamknięte drzwi po prawej stronie.

Nie poszedł z nimi, lecz pozostał na swoim posterunku. Lord Enfield chciał jak najszybciej zakończyć ów pogański rytuał. Wyminął Dominique i z całej siły pchnął drzwi, otwierając je na oścież.

Weszli do środka.

Lord zamrugał i powiódł wzrokiem dookoła. Było niemal zupełnie ciemno. Wnętrze kaplicy oświetlały jedynie małe oliwne

lampki migoczące słabymi płomykami. Ustawiono je kręgiem. Desmond miał nieodparte wrażenie, że poza nim i Dominique ktoś jeszcze jest w tym pomieszczeniu. Nie mógł jednak nikogo dostrzec, chociaż czuł na sobie spojrzenia niewidzialnych oczu. Ile było tych oczu? Dziesięć par? Sto? Sto pięćdziesiąt?

Wyteżył wzrok, żeby coś zobaczyć, i podskoczył jak oparzony, kiedy z cienia tuż obok wychynęła stara kobieta o czarnej skórze. Ruchem reki kazała im iść za sobą.

Trzymali się zewnętrznej krawędzi oświetlonego kręgu. Wreszcie Murzynka lekko dotknęła ręki Dominique i wskazała palcem na podłogę. Potem odeszła. Desmond ze złością stwierdził, że nie było tu żadnych krzeseł. Już miał zamiar zaprotestować, ale w porę sobie przypomniał ostrzeżenie Dominique. We wnętrzu kaplicy nie wolno było powiedzieć mu ani słowa.

Stał więc chwilę, szukając wzrokiem jakiejś ławki albo siedziska. Czegokolwiek. Nic nie znalazł. Westchnął z głębokim obrzydzeniem i usadowił się na twardej drewnianej podłodze, u boku Dominique. Wyrzucał sobie, że w samym środku zimy dał się namówić na tę wyprawę do miejsca zapomnianego przez Boga i ludzi.

Dominique zauważyła, że zadrżał, i wskazała mu gliniany dzbanek govi, stojący niemal tuż przed nimi. Wyjaśniła szeptem, że w środku jest mocny biały rum, zwany clairin. Nie powiedziała tylko, że trunek zaprawiono aromatycznymi ziołami. zaproponowała, aby pociągnął łyk dla rozgrzewki. Wprawdzie Desmond miał na to ogromną ochotę, ale odmówił. Nie widział bowiem w pobliżu kubka ani szklanki.

Pokręcił głową i - tak jak w czóźnie - mocniej otulił się grubym płaszczem, postawił kołnierz i zły jak osa siedział po turecku. Czekał, co będzie dalej.

Nie musiał czekać zbyt długo.

W mroku zaszeleściły asson - święte kołatki. Potem rozległo się powolne i monotonne dudnienie bębnów. Wzrok Desmonda pomału przywykł do ciemności. Lord popatrzył na drugą stronę kręgu i dostrzegł ołtarz zaśmiecony dziesiątkami przeróżnych butelek i słoików, dzbanków, kołatek, świętych symboli, kamieni zanurzonych w oleju, kart do gry i flaszek z winem.

I kości.

Ludzkich kości. Desmond aż zadrżał na ten widok. Nagle poczuł się nieswojo. Szczerze żałował, że przyszedł. Miał dziwne wrażenie, że odbywały tu się przeklęte rytuały i zakazane praktyki na cześć pogańskich bogów. A ofiary... ?

Nad ołtarzem wisiał olbrzymi czarny krzyż. Pod nim zaś, w królewskiej pozie sfinksa, leżał czarny jak węgiel kocur. Żółte oczy błyszczały jadownicę. Kot odchylił łeb, syknął donośnie, potem ziewnął i położył się na wyciągniętych łapach.

Zapadł w drzemkę.

Pośrodku pomieszczenia stał duży wiklinowy kosz z pokrywą. Desmond zastanawiał się, co też się w nim kryje. Nie miał jednak czasu, by zapytać o to Dominique, bo coś całkiem innego przykuło jego uwagę.

Po lewej stronie ołtarza wznosiła się drewniana rzeźba przypominająca ogromny męski członek. Desmond aż otworzył usta ze zdumienia. Rzeźba miała prawie pół metra wysokości i średnicę zaciśniętej pięści.

Pochylił się do kwarteronki i głową wskazał w tamtą stronę.

- Co to takiego? - szepnął z ciekawością.

- Boa - odpowiedziała również szeptem.

- Boa?

- Falliczny symbol wielkiego boga imieniem Legba. Desmond chciał spytać, do czego to może służyć, lecz w tej samej chwili dreszcz podniecenia przebiegł przez całą salę. W polu widzenia pojawiła się wysoka Murzynka o silnej budowie ciała i zaciętej twarzy. Energicznym krokiem podeszła do ołtarza i usiadła.

Mama Cecile.

Lord Enfield otworzył szeroko oczy. Nie tak sobie wyobrażał słynną królową voodoo. Mama Cecile wcale nie była zasuszoną staruchą, garbatą i trzęsącą się, z zaćmą na oczach i o pomarszczonej skórze. Wręcz przeciwnie. Wysoka i mocno umięśniona, poruszała się bardzo gibko i z dużą elegancją. Rzeczywiście miała w sobie coś królewskiego. Jej włosy były białe jak śnieg, ale na jej czarnym czole i policzkach nie widniała ani jedna zmarszczka. Nosila całkiem przyzwoitą długą suknię z ciemno barwionej wełny.

Na ramionach miała zarzucony szal. Dominique szeptem powiedziała Desmondowi, że to magiczny szal ofiarowany Mamie Cecile przez chińskiego cesarza.

Mama Cecile zajęła miejsce na prymitywnym tronie, po prawej stronie ołtarza i rozpoczęła dziwną ceremonię, wzywając Legbę, boga, który otwiera wrota pomiędzy światem niewiernych a świętą krainą wybrańców.

- Atibo Legba, otwórz wrota przede mną - zaintonowała. - Ojciec Legba, otwórz wrota przede mną. Otwórz wrota, bym mogła wnikać.

Mówiła cichym, modulowanym głosem, budzącym dreszcz u słuchającego jej Desmonda. Z osłupieniem patrzył na kilku demonicznych kapłanów wychodzących z cienia w krąg światła. Podeszli do wiklinowego kosza, okrążyli go jeden po drugim, przesunęli się do ołtarza i padli na kolana przed swoją władczynią.

- Co oni robią? - szepnął Desmond.

- Cicho! - ostrzegła go Dominique.

- A nie powinnaś iść za ich przykładem i też klęknąć przed nią? - zapytał. - Powiedz Mamie Cecile, po co tu przybyłaś.

Kwarteronka pokręciła głową.

- Będę mogła porozmawiać z Mamą dopiero po zakończeniu całej ceremonii. Kiedy wszyscy odejdą. - Wzięła go za rękę. - Masz złoto?

Desmond poklepał kieszeń płaszcza, w której trzymał małą sakiewkę zawierającą dziesięć złotych dwudziestodolarówek.

- Mam, ale uważam, że to czysto głupota, aby płacić tej starej.

Dominique błysnęła oczami.

- Ta „stara”, jak ją nazwałeś, jest kochanką boga! Zna potężne czary, więc na przyszłość lepiej powstrzymaj się od bluźnierstw!

Lord Enfield wzruszył ramionami, lecz nie powiedział słowa. Mama Cecile wstała z tronu. Jej umięśnione ciało zadygotało od stóp do głowy. Kapłani klęczeli przed nią zupełnie nieruchomo, zniewoleni jej zachowaniem. Desmond też siedział bez ruchu, zdumiony i przestraszony.

Mama Cecile zanuciła coś pod nosem i zawirowała w tańcu. Niespodziewanie, nie wiadomo skąd, wyszarpnęła długą maczetę i machnęła nią nad swoją głową. Zimne ostrze złowieszczo błysnęło w bladym świetle. Zapadła przeciągła cisza. Nawet Desmond wstrzymał oddech, czekając na dalszy ciąg wydarzeń.

W krąg światła ktoś wepchnął kwiczące czarne prosię. Przerażone piski zdawały się wypełniać całą kaplicę. Nie trwało to jednak zbyt długo. Jednym szybkim pchnięciem kapłanka voodoo zatopiła

maczetę w gardle nieszczęsnego zwierzęcia. Buchnęła krew. Jeden z kapłanów podstawił pod ranę dużą glinianą miskę.

Desmond poczuł mdłości. Szeroko otwierając usta i oczy, patrzył, jak prosię składano na ołtarzu. Krew zmieszano z wódką i klęczący kapłani przystąpili do ohydnej libacji. Każdy pociągnął spory łyk odrażającego napoju. Każdy złożył przysięgę, że pod żadnym pozorem nie zdradzi świętych tajemnic. Wszyscy zgodzili się z tym, że odszczepieńca powinna spotkać jak najsroższa kara. Desmond miał już serdecznie dosyć. Najchętniej podniósłby się z ziemi i opuścił to straszne miejsce, w którym dochodziło do pogańskich kaźni. Był coraz bardziej niespokojny. Bał się nawet myśleć o tym, co może nastąpić dalej.

Mama Cecile obeszła całą kaplicę, rozsypując magiczny proszek z przedziurawionej sakwy. Desmond spoglądał na nią z osłupieniem. Królowa voodoo miała otwarte oczy, lecz źrenice uciekły jej gdzieś w głąb i w oczodołach połyskiwały same białka. Zawodziła jakąś litanie, wzywała tajemnicze duchy i rzucała klątwy.

Uprawiała złą magię.

Desmond poczuł, że włos jeży mu się na głowie. Odetchnął z ulgą, kiedy kapłani z wolna zaczęli wracać na swoje miejsca poza kręgiem blasku. Wkrótce wszyscy zniknęli w cieniu i w kaplicy na długą chwilę zapadło milczenie.

Białowłosa kapłanka voodoo sztywno siedziała na tronie. Czarny kocur nieruchomo warował przy ołtarzu. Lord Enfield jak skamieniały nie ruszał się z podłogi. Wszystko zamarło. Panowała ogłuszająca cisza.

Wreszcie, gdzieś w ciemnościach, zagrzecotały kalebasy. Samotny bęben odezwał się powolnym, monotonnym rytmem. Narastało napięcie. Nawet Desmond poddał się nastrojowi chwili. Siedział spięty, a serce waliło mu jak oszalałe. Drżącą dłonią sięgnął po dzbanek z clairin, przytknął go do ust i przełknął kilka łyków.

Drgnął, słysząc przeciągły okrzyk, dobiegający z mroków. Niewiele brakowało, a upuściłby dzbanek na ziemię. Nerwowo chwycił za ramię Dominique. Nie miał pojęcia, co się teraz stanie. Bębny zagrzmiały głośniejszy i szybciej. Mogłoby się wydawać, że wszyscy dookoła jednocześnie przestali oddychać.

Błysnęło i rozległ się huk petardy. Wystraszeni widzowie jęknęli zgodnym głosem. Z gęstej chmury gryzącego dymu wyłoniła się oszałamiająco piękna Murzynka.

Była zupełnie naga.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

Jej jedynym przybraniem było białe pióro w kruczoczarnych włosach.

Desmond wpatrywał się w nią jak urzeczony. Była ucieleśnieniem dumnej kobiecości. Młodziutka - mogła mieć najwyżej szesnaście lub siedemnaście lat - ale już obdarzona dojrzałym i kuszącym ciałem. Jej błyszczące włosy spływały czarną kaskadą niemal do talii. Długie i zgrabne nogi i sterczące piersi o dużych ciemniejących sutkach dopełniały tego wspaniałego wizerunku. Wygolone łono odsłaniało najintymniejsze zakątki jej ciała.

Lord Enfield poczuł mrowienie w łądźwiach. Spodobała mu się. Była tak gładka, jedwabista i pociągająca. Skóra jej błyszczała niczym naoliwiona.

Z mocno bijącym sercem słuchał cichych wyjaśnień Dominique.

- Ta dziewczyna przed chwilą zażyła oczyszczającej kąpieli i została namaszczona świętymi olejkami. Kąpiel usunęła z niej wszelki brud. Stała się więc naczyniem dla Mamy Cecile. Myto ją nie zwyczajnym mydłem, lecz magiczną miksturą sporządzaną z różnych korzeni, zmieszanych z oleistymi pachnidłami.

Dominique urwała, zerknęła na połyskującą w mdłym świetle dziewczynę i dodała:

- Słodki zapach korzeni to sama esencja uwiedzenia.

Desmond nie odpowiedział, ale w milczenia skinął głową, całkowicie oczarowany zjawiskiem, które miał tuż przed oczami. Murzynka delikatnie poruszyła biodrami. Aż go świerzbiła ręka, by dotknąć jej piersi. I nie tylko piersi. Wodził za nią oczami, kiedy z wolna obchodziła krąg światła.

Nie tyle szła, ile sunęła wężowym ruchem. Jej błyszczące ciało przesunęło się tak giętko, jakby było pozbawione kości. Wiła się bez pośpiechu, patrząc wprost przed siebie szeroko rozwartymi, nieziemskimi oczami. Zachowywała się jak w głębokim transie.

Kiedy już okrążyła całą kaplicę, odwróciła się i posuwistym krokiem podeszła do wiklinowego kosza. Osunęła się przed nim na kolana i uniosła wieko.

Niemal natychmiast spod przykrywy z sykiem wystrzelił łeb wielkiego węża. Desmond aż jęknął głośno. Dziewczyna jednak nie okazywała najmniejszego strachu. Nie mrugnawszy powieką, patrzyła

na groźnego gada. Wąż ciągle syczał i wysuwał czarny rozdwojony język. Z jego długich zębów ściekały krople śmiercionośnego jadu.

Dreszcz podniecenia przebiegł wśród niewidocznych widzów. Dziewczyna wstała, błyskawicznie wyciągnęła rękę i pochwyciła węża za szyję, tuż poniżej głowy. Potem pomału weszła do kosza.

- Słodki Jezu - zajęczał Desmond. - Co ona wyprawia? Ma zamiar popełnić samobójstwo?

- Nie - odpowiedziała Dominique. - Jest zupełnie bezpieczna. Ten wąż to voodoo. Bóg. Duch. Nie da nikomu poznać swoich myśli, poza Mamą Cecile. W zamian Mama rozkazała dziewczynie, aby sprawiła rozkosz bogu. Tylko wtedy możemy w pełni liczyć na jego niezmierną łaskę.

Desmond nie potrafił wykrztusić ani słowa. Patrzył, jak wąż owiniął się wokół jedwabście gładkiego ciała dziewczyny. Przez kilka długich minut trwała ta dziwaczna orgia, w trakcie której Murzynka rzucała się w ekstazie.

To było straszne.

Obsceniczne.

I urzekające.

Nagle, dziewczyna, ani na chwilę nie puszczając groźnego łba, otrząsnęła się ze splotów węża i wyszła z kosza. Po chwili uwolniła gada. Wąż syknął przeraźliwie i splunął jadem, lecz nikomu nic się nie stało. Dziewczyna spokojnie odwróciła się i odeszła powolnym i statecznym krokiem.

Desmond, patrząc na jej karesy z wężem, poczuł takie podniecenie, że ledwie mógł usiedzieć na podłodze. Zrzucił płaszcz, poluźnił krawat i rozpiął kołnierzyk koszuli. A jednak ciągle pocił się z gorąca. Kolejny raz uniósł do ust gliniany dzbanek i pociągnął solidny łyk białego rumu. Przełknął i znów się napił. Odczuwał skutki wywołane przez clairin, ale nie wiedział, że zioła dodane do trunku działają jak silny afrodyzjak.

Ani na chwilę nie spuszczał dziewczyny z oka. Zaszło mu w gardle, kiedy wyobraził sobie dalszy rozwój wydarzeń. Bez namysłu sięgnął po dzbanek.

Piękna Murzynka przez pewien czas tańczyła przed rzeźbą, a potem padła na kolana. Przez długą chwilę jak oniemiała wpatrywała się w symbol seksu. Później wyjęła z włosów białe pióro i zaczęła nim powoli wodzić wokół swoich sutków.

Desmond konwulsyjnie przełknął ślinę. Żłopał rum niemal bez przerwy.

Dziewczyna odchyliła głowę, zamknęła oczy i coraz szybciej muskała piórem swoje piersi. Nagle przerwała. Odrzuciła pióro na podłogę.

Klęknęła prosto i zaczęła ocierać się o rzeźbę. Błagała boga, aby użył swej potęgi i mocy. Traktowała kawałek drewna jak fragment żywego ciała.

Z reakcji Desmonda można by pomyśleć, że on poczuł dotyk jej ręki. Spazmatyczny jęk wyrwał mu się przez zaciśnięte usta.

Uważał, aby nie uronić najmniejszego fragmentu erotycznego przedstawienia.

A było na co popatrzeć.

Dziewczyna poruszała się niczym w transie. Odańczyła jakiś obsceniczny taniec. Wręcz zatraciła się w swojej roli. Widzowie wpatrywali się w nią jak urzeczeni. Zwłaszcza Desmond Chilton, lord Enfield.

Rzucała głową na boki, wymachując grzywą czarnych włosów. Rozczapierzyła palce i wsparła ręce na udach. Wydawało im się, że minęła cała wieczność. Młoda Murzynka trwała w półprzysiadzie, z rękami na kolanach i odchyloną głową.

Drażniła się z publicznością. Nagle poderwała się. Bębny załomotały iście diabelskim rytmem, a ona rzuciła się w dziki taniec. Wysuwała język i wiła się po podłodze.

Wreszcie padła na plecy i uniosła tułów, tak że tylko stopami i karkiem dotykała ziemi. Pozostawała w tej pozycji przez kilka sekund, budząc powszechny entuzjazm i okrzyki zachwytu. Potem zaczęła się miotać. Wyginała ciało w najbardziej nieprawdopodobny sposób. Desmond dyszał ciężko. Był tak podniecony, że przestał nad sobą panować.

Inni wyraźnie podzielali jego ekscytację, bo nagle parę ciemnych sylwetek znalazło się w kręgu światła. Widzowie jeden po drugim włączali się do tańca, wyjąc i wyśpiewując stare pogańskie pieśni.

W ogłuszającym huku bębnow naga dziewczyna i jej towarzysze rozpoczęli osławioną banda - taniec połączony z sugestywnymi ruchami bioder, symulującymi akt płciowy.

Desmond był w siódmym niebie. Śpiewał, klaskał i zachłannie patrzył na rozgrywające się przed nim widowisko. Widział rzeczy, o

których przedtem nawet mu się nie śniło. Rzeczy, które miał zapamiętać do końca życia.

Ciągle popijał biały rum. Było mu tak gorąco, że dawno zrzucił koszulę. Piersi i ramiona błyszcząły mu od potu.

W ogólnym podnieceniu sam miał ogromną ochotę przyłączyć się do tańca, ale powstrzymywała go myśl o Dominique. Podświadomie pamiętał jej wcześniejsze ostrzeżenia. Zerknął więc na nią. Wydawała się całkowicie pochłonięta ceremonią. Wbijała wzrok w czarną dziewczynę, tańczącą najpierw z Murzynem, potem z Murzynką, a jeszcze potem sama.

Dziki taniec trwał chyba godzinę. Dobiegł końca w jednej chwili, gdy Mama Cecile nagle wstała z tronu i głośno klasnęła w dłonie. Tancerze chyłkiem, bez słowa protestu, wrócili na swoje miejsca.

Minutę później zaczęli się rozchodzić.

Desmond i Dominique pozostali sami w kaplicy, nie licząc Mamy Cecile i egzotycznej młodej tancerki.

Desmond, pijany jak bela, wciąż siedział na podłodze. Dominique na osobności rozmawiała z królową voodoo. Mówiła coś bardzo szybko. Od razu przeszła do sedna sprawy i poprosiła o magiczną klątwę. Desmond w dalszym ciągu uważał to za niepotrzebną stratę pieniędzy, ale nie gniewał się już na nią, że tu go przyprowadziła.

Przeniósł wzrok z rozmawiających kobiet na dziewczynę, która tak długo przykuwała jego uwagę. Młoda Murzynka siedziała teraz na tronie przed chwilą opuszczonym przez Mamę Cecile. Jedną nogę niedbale przerzuciła przez poręcz, bezwstydnie obnażając intymne części ciała. Nie zamierzała się niczym przykryć.

Do nagich piersi przyciskała czarnego kota. Czułym ruchem głaskała go po jedwabistej sierści. Zadowolony kocur powoli kręcił długim ogonem i ocierał się łebkiem o podbródek dziewczyny.

Desmond dygotał jak w febrze. Drżącymi rękami naciągnął na grzbiet pomiętą i podartą koszulę. Zacisnął dłonie na kolanach i wciąż patrzył na dziewczynę. Tylko czasami rzucał przelotne spojrzenie na Mamę Cecile i Dominique. Wreszcie zobaczył, że kwarteronka z uśmiechem pokiwała głową i wręczyła kapłance aksamitną sakiewkę z pieniędzmi, którą wzięła od niego.

Teraz miał swoją szansę. Dom była w dobrym nastroju. Podświadomie wyczuł, że czarnoskóra piękność jej też przypadła do gustu. Chwycił płaszcz i podbiegł do kochanki.

- Teraz możemy już iść, Desmondzie - powiedziała z uśmiechem. Zerknął na dziewczynę na tronie i znów popatrzył na Dominique.

- Kochanie, a może tak...

- O co chodzi?

- Nie sądzisz, że moglibyśmy zabrać ją ze sobą? - spytał z nadzieją w głosie i wskazał na Murzynkę. - Tylko ten jeden raz. Na tę jedną, jedyną noc.

Podniecona erotycznym rytuałem i ufna w czary otrzymane od kapłanki, Dominique odpowiedziała:

- Znakomity pomysł, milordzie.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Lady Madeleine nie kryła rozczarowania.

Miała nadzieję - opartą na mocnych przesłankach - że po świętach Bożego Narodzenia przez pewien czas nie będzie widywała Armanda de Chevaliera. Tymczasem nic się nie zmieniło. Ku swojemu rosnącemu niezadowoleniu spotykała go niemal za każdym razem, gdy tylko wychodziła z domu.

Nawet gdy w towarzystwie Montro przechadzała się po francuskim targu, de Chevalier zjawiał się jak na zawołanie, by jej dokuczać z pozoru całkiem niewinnym flirtem.

Raz straciła całe popołudnie na torze wyścigów konnych Metairie, dokąd wybrała się wraz z Desmondem. Uparty Kreol siedział tuż obok, w sąsiedniej łoży. Było aż nadto jasne, że nie przyszedł popatrzeć na wyścigi. W ogóle nie interesował się końmi. Przez lornetkę co chwila bezczelnie zerkał w jej stronę, chociaż wszyscy wokół entuzjasmowali się wyścigiem trzylatków.

Innym znów razem w kasynie przy ruletce czyjaś śniada dłoń położyła czarny żeton na stosie żetonów hrabiny.

Madeleine od razu rozpoznała, do kogo należą te smukłe palce, i gwałtownie uniosła głowę.

Armand de Chevalier uśmiechnął się do niej i powiedział:

- Powinnaś raczej grywać u mnie, Maddie.

Przy kolacji u Antonia ledwie zdążyła usiąść, od razu straciła apetyt, widząc, że przy sąsiednim stole pewien przystojny Kreol delectuje się ostrygami.

Zjawił się nawet w operze, czyli w ostatnim miejscu na ziemi, w którym spodziewała się go spotkać. Był elegancki jak zwykle, w świetnie skrojonym fraku i w otoczeniu najbardziej wpływowych dam Nowego Orleanu. Wśród nich Madeleine zobaczyła dumną baronesę de Pontalba, legendarną diwę operową, madame Julię Calve i wspaniałą Delphine Larie. Wszystkie tłoczyły się, przytakiwały, chichotały i dosłownie spijały z ust każde jego najmniejsze słowo.

Madeleine siedziała dostatecznie blisko, żeby słyszeć fragmenty rozmowy. Armand opowiadał właśnie zachwyconym słuchaczkom o swoich letnich przygodach w trakcie nieszczęsnego rejsu S/S „Starlight”,

W odpowiedzi na czyjeś pytanie, mruknął z szelmowskim uśmiechem:

- No tak. W czasie katastrofy odnotowano tylko jeden przypadek złego zachowania.

Madeleine wstrzymała oddech.

- Och, prosimy nam o tym opowiedzieć! - zabrzmiał zgodny chór kobiecych głosów.

Zanim jednak Armand zdążył otworzyć usta, przygasły światła i rozległy się pierwsze takty uwertury. Madeleine odetchnęła z ulgą.

Od zeszłej jesieni, a dokładnie rzecz biorąc od chwili, kiedy Armand de Chevalier pojawił się na maskaradzie, Madeleine żyła w ustawicznym strachu, że prędzej czy później ich tajemnica wyjdzie na jaw. Że Armand zrujnuje jej życie. Że wszyscy się dowiedzą, jaką była grzesznicą.

Jakby tego było jeszcze mało, wbrew sobie odczuwała rosnącą fascynację urodzonym Kreolem. Zdrowy rozsądek zawodził, gdy chodziło o Armand de Chevaliera. Ilekroć go widziała, drżały jej dłonie, a serce biło przyspieszonym rytmem.

Była głupia. Och, jak potwornie głupia!

Lecz jeszcze nie najgłupsza.

Dobrze sobie zdawała sprawę z zagrożenia, jakim Armand był dla niej, Nie dała mu najmniejszej szansy, aby spotkali się bez świadków w sytuacji, w której byłaby zdana na jego łaskę i niełaskę. Wierzyła, że przy zachowaniu właściwych środków ostrożności będzie całkiem bezpieczna.

Ale w życiu codziennym rzadko zachowywała ostrożność. Prawdę powiedziawszy, pewnego słonecznego styczniowego ranka w ogóle nie protestowała, kiedy wuj zabrał Montro i pojechał z nim na cały dzień na inspekcję swoich plantacji w delcie Missisipi. Pożegnała ich z miłym uśmiechem i została sama, jedynie w towarzystwie Avaliny.

Zresztą, na ten dzień miała własne plany, układane już od tygodni. Obiecała francuskiej krawcowej, madame Simone - znanej nie tylko w Nowym Orleanie - że przyjdzie do jej pracowni przymierzyć najnowsze kreacje. Gdyby zrezygnowała, na następną okazję musiałaby pewnie czekać całymi tygodniami, bowiem salon madame Simone był stale oblegany przez miejscowe strojnisię.

Madeleine rozsądnie odczekała dobre pół godziny od wyjścia wuja i Wielkiego Montro. Kiedy już była pewna, że wyjechali z

miasta, poszła poszukać Avaliny. Znalazła ją w jadalni. Ochmistrzyni z zatroskaną miną zmiatała kurz ze stołu.

- Avalino, zostaw tę robotę. Chyba pamiętasz, że za pół godziny mamy być u madame Simone,

Ochmistrzyni gwałtownie uniosła głowę.

- Zapomniała panienka, że Montro wyjechał z panem Colfaksem?

- Nie, ale jest biały dzień, a do pracowni madame Simone mamy zaledwie parę kroków. Chodźmy.

Avalina nerwowo ścisnęła rączkę miotełki do kurzu i pokręciła głową.

- Zostańmy w domu, lady Madeleine. Mam złe przeczucia. Zeszłej nocy widziałam przez okno baka na dziedzińcu. Baka to zły duch, który w nocy pod postacią zwierzęcia snuje się po okolicy.

Madeleine z półuśmiechem na twarzy przypatrywała się przesądnej Murzynce.

- A jakąż to postać ów baka przybrał tej właśnie nocy?

- Kota. Czarnego jak węgiel kota. Madeleine uśmiechnęła się szerzej i serdecznie objęła ochmistrzynię.

- Kochana Avalino - powiedziała uspokajającym tonem. - To nie był żaden zły duch, tylko jakiś zwykły dachowiec. Przecież wiesz, że po mieście włóczą się całe stada bezdomnych i zdziczałych kotów.

Avalina uparcie potrząsała głową.

- To nie był zwykły kocur. To był baka,

- A niech tam. Teraz już wstał dzień, duch uciekł, wesoło świeci jasne słońce i nie mamy się czego obawiać.

Ochmistrzyni nie dała się przekonać, ale z oporami zgodziła się pójść z hrabiną do modystki. Gdy tylko wyszły na ulicę i znalazły się przed żelazną bramą, Avalina stanęła jak wryta i z niepokojem złapała rękę Madeleine.

- Proszę popatrzeć! - zawołała przerażona. - Tam, na chodniku, przed samym domem!

Zaciekawiona Madeleine pociągnęła ją za sobą. Podeszły bliżej. Na kamiennych płytach leżało dziwne zawiniątko.

- Co to takiego? - zapytała Madeleine i pochyliła się, żeby podnieść nieznany przedmiot.

- Niech panienka tego nie dotyka! - krzyknęła Avalina. W jej oczach malowała się bezgraniczna zgroza. - To gris - gris.

Przyłożyła rękę do rozdygotanej piersi.

- Voodoo. - Rozejrzała się wokół siebie, jakby w obawie, że za chwilę zobaczy coś jeszcze gorszego.

- Voodoo? - powoli powtórzyła Madeleine. Avalina skinęła głową.

- To już nie po raz pierwszy.

- Co to znaczy? - spytała Madeleine.

- Ktoś tam - Avalina machnęła ręką w stronę miasta - źle nam życzy. Ktoś chce, żeby jeden z mieszkańców naszego domu... umarł.

Madeleine nie potrafiła powstrzymać się od śmiechu. Kopnęła zawiniątko czubkiem pantofelka i powiedziała:

- Czyste bzdury. Kto mógłby być naszym wrogiem? A poza tym, nie wierzę w czary, gusła, klątwy i tym podobne rzeczy.

- Może panienka nie wierzyć - ze strachem odparta Avalina - ale lepiej będzie, jak dzisiaj zostaniemy w domu. Poczekajmy lepiej na Montro.

- Idziemy! - niecierpliwie zawołała Madeleine. - Nie mam zamiaru zmieniać swoich planów z powodu jakichś głupot!

W południe znudzona Avalina miała już serdecznie dość siedzenia u krawcowej, w sklepie przy Dauphine Street. Madeleine tymczasem przymierzała kolejną drogą suknię. W głębi duszy współczuła ochmistrzyni. Avalina wprost nie znosiła zbyt długiej beczynności. W domu bez przerwy znajdowała sobie jakieś zajęcia.

- Wracaj już - powiedziała wreszcie Madeleine. - Coś mi się zdaje, że spędzę tutaj całe popołudnie. Zupełnie niepotrzebnie oderwałam cię od pracy.

- Wcale mi to nie przeszkadza, panienko Madeleine - bez przekonania odparta Avalina.

- Nieprawda. Ale to moja wina. Idź do domu. Wuj i Wielki Montro na pewno zjadą przed trzecią. Znasz wuja. Natychmiast pójdzie do biura. Montro będzie czekał w domu. Przyślij go do mnie z powozem... powiedzmy około czwartej.

Avalina naprawdę chciała już wracać, więc z udanym ociąganiem przystała na prośbę hrabiny. Ostrzegła tylko, żeby Madeleine pod żadnym pozorem nie wychodziła sama ze sklepu. Wuj też miał się o niczym nie dowiedzieć.

- Nie powiem mu - obiecała Madeleine.

- To dobrze - westchnęła Avalina.

Po chwili wyszła. Madeleine sięgnęła po kolejną belę materiału i rzuciła okiem do żurnala na następny projekt sukni.

Wczesnym popołudniem słońce schowało się za ciemnymi chmurami, nisko wiszącymi nad rzeką. O trzeciej zaczęło padać. Kilka minut później lało już jak z cebra. Nad miastem przechodziła gwałtowna ulewa.

O wpół do czwartej Madeleine oznajmiła zmęczonym głosem:

- Na dzisiaj starczy, madame Simone.

- Ah, oui, oui - szybko zgodziła się krawcowa. - Musi być pani kompletnie wyczerpana. - Uśmiechnęła się. - Ale chyba zrobiliśmy pewne postępy - dodała.

- Ależ tak - zapewniła ją Madeleine. - Bardzo pani dziękuję.

Madame Simone pożyczyła jej parasolkę. Madeleine prędko zeszła ze schodów i wyszła na ulicę, lecz nigdzie nie zauważyła powozu wuja Sumnera.

Zupełnie inny pojazd stał przy krawężniku, dokładnie na wprost sklepu. Woźnica otworzył drzwiczki i na chodnik wyskoczył jakiś dżentelmen z ogromnym parasolem. Na jego widok Madeleine wpadła w prawdziwy popłoch. Bezwiednie upuściła parasolkę na ziemię.

- Wybacz mi, Maddie, ale wuj Colfaks i Montro nie wrócili jeszcze z plantacji - odezwał się Armand. - Na szczęście Avalina powiedziała mi, gdzie jesteś.

Madeleine, wściekła na gadatliwą służącą, rzekła z nieukrywaną furią:

- Jeśli myślisz, że wsiadę z tobą do tego...

Nie zwracając uwagi na jej słowa, Armand wziął ją za rękę, a kiedy się szarpnęła, uniósł ją, wsadził do powozu i sam wsiadł w ślad za nią.

W obszernym wnętrzu było przyjemnie ciepło i sucho. Zaciągnięte firanki szczelnie zasłaniały widok. Madeleine nie mogła wyrzeć na ulicę, ale też z ulicy nikt nie mógł zajrzeć do wewnątrz. Nerwowo wtuliła się w kanapę, jak najdalej odsuwając się od Armanda.

Uznała, że najlepiej będzie jak najszybciej wywikłać się z tej sytuacji.

- Panie de Chevalier - powiedziała spokojnie - szczerze doceniam pańskie intencje i dziękuję, że chciał pan uchronić mnie przed zmoknięciem. - Chrząknęła całkiem niepotrzebnie i mówiła dalej: - Proszę mnie odwieźć do domu. Wie pan, gdzie mieszkam.

- Owszem, wiem - przerwał jej swoim głębokim aksamitnym głosem, słyszalnym pomimo deszczu bębniącego o dach powozu. Przysunął się nieco bliżej, aż dotknął kolanem jej uda. - A czy ty wiesz, gdzie ja mieszkam?

Madeleine z trudem przełknęła ślinę.

- Słyszałam, że masz więcej niż jedno lokum - odparła po chwili.

- To prawda - przytaknął, kiwając głową. - Mogę pokazać ci wszystkie.

Gwałtownie odwróciła się w jego stronę.

- Niczego mi nie pokażesz, mój drogi panie! Jedziemy prosto do mojego domu! Czy wyrażam się dostatecznie jasno?

Armand błysnął białymi zębami w uśmiechu.

- Wręcz kryształowo, milady. - Wyciągnął rękę i oparł ją za jej plecami. - A wiesz, co jeszcze możemy zrobić?

Splonęła rumieńcem niczym pensjonarka.

- Nie. Co ty, do licha, wygadujesz?

Armand położył dłoń na jej karku i lekko poruszył palcami. Nachylił się i głęboko spojrzał jej w oczy.

- Możemy się kochać. Tu i teraz.

- Kochać? - wybuchnęła. - Zupełnie oszalałeś! Skończony wariat! Ile razy ci powtarzałam, że jestem zaręczona i...

- Powtarzałaś - szepnął i ją pocałował.

W pierwszym odruchu zamierzała się bronić. Próbowwała odwrócić głowę w bok i mocno zacisnąć usta. Z całej siły pchnęła go w pierś. Nadepnęła mu obcasem na nogę.

Lecz jego pocałunek był tak niezmiernie słodki. Pełen pasji. Uczucia. Tak trudny do odparcia.

Przecież jeśli go pocałuję, to nic nikomu się nie stanie, pomyślała.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

Armand od razu wyczuł, jakim torem podążają myśli Madeleine. Dobrze wiedział, że jeśli nie przerwie pocałunków, może być pewny wygranej.

Delikatnie musnął ustami jej szyję, a potem uniósł rękę i trzykrotnie zastukał w dach powozu. Przed przyjazdem kazał woźnicy wracać do domu Sumnera jak najbardziej okrężną drogą.

Deszcz łomotał o ściany i okna powozu, Armand wciąż całował bezwolną Madeleine. Nareszcie odchyliła głowę, zaczerpnęła tchu i przymknęła powieki.

- Armandzie, Armandzie - wyszeptała, usiłując opanować urywany oddech. - Nie wolno nam. Nie mogę...

- Otwórz oczy - rozkazał jej półgłosem. - Popatrz na mnie, chérie.

Usłuchała go z ociąganiem. Usta Armanda były tuż przy jej twarzy.

- Popatrz na mnie i powiedz, że nic nas nie łączy - odezwał się cichym i łagodnym tonem. - Że mnie nie chcesz.

- Nie... nie chcę - wykrztusiła z trudem, bo wiedziała, że kłamie. Słowa więzły jej w gardle.

Armand powoli rozpiął białą koszulę, ani na chwilę nie spuszczał z niej hipnotycznego spojrzenia. Ujął rękę Madeleine i położył jej dłoń na swojej piersi, tuż nad sercem. Zadygotała, kiedy poczuła dotyk jego twardych mięśni i gładkiej skóry.

Pod palcami wyczuła przyspieszone bicie jego serca.

- Popatrz, co ze mną zrobiłaś. Co teraz czujesz? To samo? Rozumiesz moją rozterkę?

Madeleine nie odpowiedziała. Nie mogła mówić. Nie była w stanie myśleć. Urzeczona jego spojrzeniem i dotykiem, milczała jak zaczarowana. Nie poruszyła się nawet na milimetr, kiedy powoli rozpiął jej suknię. Zanim uświadomiła sobie, co się dzieje, Armand obnażył jej lewą pierś i przylgnął do niej nagim torse. Jęknęła z zaskoczenia. I nagłej rozkoszy.

- Widzisz, chérie? - szepnął jej wprost do ucha. - Nasze serca biją tym samym zgodnym rytmem.

Madeleine była zagubiona. Armand wciąż jej pragnął, a ona nie znajdowała w sobie dość siły, żeby się przed nim bronić. Za mocno za nim tęskniła. Pomału poddawała się jego pieścizdom i słuchała

uwodzicielskiego głosu, prawiącego jej niezwykle czułe i przerażające rzeczy. Stawała się coraz bardziej bezwolna. I doprawdy nic a nic nie mogła na to poradzić.

Niemal wbrew sobie podjęła jeszcze jedną słabą próbę oporu. Wiedziała, że musi to zrobić, zanim będzie za późno.

- Przestańmy. Przestań, Armandzie. Tak nie można. To... niewłaściwe.

- Być może niewłaściwe, lecz zarazem słuszne - wyszeptał. - Najsłuszniejsze w świecie.

Pochylił głowę i gorącymi ustami musnął jej nagą skórę. Przesunął się w dół szyi, aż dotarł do piersi. Pocałował ją i zapytał:

- Myślałaś, że poprzestanę na tamtym jednym razie?

- Och, Armandzie - wyszeptała bez tchu. - Musimy zapomnieć...

- Ja nie zapomnę - przerwał jej w pół słowa. - A ty potrafisz?

Z trudem łapała oddech.

- Nie. Nie potrafię - przyznała.

- A zatem przypomnijmy sobie tamte chwile - szepnął. - Pozwól mi siebie kochać. Powiedz, że pozwalasz.

Ponownie musnął wargami jej białe ciało. Mimowolnie wydała jęk ulgi i zadowolenia.

- Tak, tak... Pozwalam - wymruczała i wplotła drżące palce w jego czarną czuprynę.

Z rozwartymi ustami i bijącym sercem patrzyła, jak jeszcze niżej pochylił głowę. Na jej policzkach zakwitł rumieniec zakłopotania i podniecenia. Co prawda, mogła zamknąć oczy, ale nie chciała. Przygryzła usta, widząc, jak jego ciemna głowa odcina się wyraźnie od jej białych piersi. Armand z kolei przymknął powieki i całym sobą chłonał delikatny zapach jej ciepłego ciała.

Madeleine westchnęła i spazmatycznie ścisnęła go za szyję. Miała wrażenie, że urodziła się wyłącznie dla tej chwili. Że urodziła się wyłącznie po to, żeby w deszczowy dzień, w Nowym Orleanie, wsiąść do powozu i poddać się pieszczotom Armanda.

Tylko tego pragnęłam, pomyślała. Nie chodzi mi o nic więcej. Niczego już nie potrzebuję.

Kilka minut później Armand bez większego trudu zdołał ją przekonać, że jej pragnienia idą dużo, dużo dalej.

Powóz sunął powoli przez zalane deszczem, śliskie i błyszczące ulice. Zamknięci w jego ciemnym wnętrzu Armand i Madeleine

zdawali się zapominać o całym otaczającym ich świecie. O wszystkich, których znali, lubili i kochali. Poza rami nie było nikogo. Istnieli wyłącznie dla siebie.

Madeleine z podniecenia nawet nie zauważyła, że Armand ją rozebrał. Nagle, z ogromnym zdumieniem spostrzegła, że spoczywa naga w jego silnych ramionach. On zaś wciąż był jeszcze kompletnie ubrany. Nie robiła mu o to wyrzutów. Wręcz przeciwnie, doszła do wniosku, że taka sytuacja zawiera w sobie ogromny ładunek erotyzmu.

Wzdychając z cicha, wiała mu się na kolanach. Pod plecami czuła jego muskularne ramię, a pod stopami - miękki plusz siedzenia. Powóz kołysał się łagodnie na resorach i toczył się własną drogą.

Armand doskonale zdawał sobie sprawę, że Madeleine wprost uwielbia dotyk jego dłoni i zręcznych palców. On z kolei niemal nie wierzył własnemu szczęściu, że ma ją toż przed sobą, nagą i chętną, bez protestu poddającą się Jego pieścizotom.

Zerknął na swoją rękę, kontrastującą z jej białym brzuchem i głęboko wciągnął powietrze. Tego pragnął, pomyślał. Miał wrażenie, że urodził się wyłącznie dla tej chwili. Że urodził się wyłącznie po to, żeby w deszczowy dzień, w Nowym Orleanie, zaprosić do powozu piękną angielską wdowę i pieścić ją - zupełnie nagą - na swoich kolanach.

To wystarczy, pomyślał. Niczego więcej już mi nie potrzeba.

Ale w miarę upływu czasu, gładząc jej ponętne ciało, Armand doszedł do wniosku, że jednak ma ochotę na coś więcej. Musiał ją zdobyć, musiał osiąść i uczynić rzeczywiście swoją. Chciał zaspokoić swą namiętność, dręczącą go dniem i nocą.

Pochylił się i pocałował Madeleine prosto w usta. Jednocześnie wsunął dłoń między jej uda. Madeleine zadrżała lekko pod dotykiem jego czarodziejskich palców. Armand nie przerwał pocałunku. Madeleine natarczywie poruszyła biodrami, jakby domagając się silniejszych pieścizot. Oderwał usta od jej warg i ciaśniej objął ją ramieniem. Przez chwilę spoglądali sobie prosto w oczy.

Armand de Chevalier był doświadczonym i zręcznym kochankiem. Wiedział, jak doprowadzić kobietę do ekstazy. Po kilku minutach Madeleine zaczęła więc się, jęczeć i rzucać głową na boki.

- Och, Armandzie... Armandzie... - wydyszała błagalnym tonem.
- Proszę cię, proszę.

- Tak, najdroższa - odparł i kilkoma ruchami wprowadził ją w stan najwyższego uniesienia.

Patrzył na nią. Na ułamek sekundy strach błysnął w jej zasnutych mgiełką rozkoszy szmaragdowych oczach. Armand wiedział, że tak jak na statku, obawiała się, że cofnie rękę zbyt prędko. Zarówno wtedy, jak i teraz, były to płonne obawy. Nie przerwałby, zanim by jej nie dał pełnego zaspokożenia.

- Mam cię, cherie - wyszeptał. - Zatrąszczę się o ciebie.

- Och... och... och... Armandzie - jęknęła, a potem, ogarnięta niewysłowionym szczęściem, zaczęła głośno wołać jego imię.

Armand tulił ją w ramionach, dopóki się nie uspokoiła. Całował ją w czoło i szeptał miłosne zaklęcia po angielsku i francusku. Po ostatnim pocałunku posadził ją obok siebie. Madeleine mruknęła niczym zadowolona kotka i przeciągnęła się kusząco. Spod zmrużonych powiek patrzyła, jak się rozbierał.

Kiedy był już nagi, delikatnie wziął ją za rękę. Siedzieli teraz ramię w ramię, w ciemnym wnętrzu powozu jadącego niespiesznie przez moknące w ulewie miasto. Trzymali się za ręce, patrzyli sobie w oczy i uśmiechali się do siebie.

Nie uszło jednak uwagi Madeleine, że Armand zdradzał oznaki silnego podniecenia. W pełni uświadomiła sobie, że był wzorem kochanka. Nie dbał o siebie, lecz wyłącznie o nią. Własne potrzeby stawiał dopiero na drugim miejscu. Dawał jej rozkosz, nie prosząc o nic w zamian. Nawet teraz, chociaż na pewno niewymownie cierpiał, nie wyjawiał swoich pragnień ani jednym słowem. Czekał na nią. Czekał, aż będzie gotowa.

Madeleine pocałowała go prosto w usta. Znów zapomniwała o całym bożym świecie. Nie pomyślała nawet, co by się stało, gdyby ich powóz miał wypadek na zalanej deszczem ulicy.

Nikt i nic nie przeszkadzało w gwałtownej miłości. Znów byli całkiem sami, zdani na łaskę żywiołów. Lord Enfield, wraz z tytułem i błękitną krwią, odszedł gdzieś w niepamięć, jakby w ogóle nie istniał.

Madeleine nie przypuszczała nawet - bo i jak mogła przypuszczać - że zrzędzeniem losu w pewnej chwili powóz jej narzeczonego minął powóz Armanda.

Dwa czarne pojazdy oddalały się w przeciwne strony. W jednym z nich dwa nagie ciała splotły się w miłosnej ekstazie. Madeleine ciasno obejmowała szyję Armanda. Kreol oburącz ścisnął jej kształtne

piersi. Spoceni i zdyszani, nie ustawali w erotycznym tańcu, dopóki nie popadli w niemal zwierzęcą pasję.

Armand pocałunkiem zdusił głośnie krzyki Madeleine, żeby nie było ich słychać na ulicy, a ona przywarła do niego całym ciałem, jakby nie zamierzała go już więcej puścić.

- Och! - jęknął Armand, odrywając wreszcie usta od jej twarzy. - Moja maleńka... moja kochana - powtarzał urywanym głosem.

Przytrzymał ją, kiedy próbowała uwolnić się z jego objęć.

- Nie, chérie. Zostań przy mnie chociaż jeszcze przez chwilę. - Pocałował ją w zagłębienie pomiędzy szyją a ramieniem. - Zostań ze mną na zawsze.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

Zapadał zmierzch, kiedy powóz Armanda dojechał do wielkiego piętrowego domu przy Royal Street. Deszcz ustał. Pasażerowie powozu skończyli już się ubierać.

Milczeli, pogrążeni w niewesołym nastroju.

Madeleine ogarnęło ogromne poczucie winy. W ciągu minionych kilkunastu minut powiedziała najwyżej ze dwa słowa. Armand wpatrywał się w nią błagalnym wzrokiem. Chciał w jakiś sposób wyrwać ją z melancholii. Próbował ją przekonać, żeby pod żadnym pozorem nie żałowała tego, co się stało.

Nie doczekał się odpowiedzi, chociaż Madeleine słuchała go z napiętą uwagą.

Przymknąwszy oczy, zza zasłony długich rzęs, obserwowała jego urodziwą twarz, zmysłowe usta, kształtną linię nosa i wyrazistą szczękę. Coś ją ukłuło w sercu. Jeszcze przed chwilą, w miłosnym uniesieniu, szeptał do niej najśłodsze słowa i składał najgorętsze przysięgi.

Ale usta, które umieją tak całować, bez wątplenia potrafią też kłamać.

I kłamały.

Przecież ten człowiek równie gładko potrafił szeptać czułe słówka każdej napotkanej dziewczynie, pomyślała. Każdą mógł równie zręcznie omotać i sprawić, że traciła głowę. Gorzka to prawda, ale prawda.

Dla Armanda de Chevaliera miłość była tylko zabawą. Sposobem na przyjemne spędzenie czasu. Na odrobinę rozrywki w deszczowe popołudnie. Bez żenady oddawał się przyjemnościom ciała, lecz w jego sercu nie zagościły żadne głębsze uczucia.

Madeleine zmusiła się, żeby odwrócić od niego spojrzenie.

Na siedzeniu pomiędzy nimi leżała spłowiała niebieska podwiązka, którą Armand niechcący zsunął z ramienia w czasie miłosnych pieszczot. Madeleine zaczerwieniła się pod wpływem wspomnień, zerknęła na podwiązkę i szybko wyciągnęła rękę, żeby ją pochwycić. Armand był równie szybki i błyskawicznym ruchem położył dłoń na jej dłoni.

- Nie, chérie. Tego ci nie wolno. Podwiązka należy do mnie - powiedział.

Skinęła głową. Armand zobaczył łzy smutku, połyskujące w jej szmaragdowych oczach. Czuł się podłe, że doprowadził ją do takiego stanu.

- Moja najdroższa - odezwał się łagodnie, jakby przemawiał do płaczącego dziecka. - Nie smuć się. Nie masz się czego wstydzić. Cała wina spada wyłącznie na mnie i bardzo cię za to przepraszam.

- Naprawdę? - zapytała, patrząc mu prosto w twarz. - Naprawdę jest ci przykro?

- Tak - odpowiedział zupełnie szczerze. - Możesz nie wierzyć, Madeleine, lecz z całego serca pragnę wyłącznie twojego szczęścia.

Samotna łza popłynęła po jej policzku. Niecierpliwie starła ją dłonią.

- W takim razie, Armandzie - zaczęła - w takim razie, od dzisiaj zostaw mnie w spokoju. Nie chcę cię więcej widywać.

Armand poczuł nagłe ukłucie w sercu.

- Zupełnie nie wiem, co się ze mną dzieje - dodała Madeleine. - Ja... ty... Kiedy jesteśmy razem, nie mam siły się bronić. Czuję się zagubiona.

Nisko opuściła głowę.

- Błagam cię, nie rujnuj mi dalszego życia. Nie pozwól, żebym sama je zrujnowała. Pomóż mi, Armandzie. Obiecuj, że przestaniesz mnie wciąż nagabywać.

Oczy zasły mu mgłą cierpienia.

- Jeśli tego naprawdę chcesz, moja Maddie - powiedział bezbarwnym głosem - to oczywiście dam ci moje słowo. Przysięgam, że już nigdy nie będę ci się narzucał. Potraktuj to jak obietnicę.

Powoli uniosła głowę i popatrzyła nań, jakby nie dowierzała, że to wreszcie powiedział.

- Przysięgam też, że nikt się o nas nie dowie. Nie powiem nikomu. Nigdy. Bądź pewna - dodał.

Na twarzy Madeleine odmalowała się ogromna ulga. Uśmiechnęła się lekko.

- Dziękuję ci, Armandzie.

- Proszę bardzo, hrabino.

- A teraz żegnaj - powiedziała z lekkim niepokojem. Nie czekając na jego pomocną dłoń, otworzyła drzwiczki i wysiadła z powozu.

Szybkim krokiem minęła omiatany wiatrem dziedziniec, weszła po schodach i już po chwili zniknęła wewnątrz domu.

Nie była pewna, czy chociaż przez chwilę zdoła zapanować nad emocjami. Ledwo zamknęła drzwi wejściowe, pobiegła do sypialni.

- Avalino! Boli mnie głowa i muszę się położyć! - zawołała po drodze.

Ochmistrzyni niemal natychmiast pojawiła się w holu. Popatrzyła za odchodzącą hrabiną.

- Przyniosę pani zimny kompres i... - zaczęła.

- Nie! Niczego mi nie potrzeba! Wystarczy, że odpocznę! - zabrzmiała ostra odpowiedź. Madeleine z trudem powstrzymywała się od płaczu. - Kiedy wróci Montro, powiedz mu, żeby poszedł z przeprosinami do lorda Enfielda. Dzisiejszego wieczora chcę zostać sama w domu.

Weszła do sypialni, zamykając za sobą drzwi.

Avalina stała bez ruchu, z rękoma splecionymi na piersiach. W zamyśleniu spoglądała na schody. Miała wrażenie, że to z jej winy brała się niedyspozycja Madeleine. Przecież to właśnie ona wysłała posłańca do pana Armanda de Chevaliera. Czyżby popełniła jakąś straszną pomyłkę?

Zastanawiała się przez dłuższą chwilę. Wreszcie na jej szerokiej twarzy pojawił się chytry uśmieszek. Z lżejszym sercem wróciła do kuchni. Wiedziała już, że tym razem wszystko poszło po jej myśli. Gdyby przystojny Kreol był obojętny hrabinie, to ta nie wpadłaby w popłoch po jednej przejażdżce.

Avalina uśmiechnęła się jeszcze szerzej. Nie mogła się doczekać powrotu Montro. Musiała mu powiedzieć, że jej skromnym zdaniem nastąpił mały postęp w pewnej pilnej sprawie. Chłopak na pewno się ucieszy.

Olbrzyma i ochmistrzynię połączył cichy spisek. Oboje pragnęli, żeby Madeleine zerwała zaręczyny z lordem Enfieldem. Niewiele o tym ze sobą rozmawiali, ale nie chcieli, aby wyszła za zimnego arystokratę. Avalina nie była pewna, jakimi motywami kierował się Wielki Montro, ale też nigdy nie prosiła go o wyjaśnienia. Wystarczało jej się, że się z nią zgadzał. Własną niechęć przypisywała po prostu intuicji. Natura obdarzyła ją umiejętnością pozwalającą oceniać ludzi. Podejrzewała, że lord Enfield pod uprzejmą maską i

nienagannymi manierami skrywał zupełnie inne, mniej przyjemne oblicze.

Lady Madeleine zasługiwała na coś znacznie lepszego.

O wpół do jedenastej wieczór Madeleine siedziała nieruchomo w mrocznej sypialni. Na stoliku stała taca z nietkniętym podwieczorkiem.

Łzy żalu i wstydu zaschły na jej policzkach, lecz nie minęła pogarda, jaką odczuwała wobec siebie samej. Nieruchomym i niewidzącym wzrokiem wpatrywała się w pomarańczowy płomień tańczący w kominku. Bolała ją głowa od długiego płaczu. Oczy miała czerwone i zapuchnięte. Piersi dławił jej potworny ucisk, jakby była zamknięta w żelaznej obręczy.

Madeleine cierpiała.

Psychicznie i fizycznie.

Cierpiała z powodu tego, co dziś się wydarzyło. Z powodu tego, co zrobiła w deszczowe popołudnie. Lecz ten ból był niczym w porównaniu z okropnym poczuciem niepewności. Rozdzierały ją sprzeczne emocje. Z jednej strony wstydziła się, że ponownie nie dotrzymała wierności Desmondowi. Z drugiej ze smutkiem myślała, że dziś wieczór już nie znajdzie się w ramionach Armanda.

Ani dziś, ani być może nigdy.

Potała piekące oczy. A może zwariowałam? - zapytywała sama siebie. Na pewno zwariowałam, skoro zachowuję się jak zwykła ulicznica w obecności człowieka, który w gruncie rzeczy zupełnie o mnie nie dba. Gdybym była przy zdrowych zmysłach, to nie ryzykowałabym spokojnej przyszłości u boku Desmonda. Przedkładałam kilka chwil ukrytych rozkoszy nad pewność i stabilizację szczęśliwego małżeństwa?

Madeleine ciężko wsparła głowę na oparciu krzesła i zakryła twarz dłońmi. Ogarnął ją głęboki smutek. Po raz pierwszy musiała przyznać, że zależy jej na uczuciach Armanda de Chevaliera.

Ciągle o nim myślała. Serce biło jej szaleńczym rytmem, gdy tylko go zobaczyła. Wystarczyło, że się odezwał, a dźwięk jego głębokiego głosu budził u niej namiętny dreszcz oczekiwania. Ledwie ją musnął, a ona miała wprost nieprzepartą ochotę rzucić mu się w ramiona.

Opuściła ręce i otworzyła oczy. Znów popatrzyła w ogień. Bardzo łatwo pokochać kogoś takiego jak Armand de Chevalier, pomyślała. I

bardzo łatwo poznać wszystkie cienie tej miłości. Przez cały czas widywała przeróżne damy, młode i stare, piękne i brzydkie, spoglądające za nim z tęsknotą i wyczekiwaniem. Wcale się z tym nie kryły. Podejrzewała, że wiele z nich jest w nim naprawdę zakochanych. On zaś - w to nie wątpiła - żadnej z nich nie pokochał. Jedna kobieta to za mało dla pięknego Kreola. Kochał je wszystkie.

Trzeba być chyba masochistką, żeby się w nim zadurzyć, myślała Madeleine. Któraż z nas bowiem pragnęłaby miłości, wiedząc, że po pewnym czasie zostanie sama, ze złamanym sercem?

Jej to nie mogło się przydarzyć. Przeżyła już nieszczęśliwą miłość. To było dawno, gdy była młodą, impulsywną dziewczyną. Od tego czasu nabrała zbyt wiele doświadczenia, żeby popełnić ten sam błąd. Po raz drugi nie ulegnie pokusie, choćby czyhali na nią Armandowie całego świata! Od samego początku, kiedy go ujrzała, wiedziała, że z jego strony czekają ją same kłopoty.

Armand obiecał jej, że począwszy od dzisiaj, zostawi ją w spokoju. Madeleine jednak mu nie dowierzała. Obietnice nie miały większego znaczenia dla ludzi jego pokroju. Nie mogła liczyć na to, że spełni jej życzenie. Aby go pokonać, będzie musiała wyteńczyć siły. Będzie musiała dobrze przewidzieć jego kolejne posunięcie.

Westchnęła ciężko i pokręciła głową. Nie wierzyła, że potrafi być aż tak silna. Postanowiła zatem, że już nigdy - pod żadnym pozorem - nie pozostanie sam na sam z Armandem de Chevalierem. Nawet, gdy miałaby być wobec niego niegrzeczna.

Ktoś zapukał. Madeleine drgnęła, wyrwana z posępnych rozmyślań.

- Tak? - zapytała, unosząc się z krzesła.
- To ja, twój stary wuj - odezwał się głos zza drzwi.
- Wszystko w porządku, moje dziecko?
- Nic się nie stało. Strasznie mnie boli głowa. Chyba nie zejść dzisiaj na kolację. Do jutra już będę zdrowa.
- A zjadłaś podwieczorek, który przyniosła ci Avalina?
- Tak - skłamała.
- Mogę coś jeszcze dla ciebie zrobić?
- Nie, dziękuję. Nie martw się o mnie. Potrzebuję jedynie chwili odpoczynku.

- W takim razie dobranoc, kochanie. Zobaczymy się przy śniadaniu - powiedział Colfaks Sumner i zszedł na dół, do swojego pokoju.

Następnego dnia było zimno, mokro i nieprzyjemnie. Na niebie wisiały ołowiane chmury i ostry wiatr dął od strony rzeki. Colfaks Sumner dość wcześnie opuścił swoje biuro przy Canal Street. Wysoko postawił kołnierz płaszcza, a mimo to drżał na całym ciele. Ciarki chodziły mu po plecach. Miał wrażenie, że lada chwila stanie się coś złego.

To już nie pierwszy raz borykał się z podobną myślą. Ostatnio nocą nawiedzały go koszmary.

Kiedy dotarł do domu, wszedł najpierw do holu i zawołał głośno:

- Madeleine? Avalina? Jest tu ktoś?

Nie doczekał się żadnej odpowiedzi. Zdjął płaszcz, powiesił go na wieszaku i zawołał ponownie. Nagle przypomniał sobie, że przecież wszyscy wyszli. Madeleine wspomniała mu przy śniadaniu, że po południu zabiera Avalinę i Montro do miasta. Była umówiona z najbardziej renomowanym dagerotypistą w Nowym Orleanie. Redakcja „New Orleans Picayune” chciała zamieścić oficjalne zawiadomienie o jej zaręczynach, ozdobione odpowiednim dagerotypem.

Pewnie niedługo wrócą, pomyślał uspokojony Colfaks.

Odetchnął z ulgą. Dom był pusty i cichy, ale w gabinecie w komiku trzaskał ogień i paliły się wszystkie lampy. Colfaks podszedł do kominka, żeby ogrzać zziębnięte ręce. Już zapomniał o poprzednim dręczącym go uczuciu. Wciągnął powietrze w płuca.

Przeciągnął się, ziewnął, odszedł od ognia i stanął przy mahoniowym barku. Wziął do ręki kryształową karafkę napełnioną najprzedniejszym burbonem z Kentucky i nalał sobie pół szklanki.

Po drugiej stronie miasta, w schludnej białej willi przy North Rampart Street, piękna kochanka lorda Enfielda także była zupełnie sama.

Szczelnie zaciągnięte zasłony na oknach odgradzały ją od zimna i mroku. Drzwi były starannie zamknięte. Naga Dominique siedziała na dywanie w swojej sypialni.

Wokół niej, ustawione w równym kręgu, stały grube białe świece w kryształowych świecznikach. Dominique pozapalała je, jedna po

drugiej. Ciemny pokój pojaśniał. W migotliwym świetle na meblach i ścianach pojawiły się tańczące cienie.

Dominique zgasła zapałkę i rzuciła ją do popielniczki. Wspierała dłonie na szeroko rozstawionych udach, odrzuciła głowę i głośno przywołała imię Legby. Cierpliwie czekała, aż boska siła wypełni jej wyprężone, nagie ciało. Poczwała, że powoli twardnieją jej sutki. Napięła mięśnie brzucha. Dziwny dreszcz przebiegł jej wzdłuż kręgosłupa. Legba przejmował nad nią pełną władzę. Brał ją w posiadanie.

Przez kilka minut Dominique siedziała nieruchomo. Potem wstrząsnęły nią konwulsyjne dreszcze. Dygotała w objęciach boga. Nie była już człowiekiem, ale naczyniem, po brzegi wypełnionym świętą mocą voodoo.

Czekała, aż konwulsje ustaną.

Potem wzięła do ręki długą i ostrą igłę. Uśmiechnęła się demonicznie i podniosła z podłogi maleńką lalkę, zadziwiająco przypominającą Colfaksa Sumnera.

Lalkę trzymała w jednej ręce, a igłę w drugiej. Zaczęła śpiewać jakąś monotonną pieśń, rytmicznie poruszając nagimi ramionami. Kiwała się w przód i w tył, a jej długie włosy niczym końska grzywa tańczyły na jej karku.

Nagle śpiew umilkł. Dominique przestała się uśmiechać.

- Colfaks Sumner ma umrzeć! - powiedziała czystym i donośnym głosem. - I umrze!

Wbiła igłę w brzuch lalki.

W tej samej chwili pełna szklanka wysunęła się z dłoni Colfaksa Sumnera i z trzaskiem rozbiła się na podłodze. Starzec przycisnął obie ręce do bolącego brzucha i osunął się na kolana. Zadygotał ze strachu. Silniej niż przedtem powróciło uczucie zagrożenia. Colfaks wiedział, że umrze, chociaż doktor Ledette stwierdził z całą stanowczością, że nic mu nie dolega. Nieprawda. Nie pozostawało mu zbyt wiele życia.

Zimny pot zrosił mu policzki i czoło. Serce tłukło się w obolałej piersi. Colfaks był tak osłabiony, że ledwie mógł się poruszać. Z największym wysiłkiem przeczołgał się parę kroków i położył na kanapie. Drżał jak w febrze, aż mu dzwoniły zęby. Nigdy w życiu tak się potwornie nie bał. Nie mógł dłużej udawać, że nic się nie dzieje. Ktoś życzył mu śmierci.

Ale kto i dlaczego?

Wieczorem, kiedy wszyscy wrócili do domu, Colfaks po cichu wezwał Madeleine do swego gabinetu. zaproponował jej brandy, ale odmówiła. Z niepokojem usiadła na kanapie, zastanawiając się, o co chodzi. A może wuj w jakiś sposób dowiedział się o jej miłosnych przygodach? Ta myśl niemal ją sparaliżowała.

Colfaks usiadł tuż przy niej. Bez zbędnych wstępów podzielił się z nią swoimi obawami.

- Kochanie. Nie chciałbym cię niepotrzebnie denerwować, lecz jestem prawie przekonany, że mojemu życiu zagraża poważne niebezpieczeństwo.

Madeleine oniemiała ze zgrozy.

- Nieprawda! - Popatrzyła na niego szeroko rozwartymi oczami. - Kto mógłby chcieć cię skrzywdzić?

- Tego, niestety, nie wiem - przyznał. - Nie zmyślam, moje drogie dziecko. Wraz z wiekiem nabrałem doświadczenia w tych sprawach. Wszystko to zaczęło się w dniu jesiennej maskarady w St. Louis Hotel. Od tamtej pory ciąży nade mną jakaś klątwa.

- Od tak dawna? - wykrztusiła z trudem.

- Właśnie. Dlatego też tamtego dnia spóźniłem się na zabawę. Wiele razy dopadła mnie dławiąca ręka strachu. Ktoś... lub coś... nastaje na moje życie.

- Och, wuju - ze współczuciem powiedziała Madeleine, kładąc rękę na jego dłoni.

- Kilka razy byłem śledzony w ciągu minionych tygodni - ciągnął. - Nawet wczoraj w ostatniej chwili wbiegłem do apteki przy Exchange Street, zanim mój tajemniczy prześladowca mnie dogonił. Słyszałem tuż za sobą wyraźne kroki.

- Dobry Boże, to nieprawda - wymamrotała wstrząśnięta Madeleine.

- Co gorsza - mówił wuj Colfaks - mam niezachwianą pewność, że pod naszą nieobecność ktoś bywa w tym domu.

Madeleine zakryła dłonią usta.

- Czy coś zginęło? - zapytała. - Jakieś kosztowności albo...

- Nie, nic - przerwał jej. - Ale znajduję pewne rzeczy nie na swoich miejscach. Lekko poprzesuwane, tak jakby ów intruz chciał mi jedynie dać znać o swojej obecności. Jakby mówił: Nigdzie nie będziesz bezpieczny. Nawet pod swoim własnym dachem.

Madeleine milczała przez chwilę.

- Musimy z tym iść na policję! - powiedziała stanowczym tonem.
Ale Colfaks tylko pokręcił siwą głową.

- I co im powiemy? Że stary głupiec widzi upiory za każdymi drzwiami?

Zrozumiała.

- Zaraz poślę po lorda Enfielda - oznajmiła. - On będzie wiedział, co zrobić.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

Kiedy lord Enfield zjawił się w rezydencji przy Royal Street, Madeleine czekała na niego w holu. Miała nadzieję, że poczucie winy nie maluje się zbyt wyraźnie w jej oczach. Powiedziała krótko:

- Desmondzie, bardzo cię przepraszam za wczorajszy wieczór.

- Ależ to niepotrzebne, moja droga! - zawołał zupełnie szczerze. Na powitanie cmokną ją w policzek. - Czujesz się lepiej? - spytał. - Mam nadzieję, że ból głowy już minął.

- Tak, dziękuję - odparła i zaprowadziła go prosto do gabinetu wuja.

- Colfaksie. - Desmond z uśmiechem wyciągnął do niego rękę. - Jak się masz?

- Nie tak dobrze, jak powinienem - poważnie odpowiedział Sumner. Nalał dwa drinki - dla siebie i dla gościa.

- Och, naprawdę? - Desmond obrzucił go pytającym spojrzeniem. - Co to za kłopot?

Wodził wzrokiem od Colfaksa do Madeleine. Madeleine wzięła głębszy oddech i zaczęła:

- Desmondzie, wuj Colfaks i ja chcemy pomówić z tobą o pewnej niezwykle ważnej sprawie.

Lord Enfield zmarszczył brwi. Lady Madeleine zajęła miejsce na kanapie.

- Usiądź, proszę.

Desmond, ze szklaneczką brandy w ręku, spełnił jej polecenie. Z napięciem czekał, co będzie dalej.

- Ktoś czyha na życie wuja - oznajmiła bez wstępów.

- Co takiego?! To niemożliwe! - zawołał lord Enfield, okazując niemałe zdumienie. - Nie wierzę. Na pewno się mylisz, kochanie.

Popatrzył na Colfaksa, który stał przed nim i z wolna sączył trunek.

Wuj pokręcił głową.

- Żadne z nas się nie myli - odparł.

- Potrzebna nam twoja pomoc, Desmondzie - z naciskiem oznajmiła Madeleine.

- Ależ to zrozumiałe. Oczywiście. Zrobię, co w mojej mocy - odparł bez wahania. - A teraz opowiedzcie mi wszystko, co wiecie. Co się stało?

Madeleine i Colfaks wtajemniczyli go w przebieg wydarzeń. Mówili o tym, że ktoś śledził wuja na ulicy, że ktoś po kryjomu bywał w ich domu, że Colfaksowi grozi poważne niebezpieczeństwo. Lord Enfield słuchał bez słowa.

Już na sam koniec Colfaks Sumner dodał:

- Dobrze wiem, że to brzmi głupio. Nie mam żadnych wyraźnych dowodów, które mógłbym przedstawić władzom. Z drugiej strony, powtarzam ci, mój chłopcze: ktoś bez najmniejszych wątpliwości nastaje na moje życie.

Desmond namyślał się chwilę w skupieniu. Wreszcie pokiwał głową.

- Szczerze wątpię, żeby ktoś chciał cię skrzywdzić, Colfaksie. Podejrzewam w tym próbę zastraszenia. Nie mam pojęcia dlaczego...

- Mylisz się, Desmondzie - przerwał mu Colfaks. - Powiem to jeszcze raz: ktoś w tym mieście pragnie mojej śmierci. Co gorsza, mam potworne przeczucie, że wkrótce osiągnie swój cel.

- Nie. To się nigdy nie stanie - zdecydowanie zaprzeczył lord Enfield. - Wprawdzie zgadzam się z tobą, że nie mamy z czym iść na policję, ale od razu możemy podjąć wzmożone środki ostrożności. Zaniedbałeś to nieco w przeszłości.

Wstał, podszedł do barku i nalał sobie drugą szklaneczkę brandy.

- Nie ma co zwlekać z wcieleniem tego planu w życie - powiedział. - Po pierwsze, ty, Colfaksie, nigdy nie możesz sam pozostawać w domu. Po drugie, Wielki Montro będzie cię co rano odprowadzał do biura i po południu eskortował z powrotem.

- Właśnie - żarliwie przytaknęła Madeleine. - Nie powinieneś sam chodzić po ulicach, wuju.

- Po trzecie - ciągnął lord Enfield władcym tonem - od dzisiaj Madeleine i ja będziemy spędzać wieczory tutaj, razem z tobą.

- Nie, nie, Desmondzie - wtrącił Colfaks i pokręcił głową. - To nie w porządku wobec was i zupełnie zbędne.

- Żadnych sprzeciwów - z uśmiechem rzekł lord Enfield. - Madeleine, może ty mu to lepiej wytłumaczysz.

Z wyczekiwaniem popatrzył na narzeczoną.

- Desmond ma całkowitą rację, wuju - poparła go Madeleine. - Od dziś będziesz ciągle z nami. W razie potrzeby pójdziemy na jedno lub drugie przyjęcie.

- Otóż to - zgodził się Desmond. - Zbliżają się ostatki, więc byłoby co najmniej podejrzane, gdybyśmy zrezygnowali z wszystkich bali i zabaw. Nie trzeba dawać powodu do niepotrzebnych plotek. Będziemy więc chodzić razem. A przede wszystkim, nie dajmy się zastraszyć. Mam rację?

Colfaks przytaknął.

- A zatem załatwione - ucieszył się lord Enfield. - Tymczasem popytam trochę po mieście, może się czegoś dowiem.

Przerwał i w zamyśleniu potarł brodę.

- Trudno uwierzyć, żeby ktoś naprawdę chciał twojej krzywdy, ale... - powiedział i wzruszył ramionami.

Madeleine uśmiechnęła się do niego. Była mu naprawdę wdzięczna, że uwierzył w opowieść wuja i że starał się mu pomóc. Jeszcze raz udowodnił siłę swojego charakteru. Było jej wstyd, że choć w połowie nie może mu dorównać poczuciem honoru.

- Co z nim? Umarł? Zachorował?

- Boi się, ale fizycznie nic mu nie dolega - odparł lord Enfield, wchodząc do białej willi przy North Rampart Street - Byłem u niego zaledwie przed kwadransem. Colfaks Sumner jest zdrow i cały.

- A niech to wszyscy diabli! - zakląła rozczarowana Dominique.

Obróciła się na pięcie i pobiegła do sypialni.

- Nic z tego nie rozumiem - powiedziała do siebie. - Kiedy wbijałam igłę w lalkę, czułam w sobie nieziemską potęgę Legby! Byłam pewna, że w tej samej chwili starzec zwija się z bólu! Dlaczego nie zachorował?

Desmond zdjął ciężki płaszcz, rzucił go na krzesło i poszedł za rozzaloną kochanką. Uśmiechał się ironicznie, słuchając jej wyrzekań. Wciąż powtarzała, że Colfaks już dawno powinien umrzeć. Przecież zrobiła wszystko, co kazała jej Mama Cecile.

- Kochanie - Desmond wziął ją za rękę i przyciągnął do siebie - posłuchaj mnie. Ten cały bełkot, czary, voodoo i tym podobne brednie nie mają najmniejszego sensu.

- Nie mów tak! Obrażasz Legbę! On cię na pewno słyszy! To zadziała. Wiem, że tak będzie. Być może o czymś zapomniałam. Może gdzieś popełniłam błąd. Powinniśmy chyba ponownie odwiedzić Mamę Cecile.

- Stara wiedźma nie dostanie od nas już ani jednego centa! - wpadł jej w słowo lord Enfield. - Bądź rozsądna, Dom. Miałaś swoją szansę. Nie zdołałaś jej wykorzystać, więc pozwól, że na rym koniec.

Puścił ją, odstąpił o pół kroku i rozpiął koszulę.

- Będziemy działać zgodnie z moim planem. Usiądź i posłuchaj.

Rozzłoszczona Dominique niechętnie przysiadła na krawędzi łóżka. Jej oczy połyskiwały z trudem powstrzymanym gniewem.

- Mam już dość czekania - zaczęła.

- Cicho! - warknął Desmond tak ostro, że zamrugła oczami ze zdumienia i posłusznie umilkła. Podszedł do niej, zdjął koszulę i rzucił ją na dywan. Potem klęknął przed Dominique, ujął ją za rękę i powiedział:

- Moja najdroższa, przecież pamiętasz, że rozmawialiśmy o tym już wielokrotnie, ale pozwól, że jeszcze raz wyłożę ci swoje racje. Wysłuchaj mnie uważnie i postaraj się mi nie przerywać.

Skinęła głową, zbyt przestraszona, żeby powiedzieć choć słowo.

- Jak dobrze wiesz, Colfaks Sumner jest jednym z najbogatszych ludzi w Ameryce. Mam ochotę na jego majątek. Żeby jednak położyć na nim rękę, muszę poślubić jego siostrzenicę i jedyną dziedziczkę, lady Madeleine.

Urwał i uśmiechnął się od niechcenia.

- To małżeństwo jest koniecznością. Chyba że zniknie testament sporządzony przez Colfaksa.

Dominique wysunęła rękę z jego dłoni i pogładziła go po policzku.

- Nie ożenisz się z nią bez tego testamentu?

- Nie - zapewnił ją Desmond. - Nie będę musiał. Jeśli zginie dokument z zapisem spadku na rzecz Madeleine, to w mocy pozostanie poprzedni testament, w którym Colfaks ustanowił mnie zarządcą całego majątku. Błysnął zębami w złośliwym uśmiechu.

- Inni spadkobiercy przedwcześnie odeszli z tego świata. Tylko ja będę miał prawo dysponować majątkiem Colfaksa Sumnera i postaram się zrobić z tego prawa odpowiedni użytek!

Dominique powoli przesunęła kciukiem po jego dolnej wardze.

- Będziemy wówczas bardzo, bardzo bogaci, prawda, kochanie?

- O wiele bogatsi, niż sobie to możesz wyobrazić - odparł.

- Ale kiedy?

- Wkrótce. Szybciej, niż myślisz - obiecał. - Za miesiąc już będzie po wszystkim.

Od razu poweselała.

- Masz zamiar ukraść ten testament?

- Oczywiście - odpowiedział i oboje wybuchnęli śmiechem.

Po pewnym czasie Dominique spytała:

- To dlaczego już teraz nie zerwiesz zaręczyn z lady Madeleine?

- Poczekaj chwilę. Nie mogę w tej chwili palić za sobą wszystkich mostów, moja mała. Muszę być czujny. Gdyby coś, nie daj Boże, poszło nie po naszej myśli i nie zdołałbym zdobyć testamentu, to wówczas wrócę do pierwszego planu i ożenię się z Madeleine.

Dominique zrobiła obrażoną minę i przyłożyła mu palec do policzka.

- Nie chcę, żebyś się żenił z tą bladą angielską suczką.

- Jakaś ty głupia! - burknął. - Nie masz najmniejszych powodów do zazdrości. Nie zamierzam zbyt długo pozostawać w tym związku.

Ugryzł ją lekko w kciuk i dodał:

- Tylko w Luizjanie i kilku innych stanach kobieta może dziedziczyć majątek. Po śmierci Sumnera wszystko przejdzie na Madeleine. - Znowu uśmiechnął się złośliwie. - A potem jej ukochany mąż weźmie sprawy w swoje ręce. Przekona ją, żeby była grzeczną i posłuszną żoną i żeby wszystko przepisała na niego.

Dominique przez chwilę patrzyła mu prosto w oczy.

- Zanim to się stanie, musimy jak najprędzej pozbyć się Colfaksa Sumnera - mruknęła.

- Zostaw to mnie - odparł Desmond i wstał. Owinął sobie wokół ręki długi pukiel jej ciemnych i błyszczących włosów.

- Będziemy gadać całą noc czy trochę się pokochamy? - spytał.

- Po co czekać? - zapytał brodaty Barton Smallwood. Wyszczrzył zęby, pociągnął długi łyk burbona z napełnionej do połowy szklanki i otarł usta wierzchem dłoni.

- Barton ma rację - poparł go starszy brat, Burton, ponury drab o pokrytej bliznami twarzy. - Jeszcze dziś możemy we dwóch jechać do miasta i go załatwić na cacy.

- Nic z tego - ostro odpowiedział lord Enfield. Siedzieli we trzech przy prostym drewnianym stole z nieheblowanymi deskami, ustawionym pośrodku szafasu zajmowanego przez obu braci. Lord Enfield przyjechał na bagna prosto z North Rampart Street. Kiedy tylko

skończył z Dominique, ubrał się, wymknął w mrok nocy i kazał woźnicy jechać do Smallwoodów. Powoli wodził wzrokiem po ich twarzach.

- Wczorsem byłem u Sumnera i jego siostrzenicy - oznajmił. - Udało nam się go wystraszyć. Widzi duchy za każdym rogiem. To dobrze. Tego właśnie chciałem. Dominique odprawia jakieś swoje gusła i rozrzuca gris - gris przed jego domem. Nie wiem, ale być może to też pomogło. Winien jestem wam podziękowania, że chodziliście za Sumnerem.

- Nie ma sprawy, szefie. - Barton uśmiechnął się głupekowato.

- Cicho, Barton! - cierpko powiedział Desmond Chilton. - Co prawda, Sumner trzęsie się ze strachu, lecz nie zapadł na zdrowiu, tak jak się spodziewałem. Stary drań ma silne serce. - Głęboko zaczerpnął tchu. - Wygląda na to, że nie zdołamy przerazić go na śmierć.

- To źle - mruknął Burton.

- Bardzo źle - zgodził się Desmond. - Ale niepotrzebnie się nad tym rozwodzę. Sęk w tym, że stał się czujniejszy niż zazwyczaj. Przewiduje, że coś może mu się zdarzyć,

- Więc lepiej trochę poczekać - zauważył Burton.

- Właśnie. Powiedziałem mu i jego siostrzenicy, że od dzisiaj będziemy spędzać wszystkie wieczory razem. Zauważyłem, że z ogromną ulgą przyjął tę propozycję. Najpierw uspię jego obawy, a potem przystąpimy znowu do działania.

- Mamy się trzymać odeń z dala, póki nie dostaniemy znaku? - zapytał Burton.

- Tak. Niech nabierze przekonania, że jest całkiem bezpieczny. Poczekamy. Po pewnym czasie na pewno zapomni o wszystkim i zacznie się mniej pilnować.

- He to potrwa?

- Myślę, że koło miesiąca. W ostatnią sobotę lutego wybieram się z moją piękną narzeczoną do opery. Tej nocy możecie się zająć Sumnerem.

Barton Smallwood znowu pociągnął łyk trunku i spytał z niepokojem:

- A co z tym olbrzymem, co wiecznie tam stoi na straży? Lord Enfield uśmiechnął się.

- Bez obaw. Pojedzie wraz z nami do opery. Avalina wróci do siebie mniej więcej o dziewiątej. Zjawicie się godzinę później. Sumner będzie zupełnie sam.

Burton skinął głową.

Desmond sięgnął do kieszeni na piersiach i wyjął klucz. Podał go Burtonowi.

- Przed wejściem do domu upewnijcie się, że nikt was nie widzi. Wślizgnijcie się po cichu, idźcie prosto do jego pokoju, zaskoczcie go i uduście. Niech to wygląda na atak serca.

- To wszystko? - zapytał Burton.

- Niezupełnie - odparł Desmond. - W gabinecie starego tuż nad biurkiem wisi portret Lafayette'a. Za nim w ścianie jest mały okrągły sejf. Kiedym przyjdzie odpowiednia pora, podam wam kombinację szyfru. Wyjmiecie stamtąd testament Sumnera. - Jego głos nabral ostrzejszych tonów. - Pamiętajcie, żeby wziąć właściwy! Są dwa. Obejrzyjcie je dokładnie i zostawcie ten z wcześniejszą datą. Zamknijcie sejf. Odwieście portret na miejsce i wynoście się do wszystkich diabłów. Zrozumiano?

- Zrozumiano - powiedział Burton. Barton kiwnął głową i nalał sobie następną szklankę burbona.

- I jeszcze jedno - dodał Desmond przez zaciśnięte zęby. - W razie niepowodzenia w ogóle mnie nie znacie! Jeśli któryś z was kiedyś wymieni moje nazwisko, zginiecie obaj.

- Ależ, szefie! My? Ani mru - mru - zachichotał podпиты Barton.

- Na krew matki - bez uśmiechu wycedził Burton. Lord Enfield wstał ze stołka.

- To wszystko, chłopcy. Na razie siedźcie cicho. Będziemy w kontakcie.

- Nie zamierza pan poślubić tej bladej angielskiej hrabiny o złotorudych włosach? - spytał Barton.

- Nie twoja sprawa - odpowiedział Desmond, wyraźnie rozgniewany obcesowym pytaniem.

Barton jakby go nie usłyszał. Gwizdnął przez zęby i mówił dalej:

- Szlag. Chciałbym choć raz dostać ją w swoje ręce. Ma najładniejsze cycki, jakie w życiu widziałem.

Nie dokończył. Desmond z zaskakującą szybkością zdzielił go w twarz wierzchem dłoni. Barton nie zdążył się uchylić. Buchnęła krew z rozbitego nosa i skaleczonych warg. Przerażony Barton zamarł na

swoim stołku i szeroko otworzył oczy. Powoli otarł krew z twarzy. Nie ośmielił się nie powiedzieć. Burton też milczał jak zakłęty.

Desmond Chilton zamaszystym ruchem strącił ze stołu butelkę i szklankę. Szkło rozsypało się po drewnianej podłodze, rozlany trunek sączył się przez szpary w deskach.

- Przestań pić, Barton - warknął lord Enfield, ponuro patrząc na wystraszonego Smallwooda. - To moje ostatnie ostrzeżenie.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

Luty przyniósł do Miasta Półksiężycy długo wyczekiwane ocieplenie i wyraźną zmianę pogody. Nadchodził ostatni tydzień karnawału.

Colfaks Sumner zgodził się, acz niechętnie, towarzyszyć siostrzenicy i jej narzeczonemu w nocnych wypadach do miasta. Wielki Montro eskortował całą trójkę na każdy bal i cierpliwie czekał, żeby im towarzyszyć w powrocie do domu.

Co prawda, gdyby to zależało wyłącznie od Madeleine, spędziliby wieczory w zaciszu rezydencji przy Royal Street. Absolutnie nie miała nastroju do zabawy. Niezbyt chętnie myślała o karnawałowych balach. Nie otrząsnęła się jeszcze z przygnębienia i z trudem zdobywała się na każdy uśmiech. Z ochotą zostawałaby w domu, choćby ze względu na bezpieczeństwo wuja.

Ale był jeszcze jeden, równie ważny powód. Madeleine spodziewała się, że Armand nieuchronnie pojawi się wśród gości. Jego obecność zawsze stwarzała zagrożenie. Co prawda, do tej pory dotrzymywał słowa i nigdzie go nie spotkała. Co jednak zrobiłby na balu? Jak ona sama by się zachowała?

Komu właściwie nie wierzyła? Jemu czy jednak sobie?

Z niepokojem wybrała się na pierwszą z ostatnich zabaw. Tym razem wielki bal miał się odbyć w domu doktora Jeana Paula Ledette'a i jego uroczej żony. Najbogatsi mieszkańcy Nowego Orleanu przybyli tam, by posmakować wyśmienitych potraw, pić zimnego szampana i tańczyć aż do świtu.

Madeleine nie bawiła się prawie wcale. Przez cały wieczór zerkała na wuja lub rzucała nerwowe spojrzenia na gości, szukając w tłumie smagłej twarzy przystojnego Kreola.

- Jestem tak wściekła, że mam ochotę krzyczeć! - powiedziała jej w pewnej chwili Melissa Ann Ledette, wystrojona w wieczorową suknię z bladoniebieskiej satyny.

- Dlaczego? - spytała Madeleine i odruchowo popatrzyła na Colfaksa. - Co się stało?

- Jeszcze pytasz? Armand de Chevalier przysłał uprzejmy liścik, w którym przeprasza, że nie przyjdzie.

Tym razem Madeleine musiała się powstrzymać od radosnego śmiechu.

- Może był już gdzieś indziej umówiony.

- Niemożliwe! - fuknęła rozzłoszczona Melissa. - Zaprosiłam go całe wieki temu, zanim ojciec rozesłał oficjalne zawiadomienia. Nie sądzisz, że to nieprzyzwoicie z jego strony?

Bal u doktora Ledette'a nie był jedynym, podczas którego damy musiały sobie radzić bez Armanda. Tydzień mijał, a Madeleine nie spotkała go ani razu. Sprawilo jej to wielką ulgę, choć jednocześnie nie posiadała się ze zdumienia. Co się stało, że tak znakomity tancerz, ulubieniec dam zrezygnował z obowiązków towarzyskich?

Aż wreszcie nadszedł tłusty czwartek. Przez całe miasto ciągnęły barwne korowody. Na wieczór zapowiedziano bal maskowy na Decarur Street, naprzeciwko Jackson Square. Ostatni wielki bal sezonu. Madeleine była o wiele bardziej zdenerwowana niż przy okazji poprzednich zabaw.

Po pierwsze obawiała się, że podczas ulicznej maskarady w tłumie nieznanym sobie ludzi wuj Colfaks narażał się na większe niebezpieczeństwo. Po drugie nie wierzyła, żeby Armand de Chevalier odmówił sobie przyjemności wzięcia udziału w tym wydarzeniu. Podejrzewała, że będzie na nią czekał, zamaskowany, piękny i groźny.

Jak się okazało, jej obawy były płonne. Colfaks Sumner nie musiał drzeć o swoje życie. Wielki Montro przez cały czas czuwał w zasięgu ręki, a de Chevalier i tym razem się nie pojawił. Madeleine podświadomie czekała na niego przez cały wieczór, drżąc z podniecenia, ilekroć zobaczyła wysokiego i ciemnowłosego dżentelmena w masce Arlekina.

Żaden z nich nie był Armandem.

Nie odnalazła go na balu, a jednak miała wrażenie, jakby patrzył na nią z ukrycia.

I rzeczywiście tak było.

Armand stał na ciemnym balkonie swojego apartamentu przy St. Peter. W milczeniu obserwował rozbawionych tancerzy. W dłoni trzymał szklanekę burbona, a w sercu miał zupełną pustkę. Ponuro patrzył na rudowłosą hrabinę, która bawiła się z lordem Enfieldem, zamiast spoczywać teraz w jego, Armanda, ramionach.

Mocno zacisnął usta.

Odwrócił się gwałtownie i wszedł do pokoju. Nalał sobie następną szklaneczkę burbona i wychylił ją jednym haustem. Zakołysał się na nogach. Był już mocno pijany, lecz zamierzał upić się

jeszcze bardziej. Chwycił ciężką karafkę i chwiejnym krokiem wrócił na balkon.

Usiadł ciężko. Przytulił karafkę do piersi i mętym wzrokiem popatrzył w dół. Został na balkonie do czasu, aż ostatni z karnawałowych gości poszedł do domu i na Decatur Street z powrotem zapanowała cisza.

Siedział tam nadal, gdy następnego ranka silne lutowe słońce na różowo zabarwiło szeroką Missisipi i oświetliło zamknięte powieki Armanda. Powoli otworzył jedno oko i jęknął. Głowa pękała mu z bólu. Żołądek wyprawiał dzikie harce. Nie mógł poruszyć zdrętwiałą lewą ręką. Swędziała go twarz pod zarostem.

Jednym słowem - przedstawiał obraz nędzy i rozpacz.

Posiedział jeszcze kilka minut, niepewny, czy w ogóle zdoła podnieść się na nogi. Nie wiedział nawet, czy chce wstać, czy woli zostać na miejscu. A może jednak lepiej zostać? Niech świat się toczy swoim trybem.

Lecz wreszcie wzięła nad nim górę wrodzona pogoda ducha. Uśmiechnął się na wspomnienie długiej zimowej nocy i cierpień, które przeżywał. Już po chwili śmiał się na całe gardło. Bawiło go, że zachowywał się jak głupi, zadurzony po uszy sztubak.

Koniec z tym, obiecał sobie w duchu. Naprawdę koniec.

Mijały słoneczne dni i ciepłe noce lutego. Colfaks Sumner nie przeżył ani jednej złej przygody. Powoli odzyskiwał dawny wigor i poczucie bezpieczeństwa. Nabierał przekonania, że nic mu już nie grozi. Wydawało mu się, że ciemne chmury, gromadzące się nad jego głową, zniknęły na zawsze, odsłaniając błękitne niebo Luizjany. Był uszczęśliwiony.

Madeleine z zachwytem obserwowała zmianę w zachowaniu wuja, lecz nie do końca podzielała jego nagły optymizm. Owszem, codziennie dziękowała opatrności, że najgorsze mają już za sobą, ale nie była całkiem pewna, czy niebezpieczeństwo minęło bezpowrotnie. Niepokoiło ją, że Colfaks coraz częściej zapominał o czujności.

Poza tym zastanawiała się, czy powinna wyjść za mąż za Desmonda. Nie kochała go. Dlaczego więc miałyby spędzić z nim resztę życia? Z nowej perspektywy ów związek wyglądał niczym wyrok.

Zbita z tropu i nieszczęśliwa, skrzętnie ukrywała prawdziwe uczucia i nikogo nie prosiła o radę. Zresztą nikt przecież nie umiałby

jej pomóc. Musiała to dobrze przemyśleć. Tymczasem, grata rolę radosnej narzeczonej i kierowała przygotowaniami do ślubu.

Niemal codziennie w asyście Wielkiego Montro wyruszała do miasta, żeby coś załatwić. Ślub miał być wielkim wydarzeniem towarzyskim. Za każdym razem, kiedy wychodzili, drżała z obawy, że wpadnie na Armanda. Zdarzało się niejednokrotnie, że jej obawy wcale nie były nieuzasadnione.

De Chevalier zachowywał się całkiem inaczej niż kiedyś. Nie pozostało w nim nic z dawnego amanta. Kłaniał się uprzejmie i szedł swoją drogą, nie przystając nawet na chwilę rozmowy. Uszanował jej życzenie, tak jakby to zrobił każdy prawdziwy dżentelmen.

A ją, jak na ironię losu, bolała jego obojętność.

Wmawiała sobie, że jej dalszy związek z Armandem prędzej czy później skończyłby się totalną katastrofą, ale niewiele to pomagało. Co mi się może w nim podobać? - zastanawiała się. Przecież to były prawnik i libertyn pod każdym względem. Za cóż tu go szanować? Brak mu odpowiedzialności i siły charakteru. Ani przez moment się nie zawahał, kiedy chciał uwieść narzeczoną innego. Żył tylko chwilą i uganiał się za przyjemnościami. Lubił brać, lecz nie dawał nic w zamian.

Madeleine szła zamyślona. Wielki Montro w milczeniu kroczył u jej boku. Kiedy doszli do rogu Dumaine i Chartres, usłyszeli jakąś wrzawę. Madeleine drgnęła i uniosła głowę.

- Co to za hałasy? - zapytała, zwolniwszy kroku. - Skąd to dochodzi?

Montro uśmiechnął się.

- Niedaleko klasztoru urszulanek budują nowy szpital dla dzieci - powiedział.

- Ach, prawda! - zawołała Madeleine. - Już sobie przypominam. W zeszłym tygodniu był na ten temat artykuł w „Picayune”. Kilku szczodrych darczyńców zebrało pokaźną sumę, ale zastrzegli sobie, że ich tożsamość musi pozostać tajemnicą. Bardzo chwalebne.

- Oczywiście - zgodził się Montro. - Chce pani zobaczyć plac budowy? Potem pójdziemy zamówić druk zaproszeń. To przecież tylko parę kroków.

- Jeszcze wcześniej... - zastanowiła się Madeleine. - Dobrze, chodźmy.

Szybko minęli dwie przecznice i dotarli do rogu. Wielka konstrukcja zajmowała prawie cały kwartał. Robotnicy, niczym mrówki, uwijali się po rusztowaniach.

Montro bywał tu bardzo często. Pokazał hrabinie, gdzie będzie główne wejście, powiedział, ile przewidziano sal dla chorych i ile dzieci będzie można leczyć naraz.

Opowiadał z niespotykanym u niego zapałem, co chwila wskazując na rozmaite części rusztowania. Madeleine dłonią osłoniła oczy, odchyliła głowę i spojrzała na sam szczyt budowli, skąd uparcie dochodził stukot ciesielskich młotków.

Nagle szeroko otworzyła usta ze zdumienia.

Na rusztowaniu siedział szczupły, ale muskularny i wysoki człowiek, mocujący konstrukcję dachu. Był bez koszuli. Jego czarne włosy metalicznie połyskiwały w jasnych promieniach słońca. Węzły mięśni grały pod smagłą skórą przy każdym najdrobniejszym ruchu. Madeleine mimo woli przyłożyła rękę do kołającego serca.

- W imię Boga, co tam na dachu robi Armand de Chevalier? - zapytała.

- Pomaga robotnikom - rzeczowo zauważył Wielki Montro.

Madeleine oderwała wzrok od Armanda i z osłupieniem popatrzyła na stojącego obok niej olbrzymia.

- De Chevalier pracuje wraz z robotnikami? - Uśmiechnęła się drwiąco. - Nie wytrzyma nawet godziny,

- Chyba źle go pani ocenia. Pan Armand jest utalentowanym cieślą i nie boi się ciężkiej pracy. Przychodzi tutaj codziennie.

- Dlaczego? - sceptycznie spytała Madeleine. - Po co to robi?

Wielki Montro wzruszył potężnymi ramionami.

- Moim zdaniem, troszczy się o chore dzieci.

- On nie potrafi się troszczyć o nikogo, z wyjątkiem siebie - powiedziała Madeleine, bardziej do siebie niż do towarzysza.

- Myli się pani, lady Madeleine. Pan Armand to wspaniały człowiek.

- Wspaniały? - powtórzyła z przekąsem. - To raczej ty, Montro, niewłaściwie go oceniasz. Słyszałeś może, że był prawnikiem? Podobno został usunięty z palestry po jakiejś paskudnej sprawie.

Montro przyglądał jej się przez dłuższą chwilę.

- Dobrze wiem, że był prawnikiem - powiedział cicho. - I wiem, że go wyrzucono. Wiem także za co.

Przerwał, zmrużył oczy i spytał:

- A pani?

- Nie lubię słuchać o takich rzeczach, więc nie znam wszystkich szczegółów. Desmond wspomniał mi tylko, że Armand postąpił niezgodnie z etyką.

- Z etyką? - przerwał jej Montro z nagłym błyskiem w oku. - Więc powiem pani, na czym polegała tak zwana wina pana Armanda. Za darmo podjął się obrony biednego Murzyna oskarżonego o gwałt na bogatej dziedziczce. Domniemanego winowajcę czekały galery. Pan Armand święcie wierzył w jego niewinność i bronił go przed sądem. Udowodnił, że dama skłamała, że uwiodła czarnego młodzieńca i zaczęła rozpowiadać o gwałcie wyłącznie po to, żeby chronić swoją reputację. Murzyn został oczyszczony z zarzutów. Niestety zaraz po procesie pan Armand stracił licencję do prowadzenia praktyki prawniczej na terytorium stanu Luizjana.

- Niemożliwe - ze zgrozą westchnęła Madeleine. - Desmond wyraźnie dawał mi do zrozumienia, że... że... - Zmarszczyła brwi. - Jeśli to, co mówisz, jest zgodne z prawdą, to przecież nie było żadnych podstaw do usunięcia go z palestry.

- Wiem. Sfabrykowano przeciwko niemu fałszywe dowody.

- Nie rozumiem.

- Bogata biała dama należała do jednego z najpotężniejszych klanów na Południu. Nietrudno było im postawić zarzuty panu Armandowi. W takim przypadku cała reszta okazała się zwykłą formalnością.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

W ostatnią sobotę lutego wieczorem Colfaks oświadczył stanowczo, że Montro musi odwiedzić Madeleine i Desmonda do opery. Sam zamierzał zostać w domu.

- Nie przejmuj się, moje dziecko, nic mi się nie stanie - powiedział, widząc zatroskane spojrzenie siostrzenicy.

- W ciągu ostatnich kilku tygodni nie miałem żadnych złych przygód. - Popatrzył na nią i dodał przekornie: - Może to wszystko sobie tylko wymyśliłem?

Madeleine z ociąganiem przystała na jego prośbę.

- Pamiętaj, żebyś dobrze zamknął drzwi - powiedziała na odchodnym.

- Oczywiście, moje drogie dziecko. Niczym się nie martw i baw się jak najlepiej.

Ponad godzinę po ich wyjściu, koło wpół do dziesiątej, do gabinetu Colfaksa zajrzała Avalina.

- Potrzebujesz czegoś, Colfaksie? - spytała. - Przydam ci się na coś?

- Nie, nie, dziękuję. Poczytam trochę przed spaniem.

- W takim razie posiedzę z tobą, zanim się nie położysz.

Popatrzył na nią ze zmarszczonym czołem.

- Wyglądasz mi na zmęczoną, Avalino. - Przyjrzał się jej szerokiej twarzy.

Uśmiechnęła się do niego.

- Nie jestem ani trochę śpiąca.

- Śpiąca nie jesteś, Avalino, lecz padasz ze zmęczenia. Dlaczego się nie położysz? Niedługo zrobię to samo.

- Nie - powiedziała i energicznie pokręciła głową, aż zatrzepotały końce jej białego czepka. - Posiedzę tutaj do powrotu Madeleine i Montro.

Usadowiła się na skórzanej kanapie.

Colfaks uśmiechnął się z wyrozumiałością. Zawsze cenił jej wierność i upór. Była z nim już ponad trzydzieści lat i przez ten czas nie znalazł lepszego przyjaciela.

- Nie udawaj - powiedział cicho. - Przecież oboje dobrze wiemy, o co ci naprawdę chodzi. Boisz się o mnie, prawda?

Błysnęła oczami.

- Montro nie powinien był jechać do opery - mruknęła. - Jego miejsce jest tutaj, przy tobie.

- Sam go wysłałem z dziećmi, Avalino - łagodnie przypomniał jej Colfaks. - I cieszę się, że to zrobiłem. Na ulicach zawsze jest niebezpiecznie. W domu na pewno nam nic nie grozi. - Znów się uśmiechnął. - A teraz idź już do łóżka.

Ochmistrzyni wydeła usta, ale posłusznie podniosła się z kanapy. Przeszła na drugą stronę gabinetu, odwróciła się i zawołała go półgłosem po imieniu.

- Colfaksie.

- Słucham?

- Wstań z fotela. Podejdź tutaj i zaraz po moim wyjściu dokładnie zamknij drzwi.

Colfaks posłusznie podniósł się z fotela.

- Słowo daję - utyskiwał pod nosem. - W tym domu władza przechodzi w ręce kobiet.

Wyszli do holu.

Avalina zatrzymała się przy frontowych drzwiach.

- Może jednak zostaną. - Spojrzała na Colfaksa. - Dotrzymam ci towarzystwa.

- Nie - odpowiedział stanowczo. - I nie musisz sypać magicznych proszków przed progiem.

- W ogóle nie wiem, o czym mówisz.

Colfaks wybuchnął śmiechem. Chwilę później Avalina mu zawtórowała. Doskonale znał jej niezłomną wiarę w potęgę czarnej magii. Nieraz się z niej podśmiewał, ale nigdy nie robił tego zbyt złośliwie. Teraz też łagodnie poklepał ją po ramieniu.

- Nic się nikomu nie stanie - powiedział z uśmiechem. - Dobranoc, Avalino.

Madeleine ledwie mogła usiedzieć w łożu. Nie obchodziła ją „Traviata”. Nie zwracała uwagi na wokalne popisy diwy śpiewającej partię Violetty. W głębi duszy żałowała, że w ogóle przyszła. Chciała już wracać. Przygryzła wargi ze zdenerwowania. Targały nią sprzeczne uczucia. Coraz bardziej skłaniała się ku myśli, że jednak nie powinna wychodzić za lorda Enfielda. Podejrzewała, że po pewnym czasie będzie tego gorzko żałować.

Wytrzymała jeszcze kilkanaście minut, ale wreszcie pochyliła się do narzeczonego.

- Czy możemy już iść, Desmondzie?

Lord Enfield z zaskoczeniem sięgnął do kieszeni kamizelki i popatrzył na złoty zegarek. Jedenasta.

- Oczywiście, kochanie.

Zanim dotarli do domu, Madeleine myślała, że oszaleje z przerażenia. Brzuch ją bolał, a dłonie miała zimne jak dwa sople lodu.

Wielki Montro otworzył drzwi frontowe i cofnął się, żeby ją przepuścić. Madeleine wbiegła do salonu, wołając:

- Już wróciliśmy, wuju! Gdzie jesteś?

- Kochanie, Colfaks na pewno się położył - spokojnie odezwał się lord Enfield. - Chyba nie powinnaś krzyczeć.

Obejrzał się i z niezadowoleniem stwierdził, że Wielki Montro wszedł w ślad za nimi do domu.

- Wuju, odezwij się! - wołała Madeleine. Pobiegnęła do gabinetu.

W progu stanęła jak wryta i krzyknęła przeraźliwie. Colfaks Sumner spoczywał nieruchomo na podłodze przed kominkiem. Montro precyzyjnie się obok hrabiny i przyklęknął przy leżącym. Położył rękę na twarzy Colfaksa. Ciało było zimne. Przesunął dłoń i dotknął palcami szyi, szukając pulsu.

Nie znalazł.

- Montro, czy on... - Madeleine klęczała teraz tuż obok niego.

- Bardzo mi przykro, lady Madeleine - powiedział olbrzym. - Nie żyje.

- O Boże! Nie! Nie! Nie! - wybuchnęła spazmatycznym płaczem. Chwyciła Colfaksa za rękę i przycisnęła ją do policzka. - Wuj nie żyje! Desmondzie wuj Colfaks nie żyje!

- Na pewno? - zapytał lord Enfield, kucnąwszy obok nich. Przyłożył ucho do piersi leżącego i nasłuchiwał przez dłuższą chwilę. Wreszcie uniósł głowę i powiedział:

- To prawda. Na Boga, Colfaks odszedł z tego świata! Montro wstał z klęczek. Oczy miał pełne łez.

- Obudzę Avalinę i pójdę po doktora Ledette'a - oznajmił cicho.

Odwrócił się i odszedł.

- To moja wina! - histerycznie łkała Madeleine. - Nie powinnam go zostawiać!

- Najdroższa - pocieszał ją lord Enfield. Klęknął przy niej i wziął ją w ramiona. - Przecież nic nie mogłaś na to poradzić. Widocznie miał słabe serce i...

- Nie! - zaprotestowała gwałtownie i odsunęła się od niego. - Wuj nie był słabego zdrowia. Serce miał jak dzwon. Nic mu nie dolegało. To stwierdził doktor Ledette w trakcie ostatnich badań.

Łzy ciurkiem płynęły jej po policzkach. Usiadła na podłodze i delikatnie złożyła głowę Colfaksa na swoich kolanach. Pogłaskała go po siwych włosach.

- Dobry Boże, ktoś zabił wuja - szlochała.

- Nie masz najmniejszych powodów, żeby tak myśleć - łagodnie napomniął ją Desmond. - Jesteś zdenerwowana i sama nie wiesz, co mówisz.

- Nieprawda. Powtórzę to raz jeszcze, jeżeli sobie życzysz. Ktoś zamordował mojego kochanego wuja w jego własnym domu! - krzyknęła z płaczem. - Boże, dlaczego Montro go nie pilnował? Dlaczego zostawiliśmy go samego?

Błada i zapłakana lady Madeleine położyła czerwoną różę na nowo postawionym marmurowym nagrobku, na starym cmentarzu przy katedrze Świętego Ludwika. Końcami palców przesłała ostatni pocałunek ukochanemu wujowi, pochyliła się i wyszeptała słowa pożegnania.

Gruba woalka zasłaniała jej udręczoną twarz. Stojący obok lord Enfield trzymał nad jej głową czarną parasolkę. Odeszli powoli, ramię przy ramieniu. Nieco z tyłu Wielki Montro podtrzymywał rozpaczającą Avalinę. Z wolna skierowali się w stronę czekających powozów.

Mimo deszczu na cmentarzu zgromadził się ogromny tłum żałobników, chcących pożegnać drogiego przyjaciela, kochanego i podziwianego w całym Nowym Orleanie. Armand de Chevalier stał samotnie, z dala od innych ludzi. Nie płakał. Usunął się z pola widzenia, zanim Madeleine zdążyła go zobaczyć.

Po pogrzebie przez dom Colfaksa przewinął się długi sznur przyjaciół spieszących z kondolencjami. Montro i Avalina przyjęli na siebie rolę gospodarzy, wiedząc, że lady Madeleine była zbyt pogrążona w smutku, aby rozmawiać z kimkolwiek. Witali wszystkich przy drzwiach i prowadzili do salonu, gdzie przygotowano sutą stypę.

Madeleine odpoczęła w zaciszu swojej sypialni, odświeżyła się i po pewnym czasie zeszła do gości. Wiele osób zostało przez całe popołudnie, a niektórzy nawet do wieczora. Ostatnia para wyszła

dopiero po dziewiątej. Madeleine ze zmęczenia ledwie mogła utrzymać się na nogach.

Westchnęła z ulgą, usiadła na kanapie i czekała z nadzieją, że lord Enfield też się pożegna i pójdzie. Nie poszedł. Został z nią i po odpowiednio długiej chwili zaproponował, żeby poszukała testamentu wuja. Oczywiście, jeśli wiedziała, gdzie go przechowywał.

- Chyba że wolisz to zrobić w obecności prawnika - powiedział.

- Nie - odparła. - Wiesz przecież, że adwokat wuja, Norris Maddox, w zeszłym tygodniu wyjechał do Europy. Nie będzie go co najmniej przez dwa miesiące.

- Prawda - przypomniał sobie. - Czyli musimy obejść się bez niego. A zatem, jeśli wiesz, gdzie szukać...

- Oczywiście - powiedziała i podniosła się zmęczonym ruchem.

Lord Enfield poszedł za nią do gabinetu. Z rękami skrzyżowanymi na piersiach patrzył, jak odsuwała portret LaFayette'a, ustawiała szyfr i otwierała drzwiczki okrągłego sejfu.

Z bijącym sercem zobaczył, że wyjęła ze środka jakiś urzędowy dokument. Rozwinęła go, szybko przebiegła wzrokiem i niedbale rzuciła na biurko. Gorączkowo zaczęła przetrząsać wnętrze sejfu.

Na jej twarzy pojawił się wyraz przerażenia. Cofnęła rękę i krzyknęła:

- Dobry Boże!

- Co? Co się stało, kochanie?

Pochyliła się i jeszcze raz zajrzała do pustego sejfu. Kiedy wróciła do biurka, trzęsła się jak osika.

- Co ci jest, Madeleine?

- Testament... - wyjąkała, blada i wystraszona. - Testament zniknął. Ostatnia wola wuja Colfaksa. Nie ma tu jej! Boże, nie ma testamentu!

- Moje maleństwo. - Lord Enfield szybkim krokiem okrążył biurko i chwycił ją w ramiona. - Na pewno jest jakieś logiczne wytłumaczenie. Być może Colfaks złożył testament w depozycie, na przykład w swoim banku. Wiesz, w Delta State, w śródmieściu.

- Nie zrobił tego - powiedziała, uwalniając się z jego objęć. - Pokazywał mi go w zeszłym roku, wkrótce po moim przyjeździe do Nowego Orleanu. Zawołał mnie tutaj, podał szyfr do sejfu i pokazał testament.

- Rozumiem - z namysłem mruknął lord Enfield. Po chwili wskazał na dokument leżący na biurku. - Jesteś pewna, że to nie ten? Przeczytałaś go dokładnie?

- Nie muszę. Doskonale wiem, co to takiego - odparła. Zaczęła niespokojnie krążyć po gabinecie. - To stary testament tymczasowy napisany przed wieloma laty. Ten, w którym wuj ustanowił ciebie i dwóch innych dżentelmenów zarządcami mojego majątku. Nie ma żadnej wartości.

- Rzeczywiście, jest bez wartości - spokojnie zgodził się lord Enfield, chociaż w głębi duszy aż zapiał z zachwytu. Z trudem panował nad podnieceniem, Wszystko poszło zgodnie z planem. Już - no, prawie - miał w rękach ogromną fortunę Colfaksa Sumnera. Z udawanym współczuciem podszedł do Madeleine i mimo jej oporu przygarnął ją do siebie.

- Nie martw się tym, kochanie - powiedział uspokajającym tonem. - Testament na pewno się znajdzie. Najlepsze, co teraz możesz zrobić, to na chwilę zapomnieć o tym wszystkim. Idź, połóż się i wypocznij.

- Chyba masz rację - przytaknęła szybko. - Jestem tak zmęczona, że nie potrafię zebrać myśli.

- Doskonale cię rozumiem - westchnął. - Jutro we dwoje poszukamy testamentu. Na pewno go znajdziemy. Przyrzekam.

- Jesteś kochany, Desmondzie - odparła. - Nie obrazisz się, jeśli cię nie odprowadzę?

- Ależ skądże. - Lekko pocałował ją w czoło. - Dobranoc. Nie martw się. Wszystko się jakoś ułoży.

Skinęła głową i nawet nie czekając, aż pójdzie, pospieszyła prosto do siebie. Zamknęła drzwi i desperacko zaczęła krążyć po pokoju. Smutna i zmartwiona, próbowała odtworzyć wydarzenia nieszczęsnego wieczoru. Co się w ogóle stało? Kto zabrał testament? Dlaczego tylko jeden, a nie oba?

W sejfie był stary dokument. Drugi zniknął. Ten, w którym Colfaks Sumner ustanawiał ją, Madeleine Cavendish, swoją jedyną spadkobierczynią. Kto, u licha, mógł chcieć to ukraść? I przede wszystkim dlaczego?

Lord Enfield z poczuciem głębokiej satysfakcji opuścił dom przy Royal Street. Zadowolony z siebie, kazał woźnicy wieźć się od razu w

stronę bagien za miastem. Dominique mogła poczekać. Najpierw chciał odwiedzić Smallwoodów.

Zamierzał im podziękować za dobrze wykonaną robotę - i przede wszystkim odebrać testament Colfaksa Sumnera, który bracia zgodnie z jego rozkazem wyjęli z sejfów ukrytego za portretem LaFayette'a.

Postanowił go spalić. Tak, myślał z rosnącą radością. Spalę go i ogrzeję ręce nad ogniem.

Wspaniały pomysł. Desmond roześmiał się na całe gardło. Poczł lekkie mrowienie w lędźwiach. Takie momenty, myślał dalej, przynoszą iście erotyczną rozkosz.

Gdy dotarli na miejsce, wyskoczył z powozu, zanim woźnica zatrzymał rozpędzone konie. Podbiegł do szafasu, w którym mieszkali Smallwoodowie. Nie trudził się pukaniem. Bezceremonialnie pchnął krzywo zbitę drzwi i wszedł do środka.

Zmarszczył brwi, widząc, że Barton znów pije. Na stole, przed młodszym z braci stała butelka burbona. Barton skierował na Desmonda krzywe spojrzenie zamglonych oczu.

Ale Desmond był w dobrym nastroju. Na razie nic nie powiedział.

Burton wstał ze stołka i wyciągnął rękę na powitanie. Desmond uściskał mu dłoń.

- Czekaliśmy na pana, szefie - powiedział Burton bez uśmiechu.

- Mam dla was pieniądze - oznajmił Desmond. Sięgnął do wewnętrznej kieszeni. - I muszę wam powiedzieć, że odwaliliście kawał dobrej roboty. Gratuluję. Lekarz uznał, że Colfaks Sumner zmarł „z przyczyn naturalnych”. Nikt niczego nie podejrzewa.

Burton pokręcił głową, uśmiechnął się słabo i nerwowo potarł długą bliznę, szpecącą mu prawy policzek.

- Nie zajęło nam to wiele czasu - bąknął. Desmond z uśmiechem skinął głową.

- Świetnie, chłopcy. Jestem z was dumny. Wiedziałem, że na was mogę liczyć.

- Zrobiliśmy jedynie to, co pan nam powiedział - z nadzieją w głosie wymamrotał Barton, nie ruszając się od stołu.

- Wiem. - Desmond zerknął na niego z góry. - Gdzie to jest? Dawajcie!

Barton Smallwood gwałtownie przełknął ślinę i spuścił głowę. Desmond popatrzył na Burtona. Starszy z braci wzruszył chudymi

ramionami i w jego oczach błysnął niepokój. Nie odpowiedział ani słowem.

- Niech was piekło pochłonie! - ryknął Desmond na całe gardło. - Gdzie testament?! Dawać mi go zaraz!

- Nie uwierzy pan, szefie - odezwał się w końcu Burton.

- W co nie uwierzę? - Twarz Desmonda przybrała odcień purpury. - Co chcesz przez to powiedzieć?!

- Zrobiliśmy tak, jak pan kazał. Po cichu załatwiliśmy starego i od razu poszliśmy do sejfu. - Burton westchnął i się skrzywił. - Ale tam był tylko jeden testament. Ten stary, o którym pan wspominał. I to wszystko. Niczego więcej.

Desmond, jeszcze przed chwilą czerwony, teraz zbladł jak ściana.

- Tylko jeden?! Nie! To... to niemożliwe! Mieliście mi przynieść drugi! Gdzie on jest?! Gadaj, przekłety łotrze!

- Mówię prawdę, szefie. Ktoś nas uprzedził - powiedział Burton. - Nic tam więcej nie było.

Desmond dostał gwałtownych mdłości. Ugięły się pod nim kolana. Przyciągnął do siebie stołek i usiadł ciężko. Jeśli testamentu nie było w sejfie, to znaczy, że ktoś go zabrał.

Ale kto?

I dlaczego?

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

To była długa i bezsenna noc.

Rankiem, zmęczona, lecz gotowa na wszystko Madeleine ubrała się i poszła do biura prawnego wuja, prowadzonego przez Norrisa Maddoxa. Towarzyszył jej Wielki Montro, Szybko minęli kilka przecznic i punktualnie o dziewiątej przybyli do budynku przy Orleans Street.

Weszli do przytulnego, wykładanego boazerią gabinetu Blake'a Forester'a. Madeleine w milczeniu czekała, aż siwowłosa prawnik skończy czytać testament.

Forester zmarszczył czoło i spojrzał na nią z przestraszonym wyrazem.

- Lady Madeleine. To przecież nie może być ostatnia wola pani wuja - powiedział.

- Nie. Był jeszcze jeden dokument, spisany dużo później. Trzymaliśmy go w sejfie w domu razem z tym, który pan teraz trzyma w ręku. Niestety tamten dokument zniknął. - Popatrzyła Foresterowi prosto w oczy. - Niech pan mi szczerze powie, co dla mnie oznacza ten zgoła nieoczekiwany rozwój sytuacji.

Prawniki zawahali się. Potem wyjaśnili, że jeśli nie znajdzie się późniejsza wersja testamentu, pierwszy dokument pozostaje w mocy. Przerwał, zmarszczył brwi i dokończył:

- To znaczy, lady Madeleine, że cały majątek Sumnera - akcje, nieruchomości, plantacje, magazyny, cukrownie, gorzelnie. Słowem: wszystko przechodzi pod kontrolę jedynej z pozostałych przy życiu egzekutorów woli pani wuja, czyli lorda Enfielda.

- To... niemożliwe - wyjąkała.

Pan Forester obdarzył ją ojcowskim uśmiechem i powiedział:

- Spokojnie. Jestem pewien, że w biurze Norrisa zachowała się kopia drugiego testamentu. W takim przypadku, pierwsza wersja jest całkiem bez znaczenia. Zaraz pójdziemy tam poszukać.

W gabinecie Norrisa Maddoxa nie było kopii testamentu. Staranne poszukiwania spełzły na niczym.

Forester zauważył wyraz niepokoju malujący się na bladej twarzy lady Madeleine.

- Wyślemy list do Norrisa, do Europy - zapewnił ją.

- Potrwa to chwilę, ale...

Wzruszył ramionami. Madeleine uniosła się z fotela.

- Dziękuję panu, panie Forester.

- List wyekspedujemy jeszcze dzisiaj. Jeśli mógłbym poza tym w czymś pomóc...

- Już był pan mi niezwykle pomocny - powiedziała. Na miękkich nogach wyszła z gabinetu.

Prawie nie pamiętała, jak wydostała się na ulicę. Montro podszedł do niej i zauważył jej przygnębioną minę.

- Czuje się pani na siłach, by wracać na piechotę? - zapytał. - Może lepiej...

- Nie, dziękuję. Przejdę się. Świeże powietrze dobrze mi zrobi - wyszeptała i wzięła kilka głębszych oddechów.

Ruszyli w drogę powrotną. Montro cierpliwie czekał, aż Madeleine odezwie się pierwsza. Po pewnym czasie wdali się w rozmowę o wydarzeniach ostatniego tygodnia. Madeleine miała pełne zaufanie do olbrzyma, więc powiedziała mu o zaginionym testamencie.

- Jedyna rzecz, która była w sejfie, to stary papier, spisany ładne parę lat temu - powiedziała. - Doskonale wiem, że w zeszłym roku wuj Colfaks sporządził drugi testament. Pokazywał mi go.

Montro słuchał uważnie, kiwał głową i czasami zadawał jakieś pytanie. Widać było, że próbuje rozwiązać tę zagadkę.

- Dlaczego pan Sumner nie zniszczył starego testamentu?

- Nawet chciał, ale jakoś nigdy tego nie zrobił. - Madeleine myślała na głos. - Kto mógł wziąć drugi dokument? Komu na tym zależało?

- Dobrze pytanie - mruknął Montro. - Kto poza panią znał kombinację szyfru?

- Hmm. Prawnik wuja, Norris Maddox.

- Maddox jest w Europie. Kto jeszcze?

- Już nikt. Tylko ja... i... Desmond.

Montro zmarszczył brwi. Madeleine bez trudu czytała w jego myślach. Natychmiast przystanęła. Montro zatrzymał się również.

- Nie bądź śmieszny! - ofuknęła go. - Lord Enfield pozostaje poza wszelkim podejrzeniem! On jako pierwszy nalegał, żeby dać wujowi odpowiednią ochronę. Przez cały czas był wiernym przyjacielem, w pełni lojalnym wobec mnie i biednego wuja! Jak możesz sugerować, że Desmond...

- Lady Madeleine - cicho przerwał jej Montro. - Niczego takiego nie powiedziałem.

- Nie powiedziałaś, ale wiem, co myślisz! Poszła dalej. Montro ruszył za nią.

- Kto przejmie majątek pana Colfaksa, jeśli drugi testament się nie odnajdzie? - zapytał.

Madeleine spojrzała na niego z wyrzutem.

- Oczywiście, że Desmond, ale... Urwała, pokręciła głową i dokończyła:

- Lord Enfield nigdy nie posunie się do tego, żeby mnie oszukać! Poza tym jest bardzo bogaty.

- Naprawdę? Jest pani tego pewna, lady Madeleine? Przez dłuższy czas patrzyła na olbrzyma, który zadawał jej tak dziwne i podchwytliwe pytania.

- Jestem! Desmond od lat mądrze inwestował. Umilkła. Nigdy przecież nie rozmawiała z Desmondem o interesach ani o jego stanie majątkowym. Nie uważała tego za konieczne. Wuj powiedział jej kiedyś, że earl nie narzeka na brak pieniędzy. Jak dotąd, nic się nie zdarzyło, żeby podawać to w wątpliwość.

- Czy ktoś jeszcze znał szyfr do sejfu? - spytał Wielki Montro. Wziął hrabinę za rękę i nakłonił do dalszego marszu.

- Nic o tym nie wiem. Ale ktoś musiał? - Znowu stanęła i popatrzyła na swojego towarzysza. - Nie obchodzi mnie, co powiedział doktor Ledette. Jestem przekonana, że wuj został zamordowany. Sprawca zabrał testament.

- Przypuśćmy, że to prawda. Jak dostał się do domu? W jaki sposób otworzył sejf?

- Nie mam pojęcia - przyznała. - Nie wiem. Ktoś musiał znać szyfr.

- I miał klucz?

- Właśnie. Ktoś, kogo nie znamy.

- A dlaczego pan Colfaks musiał zginąć? Do czego sprawca chciał użyć testamentu? Co mu by przyszło z kawałka zapisanego papieru?

- Nie wiem - z niezdecydowaniem powtórzyła Madeleine. - To zagadka, którą mam zamiar rozwiązać.

- Kiedy earl poprosił panią o rękę? - spytał Montro.

- Dwa lata temu. Przyjechałam tu z krótką wizytą. Dlaczego pytasz?

- Hmm. A kiedy pani wuj spisał ostatnią wolę?

- Niech pomyślę. Tak, już sobie to przypominam. Wiosną pięćdziesiątego czwartego. Napisał do mnie list, że to zrobił.

- Spisał testament wiosną tysiąc osiemset pięćdziesiątego czwartego roku. - z namysłem powtórzył Montro. - A lord Enfield oświadczył się pani latem pięćdziesiątego czwartego.

- To prawda. - Zmarszczyła brwi. - Ale to nie znaczy... nie znaczy...

- Jesteśmy w domu, lady Madeleine.

Minął tydzień od śmierci Colfaksa Sumnera. Długi, przygnębiający tydzień, w trakcie którego Madeleine miała wiele powodów do zgrzyoty, obaw i smutku. Nie chciała się do tego przyznać, ale pytania Montro obudziły najgorsze podejrzenia.

Nie dało się zaprzeczyć, że obecnie Desmond mógł dysponować ogromnym majątkiem wuja, nie pytając jej nawet o zgodę.

Ale przecież nie zrobiłby nigdy nic takiego! Kochał ją i nie potrzebował jej fortuny. Był bogaty. Umiejętnie zainwestował w bawełnę, cukier, tytoń i tarcicę.

Montro na pewno się mylił co do niego.

Kto więc ukradł testament? I dlaczego? Przecież nikt nie miał z tego najmniejszej korzyści z wyjątkiem... z wyjątkiem...

Nie, to bez sensu. Desmond nie popełniłby tak potwornej zbrodni. Poza tym, miał pojąć ją za żonę. Ona zaś dziedziczyła majątek po wuju. To znaczy, dziedziczyłaby, gdyby był testament.

Wmawiała sobie setki razy, że Desmond bez wątpienia nie ma nic wspólnego ze śmiercią Colfaksa i kradzieżą dokumentu. A jednak nie umiała pozbyć się podejrzeń. Nie wiedziała, od czego zacząć. Potrzebowała rady dobrego prawnika, zainteresowanego wyłącznie jej problemem.

Ale nie mogła sobie na to pozwolić. Nie miała pieniędzy. Spadek po wuju został zamrożony. Została jej jedynie bardzo mała kwota, przechowywana w domu.

Sąd, trzymając się ściśle litery prawa określonego w Kodeksie Napoleońskim, dał jej niecałe trzy miesiące - dokładnie czas do pierwszego czerwca - na odnalezienie zaginionego testamentu, anulującego poprzednią wolę zmarłego Colfaksa Sumnera.

Bez tego dokumentu była zrujnowana.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI

Posłaniec z zaproszeniem dla lady Madeleine przybył na Royal Street dokładnie w tej chwili, kiedy lord Enfield leżał nagi w wygodnym łóżku w sypialni Dominique. To właśnie on wysłał posłańca do swojej narzeczonej. W zaproszeniu domagał się, aby przyszła do niego na kolację. Miał w tym swój cel. Doszedł do wniosku, że już najwyższa pora, aby uwieść piękną i naiwną hrabinę. Dzisiaj chciał ją zapoznać z potęgą płynącą z dzikiego, gwałtownego seksu. Dzisiaj, wyczerpana niezmierną ekstazą, miała bezwolnie zawisnąć w jego ramionach.

A to dopiero początek, myślał. Miłosne schadzki trwać będą dniem i nocą, aż moja miła stanie się uległa i powolna. Aż przystanie na każdą prośbę i da mi wszystko, czego zechcę. Wiem, jak przełamać kobiecy opór i jak uczynić z niej niewolnicę, posłuszną na każde skinienie.

Dumną dotychczas lady Madeleine czekał los takiej właśnie niewolnicy.

Z drugiej strony lord Enfield wiedział doskonale, że być może wcale nie będzie musiał się fatygować. Skoro zginął drugi testament Sumnera, wszystkie atuty miał praktycznie w ręku. Lecz był ostrożny. Nie wiedział, kto i po co zabrał ten dokument, więc wolał nie ryzykować.

Musiał zawładnąć swoją przyszłą żoną i skłonić ją, żeby i tak oddała mu majątek, nawet jeśli rzeczony papier znajdzie się przed upływem przepisowych trzech miesięcy. A poza tym, myślał, cóż w tym złego, że wezmę do łóżka piękną angielską arystokratkę? Całkiem ponętna perspektywa.

Uśmiechnął się do własnych myśli, lecz zaraz spoważniał, bo właśnie w tej chwili do sypialni weszła naga Dominique.

Desmond szybko wstał z łóżka i na wszelki wypadek owinął się prześcieradłem. Stanowczo pokręcił głową.

- Nie mamy czasu na zabawy, kochanie - powiedział. - Muszę iść. Już jestem spóźniony.

Tuż przed ósmą wieczór Montro zawiózł lady Madeleine do domu lorda Enfielda przy Dumaine Street. Lokaj zaprowadził ją do salonu na piętrze i wyszedł. Madeleine została zupełnie sama.

Przez pewien czas siedziała grzecznie na kanapie, ale Desmond wciąż nie przychodził. Po dziesięciu minutach zaczęła się rozglądać

za jakąś książką lub żurnalem. Niczego nie znalazła. Wstała i przeszła do sąsiadującego z salonem gabinetu lorda Enfielda. Właśnie zamierzała podejść do dużej biblioteki, gdy lekki powiew wiatru z otwartego okna strącił z biurka Desmonda jakiś papier.

Madeleine pochyliła się, żeby go podnieść.

Rzuciła okiem na to, co było tam napisane.

Był to rachunek na niemałą kwotę, wystawiony przez jednego z nowoorleańskich jubilerów. Nosił dopisek „Pilne! Proszę natychmiast uregulować!” Madeleine zmarszczyła brwi. Podeszła do biurka i położyła rachunek na wierzchu. Już miała odejść, ale zawróciła. Zerknęła przez podwójne drzwi, czy nikt jej nie widzi, i przejrzała kilka innych papierów. Z przerażeniem stwierdziła, że to same rachunki. Na całym biurku leżały sterty nie zapłaconych rachunków! Groźby eksmisji i przejęcia domu na licytację. Wezwania chyba z dziesięciu banków do spłaty zaciągniętych pożyczek.

Madeleine drżała jak w febrze. Zdała sobie sprawę, że lord Enfield był bankrutem.

Znalazła nie tylko rachunki. Pomędzy papierami było też kilka obscenicznych w swojej wymowie liścików miłosnych, napisanych na pachnącym różowym papierze i podpisanych „Dominique”.

Rumieniec wypełził na policzki hrabiny, kiedy czytała wstydlive tajemnice wypisywane przez kobietę, która bez wątpienia była kochanką Desmonda Chiltona.

Zrobiło jej się słabo.

Drżącymi rękami odłożyła wszystko z powrotem na biurko. Przez kilka chwil stała jak skamieniała. Myśli kłębiły jej się w głowie. Pomału do jej świadomości docierała przerażająca prawda.

Przypomniała sobie zdawkowe, szybkie pożegnania wczesnymi wieczorami, kiedy Desmond radził jej, żeby odpoczęła. Teraz wiedziała już, dlaczego nie zostawał dłużej. Prosto od niej biegł wtulić się w ramiona kochanki! W uszach dzwoniły jej pytania, które nie tak dawno zadał Wielki Montro: „Kiedy pani wuj spisał ostatnią wolę? Kiedy earl poprosił panią o rękę?”.

W mgnieniu oka wszystko zrozumiała. Desmond Chilton wcale nie był bogaty! Miał mnóstwo długów i na gwałt potrzebował pieniędzy. Fragmenty układanki wreszcie zaczęły tworzyć logiczną całość. Lord Enfield chciał jak najszybciej przejąć spadek po Colfaksie Sumnerze. Tylko o to mu chodziło. Wcale jej nie kochał.

Traktował ją jako gwarancję swoich praw majątkowych. Stał się złodziejem. To on ukradł testament! Zabrał go i gdyby dobrze poszukała, na pewno by go znalazła gdzieś tutaj, w tym domu.

Ale nie było na to czasu.

Madeleine postanowiła uciec przed powrotem Desmonda. Zbiegła po schodach i ruchem ręki odprawiła zdziwionego lokaja. Już była na dole, kiedy nagle w otwartych drzwiach frontowych stanął lord Enfield.

- Moja droga - zawołał z radością i szybko ruszył w jej stronę.

- Nie! - Madeleine obronnym gestem uniosła obie ręce. - Nie podchodź do mnie.

Dyszała ciężko i drżała jak osika.

Desmond przypatrywał jej się ze zdumieniem.

- Kochanie, kochanie. Co się stało? Doprawdy, wyglądasz jakbyś zobaczyła ducha.

- Nie ducha, Desmondzie - odpowiedziała z błyskiem w oku - ale złodzieja! Patrzę na złodzieja!

Lord Enfield zerknął na lokaja.

- Wyjdz, Rollandzie! - rzucił ostrym tonem. Potem znów przeniósł wzrok na Madeleine.

- Wyraźnie widzę, że czymś się zdenerwowałaś, najdroższa - powiedział znacznie łagodniej. - Chodź na górę. Porozmawiamy o tym.

Próbował wziąć ją pod ramię, ale mu umknęła.

- Gdzie to trzymasz, Desmondzie? Gdzie schowałeś testament mojego wuja?

Popatrzył na nią bez wyrazu.

- Skąd ci przyszło do głowy, żeby mi zadawać tak głupie pytania? Przecież dobrze wiesz, że nie mam pojęcia, co się stało z testamentem Colfaksa. A może zapomniałaś, że byłem przy tobie, kiedy otwierałaś sejf z dokumentami?

- Wzięłaś go wcześniej - zawołała z gniewem. - Nie chciałaś zbyt długo czekać! Tak jakbyś wiedział, Desmondzie, że wuj niedługo umrze. Wiedziałaś o tym? Wiedziałaś?!

- Nie rozumiem, o co właściwie mnie oskarżasz, Madeleine, lecz stanowczo zaprzeczam.

- Oskarżam cię o to, że chciałaś zagarnąć mój spadek. Oskarżam cię o to, że chcesz się ze mną ożenić wyłącznie dla pieniędzy!

Oskarżam cię o to, że namówiłeś mego naiwnego wuja, aby powierzył ci zarząd nad majątkiem...

- Najmilsza - westchnął głośno, wpadając jej w pół zdania - co ty wygadujesz? Zachowujesz się jak wariatka. Przecież to nie ma najmniejszego sensu. Chyba sama zdajesz sobie sprawę.

- Dlaczego chcesz mnie poślubić, Desmondzie? Dlaczego mi się oświadczyłeś? Odpowiedz!

- Bo cię kocham i resztę życia chcę spędzić u twojego boku. A jakież mógłby być inny powód?

- Pieniądze - odparła z naciskiem. - Wiedziłeś, że pewnego dnia będę bardzo, bardzo bogata.

Parsknął śmiechem.

- Zapominasz, Madeleine, że ja też jestem bogaty i...

- Nieprawda. Nie masz ani centa. Potrzebne ci...

- Jestem bogaty! - krzyknął. - Słyszysz mnie? Gwiżdżę na twój majątek!

- To dobrze, bo nic nie dostaniesz.

Desmond poczerwieniał gwałtownie i zmrużył oczy.

- Nie mam pojęcia, co cię napadło, ale wiem, jak temu zaradzić.

Złapał ją za rękę i pociągnął w kierunku schodów.

- Puść mnie! - zawołała, gniewna, ale i wystraszona.

- Między nami wszystko skończone, Desmondzie. Zrywam zaręczyny.

- Niczego nie zrywasz, koteczku - powiedział przez zaciśnięte zęby i mocniej ją popchnął przed sobą. - Zaraz zobaczysz, jak cię kocham. Będziemy razem, aż do chwili...

- Nic z tego! - krzyknęła. Kopnęła go i bezskutecznie próbowała uwolnić rękę z żelaznego uścisku jego dłoni.

- Nawet mnie nie dotkniesz, ty podstępny draniu!

- Ależ dotknę - zapewnił, szarpiąc się z nią na schodach. - To będzie pierwsza lekcja. Ja jestem panem w tym domu i zrobisz dużo lepiej, jeżeli już zaczniesz się do tego przyzwyczajać.

- Na Boga, ale z ciebie potwór! - krzyknęła i w przyпіływie nagłej desperacji po prostu ugryzła go w rękę.

Zawył z bólu i puścił ją. W lot skorzystała z okazji, odwróciła się i zbiegła ze schodów. Desmond, klnąc siarczyście, pobiegł za nią. Miotał pod jej adresem najróżniejsze groźby. Madeleine dopadła frontowych drzwi i jak szalona wybiegła na ulicę.

Desmond wyskoczył tuż za nią.

- Zapłacisz mi za to, ty mała suko! - wołał. - Słyszysz mnie? Madeleine, natychmiast tu wracaj!

Przebiegł parę kroków, lecz zaraz się zatrzymał. Zauważył, że zwabieni hałasem sąsiedzi zaczęli wyglądać przez okna, więc prędko się cofnął do domu.

Madeleine nie zwolniła. Nawet się nie obejrzała. Biegła co sił w nogach, chociaż siły ją opuszczały. Chciała być jak najdalej od potwora, który wreszcie ujawnił swoje prawdziwe oblicze. Ogarnięta strachem, że ciągle ją goni, pędziła prosto przed siebie.

Po pewnym czasie stwierdziła, że Desmond jej nie ściga, ale mimo to nie zaprzestała panicznej ucieczki. Kłuło ją w boku i z trudem łapała powietrze, lecz biegła dalej. Serce waliło jak młotem, a łzy spływały po policzkach.

Nie bardzo wiedziała, dokąd biegnie, dopóki nie dotarła do celu. Zatrzymała się pod czerwoną markizą, wiszącą nad wejściem do kasyna „The Beaufort”. Głęboko wciągnęła oddech.

- Wszystko w porządku, proszę pani? - uprzejmie spytał portier w uniformie.

- Czy... czy... pan de Chevalier jest dzisiaj u siebie? - wydyszała.

- Oczywiście - padła odpowiedź. - Może wejdzie pani do środka i usiądzie, a ja go w tym czasie poszukam?

Madeleine skinęła głową. Usiłowała się uspokoić. Odruchowo przygładziła włosy i zapytała:

- Zrobiłby pan to dla mnie?

- Proszę ze mną.

Młody portier delikatnie wziął ją pod ramię i wprowadził do wnętrza klubu.

- Poszukamy go razem.

Stanął za drzwiami, na szczycie marmurowych schodów i potoczył wzrokiem po zatłoczonej sali kasyna. Nigdzie nie było widać czarnej czupryny Armanda.

- Proszę tu chwilę poczekać - powiedział. - Dowiem się, dokąd poszedł.

Niewidzącym wzrokiem wpatrywała się w tłum podnieconych graczy. W tym samym czasie młody portier rozmawiał z szatniarzem. Po chwili wrócił do niej z szerokim uśmiechem na twarzy.

- Sam mówi, że pan Armand poszedł odpocząć do siebie, na górę. Zaprowadzę tam panią, jeżeli pani sobie życzy.

- Tak. Muszę... muszę z nim porozmawiać. Proszę mi powiedzieć, że przyszła lady Madeleine.

Nie zwracając najmniejszej uwagi na zdumione spojrzenia gości, przeszła w ślad za młodzieńcem przez olbrzymią salę.

Kiedy dotarli do przeciwległego końca kasyna, portier wskazał jej szerokie i kręcone schody, przykryte puszystym niebieskim chodnikiem. Weszli pomału. Madeleine zastanawiała się z rosnącym niepokojem, czy Armand w ogóle zechce ją przyjąć.

Pełna obaw, nie wiedząc, dlaczego tu przyszła, minęła szeroki korytarz i stanęła przed grubymi rzeźbionymi drzwiami.

Portier uniósł rękę i głośno zapukał.

Zza drzwi rozległ się dobrze jej znany, głęboki baryton Armanda, dźwięczący jednak niespotykaną przedtem ostrą nutą.

- Jeśli się nie pali, to, do wszystkich diabłów, chcę mieć święty spokój!

Uśmiechnięty portier, zupełnie nie speszony tą odprawą, zawołał:

- Szefie, to lady Madeleine. Chciała się z panem zobaczyć.

Drzwi otworzyły się niemal natychmiast i Armand de Chevalier stanął w progu, z szerokim uśmiechem na twarzy. Portier zniknął niczym zdmuchnięty, zostawiając ich samych. Armand zobaczył łzy w zielonych oczach i spoważniał.

- Cherie - powiedział cicho i z niekłamano troską. - Co się stało?

- Och, Armandzie. - Nie potrafiła powstrzymać się dłużej i wybuchła gwałtownym płaczem. - Ja... ja... - szlochała.

- Chodź do mnie, kochanie - powiedział Armand i zamknął ją w silnych i spragnionych ramionach. - Niech cię utulę. Na pewno spróbuję ci pomóc.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY

Armand wprowadził zapłakaną Madeleine do przestronnego pokoju. Zamknął za sobą drzwi. Madeleine przywarta do niego i próbowała ze szlochem wyjaśnić mu, co się stało. Była jednak tak roztrzęsiona, zdyszana i zrozpaczona, że z jej ust padały tylko pojedyncze, urywane słowa, nie ułożone w logiczną całość.

- ...zaczęłam podejrzewać... zabrał testament... znalazłam rachunki... nie ma pieniędzy... oskarżyłam go... wpadł w złość... zaczął mi grozić... powiedział, że... że...

- Cicho, cicho - uspokajał ją Armand. - Teraz już jesteś u mnie, Maddie. Tu cię nikt nie skrzywdzi. Nie płacz, kochanie.

- W - wcale nie płaczę - zaszlochała, wtulając twarz w jego pierś.
- Ja... ja... Och, Armandzie, przybiegłam tutaj, bo nie byłam pewna, czy ty... Co ja mam teraz zrobić?

- Najpierw napijesz się koniaku - oznajmił ze spokojem i podprowadził ją do długiej czarno - białej kanapy.

Kiedy jednak chciał ją posadzić, Madeleine z rozpaczą złapała go za rękę.

- Nie! Nie zostawiaj mnie! Błagam, me odchodź!

- Nigdy cię nie zostawię, chérie - powiedział cicho. Nie wypuszczając jej z objęć, podszedł do błyszczącego barku z drewna czarnego orzecha.

Madeleine tuliła się do niego z całej siły. Armand nalał jej kieliszek koniaku i nakłonił ją, żeby to wypić. Sączyła trunek małymi łydkami, nie przestając pociągać nosem. Wkrótce poczuła, jak przyjemne ciepło rozlewa się jej po żołądku i przełyku. Zanim opróżniła kieliszek do końca, z wolna zaczęła się uspokajać. Przestała płakać. Westchnęła z głębi piersi, pociągnęła ostatni łyk i postawiła pusty kieliszek na blacie barku.

- Czujesz się trochę lepiej? - spytał Armand. Powoli i delikatnie odwrócił ją twarzą do siebie.

Madeleine w milczeniu skinęła głową. Armand obejmował ją po przyjacielsku. W tym momencie był bardziej bratem niż kochankiem. Przyszła do niego po ratunek i spokój. Nie zamierzał w niegodny sposób wykorzystać tej sytuacji.

Przez kilka nieskończenie długich minut stali w zupełnym bezruchu. Żadne z nich nie powiedziało ani słowa. Cieszyli się tą chwilą milczącego pojednania.

Potem Madeleine powoli uniosła głowę. Popatrzyła Armandowi w twarz. Z jego ciemnych, błyszczących oczu wyzierało współczucie. Wzruszyła się na ten widok. Wstyd jej było, że tu przybiegła i że swoim zachowaniem sprawiła mu tak wielki kłopot.

Zaczerpnęła tchu, uniosła rękę i pogładziła go po starannie ogolonym śniadym policzku.

- Armandzie - powiedziała cicho - proszę cię o wybaczenie. Przepraszam. Nie powinnam ci zawracać głowy swoimi problemami.

Przez chwilę przypatrywał jej się z niekłamaną troską.

- Kochanie - odezwał się głosem nabrzmiętym z emocji - czuję się zaszczycony, że przybiegłaś tutaj, szukając u mnie pomocy.

Usiłowała się uśmiechnąć, ale nie bardzo jej to wychodziło. Cofnęła rękę i wsparła ją na jego piersiach, na satynowej klapie smokingu. Czuła zmysłową bliskość jego muskularnego ciała. Ciekawe, czy domyślał się, co się z nią teraz działo? Spojrzała na jego usta. Lekko rozchylił wargi i ujrzała przelotny błysk śnieżnobiałych zębów.

Zadygotała mimo woli.

- Zimno ci, kochanie? - zapytał i objął ją jeszcze ciaśniej.

Pokręciła głową. Pod ręką, przez cienką tkaninę czuła wyraźnie bicie jego serca. Widziała każdą zmarszczkę na smagłej szyi. Znów popatrzyli sobie w oczy. Zrozumieli, że pomiędzy nimi dzieje się coś nowego.

- Armandzie. Och, Armandzie - szepnęła Madeleine. Nie potrzebowała dodawać nic więcej.

Pomału pochylił głowę. Z premedytacją dał jej nieco czasu, by mogła go powstrzymać. Madeleine jednak nie próbowała się opierać. Westchnęła cicho, gdy jego wargi spoczęły na jej ustach. Przyjęła go bez wahania. Armand całował ją delikatnie, jakby jeszcze nie do końca wierzył, że może sobie pozwolić na więcej. Madeleine miała wrażenie, że śni. Rozkoszne ciepło wypełniło jej całe ciało. Westchnęła raz jeszcze.

Pocałunek Armanda był bardzo delikatny. Nie miał w sobie nic z natarczywości. Madeleine zakołysała się lekko na nogach. Armand pocałował ją odrobinę mocniej. Zarzuciła mu ręce na szyję i wplotła palce w jego czarne włosy.

Wreszcie oderwała wargi od jego ust, żeby zaczerpnąć oddechu. Zadrżała, gdy pochylił głowę i pocałował ją w szyję. Jego gorące wargi paliły ją żywym ogniem.

Uspiona pasja eksplodowała z niespożytą siłą. Pospiesznie, pomagając sobie nawzajem, pozbyli się ciasnych i krępujących ubrań. Armand chwycił Madeleine w ramiona i zaniósł ją do sypialni.

Pokój był oświetlony jedynie blaskiem ognia płonącego w marmurowym kominku. Armand delikatnie złożył na łóżku swoje słodkie brzemie. Położył się obok i znów objął Madeleine, całując ją i pieścąc bez końca.

Co prawda, w jego obecności czuła się zagubiona, ale nie miało to nic wspólnego ze strachem. Podziwiała go, że do końca panował nad sobą, i czuła respekt wobec jego siły i witalności.

Jeśli zaś chodzi o Armanda, to na widok nagiej Madeleine poczuł ten sam wstrząs, jakiego doświadczył podczas pamiętnych chwil na transatlantyku. W jego oczach była ucieleśnieniem piękna i kobiecego czaru. Poczul mrowienie w łądźwiach i krew uderzyła mu do głowy. Położył kochankę pośrodku olbrzymiego łóżka na czarnym atłasowym prześcieradle, wśród czarnych atłasowych poduszek. Madeleine westchnęła, kiedy Armand pochylił się nad nią i zaczął ją całować'.

Usta de Chevaliera przebiegły od jej ust do szyi, a później jeszcze niżej, do piersi i brzucha. Zmysłowo łaskotały jej delikatną skórę. Madeleine wyprężyła się z nagłej rozkoszy. Zastanawiała się, gdzie dotrą w swoich poszukiwaniach.

Wsunęła palce we włosy Armanda. Chciała powiedzieć mu, żeby przestał, chciała zawołać, by nigdy nie przestawał, aż w końcu jęknęła cicho. Dreszcz rozkoszy wstrząsnął jej ciałem. Zacisnęła dłonie na prześcieradle i ekstatycznie szarpnęła biodrami.

De Chevalier, odurzony jej zapachem, dotykiem i zachowaniem, czuł, że nie wytrzyma już ani chwili dłużej. Pocałował ją więc po raz ostatni, uniósł się na rękach i powoli połączył się z Madeleine. Przez moment wydawało się, że stanowią całość, złączeni jedną myślą, ochotą i pragnieniem. Smukła postać Madeleine niemal ginęła pod umięśnioną, krzepką i śniadą sylwetką Armanda.

Usta szukały ust, dłonie splatały się i rozplatały, nagie ciała tarły o czarny atłas. Wreszcie przywarli do siebie w największej ekstazie i kiedy Madeleine zawołała gorączkowo: „Armandzie!", on niemal w tej samej chwili wykrzyczał jej imię.

Leżeli obok siebie na miękkim i wygodnym łożu. Minęła już ponad godzina, odkąd Madeleine zjawiała się w kasynie. Większość tego czasu spędzili w pościeli, kochając się namiętnie, jakby chcieli nadrobić stracony czas.

Na wpół owinięci cienkim prześcieradłem, patrzyli sobie głęboko w oczy. Skąpani w złotym blasku padającym z kominka i zmęczeni, leżeli, milcząc, zatopieni w myślach. „Kochasz mnie mocno?” - pytały oczy Madeleine. „A ty?” - pytał wzrok Armanda.

Czymże tak naprawdę było ich uczucie?

Madeleine westchnęła głucho i powoli uniosła się na łokciu.

- Pewnie się zastanawiasz, co tu w ogóle robię - powiedziała,

- Zawsze tu możesz przychodzić, bez względu na powody, kochanie - brzmiała odpowiedź de Chevaliera.

Odgarnęła za ucho pukiel rudych włosów.

- Chcę ci opowiedzieć o wszystkim, co mi się przydarzyło, Armandzie.

Skinął głową, przekręcił się na plecy i podłożył ręce pod głowę. Madeleine położyła się na brzuchu i wsparta na obu łokciach.

- Nie wyjdę za lorda Enfielda - zaczęła bez ogródek. Armand poczuł, że serce łomocze mu z radości, ale nic nie powiedział.

- Desmond w ogóle o mnie nie dba - ciągnęła Madeleine. - Chodziło mu wyłącznie o pieniądze wuja. Byłam ślepa, że wcześniej tego nie widziałam. Uważałam go za wzór dżentelmena, za arystokratę i człowieka honoru, majątnego.

W szybkich słowach opowiedziała Armandowi wszystko, co wiedziała, o zaginionym testamencie i jej podejrzeniach, że sprawcą kradzieży mógł być właśnie Desmond. Wspomniała o wizycie w domu lorda Enfielda, o stosach nie zapłaconych rachunków i listach od kochanki.

Gdy wreszcie dobrnęła do końca, usiadła na łożku i z wielkim niepokojem spojrzała na Armanda. Nie umknęło jej uwagi, że nie zdradzał najmniejszego zaskoczenia tym, co usłyszał.

- Nie jesteś zdziwiony, prawda? - zapytała.

Położył dłoń na jej gładkim biodrze i pogłaskał ją czule. Ostrożnie przyznał, że przez cały czas dręczyło go przeczucie, że lord Enfield knuje coś złego.

- Wiedziałaś? - zawołała z niekłamanym zdumieniem. - Wiedziałaś i nie zamierzałaś mi o tym powiedzieć? Dlaczego? Dlaczego tak uparcie milczałaś?

Armand wziął ją w ramiona i oparł podbródek o jej czoło.

- A uwierzyłybyś mi? Chyba nie.

- Nie - przyznała z głębokim i bolesnym westchnieniem. - Nie uwierzyłabym w ani jedno słowo.

- Niejeden raz próbowałem przekonać Colfaksa, że lord Enfield nie jest człowiekiem godnym zaufania. Wiedziałem, że próbuje oszukać twego wuja. Bardzo mnie to martwiło.

- Skoro wuj o niczym nie wiedział, to skąd się brały twoje informacje?

- Miałem o wiele więcej kontaktów niż Colfaks. Czasami nawet dość dziwnych. Kiedy ktoś prowadzi kasyno, często spotyka ludzi różnego autoramentu. Czasami są to prawdziwi dżentelmeni i damy, chcące jedynie zabawić się przy ruletce, a innym razem przestępcy z marginesu naszego społeczeństwa. Ci zwykle dużo piją i jeszcze więcej gadają. Dawno temu dowiedziałem się kilku rzeczy o lordzie Enfieldzie. Twój wuj nie miał o tym najmniejszego pojęcia. Nie wiedział, na przykład, że Chilton przez lata handlował „czarną kością słoniową”. Innymi słowy, sprzedawał niewolników.

- Desmond handlował niewolnikami? - powtórzyła Madeleine. Aż dech jej zaparło ze zgrozy.

- Kupował ich bardzo tanio i odsprzedawał z olbrzymim zyskiem.

- Więc zbił majątek na ludzkim nieszczęściu?

- Wielką fortunę - potwierdził Armand - którą potem stracił, inwestując w niepewne akcje. Przez lata żył ponad stan i narobił sobie mnóstwo długów. Wygląda na to, że rozpaczliwie potrzebuje gotówki.

- To jedyny powód, dlaczego spojrzał na mnie. Armand pogładził ją po włosach, błyszczących w blasku płomieni.

- Wątpię, czy całkiem jedyny, Maddie. Ale nie przeszkadzało mu, że odziedziczysz majątek wuja.

Madeleine milczała przez dłuższą chwilę. Leżała w objęciach Armanda, myśląc o wszystkim, czego się dowiedziała od dnia śmierci wuja.

- Armandzie - odezwała się wreszcie - czy twoim zdaniem... Czy Desmond mógł... zabić Colfaksa?

- Chciałbym stanowczo powiedzieć „nie”, lecz to niemożliwe. Teraz, kiedy już wiem na pewno, że jest jedynym pozostałym przy życiu wykonawcą woli Sumnera i że nowy testament zginął.

Westchnął ciężko.

- Jeśli to sprawka Chiltona, prawda na pewno wyjdzie na jaw.

- Tak sądzisz?

- Owszem. Gdyby sam podjął próbę zabójstwa, to może jakoś by się wywinął. Ale on na to jest stanowczo za słaby. A jeśli miał współnika lub współników, to ci prędzej czy później zaczną gadać.

Madeleine zebrało się na mdłości na samą myśl, że Desmond mógł być choć w części odpowiedzialny za śmierć jej wuja.

- Boże, jakąż ja byłam głupia! Jak mogłam...

- Kochanie, przecież lord Enfield oszukał nie tylko ciebie - zapewnił ją Armand. - Rzadko kto w Nowym Orleanie wie o jego grzechach i przewinieniach. To zły, ale bardzo przebiegły człowiek. Cieszy się zaufaniem niemal całego miasta.

- Przeklęty drań! - zawołała, ogarnięta nagłym przerażeniem, że niewiele brakowało, a poślubiłaby potwora.

- Co najmniej - zgodził się Armand. - Przysięgnij mi tu i teraz, że cię nie skrzywdził - nawet nie dotknął - kiedy dzisiaj do niego poszłaś.

- Nie miał okazji. Mówiłam ci już, że go ugryzłam i uciekłam

- Więc miałaś szczęście, lecz następnym razem...

- Następnym razem?!

- Chyba nie przypuszczałaś, Maddie, że na tym koniec? Może dla ciebie tak, ale nie dla niego. Musisz być bardzo ostrożna. Nigdy nie wychodź z domu bez opieki Wielkiego Montro. Nigdy też nie zostawaj w domu zupełnie sama. Upewnij się, że Montro czuwa gdzieś w pobliżu.

- Dobrze - odparła. - Obiecuję i... Och, Armandzie, która godzina?

Zerknął na onyksowy zegar stojący na marmurowym gzymsie kominka,

- Mmmm. Za dwadzieścia dziesiąta.

- Odwieszysz mnie do domu? Punkt dziesiąta Montro miał przyjechać do Desmonda. Będzie się niepokoił, gdy mnie tam nie zastanie.

Armand usiadł, ścisnął ją za ramiona i cmoknął w policzek.

- Oczywiście, że cię odwiozę - powiedział i wstał z łóżka.

- Jeszcze jedno! - zawołała, chwytając go za rękę. - Przed pierwszym czerwca muszę znaleźć zaginiony testament wuja Colfaksa. Potrzebuję twojej pomocy.

- Na pewno ci jej nie odmówię, chérie.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY

Kiedy Madeleine i Armand przybyli do rezydencji przy Royal Street, zastali zwykle spokojną Avalinę załamującą ręce i niecierpliwie krążącą po salonie. Zaraz też poznali przyczynę jej zdenerwowania. Tuż po dziewiątej przyjechał rozgniewany i czerwony jak burak lord Enfield. Zażądał widzenia z narzeczoną.

Zdumiony Wielki Montro powiedział mu, że hrabiny nie ma w domu.

- Sądziłem, że o tej porze je kolację u pana, milordzie - odparł ostrym tonem. - Zawiozłem ją tam przed ósmą i mam odebrać o dziesiątej.

- Czy ja się może wyrażam w jakimś obcym języku? - huknął lord Enfield. - Powiedziałem, że chcę rozmawiać z lady Madeleine! Nikt mi w tym nie przeszkodzi!

Odepchnął Montro na bok i ruszył w kierunku schodów. Olbrzym pochwycił go za ramię i osadził na miejscu.

- Nie ma jej w domu, proszę pana - powiedział spokojnym tonem. - Jeśli pan zechce tu poczekać, to jej poszukam.

Desmond ze złością wyrwał rękę.

- Oboje dobrze wiecie, gdzie się przede mną schowała! Już ja dopilnuję, żeby...

- Nie mam pojęcia, gdzie może w tej chwili przebywać lady Madeleine - powtórzył Wielki Montro. - Avalina też tego nie wie.

Lord Enfield opanował się trochę.

- Dobrze. Wracam do domu. Być może odzyskała rozum i tam teraz na mnie czeka.

- Odzyskała rozum - powtórzyła ochmistrzyni. - Czy coś się stało pomiędzy panem a...

Desmond obrzucił ją pogardliwym spojrzeniem.

- Służba nigdy nie zadaje pytań! Pilnuj swojego nosa i nie wtrącaj się w sprawy o wiele lepszych od siebie! Zrozumiano?!

Po raz ostatni zerknął w stronę schodów, odwrócił się i wybiegł na ulicę.

- Kiedy wróci, macie mnie natychmiast zawiadomić! - krzyknął przez ramię. - Koniecznie muszę jeszcze dzisiaj z nią porozmawiać!

Madeleine i Armand w skupieniu słuchali relacji Ava - liny. Powrócił Wielki Montro. Wszedł frontowymi drzwiami, usłyszał jakieś głośnie i bezzwłocznie pospieszył do gabinetu.

- Są tutaj! - krzyknęła do niego Avalina. - Panience nic się nie stało!

Łagodny olbrzym uśmiechnął się i skinął głową. Przywitał się z Armandem i powoli zaczął się wycofywać.

- Nie, zaczekaj - zatrzymała go Madeleine. - Wejdz i usiądź. Muszę wam coś powiedzieć, tobie i Avalinie. Najlepiej będzie, jeśli zrobię to od razu.

Wielki Montro zajął miejsce na krześle obok ochmistrzyni.

- Przejdę od razu do rzeczy - oznajmiła spokojnym i zrównoważonym tonem Madeleine. - Zerwałam zaręczyny z Desmondem Chiltonem i...

- Nie wyjdzie panienka za lorda Enfielda? - przerwała jej Avalina. Oczy miała wielkie jak spodki.

- Nie. Nie wyjdę. Na szczęście w porę zauważyłam, że Desmond Chilton wcale nie jest takim dżentelmenem, za jakiego go uważałam. Dzisiejszego wieczoru dowiedziałam się kilku rzeczy, które każą mi podejrzewać, że to Desmond zlecił kradzież testamentu wuja. Niestety poprzedni testament w odpowiednim czasie nie został zniszczony i tym samym pozostaje w mocy, o ile nie odnajdziemy późniejszej, ostatecznej wersji.

- Lord Enfield przejmie kontrolę nad majątkiem! - zawołała Avalina.

- Właśnie. Ponieważ zerwałam zaręczyny, zostanę z niczym. Nie otrzymam ani jednego centa wypracowanego przez wuja Colfaksa. Chyba... chyba że znajdziemy ten drugi testament - powtórzyła.

Spojrzała na Armanda.

- Pan de Chevalier zgodził się uprzejmie pomóc mi w poszukiwaniach oryginału testamentu lub jego kopii, o ile takowa istnieje - dodała. Wzięła głębszy oddech. - Sąd dał nam czas do pierwszego czerwca. Jeśli testament się nie odnajdzie... - Urwała i wzruszyła szczupłymi ramionami.

- Mam nadzieję, że znajdziemy przynajmniej kopię - po raz pierwszy odezwał się Armand. - W tej chwili stoimy przed dużo poważniejszym problemem.

Madeleine odwróciła głowę w jego stronę i rzuciła mu pytające spojrzenie.

- Lord Enfield wróci tutaj nie później niż jutro - wyjaśnił Armand. - A może nawet dziś w nocy. Będzie próbował cię nakłonić, żebyś zmieniła zdanie w sprawie zaręczyn.

- Po co? Ukradł testament, więc nie musi już być moim mężem - zaproponowała.

- Obawia się, że gdzieś jest ukryta kopia - powiedział Armand. Popatrzył na Wielkiego Montro. - Na pewno wiesz, co masz robić.

Olbrzym spokojnie skinął głową.

- Avalina i ja przeprowadzimy się do głównego budynku - oznajmił. Popatrzył wprost na Madeleine. - Gdyby pani chciała wyjść, milady, proszę mnie o tym zawiadomić. Pójdę z panią, o ile nie będzie pani w towarzystwie pana Armanda. Nawet na chwilę nie wolno pani pozostawać samej, ani w domu, ani na ulicy.

Madeleine z niepokojem zmarszczyła brwi.

- Uważacie, że Desmond może być niebezpieczny? Że spróbuje mnie skrzywdzić?

Patrzyła to na Montro, to na Armanda.

- Dowiedziałaś się już, co z niego za gagatek - łagodnie przypomniał jej de Chevalier. - Zrywając zaręczyny, pokrzyżowałaś jego starannie ułożone plany. Kto wie, co teraz zrobi? Na twoim miejscu bym mu nie dowierzał.

- Ani ja - dorzucił Montro. - Żeby się dostać do pani, Chilton będzie miał najpierw do czynienia ze mną. Wcale mu tego nie życzę.

- Miejmy nadzieję, że nie dojdzie do takiej ostateczności - powiedział Armand i odwrócił się do Madeleine. - Teraz, skoro wiem, że jesteś zupełnie bezpieczna, to chyba już sobie pójdę.

- Odprowadzę cię - zaproponowała.

- Dobranoc, Avalino, Montro. - Armand pożegnał się z ciepłym uśmiechem.

Oboje byli rozpromienieni. Szelmowsko mrugnął do nich jednym okiem, jakby łączyła ich jakaś tajemnica. Przy drzwiach powiedział:

- Nie martw się, Maddie. Wspólnymi siłami na pewno znajdziemy ów nieszczęsny testament.

- Mam nadzieję - westchnęła. - Możemy zacząć od jutra?

- Oczywiście - odparł, a potem zniżył głos. - Strasznie chciałbym cię pocałować.

- Ale nie możesz - stwierdziła ponuro i z niepokojem spojrzała w stronę gabinetu.

- To może jutro? Uśmiechnęła się.

- Na pewno.

Zaraz po wyjściu Armanda ogarnęło ją zmęczenie. Powiedziała „dobranoc” Montro i Avalinie, a potem poszła do siebie. Ledwie zamknęła za sobą drzwi sypialni, Montro i Avalina popatrzyli na siebie i uśmiechnęli się szeroko. W milczeniu uścisnęli sobie ręce. W milczeniu podziękowali Bogu, że wysłuchał ich gorączkowych i żarliwych modlitw.

Lady Madeleine nie będzie żoną lorda Enfielda.

Następnego ranka Madeleine otrzymała ogromny kosz czerwonych róż. Załączony do niego liścik głosił:

„Moja Najdroższa, koniecznie musimy się zobaczyć. Chciałbym jakoś wyjaśnić to niepotrzebne nieporozumienie, jakie miało miejsce między nami”.

Godzinę później lord Enfield osobiście pojawił się przed domem przy Royal Street.

- Muszę się widzieć z narzeczoną - oznajmił wyniosłym tonem, kiedy Wielki Montro stanął za zamkniętą żelazną bramą.

- Lady Madeleine nie życzy sobie spotkania z panem, lordzie Enfield.

Desmonda ogarnął gniew, ale zdołał się opanować.

- Wiem, że jest na mnie zła. Wystarczy jednak, abym przez kilka minut z nią porozmawiał, a na pewno dojdziemy do zgody. Wszystko jej wytłumaczę. - Roześmiał się, jakby cała sprawa nie była warta uwagi. - Znasz kobiety Montro. Dąsają się bez przyczyny i potem trzeba je przeproszać, by odzyskały dobry humor.

- Lady Madeleine nie życzy sobie spotkania z panem - powtórzył Montro.

Lord Enfield zaklął pod nosem.

- Dostała róże? - spytał. Montro przytaknął.

- To dobrze. - Desmond uśmiechnął się i dodał: - Proszę jej powiedzieć, że byłem tutaj i że kocham ją ponad życie.

- Do widzenia - odparł Montro i odszedł.

Lord Enfield przez długą chwilę stał w promieniach porannego słońca przed zamkniętą bramą. Wreszcie odwrócił się i poszedł. Na odchodnym zerknął raz jeszcze w okno Madeleine. Nigdy w życiu nie był bardziej strapiiony i zakłopotany. Musiał ją jakoś odzyskać. Musiał

ją przekonać, żeby została jego żoną - tak na wszelki wypadek, gdyby testament się odnalazł.

Ciepły, deszczowy marzec mijał zadziwiająco szybko. Madeleine i Armand spotykali się niemal codziennie. Toczyli wyścig z czasem o odzyskanie jej dziedzictwa. Początkowo Armand był pełen optymizmu. Nie miał najmniejszych wątpliwości, że wuj zapisał cały spadek na rzecz siostrzenicy. Na pewno wiele osób widziało ten dokument. Zawsze można byłoby powołać ich na świadków.

Ale nie. Madeleine wyraźnie stwierdziła, że to niemożliwe. Wszyscy, którzy poza nią znali treść testamentu, już nie żyli. Nikt nie mógł potwierdzić słuszności jej roszczeń. Nikt, oczywiście poza lordem Enfieldem.

Armand i Madeleine wybrali się do sądu na prywatne spotkanie z sędzią Baxterem, wykształconym i zrównoważonym dżentelmenem, którego Armand poznał tuż po studiach.

- Potrzebujemy pańskiej pomocy, sędzio - powiedział de Chevalier do łysiejącego prawnika.

- Co to znaczy, mój chłopcze? - Baxter zmarszczył krzaczaste brwi.

- Testament Colfaksa Sumnera zniknął.

- Naprawdę? Mówiono mi, że leżał w jego sejfie.

- Ale nie ten najnowszy - wyjaśnił Armand. - Po otwarciu sejfu okazało się, że jest w nim tylko stara wersja.

Sędzia podrapał się w czoło.

- Wezwijmy jakichś świadków, którzy...

- Wszyscy umarli.

Baxter ze smutkiem pokręcił głową.

- W takim razie wypada mieć nadzieję, że Colfaks gdzieś zostawił kopię. Bez tego... Cóż mam powiedzieć? Prawo jest prawem.

Nazajutrz Armand i Madeleine wrócili do sądu z pismem stwierdzającym, że Madeleine Cavendish ma wszelkie podstawy twierdzić, iż został sporządzony kolejny testament. Armand wyjaśnił, że choć nikt nie ma takiego obowiązku, czasami kopie dokumentów trafiają do notariusza. Armand, w imieniu Madeleine, domagał się skontaktowania z każdym notariuszem w Nowym Orleanie.

Minęło parę tygodni, zanim porozmawiali z wszystkimi. Żaden z nich nie przyjmował papierów ani zleceń od zmarłego Colfaksa Sumnera.

W tym samym czasie trwały przeszukiwania sejfów w licznych posiadłościach Colfaksa. Armand i Madeleine cały dzień spędzili na plantacji w górze rzeki. Zajrzeli do kasy pancernejskiej i do wszystkich szuflad w całym wielkim budynku.

Testamentu ani jego kopii nie znaleźli.

W kwietniu dziedzińce, skwery i trawniki w Mieście Półksiężycy pokryły się kolorowym świeżym kwieciami. Słodka woń wisiała w powietrzu. Mieszkańcy uradowani, że minęła chłodna i mokra zima, a nie nadeszło jeszcze skwarne i duszące lato, tłumnie wylegali na nabrzeże. Zewsząd dobiegały śmiechy i nawoływania. Ludzie spotykali się, żeby zażyć kąpieli słonecznych i najzwyczajniej w świecie poplotkować o dalszych i bliższych znajomych.

Cały Nowy Orlean cieszył się wiosną i ciepłą, piękną pogodą. Tymczasem Madeleine i Armand nie ustawiali w wyteżonych działaniach.

Byli we wszystkich bankach, w których Colfaks Sumner składał depozyty. Znaleźli mnóstwo dokumentów potwierdzających zakup ziemi lub zawarcie jakiejś umowy. Oboje byli wręcz zdumieni wielkością majątku Sumnera. Wuj okazał się obrotnym człowiekiem interesu. Kupował ziemię na lewo i prawo, w Nowym Orleanie i poza jego granicami, wzdłuż rzeki i nad bagnami.

Wyglądało na to, że niemal pół miasta należało do Colfaksa Sumnera.

Armand postanowił doprowadzić sprawę do końca. Wraz z Madeleine wybrał się do Cabildo, czyli starej hiszpańskiej budowli stojącej obok katedry Świętego Ludwika. Wprowadzono ich do ogromnej sali. Armand chciał rozmawiać z urzędnikiem sądu do spraw spadkowych.

Asystent wysłuchał jego prośby o udostępnienie ksiąg majątkowych.

- Jaki użytek chce pan zrobić z tej informacji? - spytał surowo.

- Pozwolę sobie panu przypomnieć, że księgi są do wglądu wszystkich zainteresowanych - stwierdził Armand.

Urzędnik wydał usta, odwrócił się i odszedł. Po chwili wrócił z naręczem dokumentów.

Armand i Madeleine pochylili się nad starymi, zakurzonymi księgami. W pewnej chwili de Chevalier, mocno zaciskając usta,

pokazał jej jakiś zapis. Wynikało z niego, że lord Enfield już usiłował sprzedać niewielką parcelę w śródmieściu, należącą do Sumnera.

- Dobry Boże, to wprost niewiarygodne! Chilton próbuje handlować ziemią Colfaksa, nie mając do tego jeszcze żadnych uprawnień!

Madeleine chciała coś powiedzieć, lecz Armand nie dał jej dojść do głosu.

- A nawet gdyby miał, to prawo wymaga, żeby sprzedaży dokonać na publicznym przetargu, po zamieszczeniu odpowiedniego ogłoszenia!

- Skąd nabrał pewności, że mu się to uda? Armand uniósł rękę i potarł skronie.

- Coś musi wiedzieć, bo inaczej by nie próbował. Może ma wspólnika w sądzie lub biurze prawnym? Nie od dziś wiadomo, że Nowym Orleanem rządzą skorumpowani, bezwzględni bogacze.

- Też o tym słyszałam - powiedziała Madeleine. - To właśnie dlatego dostałeś zakaz prowadzenia praktyki adwokackiej, prawda?

Armand gwałtownie uniósł głowę znad papierów i spojrzał na nią z zaskoczeniem.

- Skąd wiesz?

- Montro mi mówił. Powiedział, że broniłeś młodego Murzyna oskarżonego o gwałt na białej damie. Podobno po procesie rodzina tej kobiety wysunęła przeciwko tobie nieprawdziwe zarzuty.

De Chevalier wzruszył ramionami.

- Biedak był całkiem niewinny.

- Wiem - uśmiechnęła się Madeleine. - I wiem coś jeszcze o tobie, Kreolu.

Zmarszczył brwi.

- Pomagasz przy budowie szpitala dziecięcego - powiedziała. - Widziałam cię na dachu.

- Jestem dobrym cieślą - rzucił od niechcienia.

- Jesteś dobrym człowiekiem.

Armand zaczerwienił się wyraźnie pomimo oliwkowej cery.

- Na czym to skończyliśmy? - mruknął i wrócił do ksiąg.

Uśmiech zgasł na twarzy Madeleine. Westchnęła i z niechęcią pokręciła głową.

- Wygląda na to, że stracę wszystko.

- Nie, najdroższa. - Armand zatrzasnął wielką księgę i odwrócił się w stronę hrabiny. - Ale na dzisiaj już wystarczy. Chodźmy do mnie. Każę nam przynieść kolację od Antonia.

- Zrobią to?

- Dla nas na pewno zrobią.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SZÓSTY

Zmierzch zapadł nad miastem. Madeleine i Armand siedzieli na podłodze w przestronnym salonie apartamentu de Chevaliera w budynku Pontalby. Przez szeroko otwarte balkonowe drzwi wpadał świeży powiew powietrza, a w marmurowym kominku wesoło trzaskał ogień.

Na puszystym dywanie tuż przed kominkiem leżał rozpostarty biały lniany obrus, na nim zaś rozstawiono sutą i smaczną kolację, dostarczoną tu z ulubionej restauracji Armanda. Na początek zjedli gęstą i suto zaprawianą bouillabaisse, a po niej znakomity filet de sole bonne femme. Madeleine zajęła się wspaniałym deserem, złożonym z jagód z bitą śmietaną. Armand wstał, przeprosił ją na chwilę i wyszedł.

Nie było go przez kilka minut. Madeleine spoglądała na drzwi z rosnącą ciekawością. Kiedy wrócił, roześmiała się z całego serca i klasnęła w dłonie. Armand w jednym ręku niósł wielką srebrną wazę z chochlą, a w drugim - tacę z najrozmaitszymi przyprawami.

Wesoło mrugnął okiem, usiadł na podłodze, postawił wazę przed sobą, a tacę po prawej stronie. Wymieszał brandy z cukrem, goździkami, korzeniami, sokiem cytrynowym, skórką pomarańczową i cynamonem. Uśmiechnął się, zatarł dłonie, zapalił zapałkę i podpalił brandy. Powoli dodał kawy. Potem uniósł oburącz płonące naczynie. Madeleine biła brawo.

- Pani cafe brulot, milady - powiedział. Wręczył jej kubek pysznego gorącego napoju.

W takiej atmosferze prędko zapomnieli o zmartwieniach całego dnia i zmęczeniu. Byli sami i to im bardzo odpowiadało.

Madeleine wypija ostatni łyk stygnącej cafe brulot. Armand wyjął kubek z jej dłoni i odstawił go na bok. Zwinnym ruchem podniósł się z ziemi i wyciągnął rękę.

- Od rana się nie kąpałem - powiedział. - A ty? Uśmiechnęła się wstydliwie i pokręciła głową.

- Chodź. Weźmiemy wspólną kąpiel.

Nie czekając na jej odpowiedź, ujął ją za rękę i wyprowadził z salonu. Minęli sypialnię i weszli do łazienki. Ogromna wanna była już napełniona gorącą pianistą wodą, a obok niej płonęła świeca w kutym srebrnym świeczniku. Na półce obok wanny czekało z pół tuzina białych ręczników.

- Mieszka tu z tobą jakaś dobra wróżka? - zapytała Madeleine.

- Nigdy nie zdradzam wszystkich tajemnic - odpowiedział. Przyciągnął ją do siebie i zaczął rozbierać.

W kilka chwil oboje byli już zupełnie nagi. No, prawie nagi.

Madeleine wybuchnęła śmiechem i wskazała na spłowiałą niebieską podwiązkę na ramieniu Armanda.

- Kąpiesz się w tym?

Roześmiał się także, szybko zsunął podwiązkę z ręki i rzucił ją na komodę.

- Nie, ale czasami śpię z nią. I nigdy nie zostawiam jej w domu.

- Zwariowałeś, Kreolu.

- Zwariowałem na twoim punkcie - zapewnił.

Przez kilka długich, rozkosznie spokojnych minut wypoczywali w ogromnej wannie. Chybotliwy płomień świecy budził na ścianach tańczące cienie. Armand z zamkniętymi oczami opierał się o wyższą krawędź wanny. Madeleine leżała na nim na wznak, jak w fotelu. Oboje doszli do wniosku, że po męczącym dniu należy im się najpierw odpoczynek, a nie zabawa. Żadnych pieszczot - przynajmniej na razie. Spokojny relaks w gorącej wodzie i moment zapomnienia.

Szybko jednak wyszło na jaw, że ten plan jest zgoła niemożliwy do spełnienia. Nie minęło nawet kilka minut, a już Madeleine odwróciła się w stronę Armanda i znacząco popatrzyła mu w oczy.

Pocałował ją i tak to się zaczęło.

Madeleine jeszcze nigdy dotąd nie kochała się podczas kąpieli, lecz z zaskoczeniem stwierdziła, że jest to całkiem przyjemne. Ze śmiechem przyłgnęła do kochanka i mocno objęła go za szyję. Dali się ponieść urokowi chwili i odpłynęli w świat rozkoszy.

Uczucie Madeleine do Armanda pogłębiało się przy każdym wspólnym doświadczeniu. Nigdy nie miała dość - mogłaby spędzić wieczność, zamknięta w jego ramionach.

Teraz jednak, podczas poszukiwań zaginionego testamentu, jej początkowe zauroczenie zaczęło się przeradzać w o wiele głębsze uczucie.

Madeleine dowiedziała się, że przystojny Kreol, którego tak pochopnie oskarżała o egoizm i brak poszanowania dla wszelkich konwenansów, jest człowiekiem z zasadami i o złotym sercu, godnym szacunku i uwielbienia. Szanowała go za to, co robił.

Ale czy z drugiej strony mogła mu w pełni zaufać? Czy zatroszczył się o nią, bo mu zależało na niej, czy chciał zaspokoić własne pragnienia? Co się stanie, kiedy w polu widzenia pojawi się jakaś inna atrakcyjna dama? Jak się zachowa? Którą z nich wybierze?

Lord Enfield jeszcze kilka razy próbował się zobaczyć ze swoją byłą narzeczoną, lecz mu się to nie udało. Wreszcie dał za wygraną. Nie mógł się mierzyć z Wielkim Montro. Wydawało się, że ów olbrzym w ogóle nie sypiał.

Madeleine - co było kolejnym zaskoczeniem dla Desmonda - nigdy nie pozostawała sama. Montro towarzyszył jej nawet podczas krótkich spacerów. Niejednokrotnie też odprowadzał swoją panią do Pontalby, gdzie mieszkał Armand de Chevalier. Lord Enfield, gdy się o tym dowiedział, wpadł we wściekłość.

Za pierwszym razem po prostu nie wierzył własnym oczom. Było to pewnego kwietniowego popołudnia. Lord Enfield szedł właśnie przez Jackson Square, wracając z nieprzyjemnego spotkania ze swoim agentem giełdowym. Nagle zobaczył rozpromienioną Madeleine wychodzącą z Pontalby. Montro czekał na nią na ulicy. Obok hrabiny szedł de Chevalier. Trzymał ją pod rękę, jakby była jego niepodzielną własnością. Powiedział coś i cała trójka wybuchnęła donośnym śmiechem.

Lord Enfield zwolnił kroku i przypatrywał im się zmrużonymi oczami. Wstrzymał oddech, bo w pewnej chwili Armand pocałował Madeleine w policzek i uściśnął jej rękę na pożegnanie. Madeleine odeszła w eskorcie olbrzyma. Oszołomiony Desmond aż przysiadł na pobliskiej ławce, żeby się trochę uspokoić.

Co za bezwstydnica! Otwarcie romansuje z tym de Chevalierem. Chce zapewne, aby on, lord Enfield, stał się pośmiewiskiem znajomych i przyjaciół. Doskonale zdawał sobie sprawę, że już wszyscy szepcą za jego plecami. Nie miał najmniejszej wątpliwości, że Madeleine zawiadomiła potencjalnych gości weselnych, że ślub się nie odbędzie. Na pewno zachodzili w głowę, co stało się przyczyną zerwania zaręczyn.

A niech ją piekło pochłonie!

Desmond nie mógł opanować furii. W następnych dniach dosyć często widywał hrabinę w towarzystwie przystojnego Kreola. Trochę bał się de Chevaliera i nie miał zamiaru wdawać się z nim w bezpośrednie starcie, ale z drugiej strony rozmyślał, jak się go pozbyć.

Nie wątpił, że Armand buntuje Madeleine przeciwko niemu. Nie wątpił, że wspólnie z nią szuka testamentu. Łobuz, zasługiwał na bolesną nauczkę.

Po paru dniach rosnącej rozterki i zniechęcenia lord Enfield podjął nagłą decyzję. Tego wieczora wybrał się na bagna, do nędznego szałasu, zamieszkiwanego przez braci - pomagierów.

- Mamy go wystraszyć czy zabić? - rzeczowo spytał Burton Smallwood.

- Hmm. O tym nie pomyślałem - odparł Desmond, przechylając głowę. - Dlaczego nie? Zabijcie tego drania! - zdecydował. Uderzył pięścią w stół dla podkreślenia swoich racji. - Ale niech to wygląda na zwykły napad rabunkowy - dodał szybko. - Zaczekajcie, aż przydybicie go w nocy, samego na ulicy. Pochwyćcie go, zabierzcie ma pieniądze i wszelkie kosztowności, a potem poturbujcie go, ile wlezie. Dacie radę zrobić to tylko we dwóch? Nie chciałbym dodatkowych świadków.

- Barton waży dwa razy tyle co de Chevalier - powiedział Burton. - Na pewno sobie poradzimy.

Desmond uśmiechnął się do własnych myśli. Ten przeklęty Kreol wreszcie dostanie za swoje. Rozejrzał się po zaśmieconym wnętrzu szałas.

- A gdzie twój brat? Gdzie Barton?

- Poszedł do miasta.

- Ty durniu! - ryknął Desmond. Zerwał się na równe nogi. - Pozwoliłeś, żeby ten matoł poszedł między ludzi? Wiesz przecież, że się Spije i zacznie gadać!

- Nie, szefie, to nie tak - bronił Burton młodszego brata. - Po prostu Barton już od dawna nie miał żadnej kobiety. Od tygodni. O mało nie zwariował. Przysiągł mi, że pójdzie prosto do burdelu i że nawet nie tknie wódki.

- A ty mu uwierzyłeś? - parsknął Desmond.

- Tak, bo zagroziłem mu najgorszą karą, jaką by na niego zesłały niebiosy. Obiecał mi, że zabawi tam tylko godzinę i wróci. Powinien się pojawić lada chwila.

Pijany Barton Smallwood, uśmiechnięty od ucha do ucha, chwiejnie wkraczał po frontowych schodach piętrowego przybytku przy Galletin Street, dokąd przybył w poszukiwaniu jakiejś chętnej dzierlatki, która zgodziłaby się spędzić z nim miły wieczór.

Za dziesięć dolarów dostał to, czego szukał: piersiastą dziewczynę o szerokim tyłku, z grubą warstwą pudru na twarzy, o farbowanych włosach i mocno umalowanych oczach. Przyglądał się jej z zachwytem, gdy szła przed nim po schodach.

- Jak się nazywasz, mała? - zawołał.

- Heaven - rzuciła przez ramię. - Panna Heaven Sublime.

- Heaven? (Heaven (ang.) - niebo, raj (przyp. red.)) Zabierzesz mnie do nieba?

- Na pewno, przystojniaku.

W ciasnym, skąpo umeblowanym pokoju o czerwonych ścianach paliła się tylko jedna lampa. Barton rozebrał się szybko i padł na łóżko. Dziewczyna znalazła się tam chwilę po nim. Barton nie bawił się w żadne ceregiele. Wziął ją, podyszał chwilę, ze świstem zaczerpnął powietrza i znieruchomiał. Już było po wszystkim.

Ledwie żywy, przetoczył się na wznak i jęknął zbolalym głosem:

- Nalej mi trochę wódki, Heaven.

Klepnął ją w goły pośladek, kiedy wstawiała z łóżka. Heaven naciągnęła na siebie niezbyt czysty szlafrok i wróciła z dwiema szklankami i butelką burbona. Nalała sobie i upiła niewielki łyk. Barton swoją szklankę wychylił jednym haustem i zażądał następnej.

- Powiedz mi coś o sobie, Heaven - wybełkotał. Z zainteresowaniem słuchał jej ciekawej, lecz całkowicie zmyślonej opowieści. Mówiła mu o przygodach i niebezpieczeństwach, jakich doświadczyła w swoim bujnym życiu. O podnieceniu, jakie odczuwała, obcując nawet ze śmiercią.

- Lubię twardzieli - stwierdziła na zakończenie. Pomyślała chwilę i spytała:

- A ty? Zrobiłeś w życiu coś naprawdę niebezpiecznego? Uśmiechnął się i popatrzył na nią zamglonym wzrokiem. Walnął się w pierś.

- A morderstwo? Wystarczy ci, żebyś naprawdę mnie lubiła? - mamrotał z trudem.

Heaven chwilę popatrzyła na niego szeroko rozwartymi oczami.

- Kpisz sobie ze mnie - powiedziała. - Nigdy nikogo nie zabiłeś, prawda?

Barton dumnie wypiął owłosioną pierś, wychylił kolejną szklankę burbona i spytał:

- Czytujesz czasem gazety?

- Wyobraź sobie, że czytuję. Lubię wiedzieć, co się na świecie dzieje.

- A czytałaś o pewnym ważnym biznesmenie, nazwiskiem Colfaks Sumner? Zmarł kilka miesięcy temu.

- Pewnie, że czytałam. Pan Sumner był jednym z najważniejszych obywateli Nowego Orleanu. W „Picayune” napisali, że jego śmierć była zupełnie naturalna.

Barton zachichotał głupawo.

- Naturalnie, że naturalna! Umarł z poduszką na twarzy, trzymaną dopóty, dopóki się nie udusił. Wiem to dokładnie, bo sam ją trzymałem. - Barton ryknął śmiechem i podrapał się po brzuchu. - Do diabła, myślałem, że już nigdy nie przestanie się rzucać!

- Zamordowałaś Colfaksa Sumnera? - z niedowierzaniem zapytała Heaven.

- Oczywiście!

- Ale dlaczego? W gazecie napisano, że nic nie skradziono, więc po co go zabijałaś?

- Sam nie miałem żadnych powodów. Lord Enfield wynajął mnie do tej roboty. Mnie i mojego brata.

- Lord Enfield? - powtórzyła z osłupieniem. - Ten lord Enfield? Bogaty i jasnowłosy angielski arystokrata, który zaręczył się z siostrzenicą Colfaksa Sumnera? To jego masz właśnie na myśli? Powszechnie znanego Desmonda Chiltona?

- A jakże.

Barton Smallwood był już całkiem pijany. Mówiąc coraz głośniejszym głosem, opowiedział jej ze szczegółami o planach morderstwa. Nie pominął niczego. Panna Heaven Sublime słuchała go jak oczarowana.

Kiedy był już zupełnie pewny, że jej zaimponował, uśmiechnął się i dodał na koniec:

- Tylko nie rozpowiadaj nikomu o tym, kochanie. Dobrze?

Heaven nie odpowiedziała.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SIÓDMY

Nieuchronnie mijał termin wyznaczony przez sąd na znalezienie testamentu Colfaksa Sumnera. Madeleine i Armand coraz częściej przebywali ze sobą. Jeśli nie prowadzili poszukiwań, to leżeli wtuleni w siebie, w zacisznym apartamencie de Chevaliera. W końcu doszło do tego, że niemal się nie rozstawali.

Hrabina i Kreol byli zakochani.

A jednak Madeleine do tej pory nie wyznała Armandowi uczuć. Nie powiedziała mu, że go kocha. W głębi serca wciąż była pełna obaw. Bała się kolejnej bolesnej porażki.

Armand stanowił zupełne jej przeciwieństwo. Był szczery, uczciwy i pełen miłości. Bez przerwy powtarzał hrabinie, że ją kocha. Że nigdy przedtem nikogo tak nie kochał i już nie pokocha. To ona była tą jedyną, na którą czekał przez wszystkie lata. To jej chciał dochować wierności przez całą resztę życia. To ona skradła mu serce, teraz i na zawsze. Madeleine mogła bez przerwy słuchać tych miłosnych zaklęć.

Podobało jej się zwłaszcza, kiedy mówił:

- Cherie, chciałbym tylko, żebyś mnie kochała przynajmniej w połowie tak jak ja ciebie.

Była szczęśliwa. Kochała Armanda. Kochała go dużo bardziej, niż przypuszczał. Wiedziała, że kiedy tylko będzie absolutnie pewna jego intencji, od razu przyzna się do swoich uczuć. Wierzyła, że nadejdzie dzień, w którym Armand de Chevalier poprosi ją o rękę. Wierzyła, że ten dzień jest coraz bliżej.

Jej radość mącił jednak brak postępów w poszukiwaniach testamentu. Wszystko wskazywało na to, że fortuna Colfaksa Sumnera przejdzie w ręce złoczyńcy, który bez skrupułów wykorzystał łatwowierność Madeleine i prawdopodobnie kazał zabić jej ukochanego wuja.

Armand w gruncie rzeczy nie przejmował się testamentem. Szukał go wyłącznie ze względu na ukochaną. Wiedział, ile to dla niej znaczy. Sam miał dość pieniędzy, żeby zapewnić jej godziwe warunki aż do końca życia. Nie mógł jednak patrzeć na jej przygnębienie. Chciał ją ochronić przed wszystkimi niesprawiedliwościami tego świata. Odnalezienie testamentu sprawiłoby mu radość, bo wiedziałby, że Madeleine też jest przez to szczęśliwa.

Niestety wszystko zmierzało ku temu, że tak się jednak nie stanie.

Tego wieczora ósmego maja Armand miał się nieco spóźnić na kolację. Poprzedniego dnia uprzedził hrabinę, że przez kilka godzin nie będzie mógł jej towarzyszyć. Musiał pomagać przy budowie szpitala dziecięcego. Ostatnio trochę zaniedbał swoje obowiązki, a wiedział, że bardzo jest tam potrzebny. Po pracy, stwierdził z zakłopotaniem, chciał jeszcze na chwilę wpaść do kasyna, podpisać parę dokumentów i sprawdzić listę wypłat. Pracownicy powinni wiedzieć, że szef żyje i czuwa nad nimi.

Teraz był już spóźniony ponad wszelką miarę.

Z placu dotarł do domu dopiero grubo po siódmej. Spocony i brudny, zaczął się rozbierać już w drodze do sypialni. Wszedł do wanny, wykąpał się w mgnieniu oka, wytarł do sucha i stanął przed lustrem, żeby się ogolić.

Pospiesznie włożył czystą koszulę, przyczesał włosy i wybrał beżowy strój z przepastnej garderoby. Ubrał się w ciągu kilku minut, rzucił okiem do lustra, dwoma palcami poprawił kołnierzyk, wyrównał jedwabny krawat i uznał, że wszystko w porządku. Odwrócił się i wybiegł na korytarz.

Zapomniał tylko o jednym.

Po lewej stronie lustra, na złotym liściu zdobiącym masywną ramę, samotnie wisiał jego amulet. Podwiązka Madeleine.

Zmierzch z wolna zapadał nad miastem. W domu przy Royal Street Madeleine siedziała w swoim pokoju, przy toalecie i delikatnie pudrowała twarz. Włosy miała ułożone w kunsztowną fryzurę upiętą przez wszechstronnie utalentowaną Avalinę. Uśmiechnęła się w duchu. Wiedziała, że wysiłki ochmistrzyni były zwykłą stratą czasu. Armand wołał, gdy rude włosy Madeleine w nieładzie opadały na jej kształtne ramiona. Zanim noc nadejdzie, już będzie się domagał, żeby wyjęła z nich wszystkie szpilki i grzebienie.

Ta myśl sprawiła, że Madeleine poczuła na plecach rozkoszny dreszcz podniecenia.

Avalina przygotowała na kolację ulubione danie Armanda: ostre gumbo z krewetek. Podśpiewując pod nosem, zamasyście mieszała w garnku. Obok, na wolnym ogniu, bulgotał jeszcze jeden garnek, a w całej kuchni unosił się smakowity zapach pieczonych brzoskwiń.

Montro siedział przy kuchennym stole. Przeglądał wieczorną gazetę, dotrzymując towarzystwa Murzynce.

- Pięknie pachnie - zauważył w pewnej chwili i pociągnął nosem.

- Nie dostaniesz ani odrobiny, dopóki nie przyjdzie pan Armand - ostrzegła go Avalina.

- Nie to nie. Mam jednak nadzieję, że zjawi się już niedługo. Umieram z głodu. O której miał przyjść?

- Koło dziewiątej.

Kiedy katedralny dzwon wybił dziewiątą, Armand de Chevalier wyłonił się z drzwi kasyna „The Beaufort”. Przez chwilę stał pod czerwoną markizą i głęboko wdychał świeże majowe powietrze.

- Kazać sprowadzić pański powóz, szefie? - zapytał młody portier.

- Nie, dziękuję. Nie kłopot się. Noc jest tak ciepła że przejdę się piechotą.

- Jak pan sobie życzy.

Armand pożegnał się z nim i ruszył w głąb ulicy. Jasny księżyc w kwadrze powoli wspinał się nad dachy. Z pobliskiego dziedzińca dolatywał słodki i uwodzicielski zapach jaśminu. Gdzieś na Missisipi rozległ się odległy świst syreny jakiegoś parowca. Żaby skrzeczały w błocie nad brzegami rzeki. Dużo bliżej, w którymś z sąsiednich domów, ktoś grał na fortepianie.

Tuż za rogiem, lekko się kołysząc w słabych podmuchach wiatru, rosła samotna palma, odcinająca się ciemniejszą kreską na tle wieczornego nieba.

Armand uśmiechnął się. Przypomniawszy sobie legendę związaną z tym drzewem. Powiadano, że wyrosła z serca kochanki, umierającej ze wspomnieniami o chwilach szczęścia, które spędziła przed laty z pewnym młodzieńcem, na porośniętym palmami brzegu odległej tropikalnej wyspy. Ziarno wiatr przywiał aż do Nowego Orleanu i tu zostało zasadzone przez anioła. Palma miała wydać owoce tylko wtedy, kiedy wszystko zło zniknie z tego miasta.

De Chevalier uśmiechnął się jeszcze szerzej.

Dobrze wiedział, że palma nigdy nie zaowocuje. Zło zawsze będzie istnieć w Nowym Orleanie. On jednak kochał to miasto takim, jakie było. Kochał w nim wszystko. Kochał je niemal tak mocno jak rudowłosą kobietą czekającą nań teraz w domu przy Royal Street. Myśl o Madeleine sprawiła, że mimo woli przyspieszył kroku.

Obcasy butów głośno stuknęły o kamienne płyty chodaka. Armand myślał wyłącznie o swojej ukochanej.

- Hej, Kreolu! - rozległ się nagle jakiś szorstki głos z ciemności.

Armand przystanął w kręgu światła rzuconym przez latarnię. Rozejrzał się, lecz nie zobaczył nikogo. Spojrzał w górę, na pajęczą sieć kutych z żelaza balkonów. Nikt tam nie stał.

Nagle jęknął z bólu. Ktoś wymierzył mu silny cios w plecy, tuż nad krzyżem. Ktoś go pociągnął w ciemny zaułek. Armand zaciekle próbował uwolnić ręce, które tajemniczy napastnik przycisnął mu do ciała. Nim zdołał strząsnąć z karku przeciwnika, tuż przed nim, w mroku, zamajaczył drugi. Armand otrzymał uderzenie w twarz. Krew buchnęła mu z warg i osunął się na kolana.

Pierwszy z napastników brutalnie postawił go na nogi. Teraz już obaj bili go po żebrach i brzuchu. Każdy cios wyrywał jęk bólu z ust Armanda. Napastnicy tylko się śmiali. Znow spadł na niego grad twardych i bezlitosnych ciosów - w twarz, pierś, żołądek, Armand zwisał bezwładnie, plując krwią i ciężko łapiąc oddech.

Zebrał wszystkie siły, jakie mu pozostały, i niespodziewanie kopnął przeciwnika w łydkę. Na ułamek sekundy udało mu się oswobodzić ręce. Siarczystym sierpowym trafił w szczękę bandytę stojącego tuż przed nim.

Drogo za to zapłacił.

Drugi z napastników znowu go przytrzymał i zupełnie pozbawił możliwości obrony. Ciosy padały nadal z zabójczą regularnością. Armand powoli zaczął tracić przytomność. Nie zdążył jednak zapaść w omdlenie, bowiem pierwszy bandzior w tej samej chwili ciężkim butem kopnął go w krocze. Okrzyk bólu wydarł się z zakrwawionych ust de Chevaliera. Armand zupełnie odruchowo zacisnął zęby.

Fale cierpienia targały jego całym ciałem i przyprawiły o gwałtowne mdłości. Napastnicy szybko przetrząsnęli mu wszystkie kieszenie. Zabrali pieniądze i złoty zegarek. Krew z twarzy Armanda zbrukała mocno podartą białą koszulę. Opuchlizna zasłaniała mu jedno oko, drugie było zalane krwią z rany na czole. Kolana uginały się pod nim. Miał wrażenie, że wszystko wokół niego pogrąża się w ciemności.

Usłyszał głos cięższego i masywniejszego z napastników.

- Zabrałem mu wszystko, co miał. Możemy go wykończyć.

Zacisnął wielką pięść i z całej siły uderzył Armanda w brzuch. W tej samej chwili z pobliskiej kawiarenki wyszła roześmiana para. Słyszając, że coś się dzieje, przechodnie umilkli i ostrożnie podeszli w kierunku zaułka.

- Mamy towarzystwo - odezwał się Barton.

- Stul pysk! - warknął jego brat.

Puścili pobitego Armanda. Osunął się na ziemię. Smallwoodowie pobiegli w głąb uliczki i kilka sekund później zniknęli w gęstym mroku.

- Doprawdy nie wiem, co go zatrzymuje - z irytacją powiedziała Madeleine, niespokojnie krążąc po pokoju. - Już po dziesiątej. Od dawna powinien tu dotrzeć. Otworzyłeś bramę, Montro?

- Tak, milady - odparł olbrzym. - Może wejść od razu na górę.

- Gdzie on się podziewa? - zastanawiała się na głos.

- Może pójdę do „The Beaufort” i sprawdzę - zaczął Montro.

- Nie - zaprotestowała. - Dobrze wie, jak tu dotrzeć. Westchnęła z rezygnacją i usiadła na kanapie. Dręczyły ją wątpliwości. Gdzie zniknął Armand? Dlaczego nie przyszedł? Już mu się znudziła? Kolejny raz w swoim życiu postąpiła jak idiotka?

Zbliżała się jedenasta, kiedy ktoś wreszcie zapukał. Madeleine zerwała się z kanapy i przebiegła przez salon, zanim Avalina zdążyła otworzyć.

- Gdzie byłeś... - Urwała w pół zdania, bo w progu stanął zupełnie jej obcy młody człowiek.

- Lady Madeleine? - zapytał posłaniec.

- Tak, to ja.

Skłonił się i podał jej trzymaną w ręku wiadomość. Z osłupieniem popatrzyła na niego, a potem na kopertę.

- Dobranoc - bąknął młodzieniec i szybko zbiegł po zewnętrznych schodach.

Madeleine drżącymi rękoma rozerwała kopertę, wyjęła z niej złożoną na pół kartkę, rozwinęła ją i prędko przeczytała:

„Lady Madeleine!

Pani przyjaciel, Armand de Chevalier, przed półgodziną trafił do szpitala głównego w Nowym Orleanie, ciężko pobity przez nieznaną sprawców. Był nieprzytomny, lecz ciągle powtarzał Pani imię.

Dr Jean Paul Ledette"

Serce zamarło w piersi Madeleine. Potem zaczęło bić jak oszalałe. Miała wrażenie, że zemdleje. Pokój zawirował jej przed oczami.

- Montro - zdołała szepnąć.

- Tak, milady? Co się stało? - Olbrzym ruszył w jej stronę.

Razem z Avaliną podtrzymał roztrzęsioną hrabinę. Później wziął ust i przeczytał.

- Zawieziesz mnie do szpitala? - wyszeptała.

- Tak, natychmiast.

- Właśnie - mamrotała, na wpół przytomna. - Muszę zobaczyć się z Armandem.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY ÓSMY

Kiedy dotarli do szpitala, Madeleine dygotała z zimna mimo ciepłej majowej nocy. Stała sztywno u boku Wielkiego Montro i patrzyła na idącego w ich stronę doktora Ledette'a. Ponura twarz lekarza mówiła sama za siebie, Madeleine ciężko oparła się o ścianę. Bała się, że upadnie. Doktor Ledette podszedł bliżej, uśmiechnął się do niej na powitanie i skinął głową Montro.

- Doktorze, co z nim? - zapytała. Z trudem łapała oddech. - Wyjdzie z tego? Odzyskał przytomność?

Lekarz spoważniał.

- Lady Madeleine. Prawdę mówiąc, Armand odniósł niezwykle ciężkie obrażenia. Bito w głowę, brzuch i górne części tułowia. Jest mocno spuchnięty, więc za wcześnie jeszcze na dalsze ustalenia. - Zobaczył przerażenie w jej oczach, więc uspokajającym ruchem położył jej rękę na ramieniu. - Przykro mi, moja droga, że nie mam trochę lepszych wieści. Może pani obecność tu w czymś pomoże. Kiedy go przyniesiono, przez cały czas szeptał pani imię.

Madeleine pokiwała głową i postanowiła sobie w duchu, że mimo wszystko nie będzie płakać.

- Gdzie on leży? - spytała. - Chcę go zobaczyć.

- Nie widzę żadnych przeszkód - odparł doktor. - Muszę panią uprzedzić, że to nie będzie zbyt przyjemny widok. Twarz Armanda została brutalnie zmasakrowana. Wygląda inaczej niż zwykle. Rozumie pani, co chcę przez to powiedzieć?

- Tak - szepnęła. - Ale nic mnie to nie obchodzi. Proszę mnie jak najprędzej do niego zaprowadzić.

- Oczywiście - zgodził się lekarz.

Madeleine popatrzyła na stojącego obok niej olbrzyma.

- Chodź ze mną - poprosiła. Montro skinął głową.

Kiedy szli długim, pustym i cichym korytarzem, echo kroków dźwięczało w jej głowie niczym jęk posępnego dzwonu. Całą swoją uwagę skupiała na tym, żeby iść w miarę prosto i nie opierać się o ściany. Z trudem zwalczała ogarniające ją przerażenie. Przecież musiała być silna i odpowiedzialna, choćby po to, by jak najlepiej pomóc Armandowi. Przy nim nie mogła się zachowywać jak histeryczka.

- To tutaj. - Doktor Ledette zatrzymał się przed zamkniętymi drzwiami na końcu korytarza. - Jest pani pewna, że tego chce?

- Nic mi nie będzie - powiedziała. Spostrzegła wyraz niepokoju na jego pobrużdżonej twarzy i dodała: - Niech się pan nie przejmuj, doktorze Ledette. Na pewno nie zemdleję.

- W takim razie daję pani pięć minut. Potem przyjdę go zbadać.

- Dziękuję, panie doktorze.

Lekarz odwrócił się i odszedł. Madeleine delikatnie dotknęła muskularnej ręki Wielkiego Montro.

- Zostaniesz tutaj? Nigdzie nie pójdziesz?

- Będę stał tuż za drzwiami.

Madeleine głęboko zaczerpnęła tchu, wyprostowała się, nacisnęła klamkę, weszła do środka i spokojnie zamknęła drzwi za sobą.

Pokój był maleńki i cały biały. Białe ściany, łóżko, biała pościel i zasłony. Jedyne światło padało z małej lampki stojącej obok łóżka na żelaznej szafce.

Madeleine czuła, że serce bije jej jak oszalałe. Na palcach podeszła do łóżka. Kiedy wyraźnie zobaczyła twarz leżącego Armanda, zdławiony okrzyk zgrozy wyrwał jej się z zaciśniętego gardła. Dłonią zakryła usta. Przez chwilę myślała, że zwymiotuje.

Dłuższy czas stała zupełnie bez ruchu, kilka kroków od łóżka, z dłońmi przyciśniętymi do ust. Kiedy się trochę uspokoiła, podeszła bliżej.

Stała z prawej strony łóżka, popatrzyła na Armanda i zaczęła płakać. Nieszczęśnik, który tuż przed nią, nieruchomo, niczym martwy, spoczywał w białej pościeli, w niczym nie przypominał jej kochanka. Ani trochę nie był podobny do przystojnego i smagłego de Chevaliera. Zmasakrowano go na krwawą miazgę. Całą twarz miał poobijaną, pociętą i posiniaczoną.

- Mój ty biedaku. - Przycupnęła na krawędzi łóżka. - Jestem tutaj, Armandzie - powiedziała, chociaż wiedziała, że jej nie usłyszy. - Jestem przy tobie, kochany. Nigdy cię nie opuszczę. Nigdy.

Postać rozciągnięta na łóżku nawet nie drgnęła.

Madeleine jednak wcale nie oczekiwała odpowiedzi. Gwałtownie zamrugła oczami, żeby powstrzymać łzy. Chciała go pocałować, ale na jego niegdyś urodziwej twarzy nie znajdowała miejsca, którego bez obawy, że sprawi mu ból, mogłaby dotknąć ustami.

Zastanawiała się, czy jego ciało jest w równie opłakanym stanie. Kołdrę miał podciągniętą aż pod samą brodę. Ostrożnie opuściła ją niżej, aż do pasa. Przygryzła usta, patrząc na ogromne sińce. Tors

Armanda w przeważającej części zakrywały bandaże, lecz tu i ówdzie, zwłaszcza na klatce piersiowej, widać było czarne i fioletowe plamy. Strupy zakrzepłej krwi pokrywały jego brzuch, ręce i ramiona.

- O mój Boże! O Boże! - zapłakała i delikatnie podniosła jedną z jego obandażowanych rąk i przycisnęła ją do piersi.

Starannie obejrzała jego dłoń, żeby odnaleźć mniej obolałe miejsce. Nie znalazła. Wreszcie pocałowała go w wewnętrzną stronę przegubu. Przeciągnęła ów pocałunek, chcąc sprawdzić, czy Armand rzeczywiście żyje. Uspokoila się, kiedy poczuła słabe tętno.

Powoli odłożyła jego bezwładną rękę na pościel. Przykryła go i powiedziała:

- Nie wolno ci mnie opuścić, Armandzie. Nie pozwolę ci na to. Kocham cię, najdroższy. Kocham cię i już nigdy nie pozwolę ci odejść.

Mijały minuty, a ona wciąż siedziała na łóżku, patrzyła na nieprzytomnego Armanda i zapewniała go o swojej miłości. Już nie płakała. Pochyliła się nad jego udręczoną twarzą. W tej samej chwili rozległo się pukanie i wszedł doktor Ledette.

- Proszę pozwolić, żeby Montro odwiózł panią do domu - powiedział. - Nic już tu pani nie działo i...

- Nie odejdę - odparła cichym, lecz stanowczym tonem - dopóki się nie obudzi.

- Ależ, dziecko, to może potrwać kilka godzin lub nawet dni!

- Zostanę z Armandem.

Madeleine siedziała przy łóżku Armanda przez całą dobę. Avalina zaczęła się o nią niepokoić. Błagała ją, żeby przyszła do domu i trochę odpoczęła. Madeleine odmówiła. Poprosiła ochmistrzynię, żeby przywiozła jej do szpitala świeżą zmianę ubrania. Nie zamierzała odejść od Armanda.

Montro trwał przy niej.

Jak zwykle spokojny, uparcie pełnił straż przed drzwiami sali, w której leżał de Chevalier. Nie chodziło mu wyłącznie o to, by bronić Madeleine. Wprawdzie nie wiedział, kto pobił Armanda, ale z liczby obrażeń wywnioskował, że chodziło o próbę zabójstwa. Podejrzewał, że złoczyńcy mogą powrócić, żeby dokończyć dzieła.

Avalina przychodziła do szpitala kilka razy dziennie, zatroskana o całą trojkę.

Stan Armanda nie wykazywał żadnej znaczniejszej poprawy. Madeleine ani na chwilę nie traciła nadziei. Siedziała przy nim i mówiła doń, jakby ją słyszał. Ciągle go przepraszała za to, że tak długo zwlekała z wyznaniem miłości. Była tchórzem, a teraz gorzko tego żałowała. Bała się przyznać, że go naprawdę kocha, bała się, że odejdzie od niej. Dopiero później zdała sobie sprawę, że zachowała się jak egoistka.

- Kocham cię, Armandzie, bardziej, niż przypuszczasz - powtarzała w kółko do nieruchomej postaci. - Kocham cię, najdroższy. Kocham cię i będę kochała zawsze.

Trzeciej, zdawałoby się, nieskończenie długiej nocy, Madeleine jak zwykle siedziała przy Armandzie, kiedy dzwon na katedralnej wieży wybił czwartą nad ranem. Madeleine, zupełnie sama, patrzyła w twarz chorego, szukając choćby najdrobniejszych oznak powrotu do przytomności. Trwało to już od kilku godzin.

Zmęczona i obolała od ciągłej czujności, wreszcie ostrożnie, by nie odczuł bólu, złożyła głowę na piersi Armanda. Jej policzek spoczął na białych bandażach, spowijających jego klatkę piersiową.

- Nie pozwolę ci odejść, kochany - zaszlochała. - Słyszysz mnie? Kocham cię i nigdy nie pozwolę ci odejść.

W tej samej chwili ciemne rzęsy Armanda drgnęły. De Chevalier próbował się podźwignąć ze wszechogarniającej go ciemności. Jakby gdzieś z dala docierał, do niego głos Madeleine, powtarzający słowa, które tak dawno chciał usłyszeć: „Kocham cię”. Usiłował otworzyć oczy. Kiedy wreszcie mu się to udało, tuż przed sobą zobaczył złotorude włosy, spoczywające mu na piersi. Nigdy w życiu nie patrzył na nic piękniejszego. Łzy mu nabiegły do zapuchniętych oczu.

Próbował się odezwać, wymówić jej imię, ale nie mógł wykrztusić ani słowa. Naprężył wszystkie mięśnie, żeby chociaż przesunąć rękę w jej stronę, lecz to też okazało się ponad jego siły. Uniósł ją najwyżej na centymetr i zaraz potem jego dłoń bezwładnie spoczęła na materacu, zbyt ciężka, aby ją utrzymać w górze.

Madeleine, mimo tego, kątem oka zauważyła ruch jego ręki. Chwyciła ją i przytrzymała w obu dłoniach. Jęknęła głucho. Powoli położyła mu rękę na piersiach.

- Kochani cię, Armandzie - powiedziała zduszonym głosem, - Słyszysz mnie?

Jakby w odpowiedzi, znów lekko poruszył palcami. Nie mogła w to uwierzyć. Serce biło jej tak mocno, jakby za chwilę chciało się wyrwać z jej piersi. Uniosła głowę i popatrzyła na zmasakrowaną twarz Armanda. Miał otwarte oczy! Spoglądał na nią.

- Och, mój kochany! - zawołała z triumfem. - Obudziłeś się! Wróciłeś do mnie!

Widziała, że jego krtąń drgnęła kilkakrotnie. Chciał coś powiedzieć. Nowe łzy napłynęły jej do oczu. Pocałowała go w popękane usta.

- Cicho - szepnęła - Nic nie mów. Teraz odpocznij, kochany.

Armand czuł na twarzy jej łzy i pocałunki. Wykrzywił się w bolesnym uśmiechu i wycharczał:

- Cherie. Jesteś tutaj czy umarłem i poszedłem do nieba?

- Jestem przy tobie, Armandzie - zapewniła go, śmiejąc się i płacząc zarazem.

Lord Enfield pomалу zaczął odzyskiwać spokój. Nie martwił się już tak bardzo jak przed paroma miesiącami.

Smallwoodowie powiedzieli mu, że mimo wszelkich starań nie zdołali zabić de Chevaliera, Przeszkodzili im w tym jacyś przypadkowi świadkowie. Desmond wpadł w szal, gdy tylko o tym usłyszał.

- A niech was obu cholerne piekło pochłonie! - ryknął na całe gardło do Burtona. - Chcesz mi powiedzieć, że zostawiliście go przy życiu?!

- Wciąż oddychał - przyznał Burton - ale na pewno nie dotrwał do rana.

- Lepiej, żeby tak było!

Następnego ranka lord Enfield ze szczególnym zainteresowaniem przejrzał poranne wydanie „New Orleans Bee”. Artykuł, którego szukał, był na pierwszej stronie. Tekst głosił, że rodowity mieszkaniec Nowego Orleanu i właściciel kasyna „The Beaufort”, Armand de Chevalier, został pobity przez nieznaną sprawców. Znalaziono go w bocznym zaułku w stanie agonalnym. Natychmiast został przewieziony do szpitala, ale lekarze nie rokują mu większych szans na przetrwanie.

- Dobry Boże! Ten drań wciąż jeszcze żyje! - pieklił się Desmond. - Szlag by go trafił! Czy ci przekłeci Smallwoodowie nie potrafią niczego załatwić do końca?

Poprzez swoje znajomości lord Enfield wiedział wszystko o stanie zdrowia Armanda. Kilka razy dziennie dostawał dokładne raporty ze szpitala. Wszystkie brzmiały tak samo. Żadnej zmiany. Ciągłe nieprzytomny.

Po trzech dniach Desmond Chilton przestał się obawiać. Bo niby po co w takiej sytuacji miał niepotrzebnie tracić nerwy? Przy odrobinie szczęścia może się okazać, że Kreol nigdy nie odzyska przytomności. A nawet, gdyby odzyskał, nie powinien sprawiać kłopotów.

Desmond słyszał, że mimo porad prawnych i pomocy Armanda Madeleine nie udało się odnaleźć zaginionego testamentu Colfaksa Sumnera. Nikt, łącznie z nim, nie wiedział, co się stało z tym dokumentem. Lord Enfield nie miał najmniejszego pojęcia, kto poza nim i Madeleine mógłby znać szyfr do sejfu. W każdym razie tajemniczy złodziej nie zamierzał skorzystać ze swojej zdobyczy. Bóg z nim. Oby tak dalej.

Zbliżał się pierwszy czerwca. Jeszcze dwa tygodnie. De Chevalier był bliski śmierci, a Madeleine spędzała całe dni w szpitalu. To oznaczało koniec poszukiwań.

Desmond uśmiechnął się z zadowoleniem. Życie było naprawdę piękne. Wkrótce on, earl Enfield, miał przejąć całkowitą kontrolę nad ogromnym majątkiem Colfaksa Sumnera i w ciągu jednego dnia pospłacać wszystkie długi. Będzie mógł kupić wspaniałe posiadłości w Nowym Jorku, Paryżu i Londynie. Wybierze się w podróż dookoła świata we własnej salonce i własnym pełnomorskim jachtem. A Dominique dostanie stos brylantów, futer i pięknych sukni. Nie będzie już przez cały czas pozostawać w ukryciu.

I najważniejsze - on, który przez całe życie nienawidził pracy, nie będzie musiał już nigdy imać się żadnych zajęć.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DZIEWIĄTY

Po sześciu dniach pobytu w Szpitalu Głównym w Nowym Orleanie Armand de Chevalier, któremu nawet najlepsi lekarze nie dawali szans na przeżycie, o własnych siłach wstał z łóżka. Blady jak kreda i podtrzymywany z jednej strony przez Wielkiego Montro, a z drugiej przez Madeleine, uśmiechał się promiennie do zatroskanego doktora Ledette'a.

- Wolałbym, synu, żebyś jeszcze przez parę dni pozostał w szpitalu - powiedział zafrasowany lekarz. - Wcale nie wydobrzałeś.

- Będę się oszczędzał, doktorze - obiecał Armand. Doktor Ledette potrząsnął siwiejącą głową.

- Mam nadzieję.

Na ulicy Armand skrzywił się i zmrużył oczy przed jasnym majowym słońcem. Montro szybko wsadził go do powozu. Madeleine wsiadła tuż za nim, zaciągnęła szczelnie zasłonki, objęła go i mocno przytuliła do siebie. Montro zamknął drzwiczki, wskoczył na kozioł i zawiózł ich prosto do Pontalby.

Zastanawiali się, dokąd jechać, jeszcze przed wyjściem Armanda ze szpitala. Madeleine i Avalina namawiały go, żeby zamieszkał w rezydencji przy Royal Street. Montro ostrzegł jednak, że da to powód do wielu niepotrzebnych plotek. Armand zgodził się z nim bez wahania, a Madeleine, po krótkim namyśle, musiała przyznać im rację. Zauważyła przy tym, że i tak będą plotki, bowiem bez względu na okoliczności zamierzała nadal opiekować się Armandem i spędzać z nim każdą chwilę.

Dotrzymała słowa. Niemal nie wychodziła z pokoju de Chevaliera.

Wyjątkiem były tylko noce.

Każdego wieczora, dla zachowania pozorów, wracała powozem do siebie, na nocny spoczynek. Wstawała bardzo wcześnie i po kąpieli znowu jechała do ukochanego.

Montro nie mógł być w dwóch miejscach naraz, więc dla dalszej ochrony Armanda zaproponowała potężnego jak niedźwiedź odźwiernego z kasyna „The Beaufort”. Odźwierny, dumny z powierzonej mu misji, do końca maja niemal nie odchodził spod drzwi apartamentu.

Doktor Ledette zaglądał do Pontalby każdego ranka, żeby dowiedzieć się o stan pacjenta. Kilka razy przyszedł w towarzystwie

córki, Melissy. Przy pierwszym powitaniu Melissa serdecznie uściskała Madeleine i szepnęła jej wprost do ucha:

- Skoro nie mogę mieć Armanda dla siebie, to się okropnie cieszę, że przynajmniej ty go dostałaś.

Równie często przychodziła wierna Avalina. Opiekowała się Armandem tak samo troskliwie jak Madeleine. W południe przynosiła obiad, przygotowany specjalnie z myślą o chorym. Wieczorem zjawiała się znowu, tym razem z pożywną kolacją.

Montro wiedział, że zakochanym nie należy przeszkadzać, więc nie narzucał im się z towarzyszeniem. Nigdy nie wchodził sam do pokoju. Zawsze czekał na wezwanie Madeleine. Z reguły obserwował budynek z dala, z posterunku po drugiej stronie ulicy, na Jackson Square.

Godziny, które Madeleine spędzała z Armandem podczas jego rekonwalescencji, były prawdziwym wytchnieniem dla obojga. Długie i ciepłe popołudnia należały wyłącznie do nich. Między pierwszą a szóstą cieszyli się wyłącznie swoim towarzyszeniem. To było wprost cudowne.

W przytulnym odosobnieniu zażywali błęgiego spokoju. Madeleine była tak szczęśliwa, że Armand uszedł z życiem po brutalnym napadzie, że nie myślała nawet o własnym nieszczęściu i o groźbie utraty spadku. Liczyło się tylko to, że znów - tak jak dawniej - mogła bezpiecznie spoczywać w ramionach Armanda.

Podczas tych leniwych dni o wiele lepiej poznali się nawzajem. Na prośbę de Chevaliera Madeleine opowiedziała wszystko o swoim życiu w Anglii i o szczęśliwym dzieciństwie. Choć była jedynaczką, nigdy nie czuła się samotna, bo miała dwoje najbardziej kochających rodziców na świecie. Straciła ich w odstępie kilku krótkich lat i wciąż za nimi ogromnie tęskniła.

Niespokojnie kręcąc w palcach pukiel złotorudych włosów, wspomniała mu także o małżeństwie z przystojnym młodzieńcem z gminu. O niefortunnym związku, który przyniósł jej tylko smutek i rozczarowanie. Kiedy zaczęła mówić o lordzie Enfieldzie, przyznała wprost, że nigdy go nie kochała. Zgodziła się na ten związek wyłącznie dlatego, że Desmond budził jej nieklamany podziw i że uważała go za człowieka honoru, łagodnego, stanowiącego całkowite przeciwieństwo jej pierwszego męża.

- Byłam wprost przerażona - powiedziała z głębokim namysłem - kiedy spadła z niego maska i po raz pierwszy zobaczyłam jego prawdziwe oblicze. Przekonałam się, że mam do czynienia z zadufanym w sobie, bezwzględny i pozbawionym skrupułów draniem. W ogóle go nie obchodziłam! Chciał jedynie pieniędzy wuja Colfaksa. Do końca życia będę przekonana, że to on stał za śmiercią wuja. Ogarnia mnie strach, kiedy pomyślę, że omal go nie poślubiłam.

Armand wyciągnął rękę, wziął ją w objęcia i przyciągnął bliżej do siebie.

- Na szczęście tak się nie stało. Teraz już jesteś bezpieczna. Jesteś ze mną.

- Tak - westchnęła, tuląc się do niego. - Co za ironia losu, prawda? Pierwszy raz, gdy cię zobaczyłam, pomyślałam sobie: co za awanturnik! Ze znajomości z nim wynikną same kłopoty.

Armand roześmiał się z całego serca.

- Wiem, wiem! Budziłem w tobie przerażenie.

- Nieprawda! - zawołała stanowczym tonem. - Nie boję się nikogo i niczego.

On jednak dał się przekonać. Pocałował ją i powiedział cicho:

- Nie bój się mnie kochać, najdroższa. Popatrzyła mu prosto w oczy i odparta:

- Nie boję się. Oddałam ci całe serce, Armandzie. Zaufałam ci.

- Nigdy nie będziesz tego żałować, chérie.

- Wiem, że nie będę - szepnęła, pewna jego uczuć. Westchnęła z cichą satysfakcją, a potem dodała: - Na razie to tylko ja mówię niemal bez przerwy. A co z twoją rodziną? Nigdy mi o niej nie opowiadałeś.

Armand uśmiechnął się.

- Mój ojciec był inteligentnym i dalekowzrocznym człowiekiem, pełniącym rolę sędziego okręgowego - zaczął. - Matka miała ciemne oczy i ciemne włosy, była bardzo piękna i uwielbiała ludzi i zabawy. Kochali mnie i kochali siebie nawzajem. Tak jak ty nie miałem rodzeństwa, więc jak zapewne się domyślasz, byłem wprost bezgranicznie rozpieszczony. - Wyraz zadumy pojawił się na jego twarzy. - Kiedy miałem siedemnaście lat, oboje zmarli podczas wielkiej epidemii żółtej febry, w czterdziestym trzecim. Opuścili mnie tego samego dnia, dosłownie w ciągu kilku godzin. Nie wiem, dlaczego sam nie zachorowałem. Opiekowałem się nimi, lecz zaraza mnie nie dotknęła.

- Tak mi przykro, Armandzie.

- Nie byłem jedynym, który tamtego lata stracił swoich najbliższych - odparł. Potem szybko zmienił temat. - Dorastałem w przyspieszonym tempie, Maddie. Stałem się prawdziwym dzikusiem. W młodości popełniłem mnóstwo błędów i rzetelnie zasłużyłem sobie na niezbyt pochlebną opinię. Nie zaprzeczam, że przez moje życie przewinęło się wiele kobiet, ale przysięgam ci, że żadnej z nich naprawdę nie kochałem.

Pięknie wykrojone brwi hrabiny uniosły się w wyrazie powątpiewania.

- Naprawdę! - zapewnił ją Armand. - W ogóle nie wiedziałem, co to znaczy miłość, dopóki nie poznałem ciebie. Zakochałem się już za pierwszym razem, kiedy trzymałem cię w ramionach. Kocham cię nadal i nie pragnę nikogo innego.

Przerwał na chwilę, a później dorzucił:

- Wiem, że na ciebie nie zasługuję. Na pewno ci się nie podoba, że jestem właścicielem kasyna. Sprzedam je, Maddie. Mam mnóstwo innych dóbr, wliczywszy w to plantację w górze rzeki. Jeśli chcesz, wyjedziemy tam zaraz po ślubie i...

Madeleine przyłożyła mu palec do ust, żeby go uciszyć.

- Nie, kochanie - powiedziała. - Chcę żyć u twojego boku w samym sercu tego romantycznego miasta i nie mam nic przeciwko temu, abyś nadal prowadził kasyno.

- Naprawdę? - spytał i wyraz ogromnej ulgi zagościł na jego twarzy.

Madeleine roześmiała się.

- Naprawdę. Kocham cię takim, jaki jesteś. Wcale nie musisz się dla mnie zmieniać.

Energicznie pokręciła głową.

- No, prawie - dodała po chwili zastanowienia. - Musisz mi przyrzec, tu i teraz, że od dzisiaj będę jedyną kobietą w twoim życiu.

- Przyrzekam ci z całego serca!

I tak im płynęły chwile, kiedy siedzieli sami w przestronnym apartamencie, spędzając czas na rozmowach, marzeniach, wypoczynku i drzemce. Pod czułą opieką Madeleine Armand błyskawicznie powracał do zdrowia. Jego twarz z wolna odzyskiwała dawną urodę i wygląd. Mógł już nieco otworzyć zapuchniętą powiekę

i mógł delikatnie całować popękkanymi ustami. Co dzień stawał się silniejszy i błogosławił hrabinę za wszystko, co dlań zrobiła.

Madeleine z dumą przyjmowała jego pochwały i komplementy. Cieszyła się razem z nim. Przez całe życie wszyscy jej nadskakiwali. Teraz ona mogła o kogoś zadbać i sprawiało jej to niewysłowioną radość.

Armand też się cieszył każdym dniem i minutą.

Czuł się jak w niebie, kiedy drobne dłonie Madeleine masowały mu kark i plecy. Z radością poddawał się jej zabiegom podczas gorących kąpeli i częstych zmian opatrunków. Bawiło go, kiedy siadała przed nim z talerzem w ręku i próbowała go karmić, jakby miała do czynienia z bezradnym niemowlęciem. A najbardziej był zadowolony, gdy w ciepłe majowe popołudnia kładła się obok niego w łóżku, opuszczała moskitierę i leżała tak blisko, że wyczuwał każde uderzenie jej serca.

Niejednokrotnie słyszał wówczas we wszechobecnej ciszy jej cichy szept:

- Kocham cię, Armandzie. Kocham cię i jak tylko trochę wydobrzejesz, udowodnię ci, czym jest moja miłość.

- Udowodnij mi teraz - przekomarzał się z nią, wiedząc, że to niemożliwe.

- Nie - odpowiadała stanowczym tonem. - Lekarz wyraźnie mówił, że nie możesz się nadwerężyć.

- Nie będę - nie ustępował. - Ty wszystko za mnie zrobisz.

- Już niedługo, kochany. Już niedługo.

- Jesteś okrutna, hrabino.

- Owszem, ale w pełni należę do ciebie, więc chyba mogę sobie pozwolić na odrobinę okrucieństwa.

- Co masz na myśli?

- Torturę włosów - odpowiadała z szatańskim uśmieszkiem. Stawała na czworakach, zgarniała włosy przez głowę, pochylała się tuż nad jego piersią i powoli, zamiatającym ruchem, kołysała ramionami. Rude kosmyki lekko łaskotały go po skórze.

Uwielbiał tę zabawę, a ona dobrze o tym wiedziała. Zresztą za pierwszym razem sam ją o to poprosił. Przystawała dopiero wówczas, gdy błagał chrapliwie:

- Nie, kochanie, już nie wytrzymam. Jeśli chcesz, żebym doszedł do zdrowia, to trzymaj się ode mnie jak najdalej.

Do upływu wyznaczonego przez sąd terminu pozostały zaledwie dwadzieścia cztery godziny.

Lord Enfield przebywał właśnie w willi Dominique przy North Rampart Street. Z uśmiechem zacierał dłonie. Majątek Colfaksa Sumnera miał niemal w ręku.

Zasłużył sobie na niego.

Przez trzy niemiłosiernie długie miesiące z niepokojem wyczekiwał, bojąc się, że ktoś znajdzie ten cholerny testament Colfaksa i zniszczy jego marzenia. Na szczęście tak się nie stało. I już nie stanie.

Jutro, dokładnie o tej samej porze, cały majątek Sumnera przejdzie w moje ręce, pomyślał. Wielkie dobra, nieruchomości, pieniądze i złoto będą do mojej wyłącznej dyspozycji. Stanę się jednym z najbogatszych ludzi Ameryki.

Był szczęśliwy jak nigdy w życiu. Odruchowo klaskał i śmiał się na przemian.

Siedząca przed lustrem Dominique odłożyła szczotkę do włosów i popatrzyła na niego z wyraźnym niepokojem.

- Co się stało? - spytała ze zmarszczonymi brwiami.

- Co się stało? - powtórzył. Łzy śmiechu ciekły mu po policzkach. Rzucił się na łóżko i zaczął wymachiwać nogami w powietrzu. Otwartą dłonią walił w prześcieradło.

- Co się stało? Powiem ci, co się stało, moja ty gołąbeczko. Otóż ja, Desmond Chilton, czwarty earl Enfield, jestem bogaty, bogaty, bogaty! Mam więcej pieniędzy, niż zdołałbym wydać do śmierci, choćbym nawet żył dziesięciokrotnie dłużej! - wołał, po każdym zdaniu znów wybuchając niepohamowanym śmiechem. - Ale spróbuję! Spróbuję wydać tę przeklętą forszę! Tak, tak. Przez całą resztę życia będę miał wszystko, czego zapragnę! Będę robić, co mi się spodoba! Kupię wszystko i wszystkich! Zrobię...

Wył, śmiał się obłądnie i krzyczał na całe gardło różne bezeceństwa, chwalił się, czego dokona i co naprawdę zdoła, gdy jutro przejmie na własność spadek po Colfaksie Sumnerze.

Dominique przypatrywała mu się z rosnącą niechęcią. Nie podobał jej się ten szaleńczy wybuch radości. Zachowanie Desmonda obudziło w niej nagły niepokój. Zachowywał się jak niespełna rozumu i wygadywał przedziwne bzdury.

Co to znaczy na przykład: „Kupię wszystko i wszystkich”? - myślała z obawą. Zawsze przecież zaręczał, że nie pragnie nikogo poza nią. Miała mu wierzyć? Przecież może się zdarzyć, że kiedy już będzie bogaty, znajdzie sobie inną, a o niej zapomni.

Może w ogóle jej nie zechce?

Dominique zdecydowanym ruchem uniosła się ze stołka i podeszła do łóżka. Powoli rozwiązała pasek jedwabnego szlafroka, nie rozebrała się jednak. Pozwoliła, by Desmond widział jedynie mały fragment jej gładkiego śniadego ciała. Usiadła na skraju łóżka i spytała:

- A co powiesz na całkiem nowe doświadczenie?

Desmond śmiał się nadał, lecz powoli odwrócił głowę i popatrzył na nią. Kiedy wreszcie odzyskał oddech, powiedział:

- To naprawdę wielce kusząca propozycja, Dom, ale obawiam się, że nie ma takiej rzeczy na świecie, której tu, w tej sypialni, jeszcze nie próbowaliśmy.

- Mylisz się, kochany - odparła z tajemniczym, kocim uśmiechem. - Mam ci powiedzieć, co to?

Przestał się śmiać. Wpatrywał się w nią jak urzeczony, Poczuł, że ogarnia go fala podniecenia. Naprawdę było coś, czego jeszcze nie znał? Krew zaczęła mu szybciej krążyć w żyłach. Z narastającą ciekawością patrzył na dziewczynę. Ona zaś tymczasem wstała i rozkołysanym, uwodzicielskim krokiem przeszła przez sypialnię w stronę dużej mahoniowej szafy.

Otworzyła ciężkie podwójne drzwi, wyciągnęła dolną szufladę i coś z niej wyjęła. Desmond nie widział co. Zatrzasnęła szufladę, zamknęła drzwi i odwróciła się w kierunku łóżka. Ręce schowała za sobą, nie pokazując, co w nich trzyma.

Lord Enfield otworzył szeroko oczy ze zdumienia, kiedy kazała mu usiąść i spuścić nogi na podłogę. Posłuchał jej bez sprzeciwu. Serce waliło mu jak oszalałe z trwożnego oczekiwania.

Dominique stanęła tuż przed nim, w rozchylonym szlafroku, wciąż trzymając ręce za sobą. Pochyliła się i zaczęła mu coś szeptać do ucha. Jak najdokładniej opisała mu co go za chwilę czeka. Lord Enfield był tak podekscytowany, że nie mógł wykrztusić ani słowa, w milczeniu więc kiwał głową.

Dziewczyna wyprostowała się, uśmiechnęła i zapytała:

- Powiedz mi teraz, czy kiedykolwiek znajdziesz gdzieś lepszą ode mnie kochankę?
- Och, nie. Dom, należy wyłącznie do ciebie.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY

Nadeszła wyznaczona godzina.

Skończył się czas, w którym hrabina miała odnaleźć zaginiony testament Colfaksa Sumnera.

Pierwszego czerwca panowała upalna i mokra pogoda. Lato brało już odwet na mieszkańcach Nowego Orleanu za wiosenne dni radosnej beczynności. W lepkiem powietrzu panował całkowity bezruch. Nawet najmniejszy powiew nie mącił powierzchni rzeki. Na przejrzystym niebie nie pojawiła się żadna chmura, dająca choćby nikłą nadzieję na deszcz.

Punktualnie w południe w biurze wyznaczonego przez sąd powszechnie szanowanego prawnika, Jaya E. Jernigana, przy Toulouse Street, spotkały się strony roszczące sobie prawo do spadku po zmarłym przed trzema miesiącami Colfaksie Sumnerze.

Lord Enfield z trudem ukrywał podniecenie. Na wszelki wypadek przyszedł w asyście adwokata. Grzeczny i uśmiechnięty, szarmancko uniósł się z fotela i głębokim ukłonem powitał wchodzącą lady Madeleine. Nie odpowiedziała na jego pozdrowienie, ale on wcale się tym nie przejął. Dopiero gdy uniósł głowę i napotkał pogardliwe spojrzenie Armanda, jego radosny uśmiech przygasł.

Wzruszył ramionami i usiadł.

Na wezwanie prawnika Madeleine i Armand podeszli do długiego i błyszczącego stołu narad i zajęli miejsca naprzeciwko lorda Enfielda i jego adwokata. Okna były otwarte na oścież, ale niewiele to pomagało. W sali konferencyjnej panował dokuczliwy upał.

- Czy przyszli już wszyscy, którzy mieli obowiązek stawić się dzisiaj na tym posiedzeniu? - oficjalnie spytał Jay Jernigan, wodząc wzrokiem od Madeleine do Desmonda.

- Tak jest - odpowiedziała Madeleine i rozłożyła wachlarz, żeby choć trochę ochłodzić zaczerwienioną twarz.

- Wszyscy - rzucił Desmond niedbałym tonem. - Możemy zaczynać?

Mecenas Jernigan spojrzał na niego ostro znad drucianych okularów. Zajął miejsce na szczycie stołu, otworzył teczkę i wyjął z niej stary testament Colfaksa Sumnera. Położył dokument na stole, nakrył go dłońmi, przepaszającym wzrokiem popatrzył na hrabinę i powiedział:

- Lady Madeleine, zgodnie z ustaleniami podjętymi przez sąd stanu Luizjana nałożono na panią obowiązek, aby do dnia pierwszego czerwca bieżącego roku przedstawiła pani spisany notarialnie testament zmarłego wuja, opatrzony późniejszą datą niż ta, która widnieje na poprzednim, prowizorycznym dokumencie. W przeciwnym wypadku nie mam innego wyjścia, jak...

W tej samej chwili w budynku, w którym mieściło się biuro prawnika, pojawiła się Avalina, eskortowana przez Wielkiego Montro. Od tygodni z niepokojem czekała na ten moment.

Montro jak zwykle pozostał na ulicy. Avalina wbiegła po schodach, minęła zdeorientowanego jej wtargnięciem urzędnika, pchnęła drzwi sali konferencyjnej i weszła do środka.

Końce jej białego tignon wojowniczo sterczały w górę. Wystraszony asystent Jernigana deptał jej po piętach. Avalina, nie zwracając na nikogo uwagi, zachowywała się, jakby od dawna była zaproszona na to spotkanie.

- Bardzo przepraszam, panie mecenasie - wołał od progu asystent. - Usiłowałem ją zatrzymać, ale...

- Wszystko w porządku, Benny. - Jay Jernigan odprawił go ruchem ręki. Potem surowo spojrzał na Avalinę. - Cóż oznacza to najście, madame? Omawiamy tutaj niezwykle ważne osobiste sprawy i nie należy nam przeszkadzać. Musi pani natychmiast opuścić tę salę.

- Wyjdę, proszę pana, jeśli najpierw pan rzuci okiem na to, co przyniosłam.

Wszystkie oczy spoczęły na niej. Avalina uśmiechnęła się, sięgnęła do torebki i wyjęła stamtąd złożony na czworo arkusz papieru. Podeszła do stołu, położyła dokument przed nosem Jernigana i oznajmiła głośno;

- Ostatnia wola i testament Colfaksa Sumnera!

Chóralny jęk wyrwał się z ust zebranych, nie wyłączając Jaya Jernigana. Armand i Madeleine wymienili zaskoczone spojrzenia. Przez chwilę w sali konferencyjnej panowała pełna zdumienia cisza.

A potem wybuchła wrzawa.

Prawnik wziął dokument do ręki, żeby go przeczytać. Lord Enfield, załamując dłonie, zaczął piskliwie protestować.

- Niech pan natychmiast każe swoim asystentom zawiadomić policję! - wołał. - Trzeba stąd usunąć tę starą wariatkę, byśmy mogli w spokoju dokończyć...

Madeleine nie zwracała najmniejszej uwagi na jego zachowanie.

- Skąd to masz, Avalino? - spytała ze zdumieniem. - Gdzie to znalazłaś?

Ochmistrzyni uśmiechnęła się przepaszająco.

- Przez cały czas testament był u mnie, lady Madeleine - przyznała. - Zabrałam go z sejfu na krótko przed śmiercią pani wuja.

- Kłamiesz! - krzyknął czerwony jak burak lord Enfield. - Nieprawda! Poprzedni testament zostanie utrzymany w mocy! Na miłość boską, Jernigan, powiedz im, że tak jest w istocie!

Prawnik sprawiał wrażenie, jakby tego w ogóle nie słyszał. W skupieniu czytał dokument przedstawiony mu przez Avalinę.

Madeleine w dalszym ciągu nie rozumiała postępowania lojalnej służącej i wieloletniej powiernicy Colfaksa.

- Dlaczego, Avalino? - pytała gorączkowo. - Dlaczego to zabrałaś?

- Bałam się, że coś złego przytrafi się panu Colfaksowi - z przejściem odpowiedziała ochmistrzyni. - I rzeczywiście tak się stało.

Madeleine pokiwała głową.

- Ale dlaczego w takim razie aż tyle czekałaś, aby ujawnić, że dokument naprawdę istnieje? W ogóle tego nie pojmuję.

- Nie ma tym nic niezwykłego! - parsknął ze złością lord Enfield. - Ten „testament” to zwykły i bezwartościowy świstek zapisanego papieru!

Nie potrafił jednak opanować narastającego zdenerwowania. Doskonale wiedział, że testament zniknął z sejfu Colfaksa jeszcze przed morderstwem. Czyżby więc rzeczywiście jakimś dziwnym trafem wpadł w ręce tej wścibskiej służącej?

Avalina zdawała się nie słyszeć jego gniewnych okrzyków. Rozmawiała wyłącznie z hrabiną.

- Musiałam to zrobić po swojemu, milady. Gdybym postąpiła inaczej, mogłaby pani nieopatrznie wyjść za lorda Enfielda. - Rzuciła groźne i niechętne spojrzenie w kierunku Desmonda. - Chciałam dać pani trochę czasu, żeby sama się pani przekonała, jaki to łotr i prostak. Chciałam też - tu uśmiechnęła się do Armanda - aby lepiej poznała się pani z panem de Chevalierem.

- Rozumiem - pokiwała głową Madeleine.

- Podejrzewałam, że lord Enfield nie będzie zbyt mocno nastawał na małżeństwo, gdy i bez tego będzie miał majątek w zasięgu ręki -

ciągnęła Avalina. - W gruncie rzeczy myślał wyłącznie o pieniądzach pana Sumnera.

- Niech cię Bóg błogosławi, kochana Avalino - po raz pierwszy odezwał się uśmiechnięty Armand. - Postąpiłaś bardzo dobrze.

Czerwony ze złości lord Enfield zerwał się z fotela. Oto ogromna fortuna bezpowrotnie przeciekła mu przez palce. W niewybrednych słowach zwymyślał Avalinę. Nie skończył jeszcze, kiedy drzwi sali konferencyjnej ponownie stanęły otworem i do środka weszło dwóch policjantów.

- Nareszcie! - krzyknął Desmond Chilton i oskarżycielskim ruchem wskazał na Avalinę. - Jak najprędzej zabierzcie tę czarną wariatkę!

- Przyszliśmy raczej po pana - powiedział wyższy z funkcjonariuszy, kierując się w jego stronę.

- Po mnie? - Desmond wybałuszył oczy. Ze złością tracił swojego adwokata w ramię. - Nie siedź tak, idioto! Co się tu dzieje?

- Nie... nie mam pojęcia - wybełkotał prawnik i niepewnie uniósł się z miejsca.

- Nie możecie mi tego zrobić! Wecie, kim jestem? Dostyc! - krzyczał Desmond, kiedy policjanci zakuwali go w kajdanki. - Co to wszystko znaczy? Czyście powariowali? Dlaczego mnie zabieracie?

- Jest pan aresztowany pod zarzutem morderstwa Colfaksa Sumnera - lakonicznie poinformował go jeden z policjantów.

- Morderstwa? - zakrzuszył się Desmond, już nie na żarty przerażony. - Byłem zupełnie gdzie indziej tej nocy, kiedy umarł!

Popatrzył na Madeleine, jakby u niej szukał potwierdzenia.

- Spytajcie jej! Była ze mną! Poszliśmy do opery.

- Wiemy, gdzie pan przebywał w tym czasie - przerwał mu policjant - Wiemy także, że wynajął pan dwóch zabójców, którzy wdarli się wieczorem do domu Sumnera z zamiarem popełnienia zbrodni. Zapłacił im pan za to,

- Nie. To kłamstwo. Nic takiego nie zaplanowałem. Sumner zmarł na atak serca. Wszyscy o tym wiedzą! Popełniacie okropną pomyłkę. Nie mam nic wspólnego z jego śmiercią.

- Wybrał pan niewłaściwych ludzi do tak brudnej roboty, lordzie Enfield - odezwał się policjant. - Jeden z nich przechwalał się pewnej prostytutce, dużo mówiąc o swoich wyczynach. Powiedział jej, że to pan ich wynajął. Po aresztowaniu obaj natychmiast wymienili pańskie

nazwisko. Zaręczali wręcz, że to był pański pomysł. Że pragnął pan śmierci Sumnera, żeby przejąć na własność jego wielką fortunę.

- Nie, nie. To nieprawda. Powtarzam wam - bełkotał przerażony lord Enfield. - Moja kochanka! Idźcie do niej, spytajcie ją, na pewno potwierdzi.

- Byliśmy już u niej. Dziś rano rozmawialiśmy z kwarteronką imieniem Dominique. Załamała się podczas śledztwa i przyznała, że zaplanował pan morderstwo.

- Co za niewdzięczna suka! - ryknął Desmond. - Sama najbardziej na to nastawała! Powiedziała wam o tym? Trafiła do więzienia?

- Nie. Nie znaleźliśmy przeciwko niej żadnych dowodów. Po wyjaśnieniach została zwolniona. Prawdopodobnie ma zamiar wyjechać z Nowego Orleanu.

- Jest tak samo winna jak ja! - krzyczał lord Enfield. - Tak samo! Bardziej ode mnie domagała się śmierci Sumnera! To ją przede wszystkim trzeba aresztować!

Policjanci zabrali go za drzwi, choć szarpał się i przeklinał. Wystraszony adwokat chyłkiem pospieszył za nimi.

- No cóż... - westchnął niewzruszony jak skała Jay Jernigan, gdy wszystko się uspokoiło. - Chyba możemy już wrócić do naszych spraw.

Ciepło uśmiechnął się do Madeleine i powiedział:

- Dokument, który trzymam w ręku, bez najmniejszych wątpliwości jest najnowszą wersją ostatniej woli Colfaksa Sumnera, unieważniająca tym samym wszelkie spisane uprzednio testamenty.

Popatrzył nad nią sponad okularów.

- Jak pani zapewne wie, lady Madeleine, cały majątek zmarłego przechodzi w pani ręce.

- Dziękuję panu, mecenasie Jernigan - z ulgą odparła Madeleine.

- Proszę dziękować nie mnie, lecz Avalinie - powiedział z przyjaznym uśmiechem. - A teraz...

Zawiesił głos.

- Może przejdziemy do mnie, do gabinetu? Jest taki upał, że chętnie napiję się czegoś zimniejszego.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIERWSZY

Wieczór tego samego upalnego czerwcowego dnia.

Z wieży kościoła rozległo się bicie dzwonu.

Piękna dama w koronkowym welonie upiętym na złotorudych włosach stanęła u boku śniadego, wysokiego mężczyzny przed ołtarzem w katedrze Świętego Ludwika.

Tylko dwoje świadków obserwowało tę cichą, wieczorną uroczystość. Uśmiechnięta szeroko Avalina siedziała w pierwszej ławce, wachlując się zawzięcie. Obok niej stał Wielki Montro z czołem mokrym od potu, lecz radośnie uśmiechnięty.

- ...i ogłaszam was mężem i żoną - zakończył zgarbiony ksiądz staruszek.

Armand odwrócił się, wziął żonę w objęcia i gorąco pocałował.

Potem wyszli pod gradem ryżu rzucanego przez Avalinę i Montro. Minęli ciężkie frontowe drzwi, zbiegli po kamiennych schodach i wsiedli do czekającego powozu.

Kiedy Armand zamknął drzwiczki, na ciemnym niebie pojawiła się jasna błyskawica. Nad miastem przetoczył się huk gromu.

Zaczęło padać. Powóz rażno toczył się mokrymi ulicami w stronę St. Louis Hotel. W chwili gdy młoda para wchodziła do luksusowego apartamentu dla nowożeńców, lało już jak z cebra. Rozpoczęła się kolejna tropikalna ulewa. Zasłony w oknach buduaru zafurkotały niczym sztandary. Chłodny, rześki powiew przepędził duchotę.

- Powinniśmy chyba zamknąć okna i drzwi balkonu - zauważyła Madeleine.

- Nie, lepiej niech zostaną otwarte - sprzeciwił się Armand.

- Napada do środka, kochanie.

- A niech napada. - Uśmiechnął się i mrugnął do niej okiem. - O ile dobrze pamiętam, najbardziej lubisz się kochać podczas sztormu lub burzy.

- Naprawdę?

- Naprawdę, chérie.

Nie spojrzeli nawet na suto zastawiony stół, przygotowany na ich cześć przez dyrekcję hotelu, ani na słynną złotą zastawę. Armand otworzył butelkę zimnego szampana, napełnił dwa kieliszki i jeden z nich wręczył hrabinie.

Deszcz szumiał na kamiennym balkonie. Wiatr dał z coraz większą siłą. Szczęśliwa para wypijała toast za wieczną i niezmienną miłość.

- Na co masz teraz apetyt, chérie? - łagodnie zapytał Armand.

- Na pewno nie na ucztę - uśmiechnęła się w odpowiedzi i zdjęła z włosów złoty diadem. Rude loki lśniąca kaskadą opadły jej na ramiona i zafalowały w podmuchach wpadającego przez okno wiatru.

Armand wyjął z jej rąk kieliszek i odstawił go na bok. Potem wziął ją w ramiona.

Madeleine objęła go za szyję. Westchnęła krótko, uśmiechnęła się i powiedziała z rozmarzeniem:

- Och, mój kochany. Taka jestem szczęśliwa. Armand uniósł ją jak piórko i zaniósł do łóżka. Oboje

wybuchnęli śmiechem, kiedy deszcz wdarł się do pokoju i niesiony wiatrem, spryskał ich twarze milionami kropel. De Chevalier postawił hrabinę przy łóżku.

- Taka jestem szczęśliwa - powtórzyła. Armand pocałował ją czule.

- Najdroższa - powiedział poważnie. - Lada chwila uczynię cię jeszcze szczęśliwszą.